



NORA ROBERTS



Zaklęty w cień

Rodzina O'Dwyer 02

Tytuł oryginału SHADOW SPELL

Dla mojego kręgu rodziny i przyjaciół

Nadchodzące wydarzenia rzucają wcześniej swój cień.

Thomas Campbell

Ozdobą domu jest przyjaciel, który go odwiedza.

Ralph Waldo Emerson

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jesień 1268

Mgła unosiła się nad wodą niczym oddech, gdy Eamon płynął niewielką łódką. Słońce świeciło bladym, chłodnym światłem, budząc się z nocnego spoczynku przy akompaniamencie ptasiego chóru. Eamon słyszał pianie koguta, tak aroganckiego i ważnego, i beczenie owiec skubiących trawę na zielonych łąkach.

Znajome dźwięki, które witały go każdego ranka przez ostatnich pięć lat.

Jednak tu nie był jego dom. Bez względu na to, jak ciepło go tu przyjęto, jak dobrze poznał owo miejsce, ono nigdy nie stanie się jego domem.

Tak bardzo pragnął mieć dom. Myśli o domu przeszywały go bólem aż do szpiku kości, aż czuł się jak starzec w wilgotną pogodę, budziły tęsknoty, od których jego serce krwawiło jak u wzgardzonego kochanka.

A pod pragnieniem, bólem, tęsknotą, buzowała wściekłość, która w każdej chwili mogła wybuchnąć, paląc mu gardło.

W niektóre noce śnił o domu, o ich chacie w wielkim lesie, w którym znał każde drzewo, każdy zakręt drogi. Czasami sny były tak realne jak jawa, aż czuł zapach torfowego ognia i miękkość materaca w jego łóżku, w który matka wplotła lawendę na dobry sen i spokojne sny.

Słyszał jej głos, gdy śpiewała na poddaszu, mieszając swoje napary i mikstury.

Nazywali ją Czarownicą z Ciemności, z szacunkiem, ponieważ była potężna i silna. Czwała i dobra. Dlatego w niektóre noce, kiedy śnił o domu, kiedy słyszał matkę śpiewającą na strychu, budził się ze łzami na policzkach.

Wtedy pośpiesznie je ocierał. Teraz był już mężczyzną, skończył

dziesięć lat i stał się głową rodziny, jak przed nim jego ojciec.

Łzy są dobre dla kobiet.

A on musiał opiekować się siostrami, prawda? – upomniął sam siebie, odkładając wiosła. Pozwolił, by łódka dryfowała swobodnie, i zarzucił linę. Brannaugh może i była najstarsza, ale to on jest mężczyzną w tej rodzinie. Złożył przysięgę, że będzie chronił siostry, i słowa dotrzyma. To on otrzymał miecz dziadka. I użyje go, gdy nadejdzie czas.

A czas nadejdzie na pewno.

Wiedział, ponieważ miewał też inne sny, które przynosiły nie smutek, lecz lęk. Sny o Cabhanie, złym czarnoksiężniku. Po tych snach czuł w brzuchu lodowaty strach, który mroził nawet wrzącą wściekłość. Z tego strachu chłopiec, który nadal w nim mieszkał, chciał płakać i wołać mamę.

Jednak nie mógł sobie pozwolić na to, by się bać. Jego matka odeszła, poświęciła siebie, aby ocalić ich troje, zaledwie kilka godzin po tym, jak Cabhan zamordował ich ojca.

Eamon z trudem przywoływał w pamięci obraz ojca, często musiał korzystać z pomocy ognia, by go zobaczyć – wysokiego, dumnego Daithiego, *cennfine* o jasnych włosach, zawsze skorego do śmiechu. Wystarczyło jednak, by zamknął oczy, a już widział matkę, bladą jak zbliżająca się ku niej śmierć, stojącą przed chatą w lesie tamtego mglistego poranka, gdy on odjeżdżał z siostrami, z żałobą w sercu i świeżą, gorącą mocą we krwi.

Od tamtego ranka nie był już chłopcem, stał się jednym z trojga, potomkiem Czarownicy z Ciemności, zobowiązanym przysięgą i krwią, by zniszczyć to, czego nie zdołała unicestwić nawet jego matka.

Po części pragnął, aby spokojny czas w Galway, na farmie kuzynki, gdzie rano piał kogut, a owce beczały na polach, trwał. Jednak mężczyzna i czarownik tkwiący w nim nie mógł się doczekać, kiedy ten czas dobiegnie

końca, a on będzie miał dosyć siły, by unieść miecz dziadka bez drżenia ręki pod ciężarem broni. Kiedy nadejdzie chwila, gdy w pełni wykorzysta swą moc i magię, z którą się urodził. Gdy przeleje czarną krew Cabhana, aż jej strumień wypali ziemię.

Jednak w snach był tylko chłopcem, niedoświadczonym i słabym, ściganym przez wilka, w którego przemienił się Cabhan, wilka z czerwonym klejnotem na szyi, pulsującym czarną mocą. I to jego krew, Eamona, i krew jego sióstr, ciepła i czerwona, spływała na ziemię.

Rankami po najgorszych snach wypływał na rzekę, by łowić ryby i pobyć samemu, choć przez większość dni pragnął towarzystwa, głosów, zapachów kuchni, unoszących się w domu.

Dlatego teraz siedział w łódce, smukły, dziesięcioletni chłopiec z brązową czupryną, wciąż potarganą od snu, i błękitnymi oczami ojca, pełnymi jasnej, wrzącej mocy matki.

Tutaj mógł słuchać, jak wokół niego budzi się dzień, i pogryzając owsiane ciastko, które zabrał z kuchni kuzynki, czekać cierpliwie, aż ryba połakomi się na przynętę.

I mógł znowu odnaleźć siebie.

Rzeka, cisza, delikatne kołysanie łódki przypominały mu o ostatnim, naprawdę szczęśliwym dniu, jaki spędził z matką i siostrami.

Pamiętał, że wtedy dobrze wyglądała, choć przez całą długą, mroźną zimę była blada i wyczerpana. Wszyscy odliczali dni do Beltaine, do powrotu jego ojca. Wtedy usiądą wokół ognia, tak myślał Eamon, i jedząc ciastka i pijąc słodzony miodem napar, będą słuchali opowieści Daithiego o polowaniach i bitwach.

Zasiądą do uczy, myślał, a matka wyzdrowieje.

Tak wtedy wierzył, tamtego dnia na rzece, gdy łowili ryby, śmiali się i

rozmawiali o tym, że już niedługo ojciec wróci do domu.

Jednak nigdy nie wrócił, ponieważ Cabhan wykorzystał swą ciemną magię, by zgładzić dzielnego Daithiego. I Sorchę, Czarownicę z Ciemności. Chociaż spaliła go na popiół, ją także zabił. Uśmiercił ją, a sam w jakiś sposób nadal egzystował.

Eamon wiedział to ze snów, z dreszczu, który przebiegał mu po kręgosłupie. Widział tę prawdę w oczach sióstr.

Miał jednak tamten dzień, przechowywał w pamięci ów słoneczny, wiosenny dzień na rzece. Chociaż ryba zaczęła ciągnąć linkę, chłopiec cofnął się myślami w przeszłość i zobaczył siebie, kiedy miał pięć lat i wyciągnął z ciemnej rzeki lśniąca zdobycz.

Teraz poczuł tę samą dumę.

– Kuzynka Ailish się ucieszy.

Gdy wrzucił rybę do wiadra z wodą, by zachowała świeżość, matka uśmiechnęła się do niego.

To jego ogromna tęsknota przywołała Sorchę, by przyniosła mu pocieszenie. Znowu zaczepił haczyk, a coraz cieplejsze promienie słońca rozpraszały rzednącą mgłę.

– Potrzebna nam więcej niż jedna.

Pamiętał, że to samo powiedziała tamtego dnia dawno temu.

– W takim razie złapiesz więcej niż jedną.

– Szybciej złowiłbym je w naszej rzece.

– Kiedyś złowisz. Pewnego dnia, *mo chroi*, wrócisz do domu. Pewnego dnia ci, którzy powstaną z ciebie, będą łowić ryby w naszej rzece, spacerować po naszym lesie. Obiecuję ci to.

Do oczu napłynęły mu łzy, zamazując obraz matki, aż zaczęła znikać. Powstrzymał je siłą woli, by nadal wyraźnie ją widzieć. Ciemne włosy,

którym pozwalała opadać swobodnie aż do pasa, ciemne oczy, pełne miłości. I moc, która biła z niej niczym blask. Nawet teraz, choć była to tylko wizja, czuł jej moc.

– Dlaczego nie mogłaś go zniszczyć, mamó? Dlaczego nie mogłaś przeżyć?

– Nie takie było moje przeznaczenie. Moja miłości, mój chłopcze, moje serce, gdybym tylko mogła oszczędzić cię i twoje siostry, oddałabym więcej niż życie.

– Oddałaś. Przekazałaś nam swoją moc, prawie całą. Gdybyś ją zachowała...

– Nadszedł mój czas, a wam moc się należała z racji urodzenia. I uwierz mi, jestem z tego powodu szczęśliwa.

– Lśniła srebrem w rzednącej mgłę. – Na zawsze pozostanę w tobie, Eamonie Lojalny. Jestem w twojej krwi, w twoim sercu, w myślach. Nie jesteś sam.

– Tęsknię za tobą.

Poczuł na policzku jej usta, ciepło jej pocałunku, otulił go jej zapach. I przez tę chwilę, tylko przez ten jeden moment, znowu mógł być dzieckiem.

– Chcę być odważny i silny. I będę, przysięgam. Będę chronił Brannaugh i Teagan.

– Będziecie chronić siebie nawzajem. Jesteście trojgiem. Razem macie więcej mocy, niż ja kiedykolwiek posiadałam.

– Czy ja go zabiję? – To było jego najgłębsze, najciemniejsze marzenie.
– Czy to ja go unicestwię?

– Nie znam odpowiedzi na to pytanie, wiem tylko, że on nigdy nie może odebrać ci tego, kim jesteś. Moc, którą posiadasz, musi zostać darowana, jak ja przekazałam ją wam. On nosi moje zaklęcie i jego znak. Wszyscy, którzy z

niego powstaną, będą go nosić, tak jak wszyscy, którzy zrodzą się z ciebie, będą nieśli światło. Moja krew, Eamonie. – Odwróciła dłoń wnętrzem do góry, a na skórze zalśniła cienka czerwona strużka. – I twoja.

Poczuł nagłe ukłucie bólu, zobaczył ranę na własnej dłoni. I przycisnął ją do dłoni matki.

– Krew trojga z Sorchy unicestwi go, choćby to miało potrwać tysiąc lat. Zaufaj temu, kim jesteś. To wystarczy.

Pocałowała go jeszcze raz, uśmiechnęła się znowu.

– Złowiłeś więcej niż jedną.

Szarpanie linki przywróciło Eamona do rzeczywistości.

Tak, złowił więcej niż jedną.

Będzie odważny, pomyślał, wyciągając rzucającą się rybę z wody. Będzie silny. Aż pewnego dnia stanie się wystarczająco silny.

Spojrzał na dłoń, na której teraz nie było nawet śladu, ale on rozumiał. Miał w sobie krew Sorchy i jej dar. Jedno i drugie przekaze pewnego dnia swoim synom i córkom. Jeśli to nie jemu było dane zabić Cabhana, zgładzi go ktoś z jego krwi.

Jednak miał nadzieję, na wszystkich bogów, że to będzie właśnie on.

Na razie będzie łowił. Dobrze być mężczyzną, pomyślał. Można polować i łowić, by zaopatrzyć dom. Odplacić kuzynom za dach nad głową i opiekę.

Odkąd stał się mężczyzną, nauczył się cierpliwości – i złowił jeszcze cztery ryby, zanim skierował łódź do brzegu. Przywiązał ją, nanizał ryby na sznurek.

Stał przez chwilę, patrząc na wodę, lśniąca teraz w promieniach słońca. Myślał o matce, o dźwięku jej głosu, zapachu jej włosów. Jej słowa pozostaną przy nim.

Wróci do chaty przez niewielki las. Nie tak gęsty, jak ten w domu, ale wciąż piękny las, powiedział do siebie.

Przyniesie Ailish ryby, wypije napar przy ogniu. A potem pomoże przy ostatnich żniwach.

W drodze do chaty i małej farmy usłyszał wysoki, ostry krzyk. Uśmiechając się do siebie, wyjął z torby skórzaną rękawicę. Wystarczyło, że ją włożył i wyciągnął rękę, a Roibeard już wychynał zza chmur, rozkładając skrzydła do lądowania.

– Dzień dobry. – Eamon spojrział w złote oczy i poczuł więź, jaka łączyła go z sokołem, jego przewodnikiem i przyjacielem. Dotknął zaczarowanego amuletu na szyi, który jego matka stworzyła magią krwi, by chronił syna. Amuletu z wizerunkiem sokoła.

– Piękny dzień, prawda? Jasny i chłodny. Żniwa już prawie skończone i wkrótce będziemy mogli świętować

– mówił, idąc z sokołem na ramieniu. – Uczcimy zrównanie dnia z nocą, kiedy noc zwycięża dzień tak, jak Gronw Pebr zwyciężył Llew Llaw Gyffes¹. Będziemy świętowali narodziny Mabona, syna Modron, strażniczki ziemi. Na pewno będą owsiane ciastka. Zadbam, żebyś i ty dostał kawałek.

Sokół potarł łebkiem o policzek chłopca, czule jak kociak.

– Znowu miałem ten sen, o Cabhanie. Śnił mi się dom i mama, po tym jak oddała nam prawie całą swoją moc i odesłała nas w bezpieczne miejsce. Widzę to, Roibeardzie. Jak zatrzała go pocałunkiem, jak płonęła, wykorzystując wszystko, co miała, by go zniszczyć. Odebrała mu życie, a mimo to... widziałem ruch w popiołach, w które go zmieniła. Widziałem w nich zło i lśniąca czerwień jego mocy.

Eamon przerwał na chwilę, przywołał swoją moc, otworzył się na nią.

¹ Postaci z mitologii celtyckiej.

Poczuł bicie serca zająca, umykającego w krzaki, głód młodych, czekających na matkę wracającą ze śniadaniem.

Poczuł siostry, owce, konie.

I żadnego zagrożenia.

– Nie znalazł nas. Wyczułbym to. Ty również byś to zobaczył i powiedziałbyś mi. Ale czuję, że on szuka, poluje, czeka.

Błękitne oczy pociemniały, delikatne usta chłopca zacisnęły się po męsku.

– Nie będę zawsze się ukrywał. Pewnego dnia, przysięgam na krew Daithiego i Sorchy, to ja wyjdę na polowanie.

Eamon uniósł dłoń i złapał w nią powietrze, którym rzucił – delikatnie – w stronę drzewa. Zadrżały gałęzie, siedzące na nich ptaki odleciały.

– Tylko nabiorę więcej siły – szepnął i poszedł do chaty, żeby mile zaskoczyć Ailish świeżo złowionymi rybami.

Brannaugh jak co dzień wykonywała swoje obowiązki. Jak każdego dnia przez ostatnich pięć lat robiła wszystko, o co ją poproszono. Gotowała, sprzątała, zajmowała się dziećmi, ponieważ Ailish zawsze miała maleństwo przy piersi albo w brzuchu. Pomagała siać i zajmowała się obrzędkiem. Pomagała przy żniwach.

Dobra, uczciwa praca, która w pewien sposób przynosiła jej satysfakcję. Nikt nie mógłby okazać im więcej życzliwości niż kuzynka Ailish i jej mąż. Oboje byli dobrymi, solidnymi ludźmi, solą ziemi. Ofiarowali trójce sierot dużo więcej niż tylko dach nad głową.

Dali im rodzinę, a nie ma cenniejszego daru.

Czyż jej matka nie była tego pewna? Inaczej nigdy nie posłałaby do Ailish trójki swoich dzieci. Nawet w najczarniejszej godzinie Sorcha powierzyłaby dzieci jedynie życzliwym, kochającym ludziom.

Jednak w wieku dwunastu lat Brannaugh nie była już dzieckiem. A to, co w niej rosło, rozprzestrzeniało się, budziło – coraz bardziej, odkąd rok temu zaczęła się uczyć – i stawiało żądania.

Trzymanie tego w ukryciu, odwracanie oczu od oślepiającego światła z każdym dniem stawało się trudniejsze i sprawiało jej większy ból. Jednak była winna Ailish szacunek, a jej kuzynka bała się magii i mocy – nawet własnej.

Tamtego potwornego poranka zrobiła to, o co prosiła ją matka. Zabrała brata i siostrę na południe, daleko od ich domu w Mayo. Unikała dróg. Zamknęła żalobę w sercu, gdzie tylko ona słyszała jej skowyt.

Jednak w sercu Brannaugh rosło również pragnienie zemsty, chęć, by zaakceptować własną moc, by uczyć się, ćwiczyć i doskonalić tak długo, aż będzie mogła pokonać Cabhana, raz na zawsze.

Ailish potrzebowała do szczęścia tylko męża, dzieci i farmy. I dlaczego nie? Miała prawo do własnego domu, życia i ziemi, do spokoju. Czyż nie zaryzykowała tego wszystkiego, przyjmując pod dach potomstwo Sorchy? Chroniąc to, czego pragnął Cabhan, na co polował?

Zasługiwała na wdzięczność, lojalność i szacunek.

Ale to, co tkwiło w Brannaugh, domagało się wolności. Wiedziała, że w końcu będzie musiała dokonać wyboru.

Zobaczyła brata, wracającego znad rzeki z rybami i sokołem. Czuła, jak Eamon ćwiczy swoją moc z dala od chaty, co często robił. Podobnie jak ich siostra, Teagan. Ailish, paplająca o dżemach, które dzisiaj zrobiły, nic nie czuła. Kuzynka blokowała większość tego, co miała – co nie przestawało Brannaugh zadziwiać – i używała tylko odrobiny, by dosłodzić przetwory czy skłonić kury do wysiadywania większych jajek.

Brannaugh przekonywała samą siebie, że warto się poświęcić,

poczekać, aż pozna więcej, więcej się nauczy.

Jej brat i siostra byli tu bezpieczni. Teagan, której żałoby nie mogli ukoić przez wiele tygodni, wreszcie śmiała się i bawiła. Z radością wykonywała swoje obowiązki, zajmowała się zwierzętami i jeździła jak wojownik na swoim wielkim, szarym Alastarze.

W niektóre noce jednak szlochała przez sen, ale uspokajała się, gdy tylko Brannaugh ją przytuliła.

Poza nocami, kiedy śniła o Cabhanie. Te sny nawiedzały także Teagan i Eamona, ją samą. Teraz pojawiały się częściej, były coraz bardziej wyraźne, tak żywe, że Brannaugh po obudzeniu słyszała echo jego głosu.

Musi dokonać wyboru. Być może czas oczekiwania w tym, azylu wkrótce dobiegnie końca, w ten lub inny sposób.

Wieczorem Brannaugh obierała ziemniaki, obolała po zniwach. Mieszała gulasz, pyrkoczący na ogniu, i wybijała stopą rytm melodii, granej przez męża kuzynki na małej harfie.

Chatka była ciepła i przytulna, szczęśliwe miejsce wypełniały smakowite zapachy, wesole głosy, śmiech Ailish, która tańczyła z najmłodszym dzieckiem na biodrze.

Rodzina, pomyślała Brannaugh. Nakarmiona, zadbana, w ciepłym, przytulnym domu, z ziołami schnącymi w kuchni, wypełnionym dziećmi o rumianych policzkach.

Schwyciła spojrzenie Eamona, który patrzył na nią oczami równie błękitnymi jak ich ojca, i poczuła pchnięcie jego mocy. Eamon zbyt dużo widział, pomyślała. O wiele za dużo, jeśli zapominała go zablokować.

Ona też wysłała ku niemu odrobinę mocy – małe ostrzeżenie, by pilnował własnego nosa. I rzuciła mu siostrzany uśmiech, kiedy się skrzywił.

Po wspólnym wieczorze trzeba było umyć garnki, położyć dzieci do

łóżek. Siedmioletnia Mabh, najstarsza, protestowała jak zawsze, że nie jest śpiąca. Seamus natychmiast zasnął z rozmarzonym uśmiechem. Bliźniaki, które Brannaugh sama pomogła sprowadzić na świat, gaworzyły z sobą jak sroki, a mała Brighid wsunęła kciuk do ust i zasnęła, zanim matka zdążyła położyć ją do łóżka.

Brannaugh zastanawiała się, czy Ailish wie, że bez magii nie byłoby już ani jej, ani najmłodszego niemowlęcia o słodkiej twarzyczce aniołka. Narodziny, tak bolesne, tak skomplikowane, zakończyłyby się tragedią, gdyby nie moc Brannaugh, jej dar uzdrawiania, troska i obecność.

Chociaż nigdy o tym nie rozmawiały, Brannaugh sądziła, że kuzynka doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

Ailish wyprostowała się, przyciskając dłoń do pleców, bo kolejne maleństwo rosło jej w brzuchu.

– Życzę wszystkim spokojnej nocy i dobrych snów. Brannaugh, napijesz się ze mną naparu z ziół? Przydałby mi się twój uspokajający napój, ten mały kopie dzisiaj jak byczek.

– Oczywiście, zaraz ci przygotuję. – I doda trochę czaru, jak zawsze, dla zdrowia i łatwego porodu. – Dziecko jest zdrowe i silne, podejrzewam, że daje ci w kość równie mocno jak bliźniaki.

– To na pewno chłopiec – powiedziała Ailish, gdy schodziły ze strychu.
– Czuję to. Jeszcze nigdy się nie pomyliłam.

– I tym razem również się nie mylisz. Powinnaś więcej wypoczywać, kuzynko.

– Kobieta z szóstką dzieci i siódmym w drodze nie ma czasu na wypoczynek. Czuję się dobrze. – Spojrzała na Brannaugh, szukając potwierdzenia.

– Oczywiście, ale i tak przydałoby ci się więcej odpoczynku.

– Jesteś dla mnie ogromną pomocą i pocieszeniem, Brannaugh.

– Mam taką nadzieję.

Coś się święci, pomyślała Brannaugh, przygotowując napar. Wyczuwała napięcie kuzynki, które ją samą przyprawiało o niepokój.

– Teraz, gdy żniwa już skończone, możesz się zabrać do szycia. To potrzebna praca, a ty przy niej odpoczniesz. Ja się zajmę gotowaniem. Teagan i Mabh mi pomogą, Mabh już jest bardzo dobrą kucharką.

– Tak, to prawda. Jestem z niej taka dumna.

– Dziewczynki zajmą się gotowaniem, a ja z Eamonem możemy jeździć z kuzynem na polowanie. Wiem, że wolisz, abym nie brała łuku do ręki, ale czyż nie powinniśmy wszyscy robić tego, w czym jesteśmy dobrzy?

Ailish na chwilę odwróciła wzrok.

Tak, pomyślała Brannaugh, ona wie, a co więcej, czuje, co znaczy proszenie nas, byśmy zapomnieli o tym, kim jesteśmy.

– Kochałam twoją matkę.

– A ona ciebie.

– Przez ostatnich kilka lat rzadko się widywałyśmy, a mimo to Sorcha na swój sposób nadal przysyłała mi wiadomości. Tej nocy, gdy urodziła się Mabh, mały kocyk, do którego moja córeczka nadal się tuli przez sen, po prostu leżał na kołysce zrobionej przez Bardana.

– Mama zawsze mówiła o tobie z miłością.

– Przysłała was do mnie. Ciebie, Eamona, Teagan. Przyszła do mnie we śnie i poprosiła, bym stworzyła wam dom.

– Nigdy mi tego nie mówiłaś – szepnęła Brannaugh. Zniosła napar kuzynce i usiadła przy ogniu.

– Poprosiła mnie o to na dwa dni przed waszym przyjazdem.

Brannaugh wpatrzyła się w płomień; dłonie zacisnęła na spódnicy

równie szarej jak własne oczy.

– Podróż tutaj zajęła nam osiem dni. Odwiedził cię jej duch. Tak bardzo chciałabym znowu się z nią spotkać, ale widuję ją tylko w snach.

– Ona jest przy tobie. Dostrzegam ją w tobie. W Eamonie, w Teagan także, ale w tobie najbardziej. Jej siłę i piękność. Jej gorącą miłość do męża i dzieci. Jesteś już w tym wieku, Brannaugh, że musisz zacząć myśleć o założeniu rodziny.

– Mam rodzinę.

– Mam na myśli twoją własną, tak jak uczyniła to twoja matka. Dom, kochanie, mężczyznę, który będzie uprawiał dla ciebie ziemię, własne dzieci.

Upiła łyk naparu, a Brannaugh milczała.

– Fial to uczciwy, porządny człowiek. Był dobry dla swojej żony, kiedy żyła, masz na to moje słowo. On potrzebuje żony i matki dla swoich dzieci. Ma solidną chatę, dużo większą niż nasza. On by cię przyjął i otworzyłby swoje drzwi dla Eamona i Teagan.

– Jak mogłabym wyjść za Fiala? On jest... – „stary”, pomyślała, ale zdała sobie sprawę, że nie mógł być starszy niż Bardan.

– On zapewniłby ci dobre życie, twojemu bratu i siostrze również. – Ailish zaczęła szyc, żeby zająć czymś ręce. – Nigdy bym ci o tym nie wspomniała, gdybym nie wierzyła, że zawsze będzie dla ciebie dobry. On jest przystojny, Brannaugh, i łagodny. Czy pójdziesz z nim na spacer?

– Ja... Kuzynko, ja nigdy nie myślałam w ten sposób o Fialu.

– Może gdybyś poszła z nim na spacer, zaczęłabyś.

– Ailish uśmiechnęła się, jakby знаła jakąś tajemnicę.

– Kobieta potrzebuje mężczyzny, który będzie dostarczał pożywienia, chronił ją i da jej dzieci. Miłego mężczyzny z solidnym domem, niebrzydka twarzą...

– Czy ty wyszłaś za Bardana dlatego, że był miły?

– Na pewno nie wyszłabym za niego, gdyby nie był. Po prostu pomyśl nad tym. Powiemy mu, że pomówisz z nim o tym po równonocy. Tylko się nad tym zastanów. Zrobisz to?

– Zrobię.

Brannaugh wstała.

– Czy on wie, kim jestem?

Ailish spuściła wzrok.

– Najstarszą córką mojej kuzynki.

– Czy on wie, kim ja jestem, Ailish?

To, co trzymała w sobie, co powstrzymywała, zawrzało. Obudziła się w niej duma. I światło, które zatańczyło na jej twarzy, pochodziło nie tylko od blasku ognia.

– Jestem najstarszą córką Czarownicy z Ciemności z Mayo. A moja matka, zanim poświęciła swoje życie, oddała swoją moc mnie, Eamonowi i Teagan. Jesteśmy trojgiem. My, czarownicy z ciemności.

– Jesteś dzieckiem...

– Dzieckiem, kiedy mówisz o magii i mocy, ale kobietą, jeśli chodzi o wyjście za mąż za Fiala.

Prawda w jej słowach wywołała rumieniec na policzkach Ailish.

– Brannaugh, moje serce, czyż nie było ci tu dobrze przez ostatnie lata?

– Tak, bardzo dobrze. I jestem ci za to wdzięczna.

– Krew daje krwi bez proszenia o wdzięczność.

– Tak. Krew daje krwi.

Ailish odłożyła robótkę i ujęła dłonie Brannaugh.

– Byłabyś bezpieczna, córko mojej kuzynki. I byłoby ci dobrze. Wierzę, że byłabyś kochana. Czy można chcieć więcej?

– Ja jestem kimś więcej – powiedziała cicho Brannaugh i poszła na strych.

Jednak sen nie chciał nadejść. Leżała cicho obok Teagan, czekając, aż ucichną szepty Ailish i Bardana. Na pewno rozmawiali o jej małżeństwie, dobrym, rozsądnym małżeństwie. Przekonywali sobie nawzajem, że niechęć Brannaugh to jedynie nerwy młodej dziewczyny.

Tak jak przekonali siebie, że Brannaugh, Eamon i Teagan są takimi samymi dziećmi, jak wszystkie inne.

Brannaugh wstała po cichu, wsunęła miękkie buty, wzięła szal. Potrzebowała powietrza. Powietrza, nocy, księżyca.

Zeszła cicho ze strychu, uchyliła drzwi.

Kathel, jej pies, który spał przy ogniu, podniósł się i bez wahania ruszył za swoją panią.

Teraz wreszcie mogła wziąć głęboki oddech, kiedy czuła chłodne powietrze na policzkach, gdy cisza niczym łagodna dłoń uspokajała chaos w jej głowie. Tutaj czuła się wolna.

Brannaugh i jej wierny towarzysz wsunęli się między drzewa jak cienie. Dziewczyna słyszała szum rzeki, westchnienie wiatru w koronach drzew, czuła zapach ziemi i torfowego dymu, unoszącego się z komina.

Mogłaby stworzyć krąg, spróbować przywołać ducha matki. Dziś w nocy tak bardzo jej potrzebowała. Przez pięć lat nie zapłakała ani razu, nie pozwoliła sobie uronić ani jednej łzy, ale teraz pragnęła usiąść na ziemi, oprzeć głowę na piersi matki i szlochać.

Położyła dłoń na amulecie z wizerunkiem psa, który Sorcha stworzyła z miłości, magii i krwi.

Czy ona sama pozostała wierna swojej krwi, temu, co w niej żyło? Dbała o własne potrzeby, chęci, pasje? Czy odłożyła je na bok jak starą

zabawkę, skupiając się tylko na tym, co zapewni bezpieczeństwo i przyszłość jej bratu i siostrze?

– Matko – szepnęła – co powinnam zrobić? Co ty byś chciała, abym zrobiła? Oddałaś za nas swoje życie. Czy ja mogę zrobić mniej?

Poczuła, jak ktoś wyciąga ku niej dłoń, jak moce łączą się niczym splatające się palce. Obróciła się gwałtownie i wbijając wzrok w ciemność, pomyślała: mama.

Jednak to Eamon stanął w blasku księżyca; trzymał za rękę Teagan.

W głosie Brannaugh zadźwięczało rozczarowanie, ostre jak nóż.

– Powinniście leżeć w łóżkach. Co to za pomysły, żeby w nocy włóczyć się po lesie?

– Ty też się włóczysz – odparł Eamon.

– Ja jestem najstarsza.

– A ja jestem głową rodziny.

– To małe coś między nogami nie czyni z ciebie głowy rodziny.

Teagan zachichotała, po czym podbiegła do siostry i ją objęła.

– Nie złość się. Potrzebujesz nas. Widziałam cię we śnie. Płakałaś.

– Przecież nie płaczę.

Tutaj. – Teagan dotknęła piersi Brannaugh na wysokości serca. Nie odrywała głębokich, ciemnych oczu – tak bardzo podobnych do oczu ich matki – od twarzy siostry.

– Dlaczego jesteś smutna?

– Nie jestem smutna. Przyszłam tu, żeby pomyśleć. Pobyć sama i pomyśleć.

– Za głośno myślisz – mruknął Eamon, wciąż nadąsany po uwadze o „małym czymś”.

– A ty powinieneś mieć lepsze maniery i nie słuchać myśli innych.

– Co mogę poradzić, skoro ty krzyczysz?

– Przestańcie. Nie będziemy się kłócić. – Teagan może i była najmłodsza, ale nie brakowało jej charakteru.

– Nie będziemy się kłócić – powtórzyła. – Brannaugh jest smutna, Eamon niespokojny, jakby stał na rozżarzonych węglach, a ja... czuję się, jakbym zjadła zbyt dużo budyniu.

– Jesteś chora? – Złość Brannaugh natychmiast minęła. Spojrzała uważnie w oczy siostry.

– Nie w ten sposób. Coś zostało... zachwiane. Czuję to. I myślę, że wy też. Dlatego nie będziemy się kłócić. Jesteśmy rodziną. – Nadal trzymając rękę Brannaugh, sięgnęła po dłoń Eamona. – Powiedz nam, siostro, dlaczego jesteś smutna.

– Ja... chcę stworzyć krąg. Chcę poczuć w sobie światło. Chcę stworzyć krąg i usiąść z wami w jego blasku.

– Prawie nigdy tego nie robimy – zauważyła Teagan.

– Ailish nie chce, żebyśmy się tym zajmowali.

– Przyjęła nas pod swój dach, więc w jej domu jesteśmy winni jej szacunek. Jednak teraz nie jesteśmy w jej domu, a ona nie musi o niczym wiedzieć. Potrzebuję światła. Muszę porozmawiać z wami w naszym kręgu, tak żeby nikt nas nie słyszał.

– Ja stworzę krąg. Ćwiczyłam – powiedziała Teagan.

– Ćwiczę, kiedy jeżdżę na Alastarze.

Brannaugh z westchnieniem pogłaskała siostrę po jasnych włosach.

– To dobrze. Stwórz krąg, *deirfiur bheag*.

ROZDZIAŁ DRUGI

Brannaugh patrzyła na pracującą Teagan. Przyglądała się, jak siostra wydobyła z siebie światło i ogień, jak tworząc krąg, dziękowała bogini. Krąg wystarczająco duży, pomyślała z rozbawieniem i wdzięcznością, by zmieścić też Kathela.

– Bardzo dobrze sobie poradziłaś. Powinnaś być nauczycielką, ale...

– Szanujesz Ailish.

– I martwisz się – dodał Eamon – że jeśli zbyt często będziemy używać naszej mocy, on się dowie. I przyjdzie.

– Tak. – Brannaugh usiadła na ziemi i objęła Kathela ramieniem. – Nasza matka chciała, byśmy byli bezpieczni. Poświęciła dla nas wszystko, magię i życie. Wierzyła, że go zniszczy, a my będziemy bezpieczni. Nie wiedziała, że ciemne moce, z którymi zawarł przymierze, mogą go podnieść z popiołów.

– Słabszego.

Spojrzała na Eamona i skinęła głową.

– Tak, był słabszy. Wtedy. On... myślę, że karmi się mocą. Znajdzie innych, odbierze im moc i będzie wzrastał w siłę. Nasza matka pragnęła, żebyśmy byli bezpieczni.

– Brannaugh nabrała tchu. – Fial chce się ze mną ożenić.

Eamon aż otworzył usta.

– Fial? Ale on jest stary.

– Nie starszy od Bardana.

– Stary!

Brannaugh roześmiała się i poczuła, jak ucisk w jej piersi nieco zelżał.

– Wygląda na to, że mężczyźni chcą mieć młode żony, które urodzą im wiele dzieci i nadal będą chciały z nimi sypiać i im gotować.

– Nie wyjdiesz za Fiala – powiedziała stanowczo Teagan.

– On jest miły i niebrzydki. Ma dużo większe gospodarstwo niż Ailish i Bardan i przyjąłby was oboje.

– Nie wyjdiesz za Fiala – powtórzyła Teagan. – Nie kochasz go.

– Nie szukam ani nie potrzebuję miłości.

– A powinnaś, ale nawet jak zamkniesz oczy, ona sama cię znajdzie. Zapomniałaś, jak bardzo kochali się nasi rodzice?

– Nie zapomniałam. Tylko nie sądzę, żebym ja znalazła taką miłość.

Może pewnego dnia ty ją odnajdziesz, jesteś taka śliczna i bystra.

– Och, znajdę. – Teagan z powagą pokiwała głową.

– Ty też, Eamon także. I przekazemy to, kim jesteśmy, co mamy, tym, którzy nadejdą po nas. Nasza matka tego pragnęła. Chciała, żebyśmy żyli.

– Będziemy żyli, i to dostatnio, jeśli wyjdę za Fiala. Jestem najstarsza – przypomniała rodzeństwu Brannaugh.

– To ja podejmuję decyzje.

– A mnie mama wyznaczyła, żebym cię chronił.

– Eamon skrzyżował ręce na piersi. – Zabraniam.

– Nie będziemy się kłócić. – Teagan złapała oboje za ręce i mocno ścisnęła. Na splecionych palcach zatańczyły płomienie. – I nikt nie będzie się mną zajmował. Nie jestem już niemowlakiem, Brannaugh, mam tyle samo lat, ile ty, kiedy opuściliśmy dom. Nie wyjdiesz za męża, żeby zapewnić nam dach nad głową. Nie wyprzesz się tego, kim jesteś, nie zignorujesz swojej mocy. Ty nie jesteś Ailish, ale Brannaugh, córką Sorchy i Daithiego. Jesteś Czarownicą z Ciemności i zawsze nią będziesz.

– Pewnego dnia go zniszczymy – przysiągł Eamon.

– Pewnego dnia pomścimy naszego ojca, naszą matkę i unicestwimy nawet popioły, pozostałe po spaleniu Cabhana. Nasza matka mi to obiecała – albo tym, którzy przyjdą po nas, nawet jeśli miałyby to potrwać tysiąc lat.

– Obiecała ci?

– Dzisiaj rano. Przyszła do mnie, jak byłem na rzece, we mgle i ciszy.

Znajduję ją tam, kiedy jej potrzebuję.

– Do mnie przychodzi tylko w snach. – Łzy, które Brannaugh powstrzymywała, zapiekły ją w gardło.

– To dlatego, że tak głęboko zakopałaś to, kim jesteś.

– Teagan uspokajająco pogładziła siostrę po włosach.

– Żeby nie zrobić przykrości Ailish, aby nas chronić. Może pozwalasz jej przychodzić tylko w snach.

– A ciebie odwiedza? – zapytała szeptem Brannaugh.

– Nie tylko w snach?

– Czasami, kiedy jeżdżę na Alastarze, gdy wjedziemy głęboko w las i jestem bardzo cicho. Śpiewa mi, jak wtedy, kiedy byłam mała. I to nasza matka powiedziała mi, że znajdziemy miłość, będziemy mieli dzieci. I że nasza krew pokona Cabhana.

– Czy w takim razie mam wyjść za Fiala, urodzić mu dziecko, tę krew, która zwycięży?

– Nie! – Z czubków palców Teagan wystrzeliły małe płomyki, ale dziewczynka szybko je zgasła, przypominając sobie o samokontroli. – Nie kochasz go. Najpierw przyjdzie miłość, a potem dziecko, taka jest kolejność.

– Nie jedyna.

– Dla nas jedyna. – Eamon znów wziął Brannaugh za rękę. – My zrobimy to w ten sposób. Będziemy tym, kim mamy być, zrobimy to, co

musimy. Jeśli nie spróbujemy, poświęcenie naszych rodziców pójdzie na marne. Ich śmierć okaże się niepotrzebna. Tego właśnie chcesz?

– Nie. Nie. Chcę go zabić. Pragnę jego krwi, – śmierci.

– Udręczona Brannaugh wtuliła twarz w sierść Kathela, szukając ukojenia w ciepłe psa. – Myślę, że jakaś część mnie by umarła, gdybym odwróciła się od tego, kim jestem. Ale wiem też, że umarłabym cała, gdyby mój wybór skrzywdził którekolwiek z was.

– Razem dokonamy tego wyboru – powiedział Eamon.

– Jedność w trojgu. Ten czas był nam potrzebny. Nasza matka przysłała nas tutaj, abyśmy podrosli. Nie jesteśmy już dziećmi. Chociaż myślę, że nie byliśmy nimi, kiedy odjeżdżaliśmy z domu tamtego ranka, wiedząc, że już nigdy jej nie zobaczymy.

– Mieliśmy moc. – Brannaugh odetchnęła głęboko i wyprostowała się z dumą. Chociaż brat był młodszy, a do tego był chłopcem, mówił prawdę. – Matka przekazała nam ogromny dar. A ja poprosiłam was, abyście go zignorowali.

– Miałaś prawo o to prosić, a my i tak używaliśmy mocy od czasu do czasu – dodał z uśmiechem Eamon. – Ten czas był nam potrzebny, ale dobiega końca. Czuję to.

– Ja też – szepnęła Brannaugh. – Dlatego się zastanawiałam, czy to nie oznacza, że powinnam wyjść za Fia– la. Ale macie rację, oboje. Nie jestem przeznaczona do gospodarstwa. Ani do magii kuchennej czy salonowych gier. Zajrzemy teraz do kręgu. Spojrzemy i zobaczymy. I będziemy wiedzieć.

– Razem? – Buzia Teagan pojaśniała, a Brannaugh dostrzegła, że zbyt długo powstrzymywała siebie, siostrę i brata.

– Razem. – Złożyła dłonie, przywołując moc. I opuściła ręce, by rozpaść ogień.

A gdy zapłonął, przywołanie tej pierwszej zdobytej umiejętności i czystość magii przyprawiły ją o rozkoszny dreszcz. Poczowała się tak, jakby po raz pierwszy od pięciu lat odetchnęła pełną piersią.

– Masz teraz więcej mocy – zauważyła Teagan.

– Tak. Czekala we mnie, ja czekałam. Wszyscy czekaliśmy, ale z tym koniec. Poszukamy Cabhana w płomieniach i dymie, sprawdzimy, gdzie czatuje. Ty widzisz głębiej – zwróciła się do Eamona – ale uważaj. Jeśli się dowie, że na niego patrzymy, spojrz na nas.

– Wiem, co mam robić. Moglibyśmy przejść przez ogień i pofrunąć nad wodą i ziemią do jego kryjówki.

– Położył dłoń na krótkim mieczu, który nosił u boku.

– Możemy go zabić.

– Do tego nie wystarczy twój miecz. Nasza matka nie mogła go zniszczyć pomimo całej swojej mocy. Aby go unicestwić, potrzeba czegoś więcej i kiedy nadejdzie czas, my to odnajdziemy. Na razie będziemy tylko patrzeć.

– Umiemy latać. Alastar i ja. My... – Teagan zamilkła, gdy siostra posłała jej ostre spojrzenie. – To się tak... samo się stało.

– Jesteśmy, kim jesteśmy. – Brannaugh potrząsnęła głową. – Nigdy nie powinnam była o tym zapominać. Teraz popatrzmy. Przez dym i płomienie, osłonięci przed jego spojrzeniem. Będziemy szukać, patrzeć w ślepe oczy tego, który krew naszą utoczył. Jesteśmy trojgiem, a nasza moc wzbiera niczym powódź w tę ciemną noc. Na me wezwanie niech tak się stanie.

Schwycili się za ręce i połączyli moc.

Płomienie uniosły się, a dym przerzedził.

Cabhan pił wino ze srebrnego pucharu. Ciemne włosy opadały mu na ramiona, lśniły w blasku pochodni.

Brannaugh ujrzała kamienne mury, pokryte bogato zdobionymi gobelinami, łoże z zasłoną z granatowego pluszu.

Czuje się świetnie, pomyślała. Zdobył bogactwo i opływa w luksusy, co jej nie zaskoczyło. Cabhan używał swojej mocy dla zysku, dla przyjemności, często niosąc śmierć innym. Wykorzystywał ją, w jakimkolwiek celu była mu potrzebna.

Do komnaty weszła kobieta, z włosami czarnymi jak noc, ubrana w kosztowną suknię. Zaczarowana, uznała Brannaugh, dostrzegając jej niewidzące spojrzenie.

A mimo to... była w niej jakaś moc. Próbowwała się uwolnić z więzów, które ją pętały.

Cabhan nie odezwał się ani słowem, tylko machnął ręką w kierunku łoża. Kobieta podeszła tam, zdjęła suknię i przez chwilę stała bez ruchu, a jej skóra, biała niczym światło księżycy, lśniła w przyćmionym blasku.

W jej niewidzących oczach Brannaugh widziała toczącą się walkę, gorzką bitwę o wolność.

Eamon na chwilę stracił koncentrację. Nigdy nie widział zupełnie nagiej dorosłej kobiety, i to jeszcze z tak dużym biustem. Podobnie jak siostry czuł jej uwięzioną moc, niczym biały ptak w czarnym pudełku. Ale ta naga skóra, miękkie, obfite piersi, fascynujący trójkąt włosów między nogami...

Czy w dotyku przypominały włosy na jej głowie? Desperacko chciał ich dotknąć, natychmiast, i sprawdzić.

Cabhan poderwał głowę niczym wilk węszący w powietrzu. Wstał tak szybko, że kielich się przewrócił, a czerwone wino rozlało jak krew.

Brannaugh boleśnie wykręciła Eamonowi palce. Chłopiec sapnął i poczerwieniał jak burak, ale odzyskał koncentrację.

Przez jeden potworny moment oczy Cabhana zdawały się patrzeć prosto

na niego.

Potem czarnoksiężnik podszedł do kobiety. Schwycił ją za piersi i mocno ścisnął, aż jej twarz skrzywiła się w grymasie bólu, ale nie krzyknęła.

Nie mogła wydać głosu.

Uszczypnął ją w sutki, wykręcił, aż łzy popłynęły po jej policzkach, a białą skórę splamiły siniaki. Uderzył ją i przewrócił na łóżko. Z kącika jej ust pociekła krew, ale kobieta tylko leżała ze wzrokiem wbitym w sufit.

Cabhan strzepnął palcami i już stał nago, z penisem w pełnym wzwodzie. Jego członek wydawał się lśnić, nie światłem, lecz ciemnością. Eamon czuł, że był jak lód – zimny, ostry i straszny. Cabhan wbił go w kobietę jak dzidę, a z oczu uwięzionej nadal płynęły łzy, krew sączyła się z kącika ust.

W Eamonie eksplodowała złość, nieokiełznana, pierwotna wściekłość na widok takiego traktowania kobiety. Już miał się przecisnąć przez ogień i dym, ale Brannaugh ścisnęła go tak mocno za rękę, że prawie zmiażdżyła mu palce.

A gdy czarownik gwałcił kobietę – nie można było tego nazwać inaczej – chłopiec czuł jego myśli. Myśli o ich matce i o potwornym pożądaniu, które nigdy nie zostało zaspokojone. Myśli o... Brannaugh. O Brannaugh i jak zrobiłby jej to samo i jeszcze więcej. Coś znacznie gorszego. Jak zadawałby jej ból, zanim odebrałby jej moc. Jak zabrałby jej moc, zanim odebrałby życie.

Brannaugh szybko zgasila ogień i przerwała wizję. Potem równie prędko schwyciła brata za ramiona.

– Powiedziałaś, że jeszcze nie jesteśmy gotowi. Myślisz, że nie czułam, jak chciałeś tam pójść?

– On ją skrzywdził. Odebrał jej moc i ciało wbrew jej woli.

– Prawie cię znalazł, czuł, że ktoś węszy.

– Zabiłbym go za same myśli. On nigdy nie dotknie cię w ten sposób, w jaki dotykał jej.

– Chciał ją skrzywdzić – odezwała się Teagan dziecięcym głosem. – Ale myślał nie o niej, tylko o naszej matce. A potem o tobie.

– Jego myśli nie mogą wyrządzić mi krzywdy. – Chociaż do głębi nią wstrząsnęły. – On nigdy nie zrobi ani mnie, ani tobie tego, co zrobił tej biednej kobiecie.

– Czy mogliśmy jej pomóc?

– Och, Teagan, nie wiem.

– Nawet nie spróbowaliśmy – powiedział ostro Eamon.

– Bo ty mnie powstrzymałaś.

– Zrobiłam to, aby chronić twoje życie, nasze życie, nasz cel. Myślisz, że nie czuję tego, co ty? – Jej głęboko ukrywany strach zatonął w lodowatej fali wściekłości.

– Myślisz, że nie cierpiałam tak samo, kiedy tak stałam i nic nie mogłam zrobić? On ma moc. Inną niż przedtem, słabszą, ale inną. Nie wiem, jak z nim walczyć. Jeszcze nie. Nie wiemy tego, Eamon, a musimy się dowiedzieć.

– On nadejdzie. Nie dziś, nie jutro, ale przyjdzie. On wie, że ty... – Chłopiec znowu spłonął rumieńcem, odwrócił wzrok.

– Wie, że mogę rodzić dzieci – dokończyła Brannaugh.

– Chce, abym urodziła mu syna. Ale to nigdy nie nastąpi. Jednak on się zbliża, ja też to czuję.

– W takim razie musimy wyjechać. – Teagan oparła głowę o bok Kathela. – Nie wolno nam sprowadzić go tutaj.

– Musimy odejść – zgodziła się Brannaugh. – Musimy być tym, kim jesteśmy.

– Dokąd pojedziemy?

– Na południe. – Brannaugh spojrzała na Eamona, szukając potwierdzenia.

– Tak, na południe, ponieważ on nadal jest na północy. Pozostał w Mayo.

– Znajdziemy miejsce, w którym będziemy się uczyć, doskonalić. A pewnego dnia wrócimy do domu.

Wstała, znowu wzięła rodzeństwo za ręce i pozwoliła, by między ich palcami przeskoczyły iskierki mocy.

– Przysięgam na naszą krew, że wrócimy do domu.

– Przysięgam na naszą krew – powtórzył Eamon – że my albo ci, którzy przyjdą po nas, zniszczą nawet ostatnią myśl o Cabhanie.

– Przysięgam na naszą krew – powiedziała Teagan – jesteśmy trojgiem i zawsze będziemy.

– Teraz zamkniemy krąg, ale już nigdy nie wyprzemy się tego, kim jesteśmy, co mamy, co otrzymaliśmy. – Brannaugh puściła ich dłonie. – Jutro wyjeżdżamy.

Ailish patrzyła mokrymi od łez oczami, jak Brannaugh pakuje swój szal.

– Błagam cię, zostań. Pomyśl o Teagan. Ona jest jeszcze dzieckiem.

– Jest w tym samym wieku co ja, kiedy do was przyjechałam.

– I ty również byłaś dzieckiem – powiedziała kuzynka.

– Byłam kimś więcej. My wszyscy jesteśmy kimś więcej i musimy być wierni temu, kim jesteśmy.

– Przestraszyłam cię, mówiąc o Fialu. Nie myśl, że będziemy cię zmuszać do małżeństwa.

– Nie. Och, nie. – Brannaugh odwróciła się, ujęła ręce Ailish w dłonie.

– Wiem, że nigdy byście tego nie zrobili. To nie przez Fiala odjeżdżamy,

kuzynko.

Odwróciła się znowu i spakowała resztę rzeczy.

– Nie tego chciałyby dla was wasza matka.

– Ona chciałyby, abyśmy byli w domu, szczęśliwi i bezpieczni razem z nią i naszym ojcem. Ale nie takie jest nasze przeznaczenie. Moja matka oddała za nas życie, przekazała nam swoją moc. I swój cel. Musimy żyć naszym życiem, doskonalić moc i ten cel osiągnąć.

– Dokąd pojedziecie?

– Myślę, że do Clare. Wrócimy do was, a potem pojedziemy do domu.

On tu nie przyjdzie.

Odwróciła się i spojrzała na kuzynkę oczami koloru dymu.

– On tu nie przyjdzie i nie skrzywdzi ani ciebie, ani nikogo z twojej rodziny. Przysięgam ci na krew mojej matki.

– Skąd wiesz?

– Jestem jedną z trojga. Jestem Czarownicą z Ciemności z Mayo, pierworodną córką Sorchy. On tu nie przybędzie i nie skrzywdzi ani ciebie, ani twoich. Jesteście chronieni. Zadbалаm o to. Nie zostawiłabym was bezbronnych.

– Brannaugh...

– Martwisz się. – Brannaugh położyła ręce na dłoniach kuzynki, splecionych na wystającym brzuchu. – Czyż ci nie mówiłam, że twój syn jest zdrowy? A poród będzie szybki i łatwy. To też mogę ci obiecać. Ale...

– O co chodzi? Musisz mi powiedzieć.

– Chociaż mnie kochasz, nadal obawiasz się tego, co mam. Jednak musisz mi złożyć przysięgę. Syn, którego nosisz, musi być ostatni. Będzie zdrowy, a poród łatwy, ale następny już nie. Nie przeżyjesz porodu następnego dziecka.

– Ja... Nie możesz tego wiedzieć. Nie mogę odebrać mężowi prawa do małżeńskiego łóża. Ani sobie.

– Nie możesz odebrać swoim dzieciom matki. To potworny ból, Ailish.

– Bóg zdecyduje.

– Bóg dał ci siedmioro dzieci, ale ceną następnego będzie życie twoje i noworodka. Ponieważ mnie kochasz, posłuchaj mnie.

Wyjęła z kieszeni buteleczkę.

– Zrobiłam to dla ciebie, tylko dla ciebie. Dobrze to schowaj. Pij raz w miesiącu, w pierwszy dzień miesięczny, tylko jeden łyk. Nie poczniesz dziecka, nawet gdy mikstura się skończy. Będziesz żyła. Twoje dzieci będą miały matkę, a ty będziesz żyła i kołysała ich dzieci.

Ailish położyła dłonie na brzuchu.

– Będę bezpłodna.

– Będziesz śpiewała swoim dzieciom i dzieciom ich dzieci. Będiesz z rozkoszą dzieliła łóżę ze swoim mężem. Będiesz uczestniczyła w cennym życiu tych, których wydałaś na świat. Wybór należy do ciebie, Ailish.

Zamknęła na chwilę oczy. Kiedy je otworzyła, były czarne.

– Dasz mu na imię Lughaidh. Będzie miał jasną twarz i włosy, błękitne oczy. Silny chłopiec, skory do śmiechu, z głosem anioła. Kiedyś będzie podróżował i zarabiał na życie tym głosem. Zakocha się w córce gospodarza i razem z nią wróci do was, by pracować na roli. A ty będziesz słyszała na polach jego głos, ponieważ zawsze będzie radosny.

Pozwoliła, by wizja odeszła.

– Widziałam to, co może się zdarzyć. Wybór należy do ciebie.

– Takie właśnie imię dla niego wybrałam – szepnęła Ailish. – Nigdy nie mówiłam o tym ani tobie, ani nikomu.

– Wzięła buteleczkę. – Posłucham cię.

Ailish zacisnęła wargi i wyjęła z kieszeni małą sakiewkę, którą wepchnęła w dłoń Brannaugh.

– Weź to.

– Nie wezmę twoich pieniędzy.

– Ależ weźmiesz. – Po policzkach kuzynki popłynęły łzy, obfite jak deszcz. – Myślisz, że nie wiem, że ocaliłaś mnie i Conalla przy porodzie? I nawet teraz myślisz o mnie i mojej rodzinie. Dałaś mi radość. Sprowadziłaś do mnie Sorchę, kiedy za nią tęskniłam, ponieważ dzień po dniu widziałam ją w tobie. Weźmiesz te monety i przysięgniesz mi, że będziecie bezpieczni i że wrócicie. Wszyscy, ponieważ wy tak samo jesteście moją rodziną, jak ja waszą.

Brannaugh ze zrozumieniem wsunęła sakiewkę do kieszeni spódnicy, po czym ucałowała Ailish w oba policzki.

– Przysięgam.

Przed domem Eamon robił, co w jego mocy, by rozśmieszyć kuzynów. Prosili go, by został, pytali, dlaczego musi jechać, próbowali się z nim targować. Dlatego opowiadał im niestworzone historie o wielkich przygodach, jakie go czekają, gdy będzie walczył ze smokami i łapał magiczne żaby. Zobaczył Teagan, idącą z zapłakaną Mabh, widział, jak siostra daje kuzynce szmacianą lalkę, którą sama zrobiła.

Pragnął, żeby Brannaugh się pośpieszyła, ponieważ te pożegnania sprawiały mu ból. Alastar czekał gotowy. Eamon – w końcu to on był głową rodziny – zdecydował, że jego siostry pojedą na koniu, a on będzie szedł.

I nie pozwoli na żadne dyskusje.

Z małej stajni wyszedł Bardan, prowadząc Slaine

– Starą Slaine, ponieważ klacz nie mogła już rodzić źrebiąt, ale nadal była miłym i łagodnym wierzchowcem.

– Ona nie da nam już młodych – powiedział Bardan w swój powściągliwy sposób – ale to dobra kobyłka i będzie wam służyć.

– Och, nie mogę wam jej zabrać. Potrzebujecie...

– Mężczyzna musi mieć konia. – Bardan położył twardą dłoń na ramieniu Eamona. – Wykonywałeś na roli męską pracę, dlatego ją weźmiesz. Dałbym Brannaugh Księżycy, gdybym mógł, ale weźcie w zamian Starą Slaine.

– Jestem ci bardziej niż wdzięczny, za Slaine i za wszystko. Obiecuję ci, że będę traktował ją jak królową.

Eamon na chwilę pozwolił sobie być po prostu chłopcem i objął mocno kuzyna, który przez połowę życia zastępował mu ojca.

– Pewnego dnia wrócimy.

– Będziemy na was czekać.

Kiedy wybrzmiały wszystkie pożegnania, życzenia szczęśliwej drogi i popłynęły ostatnie łzy, wsiadł na Slaine, z mieczem dziadka i sztyletem przytroczonymi do siodła. Brannaugh usiadła za Teagan i pochyliła się, by po raz ostatni ucałować Ailish.

Odjechali z miejsca, które było ich domem przez pięć lat, opuścili rodzinę i ruszyli na południe, ku nieznanemu.

Eamon obejrzał się, odmachnął machającym na pożegnanie bardziej zasmucony tym rozstaniem, niż się spodziewał. Usłyszał nad głową wołanie Roibearda, który zatoczył koło i ruszył na południe.

Tak miało być, uznał Eamon. Nadszedł czas.

Zwolnił i obejrzał się na Teagan.

– A co nasza Slaine o tym myśli?

Teagan popatrzyła na klacz, przekrzywiła głowę.

– Och, to dla niej ogromna przygoda, nie spodziewała się, że jeszcze ją

coś takiego w życiu spotka. Jest dumna i wdzięczna. Będzie lojalna do końca jej dni i zrobi dla ciebie wszystko, co w jej mocy.

– A ja dla niej. Będziemy jechać do popołudnia, potem się zatrzymamy, by dać wytchnienie koniom, i zjemy kilka placków owsianych, które spakowała dla nas Ailish.

– Doprawdy? – zapytała Brannaugh.

Eamon wysunął podbródek.

– Ty jesteś najstarsza, ale ja mam to coś, bez względu na to, za jak małe to uważasz – chociaż wcale małe nie jest. Roibeard wskaże nam drogę, a my pojedziemy za nim.

Brannaugh spojrzała na lecącego nad nimi sokoła, po czym na Kathela, który truchtał obok Alastara, jakby mógł tak biec cały dzień i całą noc.

– Twój przewodnik, mój i Teagan. Tak, pojedziemy za nimi. Ailish dała mi trochę pieniędzy, ale nie wydamy ich, dopóki nie będziemy musieli. Sami będziemy zarabiali na życie.

– W jaki sposób?

– Będąc tym, kim jesteśmy. – Uniosła dłoń wnętrzem do góry, a nad jej ręką zapłonęła mała kula ognia, która zaraz znikła. – Matka dzięki swemu darowi utrzymywała nas i dom, więc my też możemy na siebie zarobić.

– Słyszałem, że Clare to dzikie miejsce – zauważyła Teagan.

– A jakie będzie lepsze dla takich jak my? – Brannaugh przy każdym kroku czuła coraz większą radość, wolność. – Mamy książkę naszej matki, z której będziemy się uczyć. Zaczniemy warzyć napary i uzdrawiać. Matka mówiła, że uzdrowiciele są wszędzie mile widziani.

– Kiedy on przyjdzie, będziemy potrzebowali czegoś więcej niż lecznicze napary.

– To prawda – zgodziła się z bratem Brannaugh. – Dlatego musimy się

uczyć. Przez pięć lat byliśmy bezpieczni na farmie. Jeżeli nasi przewodnicy poprowadzą nas do Clare, być może spędzimy tam następnych pięć lat. Będziemy mieli wystarczająco dużo czasu, by uczyć się i planować, a kiedy wrócimy do domu będziemy silniejsi, niż on się spodziewa.

Jechali dalej, aż trafili na deszcz. Miękki i równy, opadał z chmurnego, sinego nieba. Zatrzymali się, by dać wypocząć koniom, napoili zwierzęta, a sami posilili się plackami, nie zapominając o Kathelu.

Ruszyli w dalszą drogę. Teraz do deszczu dołączył się wiatr. Właśnie mijali małe gospodarstwo z chatą, z której komina leciał pachnący torfem dym. Zapewne zostaliby tam miło przyjęci, dostaliby ciepłą strawę i miejsce przy ogniu w ogrzanej, suchej izbie.

Kathel jednak biegł dalej, Roibeard zataczał koła, a Alastar nie zwalniał kroku.

Wreszcie blade światło zaczęło powoli znikać, dzień chylił się ku zachodowi.

– Slaine jest zmęczona – powiedziała Teagan. – Nie poprosi, abyśmy stanęli, ale opada z sił. Bola ją kości. Czy możemy dać jej chwilę wytchnienia, znaleźć jakieś suche miejsce i...

– Tam! – Eamon wskazał przed siebie. Niedaleko błotnistej drogi stała ruina, zapewne dawne miejsce kultu, wypalona teraz do cna przez najeźdźców niszczących wszystko to, co zbudowali ci, których podbili.

Roibeard z przenikliwym krzykiem zatoczył koło nad murami, a Kathel wysforował się naprzód.

– Tutaj zatrzymamy się na noc. Rozpalimy ogień, damy odpocząć zwierzętom i sami wypoczniemy.

Brannaugh skinęła głową.

– Mury stoją, w każdym razie większość. Powinny osłonić nas przed

wiatrem, o resztę sami zadbamy. Już prawie noc. Musimy złożyć dzięki bogini Modron i Mabonowi, który się z niej zrodził.

Okazało się, że jedna ściana budowli się zawaliła, lecz pozostałe wznosiły się ku górze. Ostały się nawet schody, które Eamon natychmiast wypróbował, by wspiąć się na piętro. Dach został spalony na popiół, rozwiany przez wiatr, ale mury dawały pewne schronienie i Brannaugh czuła, że to dla nich odpowiednie miejsce.

Tu spędzą pierwszą noc, zrównanie dnia z nocą, gdy światło i ciemność stają się sobie równe.

– Zajmę się końmi. – Teagan wzięła wodze. – W końcu konie należą do mnie. A wy przygotujcie dla nas suche miejsce i rozpalcie porządne ognisko.

– Dobrze. Złożymy dzięki, wypijemy trochę naparu i zjemy suszone mięso, a potem...

Brannaugh przerwała, gdy Roibeard zapikował i przysiadł na kamiennym parapecie.

I rzucił pod stopy Eamona tłustego królika.

– No proszę, to dopiero uczta nas czeka. Ja go oczyszczę, Teagan zajmie się końmi, a Brannaugh ogniem.

Suche miejsce, pomyślała Brannaugh, zdejmując kaptur, i wyobraziła sobie takie. Sięgnęła w głąb siebie i wydobyła to, co miała, myśląc o ciepłe i suchości – i stworzyła żar tak jasny, że niemal ich spalił, zanim zdążyła go ugasić.

– Przepraszam. Nigdy wcześniej tego nie robiłam.

– To jak korek z butelki – powiedział Eamon. – Za szybko wyskoczył.

– To prawda.

Tym razem zwolniła i działała ostrożniej. Jej deszcz nie przeszkadzał, ale Teagan miała rację. Starą klacz bolały kości, nawet ona, Brannaugh, to

czuła.

Rozsunęła krople na boki, powoli, powolutku. I aż zadrżała z czystej radości. Potem ogień. Dzisiejszej nocy rozpalony tylko z magii. W inne noce, jak uczyła ich matka, to człowiek zbierał drewno, dokładał swoją pracę, ale dzisiaj ogień zapłonie tylko z jej mocy.

Przywołała go, roznieciła.

– Ofiarujemy trochę placka i wina – zwróciła się do brata i siostry. – W podziękowanie dla bogów za zrównanie dnia z nocą, za cykl odrodzenia. I za to miejsce, w którym możemy odpocząć. – Do ognia – poleciła im. – Najpierw placek, potem wino. Te drobne dary składamy wam z wdzięcznością, my, troje sług, będących jednością.

– W ten czas, gdy noc się równa z dniem, my przyjmujemy i światło, i cień – kontynuował Eamon, sam nie wiedząc, skąd przyszedł mu do głowy te słowa.

– Będziemy się uczyć, jak walczyć z zapalem, jak użyć daru dla tego, co słuszne i białe – dodała Teagan.

– W tym miejscu i tej godzinie otwieramy się na moc, która w nas płynie. Od teraz niech zawsze wolna pozostanie. Na me wezwanie niech tak się stanie.

Płomień wystrzelił w górę, wieża czerwieni, pomarańcze i złota z rozżarzoną na niebiesko sercem. W ogniu szeptały tysiące głosów, ziemia zadrżała i nagle wydało się, że cały świat westchnął.

A potem ogień znów był tylko ogniem, płonącym równo w obręczy z kamieni.

– Tym właśnie jesteśmy – powiedziała Brannaugh, wciąż jaśniejąca mocą. – To właśnie mamy. Teraz noce będą dłuższe, ciemność zwycięży światło. Ale nas nie pokona.

Uśmiechnęła się, czując taką radość, jakiej nie czuła od tamtego poranka, gdy opuścili dom.

– Musimy zrobić rożen na królika. Dzisiaj zjemy naszą pierwszą ucztę i odpoczniemy w cieple, a jutro ruszymy w dalszą drogę.

Eamon zwinął się przy ogniu. Miał pełny brzuch, było mu ciepło i sucho. I sam udał się w dalszą podróż.

Poczuł, jak się unosi i frunie. Na północ. Do domu.

Niczym Roibeard szybował nad wzgórzami, rzekami, polami, na których ryczało bydło, pasły się owce.

Nad połaciami zieleni, w promieniach słońca sączących się przez chmury.

Czuł się tak lekko. Wracał do domu.

Jednak to nie był jego dom. Zrozumiał to, kiedy stanął na ziemi. Lasy wydały mu się znajome, a jednak inne. Wszystko się zmieniło. Nawet powietrze nie było takie samo.

Oślabł nagle, zakręciło mu się w głowie.

Ruszył przed siebie, gwizdząc na sokoła, swojego przewodnika. Światło zmieniło się, przygasło. Czyżby już zapadał zmrok?

Jednak to nie nadchodziła noc. Tylko mgła.

A razem z nią wilk, który był Cabhanem.

Eamon usłyszał warczenie i sięgnął po miecz dziadka, lecz nie znalazł broni przy boku. Teraz był tylko chłopcem tkwiącym po kostki we mgle, bezbronny wobec stojącego naprzeciwko wilka z czerwonym klejnotem, lśniącym na szyi.

Zwierzę, które przeistoczyło się w człowieka.

– Witaj w domu, młody Eamonie. Czekałem na ciebie.

– Zabiłeś mojego ojca i matkę. Przybyłem, by ich pomścić.

Cabhan roześmiał się tubalnie, radośnie, aż Eamona przeszedł lodowaty dreszcz.

– Jesteś odważny i bardzo dobrze. W takim razie chodź i pomścij martwego ojca i martwą czarownicę, która was zrodziła. Wezmę to, kim jesteś, a potem dobiore się do twoich sióstr.

– Nigdy nie tkniesz nikogo z mojej rodziny. – Eamon krążył we mgle, próbując myśleć. A ona unosiła się coraz wyżej, przysłaniając wszystko, lasy, drogę, mąciła mu w głowie. Złapał w pięści powietrze, cisnął je i wyciął w białej zasłonie wąską, drżącą ścieżkę. Cabhan znowu się roześmiał.

– Bliżej. Podejdź bliżej. Poczuj, kim jestem.

Już to czuł, ten ból, moc. I strach. Spróbował rozniecić ogień, ale płomień zgasł i obrócił się w brudny popiół. Gdy Cabhan wyciągnął rękę, Eamon uniósł pięści, gotów do walki.

Roibeard spadł z nieba niczym strzała i wbił dziób i pazury w wyciągnięte dłonie wroga. Czarna krew spłynęła na ziemię, a człowiek zawył, znów przeistaczając się w wilka.

Nagle z białych oparów wyłonił się mężczyzna. Wysoki, z brązowymi włosami wilgotnymi od mgły, głębokimi, zielonymi oczami, pełnymi mocy i wściekłości.

– Uciekaj! – rozkazał Eamonowi.

– Nie będę uciekał przed takimi jak on. Nie mogę.

Wilk rył łapami ziemię, obnażając kły w potwornym uśmiechu.

– Podaj mi rękę.

Mężczyzna ścisnął dłoń Eamona. Światło eksplodowało jak tysiące słońc, moc poszybowała niczym tysiące łopoczących skrzydeł. Oślepiiony i ogłuszony chłopiec krzyknął. Istniała tylko jedna moc, która go okryła, wypełniła, wystrzeliła z niego. A potem, przy wtórze ogłuszającego wrzasku,

mgła się rozplynęła, wilk zniknął i pozostał tylko ten mężczyzna, trzymający go za rękę.

Nieznajomy opadł na kolana, z trudem łapiąc powietrze. Miał bladą twarz i oczy pełne magii.

– Kim jesteś? – zapytał.

– Jestem Eamon, syn Daithiego i Sorchy. Jestem jednym z trojga, synem Czarownicy z Ciemności z Mayo.

– Ja też. – Mężczyzna ze śmiechem dotknął włosów Eamona i jego twarzy. – Pochodzę od ciebie. Opuściłeś swoje czasy, chłopcze, trafiłeś do moich. Jestem Connor z klanu O’Dwyerów. Pochodzę od Sorchy i od ciebie. Jestem jednym z trojga.

– Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę?

– Jestem z twojej krwi, a ty z mojej. Wiesz o tym.

– Connor wyjął spod koszuli amulet i dotknął identycznego, który wisiał na szyi Eamona.

Uniósł rękę, a na jego skórzanej rękawicy wylądował Roibeard.

Właściwie to nie był Roibeard, a jednak...

– To mój sokół, nie twój, ale nazwałem go na cześć twojego. Zapytaj go, o co chcesz. Należy tak samo do mnie, jak do ciebie.

– To nie jest... mój dom.

– To nie twój czas, ale dom jest twój. Zawsze będzie.

Łzy zapiekły Eamona w oczy, a żołądek ścisnęła tęsknota o wiele gorsza niż głód.

– Czy wróciliśmy do domu?

– Tak.

– Czy pokonaliśmy go, pomściliśmy naszych rodziców?

– My to zrobimy. Nie przestaniemy walczyć, dopóki tego nie

dokonamy. Masz na to moje słowo.

– Chciałbym... Wracam. Czuję to. Brannaugh wzywa mnie z powrotem.

Ocaliłeś mnie przed Cabhanem.

– Ratując ciebie, uratowałem także siebie.

– Connor z O'Dwyerów. Będę pamiętał.

I znowu mknął nad wzgórzami, aż otulił go miękki poranek. Leżał przy ogniu, a obie siostry potrząsały nim gwałtownie.

– Przestańcie! Głowa mi odpadnie.

– Jaki jesteś blady – powiedziała Teagan. – Poczekaj, zaraz zrobię ci napar.

– Chętnie się napiję. Podróżowałem. Nie wiem jak, ale wróciłem do domu, który nie do końca był naszym domem. Muszę to sobie wszystko poukładać w głowie. Ale wiem coś, czego wcześniej nie wiedziałem. Czego nie wiedziało żadne z nas.

Napił się łapczywie wody, którą podała mu Brannaugh, i odsunął bukłak.

– On nie może opuścić swojego miejsca. Cabhan nie może odejść, w każdym razie niezbyt daleko. Im dalej od domu, gdzie wytargował swoją nową moc, tym ona jest słabsza. Oddalając się, ryzykuje życie. Nie może za nami podążyć.

– Skąd to wiesz? – zapytała Brannaugh.

– Ja... Wyczytałem to w jego myślach. Nie wiem jak, ale dostrzegłem tę słabość. Spotkałem mężczyznę, jednego z naszych. Ja... – Eamon wziął głęboki oddech i zamknął na chwilę oczy. – Dajcie mi coś ciepłego do picia, dobrze? Wypiję napar, a potem opowiem wam pewną historię. Zostaniemy tu jeszcze trochę i wszystko wam wyjaśnię. A potem ruszamy, tak, na południe, będziemy się uczyć, dorastać i układać plany. Ponieważ on nie może nas

tknąć. Nigdy was nie dotknie.

Może i wcześniej Eamon był chłopcem, lecz teraz stał się mężczyzną, w którym tkwiła wielka moc.

TTLR

ROZDZIAŁ TRZECI

Jesień, 2013

Kiedy Connor się obudził – wcześniej, niżby sobie tego życzył – nie spodziewał się, że spotka swojego przodka i największego wroga swojej krwi. A już na pewno nie oczekiwał, że rozpocznie dzień od eksplozji magii, która niemal zwała go z nóg.

Jednak w sumie lubił niespodzianki.

Ponieważ dopiero świtało, nie miał nadziei, że jego siostra krząta się po kuchni. A za bardzo cenił sobie własną skórę, żeby obudzić Brannę i poprosić, by zrobiła mu śniadanie.

Poza tym nie był głodny, a przecież zawsze budził się z pustym żołądkiem. Rozpierała go dziwna energia i miał ogromną ochotę wyjść z domu.

Dlatego zagwizdał na sokoła i w towarzystwie Roibearda ruszył między drzewa w poranne mgły.

W ciszę.

Nie był typem człowieka, który potrzebował ciszy. Na ogół wolał hałas rozmów, obecność innych ludzi.

Jednak tego łagodnego poranka krzyk sokoła, szelest królika w zaroślach i westchnienie porannego wietrzyka w zupełności mu wystarczały.

Pomyślał, że pójdzie do zamku Ashford, pozwoli Roibeardowi szybować na otwartej przestrzeni nad łąkami – co na pewno ucieszy tych spośród hotelowych gości, którzy byli rannymi ptaszkami.

Taki widok bez wątpienia dobrze wpłynie na interesy – a on musiał dbać o swoją szkółkę sokołów.

Ruszył w tamtym kierunku, gdy nagle poczuł wokół siebie poruszenie

mocy. Jego własna moc obudziła się bez jego woli, gdy ciemna plama obecności Cabhana skalala balsamiczny zapach wilgotnych od rosy sosen.

Nagle Connor poczuł coś jeszcze, coś więcej.

Powinien wezwać swój krąg – siostrę, kuzynkę i przyjaciół – lecz wewnętrzny głos kazał mu iść naprzód wąską ścieżką między drzewami, aż do zarośniętego winoroślą przewróconego drzewa, za którym stały ruiny chaty, należącej niegdyś do Sorchy. Miejsca, gdzie walczyli z Cabhanem w noc przesilenia.

Pokryła je mgła, a czarna magia zmagala się z bialą. Connor zobaczył nieznanego chłopca i wiedzial, że musi go chronić. Nie mógł pozwolić, by wyrządzono krzywdę niewinnemu dziecku.

Jednak chłopiec, choć niewinny, nie był tak całkiem bezbronny. To on miał owo coś, co wcześniej wyczuł Connor.

Teraz, kiedy mgła zniknęła, a Cabhan wraz z nią, gdy chłopiec powrócił do swojego czasu i miejsca, Connor klęczał na wilgotnej ziemi, z trudem łapiąc powietrze.

Nadal dzwoniło mu w uszach od ogłuszających eksplozji, a oczy paliły go od światła jaśniejszego niż tysiące słońc.

A moc, przepływająca przez złączone dłonie, wciąż w nim wibrowała.

Powoli wstał, wysoki, szczupły mężczyzna z gęstą grzywą brązowych loków, wciąż blady, z oczami zielonymi niczym mech od tego, co jeszcze w nim wrzało.

Musiał wracać do domu, ponieważ ten, z którym walczyli wcześniej i który krył się aż do zrównania dnia z nocą, czał się teraz między drzewami.

Connor zdał sobie sprawę, że chwieje się na nogach, i nie był pewien, czy powinno go to rozbawić, czy zawstydzić. Sokół przeleciał mu nad głową i trzepocząc skrzydłami, przysiadł na gałęzi. Siedział, patrzył i czekał.

– Idziemy – powiedział do ptaka Connor. – Myślę, że na ten poranek wykonaliśmy plan w stu procentach. Jezu, umieram z głodu.

To ta moc, pomyślał, ruszając ścieżką. Jej siła spowodowała, że czuł się pusty jak wydmuszka. Skręcił do domu i poczuł obecność psa siostry na sekundę przed tym, zanim zobaczył Kathela, pędzącego w jego stronę.

– Też to poczułeś, co? – Poklepał psa po wielkim, czarnym łbie i szedł dalej. – Nie zdziwiłbym się, gdyby całe Mayo zadrżało w posadach. Moja skóra brzęczy, jakbym miał kości pokryte pszczołami.

Czując się nieco spokojniej z psem i sokołem przy boku, wyszedł z cienistego lasu. Roibeard krążył po niebie, gdy szedł z Kathelem szosą do domu, a po chwili usłyszał wołanie drugiego sokoła i spostrzegł Merlina, należącego do jego przyjaciela Fina.

Nagle ciszę przerwał tętent kopyt, więc Connor zatrzymał się i czekał. Poczuł kolejny przypływ mocy, kiedy zobaczył swoją kuzynkę Ionę i przyjaciela Boyle'a siedzących na grzbiecie wielkiego, szarego Alastara. Za nimi pędził Fin na lśniącym, czarnym Baru.

– Będziemy potrzebowali więcej jajek! – zawołał z uśmiechem. – I kilka dodatkowych plasterków bekonu.

– Co się stało? – Iona nachyliła się i dotknęła jego policzka. Krótkie włosy miała potargane od snu. – Wiedziałam, że jesteś bezpieczny, inaczej przyjechalibyśmy jeszcze szybciej.

– I tak prawie tu przyfrunęliście, żadne z was nawet nie ma siodła. Mógłbym zjeść trzy konie i zakąsić krową na dokładkę.

– Cabhan. – Fin odwrócił się i popatrzył na las. Włosy miał równie czarne jak sierść jego konia, a oczy tak samo zielone jak tęczęwki Connora, gdy wypełniała go moc.

– On i ktoś jeszcze. Ale Iona ma rację, nic mi nie jest, tylko zaraz umrę z

głodu, jeśli jeszcze chwilę postoiemy. Poczuliście to – dodał, ruszając przed siebie.

– Poczuliśmy? – Boyle spojrział na niego. – Mnie obudziło z głębokiego snu, a przecież nie mam tego, co wasza trójka. Nie ma we mnie magii, a jednak cokolwiek to było, przeszło mnie niczym strzała. – Wskazał głową dom. – I wygląda na to, że Mearę też.

Connor podążył wzrokiem za jego spojrzeniem i zobaczył Mearę Quinn, swoją przyjaciółkę od dzieciństwa i koleżankę siostry, jak zmierzała ku nim wielkimi krokami – wysoka i wspaniała niczym bogini, we flanelowych spodniach od pizamy i starej kurtce, ze splątanymi, długimi włosami.

Wygląda pięknie, pomyślał, ale w sumie zawsze tak wyglądała.

– Spała u nas – poinformował pozostałych. – W twoim pokoju, Iona, skoro ty zostałeś na noc u Boyle'a. Dzień dobry, Meara.

– Do diabła z dzień dobry. Co się stało, do ciężkiej cholery?

– Wszystko wam opowiem. – Connor objął ją w pasie.

– Ale naprawdę muszę coś zjeść.

– Branna powiedziała, że będziesz głodny, i już się krząta po kuchni. Jest bardzo zdenerwowana, chociaż oczywiście udaje spokój. To było jak cholerne trzęsienie ziemi, chociaż czułam je tylko w środku. Piekielnie nie-miła pobudka.

– Zajmę się końmi. – Boyle zsiadł z Alastara. – Idź do domu, wrzuc coś na ruszt.

– Dzięki. – Connor uśmiechnął się i pomógł zsiąść Ionie, która natychmiast go objęła.

– Przestraszyłeś mnie – szepnęła.

– Nie ciebie jedną. – Pocałował w czubek głowy swoją śliczną kuzynkę z Ameryki, ostatnią z ich trojga, i trzymając ją za rękę, wszedł do domu.

Zapach bekonu, kawy i ciepłego chleba uderzył go niczym pięść. W tej chwili bardziej chciał jeść, niż żyć – i musiał jeść, jeśli chciał żyć.

Kathel pomaszerował przed nimi do kuchni, gdzie przy piecu stała Branna. Podpięła ciemne włosy, ale nadal była ubrana w kwieciste flanelowe spodnie i rozciągniętą koszulę, w których spała. Już to pokazywało jej miłość, pomyślał Connor, ponieważ na pewno wolałaby się ubrać i trochę podmalować, skoro mieli towarzystwo – zwłaszcza w osobie Finbara Burke’a.

Bez słowa odwróciła się od kuchenki i podała bratu talerz z jajkami sadzonymi na grzankach.

– Dziękuję ci, kochana.

– To powinno zaspokoić pierwszy głód, za chwilę będzie coś konkretniejszego. Zimno ci – dodała cicho.

– Wcześniej tego nie zauważyłem, ale tak, jest mi trochę chłodno.

Zanim zdążyła wyciągnąć dłoń w stronę kominka, Fin ją ubiegł i w palenisku błysnął mały ogień.

– Drzysz. Usiądź, na litość boską, i jedz jak człowiek

– rozkazała Meara i prawie popchnęła Connora na krzesło przy stole.

– Bardzo mi się podoba, że tak się o mnie troszczycie

i szczerze mówiąc, mógłbym zabić za kawę.

– Już robię. – Iona pośpieszyła do ekspresu.

– Ach, jaki mężczyzna mógłby narzekać, kiedy uwijają się wokół niego trzy piękne kobiety. Dziękuję, *mo chroi* – dodał, gdy Iona podała mu kawę.

– Nie będziemy się długo krzątać, obiecuję ci. Usiądźcie wszyscy – poleciała Branna. – Śniadanie już prawie gotowe. Kiedy tylko Connor napelni brzuch na tyle, by się uspokoić, musi podać cholernie dobre wyjaśnienie, dlaczego mnie nie zawołał.

– Wszystko wydarzyło się błyskawicznie, inaczej bym ciebie wezwał, wszystkich was bym zawołał. Ale wydaje mi się, że nie mnie chciał dziś skrzywdzić. Tego ranka nie przyszedł po mnie.

– W takim razie po kogo, skoro my wszyscy spaliśmy we własnych łóżkach? – Branna już miała zabrać ogromny półmisek z jedzeniem, ale Fin sam go wziął i zaniósł na stół.

– Siadaj i słuchaj. Siadaj – powtórzył Fin, zanim zdążyła go ofuknąć. – Jesteś równie roztrzęsiona jak on.

Gdy tylko półmisek znalazł się na stole, Connor nałożył sobie na talerz górę jajek, kielbasek, bekonu, grzanek i ziemniaków.

– Obudziłem się wcześniej, bardzo niespokojny – zaczął i opowiedział całą historię, pochłaniając stertę jedzenia.

– Eamon? – powtórzyła Branna. – Syn Sorchy? Tu i teraz? Jesteś pewien?

– Równie pewien jak tego, że cię teraz widzę. Na początku myślałem, że to zwykły chłopiec, który przypadkiem wszedł w drogę Cabhanowi, ale kiedy wziąłem go za rękę... Nigdy nie czułem czegoś takiego, nigdy. Nawet przy tobie, Branna, ani z tobą i Ioną razem: Nawet w przesilenie nasza moc nie była tak potężna, jasna i pełna. Nie mogłem jej utrzymać ani kontrolować, po prostu przeleciała przeze mnie jak kometa. Przez tego chłopca również, ale on trzymał się mnie i miał ją dłużej. Wyjątkowy chłopak.

– A Cabhan? – chciała wiedzieć Iona.

– Jego też przeszła – powiedział Fin. – Czułem to.

– Odruchowo dotknął ramienia, gdzie nosił znamię swojej krwi, krwi Cabhana. – Oszłomiła go i wstrząsnęła nim równie mocno, jak wami.

– Dlatego umknął? – Boyle nabrał porcję jajek. – Jak padalec?

– Właśnie tak – potwierdził Connor. – Zniknął, a mgła razem z nim i

zostałem tylko ja z chłopcem. A potem ja sam. Ale... Eamon był mną, a ja nim, jakbyśmy tworzyli jedność. Poczułem to, gdy nasze dłonie się zetknęły. I chodziło o coś więcej niż krew. Przez chwilę mogłem zajrzeć w niego jak w lustro.

– I co zobaczyłeś? – zapytała Meara.

– Miłość, żal i odwagę. Strach, ale też siłę, by stawić czoło Cabhanowi, dla sióstr, dla rodziców. W sumie dla nas. Mały chłopiec, powiedziałbym, że miał nie więcej niż dziesięć lat, ale w tamtej chwili emanował mocą, chociaż jeszcze nie do końca potrafił się nią posługiwać.

– Czy to było jak moja wizyta u babci? – zastanawiała się na głos Iona, myśląc o swojej babci w Ameryce.

– Rodzaj projekcji astralnej? Tylko niedokładnie to samo, prawda? Coś podobnego, ale ze zmianą czasu. Podróż w czasie, którą można odbyć przy chacie Sorchy. Nie byłeś obok jej chaty, prawda, Connor?

– Nie, nie wszedłem nawet na polanę. Ale znalazłem się blisko. – Connor zamyślił się. – Może wystarczająco blisko. To coś nowego. Jednak wiem na pewno, że Cabhan się mnie nie spodziewał.

– Może to on sprowadził tu Eamona – zasugerowała Meara. – Zabrał go z jego czasów do naszych i oddzielił od sióstr, żeby się zmierzyć z samotnym chłopcem zamiast z mężczyzną. To byłoby w stylu tego pieprzonego tchórza. Gdybyś w porę się nie pojawił, mógłby zabić chłopca, a na pewno wyrządziłby mu krzywdę.

– To prawda. Eamon okazał się taki dzielny, Boże, naprawdę był odważny. Kazałem mu uciekać, ale odmówił, bał się, ale dał radę dobrać do siebie dosyć mocy, by się bronić.

– A zatem obudziłeś się i wyszedłeś – powiedziała Branna – ty, który nigdy nie wychodzisz z domu z pustym żołądkiem, i zawołałeś swojego

sokoła. O świcie.

– Potrząsnęła głową. – Coś cię tam wezwało. To, co łączy cię z Eamonem, albo sama Sorcha. Matka, która wciąż chroni swoje dziecko.

– Ja spotkałam we śnie Teagan – przypomniała im Iona. – Śniło mi się, że jedzie na Alastarze do chaty, do grobu matki, spotyka tam Cabhana i rani go do krwi. Ona jest moja, tak jak Eamon Connora.

Branna skinęła głową.

– A Brannaugh moja, tak. Ona często mi się śni. To musi nam jakoś pomóc. Znajdziemy sposób, żeby wykorzystać to, co się dzisiaj stało, co wiemy. Cabhan wypełził ze swojej nory po raz pierwszy od przesilenia.

– Zraniliśmy go wtedy – powiedział Boyle, patrząc brązowymi oczami na przyjaciół. – Tamtej nocy krwawił i płonął, tak samo jak my. A nawet gorzej.

– I przez resztę lata lizał rany i zbierał siły. A dzisiaj rano zasadził się na chłopca, żeby zabrać mu moc i...

– Zabić go – dokończył Fin za Branę. – Gdyby zabił chłopca, Connor by się nie urodził i bardzo prawdopodobne, że właśnie o to mu chodziło. Zmień to, co było, a zmienisz to, co jest.

– No cóż, poniósł spektakularną klęskę. – Connor zjadł ostatni kawałek bekonu i westchnął. – A ja znowu czuję się jak człowiek, i to w doskonałej formie. Szkoda, że nie możemy go teraz zaatakować.

– Potrzebujesz czegoś więcej niż pełny brzuch, żeby z nim walczyć. – Meara wstała i zebrała naczynia. – My też. Zraniliśmy go w przesilenie, co było satysfakcjonujące, ale go nie zabiliśmy. Co pominęliśmy? Potrzebujemy właśnie tego. Tego, czego nie zrobiliśmy, chociaż powinniśmy byli.

– Ach, ten praktyczny umysł!

– Ktoś musi myśleć praktycznie – odparła Meara.

– Ona ma rację. Przewertowałam książkę Sorchy.

– Branna pokręciła głową. – To, co zrobiliśmy, co mieliśmy, jak wszystko zaplanowaliśmy, powinno było wystarczyć.

– Cabhan sam wybrał pole walki – przypomniał jej Boyle. – Przeniósł nas w czasie.

– A jednak wciąż nie wiem, co jeszcze moglibyśmy zrobić. – Branna zerknęła na Fina, tylko na ułamek sekundy, a on prawie niedostrzegalnie pokręcił głową. – Dlatego będziemy szukać dalej.

– Nie, ty siedź. – Iona zabrała talerze, po które sięgał Connor. – Wziąwszy pod uwagę twoje poranne przygody, dzisiaj masz wolne od kuchennych obowiązków. Może zeszłego lata to ja nie miałam dosyć siły lub umiejętności.

– Mam ci przypomnieć o trąbie powietrznej, jaką wywołałaś? – zapytał Boyle.

– Wtedy raczej zdałam się na instynkt, ale nadal się uczę. – Spojrzała na Branę.

– To prawda i robisz ogromne postępy. Nie jesteś słabym ogniwem, jeśli tak myślisz, i nigdy nie byłaś. Po prostu on wie więcej od nas i na tym polega problem. Żył w ten sposób przez setki lat.

– Co czyni go starszym – dodała Meara – choć nie mądrzejszym.

– My mamy książki, legendy i wiedzę, przekazywaną przez pokolenia, ale on tym żył, więc bez względu na to, czy jest mądrzejszy czy nie, wie więcej. A jego moc jest głęboka i ciemna, nie uznaje zasad, jak nasza. Cabhan krzywdzi, kogo chce i kiedy chce. My nie możemy tego robić i nadal pozostać tym, kim jesteśmy.

– Źródło jego mocy to ten kamień, który ma na szyi jako człowiek i jako wilk. Zniszczmy kamień, a zniszczymy jego. Wiem to. – Fin zacisnął dłoń w

pięć. – Wiem, że tak będzie, ale nie mam pojęcia, jak to zrobić. Jeszcze nie.

– Znajdziemy sposób. Musimy – powiedział Connor

– więc znajdziemy.

Wziął Brannę za rękę, a Fin wstał i podszedł do pozostałych, którzy siedzieli po drugiej stronie kuchni, wypełnionej brzękiem naczyń i szumem wody w zlewie.

– Martwienie się o mnie nic nie pomoże i nie jest potrzebne. Nie muszę nigdzie zaglądać – oświadczył Connor – żeby widzieć.

– A gdyby skrzywdził ciebie i chłopca, to co by się z nami stało?

– Ale nie skrzywdził, prawda? A my wszyscy daliśmy mu solidnego kopa w tyłek. Stoję tutaj, Branna, jak zawsze. Zostaliśmy do tego przeznaczeni, dlatego tu jestem.

– Przez większość czasu jesteś jak wrzód na tyłku. – Obróciła dłoń, a ich palce splotły się mocno. – Ale przyzwyczaiałam się do ciebie. Uważaj na siebie, Connor.

– Oczywiście. I ty też.

– Wszyscy musimy na siebie uważać.

Connor wyszedł z domu i ruszył do szkółki sokołów. Po chwili dogoniła go Meara.

– Zostawiasz samochód? – spytał.

– Tak. Chcę spalić te wszystkie kalorie, które przed chwilą zjadłam.

– Jesteś moim ochroniarzem. – Objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie, aż zderzyli się biodrami.

Do pracy w stajni Meara ubrała się w grube spodnie, kurtkę i ciężkie buty, długie włosy zaplotła w warkocz, który spływał spod zniszczonej czapki.

I tak wygląda pięknie, pomyślał Connor, ciemnooka Meara z domieszką

cygańskiej krwi.

– Sam się możesz chronić. – Spojrzała na sokoły kołujące po niebie. – W dodatku one mają na ciebie oko.

– Cieszę się z twojego towarzystwa. Poza tym teraz możesz mi powiedzieć, co cię gnębi.

– Szalony czarnoksiężnik, który chce nas zniszczyć, nie jest wystarczającym powodem do zmartwień?

– Nie z powodu Cabhana przyjechałaś wczoraj do Branny i zostałaś na noc. Jakiś facet sprawił ci przykrość? Chcesz, żebym rozłożył go na łopatki?

Zacisnął wolną dłoń w pięść i naprężył mięśnie, na co Meara się roześmiała.

Po czym pociągnęła nosem.

– Jakbym sama nie mogła rozłożyć faceta na łopatki czy na co innego bym tam chciała.

Teraz on się roześmiał i jeszcze raz trącił ją biodrem.

– Nie wątpię. No to o co chodzi, skarbie? W twojej głowie słyszeć takie brzęczenie, jakby mieszkał tam rój wściekłych os.

– To przestań słyszeć. – Wsparła się o niego na chwilę, a wtedy poczuł od niej zapach swojego mydła. Dziwnie przyjemne uczucie. – Po prostu moja matka doprowadza mnie do szału. Donal znalazł sobie dziewczynę.

– Słyszałem – powiedział Connor, myśląc o jej młodszym bracie. – To Sharon, prawda? Przeprowadziła się do Cong zeszłej wiosny. Miła dziewczyna, ma ładną buzię i często się śmieje. Nie lubisz jej?

– Bardzo lubię, a co ważniejsze, Donal za nią przepada. Aż miło patrzeć, jaki jest zakochany i szczęśliwy z tego powodu, a ona tak samo.

– W takim razie o co chodzi?

– Donal chce się wyprowadzić z domu i zamieszkać z Sharon.

Connor zamyślił się i przez chwilę szli w milczeniu w ten piękny poranek do pracy, którą oboje kochali.

– On ma dwadzieścia cztery lata, prawda?

– Dwadzieścia pięć. I już najwyższy czas, żeby wyprowadził się od mamusi. Ale teraz matka i moja siostra Maureen porozumiały się i doszły do strasznego wniosku, że powinnam się wprowadzić z powrotem do mamy.

– Fatalny pomysł.

– Fatalny. – Westchnęła, czując ulgę, że Connor tak doskonale ją rozumie. – Uparły się jak osły. Wytaczają najcięższe działa: poczucie winy, presja, cholerna logika. Maureen twierdzi, że nasza matka nie może zostać sama, a skoro ja jedyna nie mam zobowiązań, to ja powinnam przejąć stery. Mama w pełni ją popiera i opowiada, jak to przygotuje dla mnie pokój, jak zaoszczędzę na czynszu i jak czułaby się samotna, nie mając faceta ani dzieci w domu.

– Wbiła obie ręce w kieszenie. – Do diabła z tym!

– Chcesz posłuchać mojej opinii czy tylko mam ci złożyć kondolencje? Spojrzała na niego z ukosa brązowymi oczami.

– Wysłucham opinii, choć mogę się z nią gwałtownie nie zgodzić.

– W takim razie bardzo proszę. Zostań tam, gdzie jesteś, skarbie. Tak naprawdę nigdy nie byłaś szczęśliwa, dopóki nie wyprowadziłaś się z domu.

– Tego właśnie chcę i wiem, że powinnam odmówić, żeby pozostać przy zdrowych zmysłach, ale...

– Jeśli twoja matka martwi się, że będzie samotna, a Maureen martwi się o twoją matkę – która jest również jej matką, pozwolę sobie zauważyć – to dlaczego wasza mama nie może wprowadzić się do Maureen i jej rodziny? Pomogłaby jej przy dzieciach i tak dalej.

– Czemu o tym nie pomyślałam? – Meara odsunęła się, klepnęła

Connora lekko pięścią w ramię i odtańczyła krótki taniec radości. – Dlaczego sama na to nie wpadłam?

– Utknęłaś w poczuciu winy. – Jak miał w zwyczaju, pociągnął ją za długi, gruby warkocz. – Maureen nie ma prawa cię zmuszać, żebyś zrezygnowała ze swojego mieszkania i zmieniła całe życie tylko dlatego, że wasz brat zmienia swoje.

– Wiem o tym, ale wiem też, że odkąd ojciec nas zostawił, mama jest zupełnie niesamodzielna. Radziła sobie, jak umiała, z tą okropną sytuacją, ale wiem, że jak zostanie zupełnie sama, będzie się zamartwiała dniami i nocami.

– Masz dwóch braci i dwie siostry – przypomniał jej Connor. – Razem jest was pięcioro do pomocy matce.

– Mądrzejsi uciekli gdzie pieprz rośnie, zostaliśmy tylko ja i Donal. Ale mogę podsunąć mamie, że przeprowadzka do Maureen to dobry pomysł. Nawet jeżeli to nic nie da, może Maureen się przestraszy i zamknie buzię.

– No to masz rozwiązanie. – Skręcił razem z nią do stadniny.

Meara stanęła.

– Dokąd idziesz?

– Odprowadzę cię do pracy.

– Nie potrzebuję ochrony, dziękuję bardzo. Idź.

– Szturchnęła go palcem w pierś. – Masz swoją robotę.

Connor uznał, że ten dzień nie niesie już więcej zagrożeń. Poza tym był przekonany, że po porannym starciu Cabhan zaszył się w jakiejś norze i liże rany.

– Mamy na dzisiaj już pięć rezerwacji na spacer z sokołami, a pewnie będzie ich więcej. Może spotkamy się gdzieś w lesie.

– Może.

– Wyślij mi SMS, jak skończysz pracę, odprowadzę cię do domu.

– Zobaczymy. Uważaj na siebie, Connor.

– Będę uważał. Już uważam.

Meara zmarszczyła brwi, a wtedy pocałował ją w czoło i odszedł. Wyglądał, jej zdaniem, jak człowiek, który nie ma żadnego zmartwienia pod słońcem, a nie jak ktoś, kto dźwiga na barkach ciężar świata.

Niepoprawny optymista, pomyślała z odrobiną zazdrości.

Idąc do stajni, wyjęła telefon z kieszeni.

– Dzień dobry, mamó. – I uśmiechając się do siebie, spłatała swojej irytującej siostrze nieliczego figla.

TTLRR

ROZDZIAŁ CZWARTY

Connor wszedł do szkółki sokołów przez bramę dla pracowników. Jak zawsze poczuł w sercu lekkie drżenie, przypominające łopot skrzydeł. Od początku przeznaczony mu był sokół. Od początku czuł więź z ptakami, równie silną jak moc.

Miał ochotę przejść się po wolierach i ptaszarni, przywitać z sokołami i wielką sową, którą nazwali Brutus, zobaczyć, jak się mają jego podopieczni.

Jednak po tym burzliwym początku dnia już był spóźniony. Poza tym widział, że jeden z jego pracowników, Brian – chudy jak tyczka chłopiec, który dopiero co skończył osiemnaście lat – sprawdza karmę i wodę.

Tak więc idąc do biura, rozejrzał się tylko pobieżnie dookoła i przystanął na chwilę przy ogrodzonym wybiegu, na którym jego asystentka, Kyra, trzymała swojego spaniela.

– Jak leci, Romeo?

W odpowiedzi pies pokręcił całym ciałem, schwycił w zęby pogryzioną niebieską piłkę i pełen nadziei przyniósł zabawkę do płotu.

– Niestety, stary, nie mam czasu.

Connor wszedł do biura. Kyra, z krótkimi włosami w kolorze szafiru, stuknęła zawzięcie w klawiaturę.

– Spóźniłeś się.

Chociaż miała tylko metr pięćdziesiąt siedem wzrostu, jej głos przypominał syrenę przeciwmgielną.

– W takim razie dobrze, że to ja jestem szefem, prawda?

– Fin jest szefem.

– W takim razie jeszcze lepiej, ponieważ przed chwilą jadłem z nim

śniadanie, więc jestem usprawiedliwiony.

– Dał jej lekkiego kuksańca i poszedł do swojego biurka, zasypanego formularzami, papierami i ulotkami, wśród których walała się pojedyncza rękawica i postronek, stała miska pełna kamyków i inne drobiazgi.

– Mamy jeszcze jedną rezerwację. Ojciec i syn; chłopak ma szesnaście lat. Dałam ich tobie, bo radzisz sobie lepiej z nastolatkami niż Brian czy Pauline. Przyjdą o dziesiątej. Amerykanie.

Umilkła i posłała Connorowi pełne dezaprobaty spojrzenie, krzywiąc usianą piegami twarz.

– Szesnaście lat, chciałabym wiedzieć, dlaczego chłopak nie siedzi w szkole.

– Jesteś takim tyranem, Kyra. To też rodzaj nauki, zwiedzanie obcych krajów, spacer z sokołem.

– W ten sposób nie nauczysz się dodawać dwa do dwóch. Pamiętasz, że Sean będzie dopiero w południe? Jedzie z żoną na wizytę kontrolną do lekarza.

Zupełnie o tym zapomniał.

– Wszystko w porządku z nią i z dzieckiem?

– W absolutnym, chciała tylko, żeby z nią dzisiaj pojechał, bo może się dowiedzą, czy to chłopiec czy dziewczynka. Dlatego Brian weźmie tę panią z Donegal o dziewiątej, ty Amerykanów o dziesiątej, a Pauline nowożeńców z Dublina o dziesiątej trzydzieści.

Kyra recytowała poranny rozkład jazdy, nie przestając stukać w klawiaturę. Bywała dosyć szorstka i lubiła się rządzić, ale potrafiła robić tuzin rzeczy naraz.

I oczekiwała, że wszyscy będą robili tak samo.

– Następnym klientów masz o drugiej – dodała. – Też Amerykanie,

para z Bostonu. Byli w Dromoland w Clare, spędzą trzy dni w Ashford, potem jadą dalej. Trzytygodniowe wakacje z okazji dwudziestej piątej rocznicy ślubu.

– Dziesiąta i czternasta.

– Są małżeństwem tak długo, jak ja żyję na świecie. To dopiero daje do myślenia.

Słuchając jej jednym uchem, Connor usiadł, żeby przejrzeć najpilniejsze dokumenty, które wymagały jego podpisu.

– Twój rodzice są małżeństwem jeszcze dłużej, skoro ty jesteś najmłodsza.

– Rodzice to co innego – odparła zdecydowanie, chociaż Connor nie rozumiał dlaczego.

– Och, i Brian twierdzi, że rano było trzęsienie ziemi, nieomal wytrzęsło go z łóżka.

Spojrzał na nią ze spokojem.

– Trzęsienie ziemi?

Skrzywiła się, stukając w klawisze paznokciami pomalowanymi różowym lakierem z brokatem.

– Przysięga, że cały dom się trząsał. – Przewróciła oczami, wcisnęła „drukuj” i odwróciła się do drukarki. – Doszedł do wniosku, że to jakiś spiszek, bo nie powiedzieli o tym ani słowa w telewizji. Było jedynie kilka zdań w Internecie. Dlatego uznał, że to wcale nie trzęsienie ziemi, tylko testy nuklearne. Będzie cię tym zameczał tak, jak zameczał mnie.

– A twoje łóżko nie drżało?

Posłała mu szeroki uśmiech.

– Nie od trzęsienia ziemi.

Connor roześmiał się i wrócił do dokumentów.

– A co u Liama?

– Wszystko w porządku. Chyba za niego wyjdę.

– Naprawdę?

– Rozważam taką możliwość, w końcu kiedyś trzeba zacząć nabijać te rocznice. Dam mu znać, jak podejmę decyzję.

Zadzwonił telefon. Kyra odebrała, a Connor wrócił do papierów.

Niektórzy to poczuli, inni nie, pomyślał. Jedni byli bardziej otwarci niż inni. A niektórzy zamknięci szczelnie jak weki.

Znał Kyre przez większość swojego życia, a ona wiedziała, kim on jest – musiała wiedzieć. Ale nigdy o tym nie mówiła. Pomimo szafirowych włosów i małego kolczyka w lewej brwi była wekiem.

Pracował pilnie, dopóki nie wszedł Brian i, jak można się było spodziewać, nie zaczął opowiadać o trzęsieniach ziemi, które najprawdopodobniej są testami nuklearnymi, przeprowadzanymi przez jakąś tajną rządową agencję, albo też znakiem apokalipsy.

Connor zostawił ich oboje, wałkujących ten temat, i poszedł wybrać sokoła na pierwszy spacer.

Ponieważ nikt nie patrzył, zrobił to w najszybszy i najprostszy sposób. Otworzył ptaszarnię, spojrzął w oczy wybranemu ptakowi i wyciągnął dłoń w rękawicy.

Sokół poderwał się i wylądował na jego ręce, posłuszny jak dobrze wytresowany pies.

– Dzień dobry, Thor. Gotowy do pracy? Dzisiaj będziesz pracował z Brianem, a ja, jeśli będę mógł, zabiorę cię potem na prawdziwe polowanie. Co ty na to?

Zawiązał ptakowi linkę na nodze, po czym wrócił do biura i przywiązał go do specjalnej gałęzi.

Cierpliwy Thor złożył skrzydła i rozglądał się czujnie.

– Może nas trochę zmoczyć – powiedział Connor do Briana – ale chyba nie będzie ulewy.

– Przez globalne ocieplenie pogoda staje się coraz dziwniejsza na całym świecie. Może stąd było to trzęsienie.

– Trzęsienie ziemi nie jest zjawiskiem pogodowym – stwierdziła Kyra.

– To wszystko jest z sobą powiązane – obwieścił ponuro Brian.

– Wydaje mi się, że dzisiaj nie spotka cię nic gorszego niż mżawka. Jeśli jednak nastąpi trzęsienie ziemi albo erupcja wulkanu, zadbaj, żeby dostarczyć Thora bezpiecznie do domu. – Connor klepnął Briana w ramię. – Twoi klienci czekają przy bramie. Wpuść ich i oprowadź po szkółce. O dziesiątej wezmę Roibearda i Williama – zwrócił się do Kyry, gdy Brian pospieszył do bramy. – Dla Pauline zostanie Mamut.

– Powiem jej.

– Sean weźmie Rexa. On szanuje Seana, a przed Brianem jeszcze nie czuje respektu. Lepiej na razie nie wypuszczać ich samych. O drugiej wezmę Merlina, nie był na spacerze od kilku dni.

– Sokoła Fina nie ma.

– Jest niedaleko – stwierdził z prostotą Connor.

– A po południu Pauline może jeszcze raz zabrać Thora. Brian albo Sean, któregokolwiek wyznaczyłaś na ostatni spacer, pójdzie z Rexem.

– A co z Nesterem?

– Nie jest dziś w nastroju. Damy mu dzień wolnego.

Kyra tylko uniosła przekłutą brew.

– Ktoś powinien go obejrzeć?

– Nie, nie jest chory, po prostu nie w sosie. Zabiorę go później do lasu, niech wylata zły nastrój.

Connor miał rację co do pogody, ale deszcz szybko ustał, a przez pokrywą chmur przedarty się cienkie promyki słońca.

Kiedy przyszli turyści, powietrze było wilgotne, zasnułe lekką mgłą. Szczerze mówiąc, pomyślał, oprowadzając ojca i syna po szkółce, pogoda dodała temu miejscu atmosfery.

– Skąd wiesz, który jest który? – Chłopak o imieniu Taylor, tyczkowaty, z wielkimi uszami i wystającymi kłykciami, starał się wyglądać na znudzonego.

– Sokoły Harrisa wyglądają podobnie, ale każdy ma swój charakter i osobowość. Widzisz, tam siedzi Mamut, jest wielki, stąd jego imię. A obok niego Rex. Jest taki królewski.

– Dlaczego one po prostu nie odfruną, kiedy je puszczacie?

– A czemu miałyby to robić? Wiodą tu dobre życie, w sumie nawet luksusowe. I wykonują godną pracę. Niektóre tu się urodziły i tutaj jest ich dom.

– Trenujecie je tutaj? – zapytał ojciec.

– Tak, od pisklaka. Rodzą się, żeby latać i polować. Przy odpowiedniej tresurze, z systemem nagród, szacunkiem i uczuciem, można je nauczyć, by robiły to, do czego są stworzone, i wracały na rękawicę.

– Dlaczego się spaceruje akurat z sokołami Harrisa?

– Ponieważ są towarzyskie. A co więcej, ich umiejętność manewru sprawia, że są doskonałe do spacerów w naszych okolicach. Sokoły wędrowne, takie jak ten, widzicie? – Podprowadził ich do dużego, szarego ptaka z czarnymi i żółtymi cętkami. – Są bez wątpienia wspaniałe i kiedy pikują, nie ma szybszego stworzenia na ziemi. Wznoszą się na bardzo dużą wysokość, po czym nurkują po ofiarę.

– Myślałem, że najszybszy jest gepard – powiedział Taylor.

– Ten ma na imię Apollo. – Słyszając swoje imię, z delikatną pomocą Connor a, sokół rozłożył swoje wielkie skrzydła – co zrobiło na chłopcu na tyle duże wrażenie, że westchnął, zanim wzruszył ramionami. – Może prześcignąć dzikiego kota, osiągając prędkość do trzystu dwudziestu kilometrów na godzinę. To dwieście mil – dodał Connor z uśmiechem. – Jednak mimo całej swojej prędkości i piękna sokoły wędrowne potrzebują otwartej przestrzeni, a sokoły Harrisa potrafią tańczyć między drzewami. Widzicie tamte ptaki?

Poprowadził przybyłych dalej.

– Zeszłej wiosny sam patrzyłem, jak się wykluwają, i od tamtej pory szkoliliśmy je, dopóki nie były gotowe do wolnych lotów. Jednym z ich braci jest William, który będzie wam dzisiaj towarzyszył, panie Leary.

– Taki młody? Ma nie więcej niż pięć, sześć miesięcy.

– Urodzone, żeby latać – powtórzył Connor. Czuł, że straci szansę na porozumienie z chłopcem, jeśli zaraz nie zaproponuje mu czegoś ciekawego. – Chodźmy do środka, wasze sokoły czekają.

– To nowe doświadczenie, Taylor. – Ojciec, wysoki mężczyzna, mający co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu, położył dłoń na ramieniu syna.

– Wszystko jedno. Pewnie i tak zaraz zacznie padać.

– Myślę, że dopiero po zachodzie słońca. A zatem, panie Leary, mają państwo rodzinę w Mayo?

– Proszę mi mówić Tom. Podobno nasi przodkowie stąd pochodzili, ale nie wiem o nikim żyjącym.

– Przyjechałeś tylko z synem?

– Nie, moja żona z córką poszły do Cong na zakupy.

– Z szerokim uśmiechem przewrócił oczami. – Aż boję się o tym

myśleć.

– Moja siostra ma sklep w Cong, „Czarownica z Ciemności”. Może do niej zajrzą.

– Jeżeli tam jest i coś sprzedaje, to na pewno zajrzą. Zastanawialiśmy się, czyby jutro nie pojeździć konno.

– Doskonały pomysł. Mamy tu idealne tereny do konnych przejażdżek. Tylko powiedz w stadninie, że Connor prosił, żeby dobrze was przegonili.

Wszedł do biura i zbliżył się do gałęzi.

– A oto Roibeard i William. Roibeard należy do mnie, mam go od pisklęcia. Tom, podpisz, proszę, dokumenty, które przygotowała Kyra, a ja zapoznam Taylora z Roibeardem.

– A co to za imię? – zapytał chłopak.

Wydaje mu się, że nie chce tu być, pomyślał Connor. Sądzi, że wolałby siedzieć w domu z kumplami i grać w gry komputerowe.

– Takie otrzymał. To bardzo stare imię. Pochodzi od sokołów, które polowały w tych lasach od setek lat.

Proszę, twoja rękawica. Gdybyś jej nie miał, bez względu na to, jak mądry i wytrenowany jest ptak, rozciąłby ci skórę szponami. Musisz zgiąć rękę w ten sposób, widzisz?

– Connor zademonstrował, unosząc lewe ramię pod odpowiednim kątem. – I trzymać nieruchomo, kiedy będziemy szli. Wystarczy, że je uniesiesz, a dasz mu sygnał do lotu. Na razie go przywiążę, dopóki nie wyjdziemy.

Poczuł, jak chłopiec drży – z napięcia i podniecenia, które starał się ukryć – gdy on, Connor, dał znak Roibeardowi, by wszedł na rękawicę.

– Sokoły Harrisa są zwinne i szybkie, jak mówiłem. Zapaleni z nich łowcy, ale my weźmiemy kawałki kurczaka – poklepał torbę z przynętą –

żeby nie miały ochoty pogonić za jakimś ptakiem czy królikiem. A tobie, Tom, będzie towarzyszył młody William. Przystojniak z niego i jest bardzo dobrze wychowany. Uwielbia latać między drzewami, a w nagrodę za pracę dostanie kawałek kurczaka.

– Jest piękny. – Tom roześmiał się cicho. – Denerwuję się.

– Zaczniemy naszą przygodę. Jak wam się podoba zamek? – zagaił Connor, wyprowadzając ich za bramę.

– Przepiękny. Myśleliśmy z Annie, że to będzie jednorazowa wycieczka, ale już mówimy o powrocie.

– Nie da się tylko raz odwiedzić Irlandii.

Connor szedł powoli, gawędząc swobodnie, sercem jednak był przy sokołach. Zadowolone i gotowe do pracy, ocenił.

Poprowadził gości ścieżką do utwardzonej drogi, która wychodziła na polanę, otoczoną wysokimi drzewami.

Tam zwolnił pęta.

– Unieście ramię. Delikatnie, do góry, a wtedy ptaki polecą.

Zrobili tak, a sokoły wzniosły się w powietrze, niemal bezgłośnie rozkładając skrzydła. Chłopiec westchnął cicho, ponieważ nadal próbował zachować pozory znudzenia, kiedy oba przysiadły na gałęzi, złożyły skrzydła i spojrzały na nich z góry jak złociści bogowie.

– Powierzysz mi swój aparat, Tom?

– Och, pewnie. Chciałbym zrobić kilka zdjęć Taylorowi z sokołem. Z... Roibeardem?

– Ja zrobię. Taylor, odwróć się do nich plecami i spojrzysz przez lewe ramię. – Chociaż Roibeard i tak by przyleciał, Connor położył na rękawicy chłopca kawałek kurczaka.

– Obrzydlistwo.

– Nie dla sokoła.

Connor przygotował aparat.

– Unieś ramię, tak samo jak przedtem. Trzymaj nieruchomo.

– Wszystko jedno – mruknął Taylor, ale posłuchał.

Wtedy sokół, wcielenie gracji, spłynął na dół z rozłożonymi skrzydłami i błyszczącymi oczami. Wylądował na rękawicy.

Połknął kurczaka i czekał, wpatrując się w oczy Taylora.

Znając dobrze takie chwile, Connor uwiecznił zdumienie i czystą radość na twarzy chłopca.

– Rany! Rany! Tato, widziałeś to?

– Tak. On nie... – Tom spojrzał pytająco na Connora. – Ten dziób...

– Nie masz się czego obawiać, daję słowo. Nie ruszaj się jeszcze przez chwilę, Taylor.

Connor zrobił jeszcze jedno zdjęcie, które zapewne stanie nad kominkiem lub na biurku w Ameryce; chłopiec i sokół patrzyli sobie w oczy.

– Teraz ty, Tom.

Powtórzył cały proces i zrobił jeszcze kilka zdjęć, słuchając pełnych zachwytów komentarzy swoich gości.

– Tak naprawdę to jeszcze nic nie widzieliście – powiedział. – Chodźmy głębiej w las.

To nigdy mu się nie nudziło, nigdy nie powszedniało. Lot sokołów, które wzbijały się i pikowały wśród drzew, zawsze na nowo go zachwycał, a dzisiaj jeszcze bardziej, dzięki ogromnej ekscytacji obu gości.

Wilgotne powietrze, nasiąknięte wodą niczym gąbka, pojedyncze promienie słońca, przeświecające przez gałęzie drzew, powiew nadchodzącej jesieni – to wszystko składało się, zdaniem Connora, na idealny dzień do spaceru z sokołami po lesie.

– Czy mogę jeszcze raz wejść do środka? – Taylor podszedł do bramy z Roibeardem na ramieniu. – Chciałbym znowu je zobaczyć. Są naprawdę fajne, zwłaszcza Roibeard.

– Oczywiście, że możesz. Ucieszą się z towarzystwa.

– Powtórzmy to przed wyjazdem – obiecał synowi Tom.

– Wolałbym przyjść tutaj, niż jeździć na koniu.

– Założę się, że też będziesz się doskonale bawił.

– Connor wprowadził ich z powrotem do szkółki. – Przyjemnie jest jechać konno po lesie, wtedy ma się zupełnie inną perspektywę. A w stadninie jest kilku świetnych przewodników.

– A ty jeździsz? – zapytał Tom.

– Tak, chociaż nie tak często, jak bym chciał. Najlepiej, oczywiście, jeździ się konno z sokołem.

– O kurczę! Mógłbym spróbować?

– Tego nie było w ulotce, Taylor.

– To prawda – przyznał Connor, delikatnie przenosząc Roibearda na gałąź. – Nie mamy tego w codziennym menu, że tak powiem. Taylor, jeśli chcesz, możesz iść, popatrzeć na sokoły, a ja porozmawiam z twoim tatą.

– Dobra. – Chłopiec przez chwilę patrzył na Roibearda oczami pełnymi miłości. – Dzięki. Dzięki, Connor. To było super.

– Bardzo proszę. – Gdy Taylor wybiegł, Connor zwrócił się do Williama. – Nie chciałem mówić tego przy chłopcu, ale mógłbym zorganizować dla niego przejażdżkę z sokołem. Musiałbym sprawdzić, czy Meara mogłaby być waszą przewodniczką, ona jest też sokolnikiem. Gdybyście rzecz jasna byli zainteresowani.

– Od miesiący nie widziałem mojego syna tak podekscytowanego czymkolwiek innym poza grami komputerowymi lub muzyką. Byłoby

wspaniale, gdyby udało się to zorganizować.

– Daj mi minutę, zobaczę, co da się zrobić.

Tom wyszedł, a Connor oparł się biodrem o biurko i wyjął telefon.

– Ach, Meara, skarbie, mam wyjątkową prośbę.

Wspaniale było dawać ludziom niezapomniane chwile i Connor zrobił, co w jego mocy, także dla ostatniego klienta tego dnia. Jednak żadne emocje nie dosięgły stopnia zachwyty Taylora i jego taty.

Pomiędzy spacerami zabrał sokoły wędrowne – w tym również Apollo – poza las, na otwartą przestrzeń, gdzie mogły ćwiczyć i polować. Patrzył na ich lot z podziwem, który nigdy nie słabł, i czuł podniecenie pikujących w kierunku zdobyczy ptaków.

Connor – jak sokoły wędrowne – był stworzeniem towarzyskim i lubił spacerować z klientami, ale to te chwile samotności – tylko on, ptaki i powietrze – były jego ulubionymi w ciągu całego dnia.

Apollo pochwycił w locie wronę. Można je karmić, pomyślał Connor, siadając na niskim murku z torebką chipsów i jabłkiem, można je szkolić i o nie dbać, ale są drapieżnikami i by pozostać sobą, musiały polować.

Siedział tak, rozkoszując się wilgotnym popołudniem, i obserwował ptaki, które wzbijały się w powietrze, opadały i polowały.

Ani śladu mgły, pomyślał. Jeszcze nie teraz. I już nigdy, jeśli on i jego przyjaciele znajdą sposób, by pokonać ciemność.

I gdzie ty teraz jesteś, Cabhanie?, rozmyślał. Na pewno nie tu i nie teraz, odpowiedział sam sobie, patrząc na soczyście zielone wzgórza. W powietrzu nie czuł nic, poza obietnicą deszczu, który nadejdzie, przeminie i znowu wróci.

Obserwował, jak Apollo wzbija się w niebo, teraz już tylko dla przyjemności, i czuł, jak jemu samemu serce rośnie. I wiedział, że choćby dla

tej jednej chwili stawi czoła ciemności i ją pokona.

Wstał i zawołał wszystkie ptaki po imieniu.

Po skończonej pracy obszedł jeszcze raz woliery, sprawdził, co było do sprawdzenia, po czym schował rękawicę do tylnej kieszeni i zamknął za sobą bramę.

Wolnym krokiem ruszył w kierunku stadniny.

Najpierw poczuł obecność Roibearda, więc włożył rękawicę, a gdy wyciągnął ramię, poczuł, że zbliża się Meara.

Sokół zatoczył koło i wylądował na jego ręce.

– Podobała ci się wycieczka? Nie ulega wątpliwości, że zapewniłeś chłopcu dzień, którego nigdy nie zapomni.

– Począł, aż Meara wyłoni się zza zakrętu.

Stawiała długie, pewne kroki – mężczyzna nie mógł nie podziwiać kobiety z długimi nogami, która poruszała się z taką pewnością siebie. Connor posłał jej szeroki uśmiech.

– A oto ona. I jak ten chłopak sobie poradził?

– Zakochał się do szaleństwa najpierw w Roibeardzie, a potem w Pyrze, na której jeździł. Musiałam zatrzymać się na chwilę i przewieźć jego siostrę, inaczej mielibyśmy pokaz przemocy domowej. Jej też bardzo się podobało, ale nie tak jak chłopcu. Za jej przejażdżkę nie weźmiemy pieniędzy.

– Nie, nie weźmiemy. – Connor wziął ją za rękę i pocałował lekko w palec, po czym puścił. – Dzięki.

– Podziękujesz mi jeszcze raz, kiedy się dowiesz, że ojciec dał mi stówkę ekstra.

– Stówkę? Ekstra?

– Właśnie tak i ponieważ uznał, że jestem uczciwa, poprosił mnie, bym połowę dała tobie. Oczywiście powiedziałam mu, że nie trzeba, ale nalegał.

Oczywiście nie chciałam być nieuprzejma, więc przyjąłam pieniądze.

– Oczywiście – zgodził się Connor i pogroził jej palcem.

Meara wyjęła banknoty z kieszeni, odliczyła połowę.

– No dobrze, to co powinniśmy zrobić z tym niespodziewanym przyływem gotówki? Co powiesz na piwo?

– Powiem, że od czasu do czasu miewasz dobre pomysły. Powinniśmy zaprosić pozostałych? – zapytała.

– Możemy. Wyślij SMS do Branny, a ja do Boyle'a. Zobaczymy, czy ktoś będzie miał ochotę się zabawić. Wyjście z domu dobrze zrobi Brannie.

– Wiem. Dlaczego ty do niej nie napiszesz?

– Łatwiej odmówić bratu niż przyjaciółce. – Spojrzał Roibeardowi w oczy i szedł przez chwilę w milczeniu, dopóki sokół nie wzniósł się i nie odleciał.

Meara razem z Connorem odprowadziła ptaka wzrokiem.

– A on dokąd?

– Do domu. Chcę, żeby był blisko, więc polecą do domu i będzie na mnie czekał.

– Zazdroszczę wam tego – powiedziała Meara, wyjmując telefon. – Tego, jak ty rozmawiasz z sokołami, Iona z końmi, Branna z psami, a Fin z każdym stworzeniem, jeśli chce. Właśnie taki dar chciałabym mieć, gdybym posiadała choć odrobinę magii.

– Ależ masz. Widziałem cię z końmi, sokołami, psami.

– To kwestia treningu i nastawienia. Ale nie to samo, co wy macie. – Wysłała wiadomość i schowała telefon.

– Tylko chciałabym mieć ten dar wyłącznie w stosunku do zwierząt. Oszalałabym, gdybym mogła czytać w umysłach ludzi, słyszeć ich myśli i uczucia, tak jak ty. Cały czas bym podsłuchiwała i pewnie wkurzałoby mnie

to, czego bym się dowiedziała.

– Najlepiej nie podsłuchiwać.

Trąciła Connora łokciem i popatrzyła na niego porozumiewawczo ciemnoczekoladowymi oczami.

– Wiem doskonale, że podsłuchiwałeś, kiedy zastanawiałeś się w pubie, czy dziewczyna pozwoli zaprosić się na piwo, a potem odprowadzić do domu.

– Może i tak, ale to było, zanim dorosłem.

Roześmiała się swoim cudownym śmiechem.

– Ty nawet jeszcze się nie zbliżyłeś do dorosłości.

– Teraz dzielą mnie od niej zaledwie centymetry. Ach, Boyle napisał. Iona ćwiczy w domu z Branną, on przyjdzie z Finem i sprawdzi, czy łonie uda się wyciągnąć Brannę.

– Lubię, kiedy jesteśmy wszyscy razem. Jak rodzina.

Usłyszał smutek w jej głosie i objął ją ramieniem.

– Jesteśmy rodziną – powiedział. – Prawdziwą rodziną.

– Tęsknisz za rodzicami, odkąd zamieszkali w Kerry?

– Czasami, ale są tacy cholernie szczęśliwi tam, nad jeziorem, prowadząc ten swój motel, razem z wiecznie rozćwierkaną siostrą mamy. I doskonale radzą sobie na Skypie. Kto by pomyślał? Często rozmawiamy i wiemy, co u nas słyhać.

Pogładził ją po ramieniu; weszli na krętą drogę, prowadzącą do Cong.

– I szczerze mówiąc, teraz naprawdę się cieszę, że się zadekowali na południu – dodał.

– Ja bym się bardziej niż cieszyła, gdyby moja matka zadekowała się gdziekolwiek, i to nie z tak nieegoistycznych pobudek, jak twoje.

– Przejdiesz przez to. To tylko kolejny etap.

– Kolejny etap, który trwa już prawie piętnaście lat. Ale masz rację. –

Potrząsnęła ramionami, jakby zrzucała z nich ciężar. – Masz rację. Podsunęłam dziś mojej matce myśl, że dobrze by jej zrobiła długa wizyta u mojej siostry i wnuków. I bardzo dobrze Maureen, sama sobie zasłużyła. Jeśli to nie zadziała, zamierzam posyłać matkę do każdego z rodzeństwa po kolei z nadzieją, że w końcu gdzieś zostanie, gdzie jej się spodoba. Ja nie zrezygnuję z mojego mieszkania.

– Gdybyś wprowadziła się z powrotem do matki, oszalałabyś, i co bywam obu z tego przyszło? Donal wiele dla niej zrobił, to nie ulega wątpliwości, ale ty też. Poświęcasz jej czas, słuchasz jej, pomagasz w zakupach. Płacisz za nią czynsz.

Meara odskoczyła i spojrzała na niego zmrużonymi oczami, ale tylko uniósł brwi.

– Bądź rozsądna, Meara. Fin jest właścicielem domu, w którym ona mieszka, jak bym miał o tym nie wiedzieć? Chcę jedynie powiedzieć, że jesteś dobrą córką i nie ma powodu, żebyś czuła się jak egoistka.

– Marzenie, żeby była gdzieś indziej, wydaje się egoistyczne, ale nie mogę przestać o tym myśleć. A Fin nie bierze od niej nawet połowy tego, ile jest wart ten dom.

– Jesteśmy rodziną – powtórzył Connor, a Meara westchnęła.

– Ile razy możesz mieć rację podczas jednego spaceru do pubu? – Schowała ręce do kieszeni kurtki. – Ale już dosyć zrzędzenia i narzekania. Sama sobie psuję radość z udanego dnia w pracy i dodatkowej pięćdziesiątki w kieszeni.

Minęli stare opactwo, po którym nadal krążyli turyści, robiąc zdjęcia.

– Ludzie zawsze ci wszystko mówią. Dlaczego?

– Może lubię ich słuchać.

Potrząsnęła głową.

– Nie, ponieważ ty ich słuchasz bez względu na to, czy masz ochotę, czy nie. Ja zbyt często po prostu się wyłączam.

Connor włożył rękę do kieszeni Meary i ścisnął jej dłoń.

– Razem pewnie mieścimy się w średniej na wykresie ludzkiej natury.

O nie, pomyślała, Connor O’Dwyer nigdy nie będzie się mieścił w średniej na żadnym wykresie.

Po czym porzuciła wszystkie zmartwienia i troski i weszła z nim w ciepło i zgiełk pubu.

To Connora witali najpierw ci, którzy ich znali – czyli większość obecnych. Wesoly okrzyk, zalotny uśmiech, przyjazny ruch dłonią. Connor był typem człowieka, który zawsze jest przez wszystkich mile widziany, i czuł się jak w domu wszędzie tam, gdzie postawił stopę.

Pozytywne cechy, pomyślała Meara, i tego również mu zazdrościła.

– Znajdź dla nas stół – powiedział – a ja postawię pierwszą kolejkę.

Meara obeszała pub, aż znalazła duży stół, mogący pomieścić sześć osób. Usiadła i wyjęła telefon – wiedziała, że towarzyski Connor tak prędko nie wróci.

Najpierw wysłała SMS do Branny.

„Skończ układać fryzurę, czekamy już w pubie”.

Potem sprawdziła rozkład zajęć na następny dzień. Rano lekcja na arenie i trzy wycieczki – nie wspominając o codziennym sprzątaniu boksów, pielęgnacji koni i przypominaniu do znudzenia Boyle’owi o dokumentach. Do tego jeszcze zakupy, które ciągle odkładała, dla siebie i dla matki. A także zaległe pranie.

Mogłaby zrobić je dzisiaj, gdyby nie zabawiła zbyt długo w pubie.

Zajrzała do kalendarza, zobaczyła, że zbliżają się urodziny jej brata, więc do listy spraw do załatwienia dodała jeszcze kupienie prezentu.

I powinna umówić się z Ioną na lekcję szermierki. Dziewczyna dobrze sobie radziła, ale teraz, kiedy Cabhan znowu się pojawił, powinny wrócić do regularnych ćwiczeń.

– Odłóż to natychmiast i przestań pracować. – Connor postawił na stole dwa kufle piwa. – Dzień pracy dobiegł końca.

– Sprawdzalam rozkład na jutro.

– Meara, skarbie, na tym polega twój problem. Zawsze szykujesz się do następnego zadania.

– A ty zawsze do następnej przyjemności.

Connor z uśmiechem uniósł szklanke.

– Życie jest przyjemnością, jeśli je dobrze zorganizujesz. – Skinął głową na widok Boyle'a i Iony. – Nadciąga rodzinka.

Meara obejrzała się i schowała telefon.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Porządny dzień pracy, piwko i przyjaciele, z którymi można je wypić. Zdaniem Connora, o niewielu rzeczach więcej można marzyć. Chyba że o gorącym posiłku i chętnej kobiecie.

Chociaż wiedział, że ładna blondynka o imieniu Alice, posyłająca mu od czasu do czasu spojrzenia, byłaby chętna, zadowolił się piwem i towarzystwem przyjaciół.

– Fin, pomyślałem – zagaił – że moglibyśmy rozważyć wprowadzenie na stałe do oferty takiego połączenia jazdy konnej ze spacerem z sokołami, jakie dzisiaj z Mearą zafundowaliśmy tym Amerykanom.

Boyle zmarszczył czoło.

– Przewodnikiem musiałby być doświadczony sokolnik, czyli wyłącznie Meara.

– Ja też bym mogła – zgłosiła się Iona.

– Chodziłaś z sokołami tylko kilka razy – wytknął jej Boyle. – I nigdy sama.

– Było cudownie. I sam powiedziałeś, że mam to we krwi – przypomniała Connorowi.

– Doskonale ci poszło, ale musiałabyś parę razy przejechać się konno z sokołem. Albo chociaż na rowerze, jak robimy to zimą.

– Poćwiczę.

– Ty musisz więcej ćwiczyć walkę mieczem – upomniała ją Meara.

– Zawsze dajesz mi wycisk.

– To prawda. – Meara się uśmiechnęła. – Święta prawda.

– Ale nasza dziewczyna szybko się uczy – pochwalił Ionę Fin. – To

interesujący pomysł.

– Gdybyśmy się zdecydowali... – Boyle z zamyśleniem wypił łyk piwa.
– Klienci, którzy wybraliby taki pakiet, musieliby umieć jeździć konno. Ostatnią rzeczą, jakiej byśmy chcieli, to żeby jakiś nowicjusz w siodle wpadł w panikę, kiedy sokół wylądował mu na ramieniu, i wystraszył konia.

– Pełna zgoda.

– Konie się nie wystraszą, jeśli im wszystko wyjaśnię.

– Iona z uśmiechem przechyliła głowę. – Przyszła Branna.

Branna ułożyła starannie włosy, a do granatowej kurtki dobrała czerwony szalik. Płaskie buty oznaczały, że przyszła na piechotę.

Przesunęła ręką po ramieniu Meary, po czym opadła na krzesło obok przyjaciółki.

– Jaka to okazja?

– Meara i ja dzielimy się dużym napiwkami.

– Świetnie. W takim razie możesz postawić siostrze piwo. Mam ochotę na harpa.

– Moja kolej. – Meara Wstała.

– Ma kłopoty z matką – wyjaśnił Connor, gdy odeszła.

– Przyda jej się wesoły wieczór. Zjemy coś porządnego i postaramy się poprawić jej nastrój. Mam ochotę na rybę z frytkami.

– Czyj nastrój masz na uwadze? – zapytała Branna.

– Mój brzuch, jej nastrój. – Uniósł szklanekę. – Za dobre towarzystwo!

A towarzystwo było dobre. Meara miała zamiar wypić tylko jedno piwo, posiedzieć chwilę, a potem wrócić do domu, nastawić pranie i sklecić jakąś szybką kolację z tego, co znajdzie w spiżarni. Teraz jednak zabierała się do drugiego piwa i zapiekanki z kurczakiem.

Zostawi furgonetkę tam, gdzie stała – czyli u Branny – i wróci do domu

na piechotę. Włoży kilka ubrań do pralki, zrobi listę zakupów dla siebie i matki. Pójdzie spać, a jeśli wstanie odpowiednio wcześnie, dokończy pranie i chociaż to będzie miała z głowy.

Zakupy zrobi w przerwie na lunch. Do matki pojedzie po pracy – niech Bóg ma ją w swojej opiece – i spełni swój obowiązek. Zasieje jeszcze kilka ziaren w kwestii wizyty u Maureen.

Connor szturchnął ją w żebra.

– Za dużo myślisz. Spróbuj być tu i teraz, chwila obecna cię zadziwi.

– Zapiekanek w pubie jest zadziwiająca?

– Jest smaczna, prawda?

Wzięła do ust kolejny kęs.

– Bardzo dobra. A co ty zrobisz z Alice?

– Hm?

– Alice Keenan, która sygnalizuje swoje pożądanie z drugiego końca pubu, jakby nadawała flagami alfabetem Morse’a. – Pomachała rękami, żeby zademonstrować.

– Bardzo ładna buzia, to nie ulega wątpliwości, ale nie dla mnie.

Meara zrobiła zdumioną minę i przesunęła wzrokiem po przyjaciółach, siedzących wokół stołu.

– Słyszeliście to? Connor O’Dwyer mówi, że ładna buzia nie jest dla niego.

– Ona chce mieć pierścionek na palcu, prawda? – zapytał rozbawiony Fin.

– Prawda, a ponieważ to więcej, niż mógłbym jej zaoferować, nie mogę się z nią bawić. Ale buzię ma ładną.

– Pochylił się ku Mearze. – Gdybyś się do mnie przytuliła i dała mi buziaka, pomyślałaby, że jestem już zajęty, i przestałaby na mnie polować.

– Będzie musiała polować dalej, jak inne niemądre kobiety. – Nabrała jeszcze kurczaka. – Moje usta są w tej chwili zajęte.

– Kiedyś mnie pocałowałaś.

– Naprawdę? – Iona odsunęła talerz na bok i zwróciła się do pozostałych. – Opowiedzcie.

– Miałam jakieś dwanaście lat.

– Prawie trzynaście.

– Prawie trzynaście to dwanaście. – Meara udała, że dźga Connora widelcem. – Zrobiłam to z ciekawości.

– Było cudownie?

– Sama nie wiem? To był mój pierwszy pocałunek.

– Ach. – Iona westchnęła. – Nigdy nie zapomina się tego pierwszego.

– Dla niego to nie był pierwszy.

Connor roześmiał się i pociągnął Mearę za warkocz.

– Nie, nie był, ale go nie zapomniałem, prawda?

– Ja miałam jedenaście lat. I byłam nad wiek rozwinięta – dodała Iona.

– On nazywał się Jessie Lattimer. To było słodkie. Postanowiłam, że pewnego dnia weźmiemy ślub i zamieszkamy na farmie, a ja całymi dniami będę jeździła konno.

– I co się stało z tym Jessiem Lattimerem? – chciał wiedzieć Boyle.

– Pocałował inną dziewczynę i złamał mi serce. Potem przeprowadził się do Tucson czy Toledo, dokądś na „T”. A ja wychodzę za mąż za Irlandczyka. – Pocałowała Boyle’a. – I całymi dniami jeżdżę konno.

Oczy jej załśniły, kiedy Boyle splótł palce z jej palcami.

– A ty z kim pierwszym się całowałaś, Branna?

Iona pożałowała tych słów, gdy tylko je wypowiedziała.

Wiedziała. Oczywiście, że wiedziała, jeszcze zanim Branna zerknęła na

Fina.

– Też miałam dwanaście lat. Nie mogłam pozwolić, żeby najlepsza przyjaciółka mnie wyprzedziła, prawda? I jak Connor dla Meary, Fin był pod ręką.

– To na pewno – zgodził się wesoło Connor – ponieważ zawsze dwoił się i troił, żeby być tam gdzie ty.

– Nie zawsze, skoro dla niego to nie był pierwszy pocałunek.

– Trochę ćwiczylem. – Fin odchylił się razem z krzesłem. – Chciałem, żeby twój pierwszy był niezapomniany. W cienistym lesie – szepnął – w ciepły, letni dzień. Powietrze pachniało deszczem i rzeką. I tobą.

Branna nie patrzyła na niego ani Fin na nią.

– I wtedy strzelił piorun, błyskawica rąbnęła z nieba prosto w ziemię. – Pamiętała. Och, tak, pamiętała wszystko. – Powietrze zadrżało od niej i od grzmotu, który rozległ się zaraz potem. Powinniśmy byli się domyślić.

– Byliśmy dziećmi.

– Już niedługo.

– Zasmuciłam was – powiedziała cicho Iona. – Przepraszam.

– Nie zasmuciłaś. – Branna pokręciła głową. – Może tylko wprowadziłaś w trochę nostalgiczny nastrój, ponieważ niewinność topnieje szybciej niż płatek śniegu na słońcu. Teraz już nie możemy być niewinni, kiedy wiemy, co nas czeka. Dlatego... dolejmy whisky do herbaty i cieszymy się chwilą, jak mawia mój brat. Może coś zagramy, Meara? Piosenkę lub dwie, bo tylko bogowie wiedzą, co przyniesie jutro.

– Przyniosę skrzypce. – Connor wstał i musnął siostrę dłonią po włosach. Bez słowa dał jej pociechę, której potrzebowała.

Meara została dłużej, niż planowała, zbyt długo, by myśleć jeszcze o robieniu prania czy list zakupów. Chociaż próbowała spławić Connora, uparł

się, że odprowadzi ją do domu.

– Connor, to bez sensu. Mieszkam pięć minut drogi stąd.

– W takim razie nie zajmie mi to dużo czasu. Miło z twojej strony, że zostałeś, kiedy Branna tego potrzebowała.

– Ona zrobiłaby dla mnie to samo. I ja też mam teraz lepszy nastrój, chociaż nie zrobiłam prania.

Szli pod górę cichą ulicą. Puby nadal tętniły życiem, ale sklepy dawno już pozamykano, nie minął ich też ani jeden samochód.

Powiał lekki wiatr i Meara poczuła zapach heliotropu, rosnącego w doniczce na oknie, zobaczyła igielki gwiazd, przebijające wstęgi chmur.

– Czy kiedykolwiek myślałeś, żeby się stąd wyprowadzić? – zapytała. – Mieszkać gdzie indziej? Gdybyś nie musiał robić tego, co tu jest do zrobienia?

– Nie, nigdy. Tutaj jest moje miejsce. A ty?

– Nie. Mam przyjaciół, którzy wyprowadzili się do Dublina, Galway City, Cork City, nawet do Ameryki. Kiedyś myślałam, że ja też bym mogła. Wysłać matce pieniądze i pojechać gdzieś, przeżyć przygodę. Ale nigdy nie pragnęłam tego tak mocno, jak zostać tutaj.

– Większość ludzi uznałaby walkę z wiekowym złym czarnoksiężnikiem za całkiem niezłą przygodę.

– Ale to nie Grafton Street², prawda? – Roześmiała się razem z nim, skręcając do mieszkania. – Tak naprawdę nie sądziłam, że coś takiego kiedykolwiek się wydarzy. To, co zdarzyło się na polanie w przesilenie. A jednak się stało, i to tak szybko, gwałtownie, że nie miałam nawet czasu zebrać myśli.

– Byłaś wspaniała.

² Grafton Street – główna ulica handlowa Dublina.

Znowu się roześmiała i potrząsnęła głową.

– Nie bardzo pamiętam, co robiłam. Pamiętam tylko światło, ogień i wiatr. Twoje fruujące włosy. I jasność. W tobie, wokół ciebie. Nigdy cię takiego nie widziałam, z tą magią, oślepiającą jak słońce.

– Wszyscy tego dokonaliśmy. Nie odparlibyśmy ataku Cabhana, gdybyśmy nie działali razem.

– Wiem. Czułam to. – Przez chwilę patrzyła w noc, na wioskę, w której spędziła całe życie. – A mimo to przeżył.

– On nie wygra. – Connor podprowadził Mearę do schodów prowadzących do jej mieszkania.

– Nie wiesz tego, Connor.

– Muszę w to wierzyć. Jeśli pozwolimy ciemności wygrać, to kim będziemy? Jaki jest sens tego wszystkiego, jeśli pozwolimy zwyciężyć ciemności? Dlatego nie pozwolimy.

Meara stanęła obok kosza, z którego sływały purpurowe i czerwone petunie.

– Wolałabym, żebyś pozwolił Finowi odwiedzić się do domu.

– Muszę spalić rybę z frytkami i piwo.

– Uważaj na siebie, Connor. Bez ciebie nie wygramy. A poza tym przyzwyczaiłam się do ciebie.

– W takim razie będę uważał. – Wyciągnął rękę, zawahał się, po czym znajomym gestem pociągnął Mearę za warkocz. – Ty też na siebie uważaj. Dobrej nocy, Meara.

– Dobrej nocy.

Poczekał, aż weszła i zamknęła drzwi na zamek.

Nagle zdał sobie sprawę, że o mało jej nie pocałował i nie był do końca pewien, czy ten pocałunek byłby... braterski. Powinien był darować sobie

whisky w herbacie, pomyślał, skoro alkohol aż tak zachwiał jego zdolnością oceny sytuacji.

A tak czuł się podminowany i niezaspokojony. Może jednak powinien był dać Alice szansę.

Chociaż teraz, kiedy tak wiele się działo, a stawka była tak wysoka, nie mógłby zostawić Branny samej w domu na noc, nawet gdyby Iona u nich spała. I w zaistniałych okolicznościach nie czułby się swobodnie, zapraszając kobietę do domu.

Tak czy inaczej, uznał, opuszczając wioskę krętą drogą, sytuacja byłaby kłopotliwa. Kolejny powód, by posłać Cabhana do piekła.

Connor lubił kobiety. Lubiał z nimi rozmawiać, flirtować, tańczyć, spacerować i się śmiać. I, Jezu, lubił chodzić z nimi do łóżka.

Ta miękkość i żar, zapachy, westchnienia.

Na razie jednak musiał sobie odmawiać takich przyjemności.

Zastanawiał się, jak długo, skoro Cabhan znowu zaatakował.

Nie zdążył dokończyć myśli, gdy zatrzymał się gwałtownie. Stał bez ruchu, w ciszy na ciemnej drodze, którą znał równie dobrze, jak linie na własnej dłoni. I słuchał, całym sobą.

On tam jest, on tam jest. Niedaleko, nie dosyć daleko

– ale i nie na tyle blisko, by mógł ich znaleźć, chociaż zbyt blisko, by czuli się naprawdę bezpieczni.

Connor dotknął amuletu, który miał pod swetrem, wyczuł palcami jego kształt i ciepło. Po czym rozłożył szeroko ramiona i otworzył się jeszcze bardziej.

Powietrze szeptało wokół niego cichą piosenkę, wiatr tańczył mu we włosach, muskał skórę, pod którą wzbierała moc. Connor zobaczył więcej.

Widział drzewa i krzaki, słyszał szumiący w nich wiatr, bicie serc

nocnych stworzeń, szybki puls ofiar ściganych przez łowców. Poczł zapach wody.

A nad nią ujrzał jakąś smugę, cień wczepiony w cienie. Zanurzony w nich tak, że nie dało się rozróżnić konturów.

Rzeka. Jesteś za rzeką, tak. Chociaż przekroczenie jej przynosi ci ból. Przejście przez wodę wytrąciło cię z równowagi. Czuję cię, czuję cię tak, jak woń zimnego mułu. Pewnego dnia znajdę twoją norę. Już niedługo.

Connor wychwycił delikatny wstrząs, nie większy niż małe ukłucie energii elektrostatycznej. Wrócił do siebie, powściągnął magię. Uśmiechnął się.

– Jesteś jeszcze słaby. Och, zrobiliśmy ci krzywdę, chłopiec i ja. Poczujesz się dużo gorzej, ty sukinsynu, przysięgam na moją krew, znacznie gorzej, zanim z tobą skończymy.

Już spokojniejszy, bardziej usatysfakcjonowany, gwizdał przez całą drogę do domu.

Przyszedł deszcz i został z długą, ulewną wizytą, jednak goście zamku Ashford – czyli większość klienteli szkoły – nie zrezygnowali ze spacerów z sokołami.

Connorowi deszcz nie przeszkadzał i nigdy nie mógł się nadziwić, jak chronili się przed nim turyści. Bawił go ich widok, gdy maszerowali w kolorowych kaloszach, przeróżnych lśniących płaszczach przeciwdeszczowych, w szalikach, czapkach i rękawiczkach – a wszystko to, by osłonić się przed odrobiną chłodnego, jesiennego deszczu.

Jednak rozbawiony czy nie, obserwował uważnie mgłę zasnuwającą okolice – i nie znalazł w niej nic poza wilgocią. Na razie.

Pewnego wieczoru siedział po pracy na schodku przed domem i z kubkiem mocnej herbaty w dłoni obserwował, jak Meara trenuje z Ioną. Ich

miecze brzęczały, ostre jak brzytwa, choć Branna zaczarowała je, by w zetknięciu z ciałem opadały miękko jak kluski.

Jego kuzynka radziła sobie coraz lepiej, ocenił Connor, chociaż wątpił, by kiedykolwiek dorównała Mearze Quinn.

Ta kobieta tak trzymała miecz, jakby urodziła się z nim w dłoni. I jak przy tym wyglądała – wysoka i kształtna niczym bogini, z grubym, brązowym warkoczem, spływającym na plecy.

Wbiła buty – równie zniszczone, jak jego – w mokrą ziemię, po czym ruszyła naprzód i zepchnęła Ionę w tył, nie dając swej uczennicy pola manewru. Ciemne oczy

– zasługa cygańskich przodków, podobnie jak złotawa skóra – ciskały błyskawice, gdy Meara blokowała i atakowała zajadle.

Branna wyszła z domu też z kubkiem herbaty i usiadła obok brata.

– Jest coraz lepsza.

– Hm? Och, Iona, tak. Właśnie o tym myślałem.

Branna spokojnie popijała herbatę.

– Czyżby?

– Tak. Ma więcej siły, niż kiedy do nas przyszła, a już wtedy nie była chucherkiem. Jednak teraz jest silniejsza i bardziej pewna siebie. Bardziej pewna swojego daru. Po części to nasza zasługa, po części Boyle’a i tego, co robi miłość z umysłem i ciałem, ale większość zawsze w niej była, tylko czekała, by rozkwitnąć. – Poklepał Brannę po kolanie. – My dwoje jesteśmy szczęściarzami.

– Sama tak pomyślałam raz czy dwa.

– Mamy szczęście, że pochodzimy z takiej rodziny. Zawsze wiedzieliśmy, że jesteśmy kochani i ważni. A to, co mamy, kim jesteśmy, było traktowane jak dar, a nie jak coś, co trzeba ukrywać. Te dwie, walczące

na miecze w deszczu, nie miały tyle szczęścia, co my. Iona ma swoją babcię, ale poza tym ich rodziny... cóż, spały sprawę, jak mawia Meara.

– My jesteśmy ich rodziną.

– Wiem o tym, one też. Jednak brak miłości od tych, co cię stworzyli, pozostawia ranę, która nigdy do końca się nie zagoi. Obojętność rodziców Iony, bałagan w rodzinie Meary.

– Jak myślisz, co jest gorsze? Ta obojętność, której nigdy nie zrozumie, czy bałagan? To, że ojciec Meary uciekł, zabierając z sobą ostatnie pieniądze, które zostały po tym, jak roztrwonił wszystko, co mieli? Gorzej zostawić żonę z piątką dzieci czy nigdy nie interesować się własną córką?

– Myślę, że jedno i drugie może powalić człowieka na łopatki. A spójrz tylko na nie. Są takie silne i pełne odwagi.

Iona potknęła się, poślizgnęła i upadła pupą na moką ziemię. Meara pochyliła się i wyciągnęła do niej dłoń, ale Iona potrząsnęła głową, zacisnęła zęby. Przetoczyła się na bok, wybiła do góry i ruszyła naprzód, wymachując mieczem.

Connor wyszczerzył zęby w uśmiechu i klepnął siostrę w nogę.

– „I zapalczywą, chociaż wzrostem małą”³ ...

– Ponieważ to prawda, wybaczę ci cytat z angielskiego poety, kiedy ja trzymam na kuchni gulasz z guinnessem.

Myśli Connora natychmiast pobiegły ku jedzeniu.

– Gulasz z guinnessem, naprawdę?

– Naprawdę, i spory bochen chleba na zakwasie, z ziarnem słonecznikowym, które tak lubisz.

Jego oczy zaślniły, po czym zwięziły się nagle.

³ Szekspir, *Sen nocy letniej*, tłum. Leon Ulrich, akt 2, scena 3.

– I co będę musiał zrobić, żeby na to zasłużyć?

– Chciałabym, żebyś ze mną popracował, jak tylko będziesz miał wolny dzień.

– Oczywiście.

– Magia, którą przygotowaliśmy na przesilenie... Byłam taka pewna, że zadziała. Ale coś przeoczyłam, tak samo jak Sorcha, kiedy poświęciła samą siebie i zatrąła Cabhana te wszystkie wieki temu. Od tamtej pory każde z nas coś pomija. Musimy się dowiedzieć co.

– I dowiemy się. Ale nie możesz działać sama, Branna. To nie ty coś przeoczyłaś, tylko my wszyscy. Fin...

– Wiem, że muszę z nim pracować. I pracuję.

– Czy pomaga ci świadomość, że on cierpi tak samo, jak ty?

– Trochę. – Wspierała głowę na ramieniu brata. – Jakie to z mojej strony małostkowe.

– Ludzkie. Czarownica jest takim samym człowiekiem jak każdy, tata zawsze nam to powtarzał.

– Tak mówił.

Przez chwilę siedzieli obok siebie w ciszy, przerywanej jedynie brzękiem mieczy.

– Cabhan ma się coraz lepiej, prawda? – powiedziała cicho, tylko do niego. – Zbiera siły na następną rundę. Czuję... coś w powietrzu.

– Ja też to czuję. – Connor podążył spojrzeniem za wzrokiem siostry, ku głębokim, zielonym cieniom lasu. – Fin, jako jego potomek, wyczułby więcej. Wystarczy gulaszu dla wszystkich?

Branna westchnęła w sposób, który powiedział mu, że już dawno o tym pomyślała.

– Chyba tak. Zaproś ich – powiedziała, wstając – a ja się upewnię.

Connor ujął jej rękę i pocałował.

– Człowiek, jak każdy, jednak o wiele odważniejszy od wielu. Taka jest moja siostra.

– Myśl o gulaszu wprowadziła cię w sentymentalny nastrój.

– Jednak zanim weszła do domu, uścisnęła jego dłoń.

To nie była zasługa gulaszu, chociaż ten na pewno nie zaszkodził, po prostu Connor martwił się o siostrę bardziej, niż Branna mogła przypuszczać.

Nagle Iona zamarkowała ruch w lewą stronę, obróciła się i zaatakowała z prawej i teraz Meara potknęła się, poślizgnęła i wylądowała na mokrej trawie.

Iona natychmiast wydała zwycięski okrzyk i zaczęła skakać w koło z wysoko uniesionym mieczem.

– Świetna robota, kuzynko! – zawołał Connor, przekrzykując serdeczny, głośny śmiech Meary.

Iona ukloniła się nisko, po czym podskoczyła z piskiem, gdy przeciwniczka trzepnęła ją w pupę płasko ułożonym mieczem.

– Rzeczywiście dobra robota – pochwaliła – ale mogłam rozplatać cię na dwoje, kiedy ty tańczyłaś z radości. Następnym razem mnie dobij.

– Rozumiem, ale tylko jeszcze raz. – Iona znowu podskoczyła z okrzykiem. – Wystarczy. Odłożę miecze i pójdę się pochwalić Brannie.

– Masz czym.

Iona wzięła oba miecze, uniosła je wysoko w powietrze, jeszcze raz ukloniła się Connorowi i zniknęła w domu.

– Dobrze ją wyszkoliłaś – pochwalił Connor, podchodząc do Meary i podając jej kubek z resztką herbaty.

– Brawo dla mnie.

– Dałaś jej fory?

– Nie, chociaż zastanawiałam się nad tym, żeby zwiększyć jej zapach. Okazało się, że nie muszę. Zawsze była szybka, a teraz się uczy, jak być podstępna.

Pomasowała sobie pupę.

– A ja jestem mokra tam, gdzie nie byłam.

– Zajmę się tym. – Connor podszedł do niej bliżej, objął ją i przesunął lekko palcami po mokrym siedzeniu.

Poczuł ciepło i nie odejmował dłoni. Coś w jej oczach, pomyślał, coś jest w tych ciemnych, egzotycznych oczach. Już miał przyciągnąć ją do siebie, kiedy Meara cofnęła się o krok.

– Dzięki. – Dokończyła jego herbatę. – I za to też, chociaż nie miałabym nic przeciwko kieliszкови tego wina, które tak lubi Branna.

– W takim razie idź do domu i się poczęstuj. Właśnie miałem dzwonić, żeby zaprosić pozostałych, mamy gulasz z guinnessem i świeżo pieczony chleb.

– Powinam wracać do domu. – Obejrzała się na swoją furgonetkę. – Ostatnio prawie u was mieszkam.

– Branna potrzebuje swojego kręgu, Meara. Zrobisz mi przysługę, jeśli zostaniesz.

Obejrzała się przez ramię, jakby coś skradało się za jej plecami.

– Czy on już się zbliża?

– Nie jestem do końca pewien. Mam nadzieję, że Fin będzie wiedział więcej. Dlatego chodź do środka, na wino i gulasz, spędźmy ten wieczór razem.

Tak jak Connor się spodziewał, przyszli wszyscy. Kuchnia wypełniła się głosami, ciepłem przyjaźni. Kathel rozciągnął się przed kominkiem, a na kuchence pyркаł smaczny, gęsty gulasz.

Ponieważ guinness był już w potrawie, Connor zdecydował się na wino. Popijając, patrzył, jak jego najlepsza przyjaciółka uśmiecha się szeroko, kiedy Iona po raz kolejny odtwarzała swój moment chwały.

Kto by pomyślał, że Boyle McGraff zakocha się tak do szaleństwa, bez pamięci?, pomyślał. Małomówny mężczyzna, który większą uwagę zwracał na konie niż na kobiety. Wierny i lojalny przyjaciel, z awanturniczą duszą ukrytą pod wyuczoną samokontrolą.

I oto ów łatwo wpadający w gniew Boyle, z kłykciami pokrytymi bliznami, wpatrywał się jak w obraz w małą czarownicę, która umiała rozmawiać z końmi.

– Wyglądasz, jakbyś coś knuł – powiedziała Meara.

– Napawam się widokiem Boyle’a. Gdy patrzy na Ione, wygląda jak przerośnięty szczeniak.

– Pasują do siebie i będą wiedli razem szczęśliwe życie. Większości par to się nie udaje.

– Nie większości. – Zrobiło mu się przykro, ponieważ wiedział, że Meara naprawdę tak myśli. – Świat potrzebuje dopasowanych par, bo jak inaczej mógłby pójść naprzód? Życ tylko dla siebie? To byłoby bardzo samotne życie.

– Kiedy żyjesz tylko dla siebie, możesz chodzić, dokąd chcesz i nie musisz się zgadzać na kompromisy. Nie stajesz się jednym z dwojga tylko po to, żeby znowu zostać samemu jak palec, kiedy wszystko trafi szlag.

– Jesteś cyniczna, Meara.

– I dobrze mi z tym. – Posłała mu spojrzenie spod uniesionych brwi. – A ty jesteś romantykiem, Connor.

– I też mi z tym dobrze.

Roześmiała się swobodnie i zaczęła rozkładać serwetki na stole.

– Branna powiedziała, że każdy nakłada sobie sam, więc lepiej ustaw się w kolejce do garnka.

– Tak zrobię.

Najpierw jednak poszedł po wino, żeby dać sobie chwilę i trochę się otworzyć, sprawdzić, co wisi w powietrzu, zanim usiądą i będą jedli, rozmawiając o magii. O świetle i ciemności.

Gulasz był magią sam w sobie, ale w końcu Branna miała swoje sposoby.

– Boże, jakie to pyszne! – Iona wzięła kolejną dokładkę. – Muszę się nauczyć tak gotować.

– Dobrze sobie radzisz z przystawkami – powiedziała Branna – a Boyle jest niezłym kucharzem. On może się zająć gotowaniem, a ty walką na miecze.

– Może i tak. W końcu rozłożyłam Mearę na łopatki.

– Czy te przechwałki nigdy jej się nie znudzą? – zastanowiła się na głos Meara. – Coś mi się wydaje, że będę musiała rozłożyć cię na łopatki z tuzin razy, żeby przyćmić blask twojego zwycięstwa.

– Nawet to nie pomoże. – Iona uśmiechnęła się, po czym odchyliła na krześle. – Nie zrobiłaś tego specjalnie, prawda?

– Nie, absolutnie nie, ale teraz żałuję, przynajmniej wszyscy moglibyśmy się nad tobą litować.

– W takim razie wnieśmy toast. – Fin uniósł kieliszek.

– Za ciebie, *deifiur bheag*, wojowniczkę, z którą trzeba się liczyć. I za ciebie, *dubheasa* – zwrócił się do Meary – która ją stworzyłaś.

– Bardzo zgrabnie to ująłeś – mruknęła Branna i wypila.

– Czasami prawda jest zgrabna. A czasami nie.

– Zgrabna czy nie, to właśnie prawda jest nam potrzebna.

– W takim razie powiem wam, co wiem, choć nie jest tego wiele. Zraniliście go – powiedział Fin do Connora.

– Ty i ten chłopiec, Eamon. Ale Cabhan wraca do zdrowia. Wy troje też to czujecie.

– Zbiera siły – zgodził się Connor.

– To prawda. Gromadzi wokół siebie, w sobie, ciemność i czerń. Gdybym wiedział jak, moglibyśmy go powstrzymać, zanim w pełni wróci do formy, ale nie mam pojęcia, jak to zrobić.

– Czerwony kamień. Źródło jego mocy.

Fin skinął głową łonie.

– Tak, ale skąd go ma? Jak ten kamień został nią napełniony, jak można go zniszczyć? Jaką cenę zapłacił za niego Cabhan? Tylko on zna odpowiedzi, a ja nie mogę się przebić, żeby je poznać, nawet jego nie mogę znaleźć.

– Jest po drugiej stronie rzeki. Nie wiem, jak daleko – dodał Connor – ale nie na naszym brzegu, przynajmniej na razie.

– Zostanie tam, dopóki nie odzyska pełni sił. Gdybyśmy mogli go zaatakować, zanim odzyska to, co zabraliście mu razem z chłopcem, zniszczylibyśmy go. Wiem to. Ale chociaż szukałem, nie mogę znaleźć jego nory.

– Sam? – Głos Branny zadrżał z wściekłości. – Szukałeś go sam?

– To nie w porządku wobec nas, Fin – dodał ze złością Boyle.

– Poszedłem za zewem swojej krwi, czego żadne z was nie może zrobić.

– Jesteśmy kręgiem. – W głosie Iony, na jej twarzy, nie było gniewu, tylko rozczarowanie, które bolało znacznie bardziej. – Jesteśmy rodziną.

Przez chwilę wdzięczność Fina, jego żal i tęsknota były tak silne, że Connor nie mógł wszystkiego zablokować. Poczuł tylko odrobinę, ale to i tak wystarczyło, żeby się odezwał.

– Jesteśmy jednym i drugim, nic tego nie zmieni. Działanie w pojedynkę nie jest żadnym rozwiązaniem, ale sam o tym myślałem. I ty też – zwrócił się do Boyle'a. – Wszyscy o tym myślimy od czasu do czasu. Fin nosi stygmat, chociaż nie zrobił nic, żeby na niego zasłużyć. Kto z nas może szczerze powiedzieć, że gdyby był na jego miejscu, nie postąpiłby tak samo?

– Ja bym postąpiła. Connor ma rację – przyznała Meara. – Wszyscy byśmy tak zrobili.

– No dobrze. – Iona wyciągnęła rękę do Fina. – Tylko nie rób tego więcej.

– Zabrałbym z sobą ciebie i twój miecz dla ochrony, ale w niczym byście mi nie pomogli. Cabhan znalazł sposób, żeby się przede mną ukryć, i muszę jakoś to obejść.

– Będziemy więcej i ciężiej pracowali. – Branna wzięła kieliszek. – My też potrzebowaliśmy tego czasu po przesileniu, chociaż nie chowaliśmy się w ciemności, żeby lizać rany. Będziemy więcej pracować, razem i w pojedynkę, znajdziemy to, co przeoczyliśmy.

– Powinniśmy częściej się spotykać. – Boyle, nabierając gulasz na widelec, przesunął wzrokiem dookoła stołu.

– Nie musimy tutaj, chociaż Branna jest o wiele lepszą kucharką ode mnie. Możemy spotykać się też u Fina.

– Nie mam nic przeciwko gotowaniu – powiedziała szybko Branna. – Lubię to. Zresztą na ogół jestem w domu albo w warsztacie, więc nie ma problemu.

– Jednak byłoby lepiej, gdybyśmy wcześniej planowali te spotkania i mogli ci pomóc – uznała Iona, po czym również popatrzyła po twarzach przyjaciół. – A zatem, kiedy nasza szóstka spotka się znowu⁴?

⁴ Parafraza pierwszego zdania z *Makbeta* Szekspira.

– Teraz ty parafrazujesz angielskiego poetę. – Branna przewróciła oczami. – Za tydzień. Powinniśmy się spotykać przynajmniej raz w tygodniu i częściej, jeśli uznamy to za konieczne. Connor będzie pracował ze mną w wolne dni, ty, Iona, też powinnaś.

– Będę. Wolne dni, wieczory, kiedy tylko będzie trzeba.

Zapadła cisza, o kilka sekund zbyt długa.

– I ty, Fin. – Branna przełamała prawie nietkniętą kromkę na pół i ugryzła kęs chleba. – Kiedy będziesz mógł.

– Postaram się jak najczęściej.

– I tym razem odniesiemy zwycięstwo – podsumował Connor i wrócił do gulaszu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Connor śnił o chłopcu. Siedział wraz z nim w migoczącym blasku ogniska, otoczonego szarymi kamieniami. Była pełnia, biała kula księżyca pływała w morzu gwiazd. Czuł zapach dymu, ziemi i konia. Nie Alastara, tamtego dawnego ani tego teraz, tylko przysadzistej klaczy, która drzemała nieopodal.

Na gałęzi nad koniem czuwał sokół.

Connor słyszał odgłosy nocy, szepty, niesione przez wiatr.

Chłopiec siedział z brodą opartą na kolanach.

– Spałem – powiedział.

– Ja też. Czy to twoje czasy, czy moje?

– Nie wiem. Ale to mój dom. Twój też?

Connor spojrzał na ruiny chaty, na kamień znaczący grób Sorchy.

– Jest nasz tak samo, jak był jej. Co ty widzisz?

Eamon spojrzał na ruiny.

– Naszą chatę, taką, jaką opuszczaliśmy owego ranka, kiedy matka kazała nam odejść.

– Taką samą?

– Tak. Chciałem wejść do środka, ale drzwi są przede mną zamknięte.

Wiem, że mojej matki tam nie ma i że zabraliśmy wszystko, co należało zabrać, ale i tak chciałbym wejść do środka, jak gdyby ona nadal tam była, czekała na mnie przy ogniu.

Eamon wziął długi kij i zwyczajem chłopców zaczął grzebać nim w ognisku.

– A ty co widzisz?

Złamałby chłopcu serce, mówiąc, że widzi zarośnięte ruiny. I kamień nagrobny.

– A zatem ty jesteś w swoim czasie, a ja w moim. A mimo to... – Dotknął jego ramienia. – Czujesz moje palce.

– Czuję. Czyli śnimy, a jednak nie.

– Tym miejscem rządzi moc. Twojej matki i, niestety, Cabhana. Zraniliśmy go, ty i ja, więc dzisiaj go tu nie ma. Ile minęło dla ciebie czasu od naszego ostatniego spotkania?

– Trzy tygodnie i pięć dni. A dla ciebie?

– Mniej. Czyli czas nie biegnie tak samo. Dobrze się miewasz, Eamonie? Ty i twoje siostry?

– Dojechaliśmy do Clare i zbudowaliśmy w lesie małą chatę. – Oczy mu zabłyśły, gdy znów spojrzął na swój dom. – Użyliśmy magii. Rąk i pleców też, ale uznaliśmy, że dzięki magii będziemy bardziej bezpieczni. I suchsi

– dodał z cieniem uśmiechu. – Brannaugh uzdrawiała ludzi podczas podróży i teraz też to robi. Mamy kure, która znosi jajka, i możemy polować, wszyscy oprócz Teagan, ona nie zdoła wbić strzały w żywą istotę. Próbowwała, ale bardzo cierpi. Za to zajmuje się końmi i kurą. Trochę handlowaliśmy, oferowaliśmy pracę, uzdrawianie i napary za ziemniaki, rzepe, ziarno. Jak tylko będziemy mogli, zasiejemy własne zboże. Ja umiem siać, doglądać pola i zbierać plony.

– Przyjdź do mnie, jeśli będziecie czegoś potrzebowali. Może będę mógł wam dostarczyć jedzenie, koce czy co tam będzie potrzebne.

Zawsze jakaś pociecha, pomyślał Connor, dla smutnego, małego chłopca tak daleko od domu.

– Dziękuję ci, ale dobrze sobie radzimy i mamy jeszcze pieniądze, które

dali nam Ailish z Bardanem. Ale...

– O co chodzi? Postaram się spełnić każdą twoją prośbę.

– Czy mógłbyś dać mi coś swojego? Jakiś drobiazg, który zabrałbym z sobą? – Eamon wyciągnął dłoń, na której leżał kamyk biały jak śnieg. – Ja mam dla ciebie tylko ten kamień, ale jest ładny.

– To prawda. Nie wiem, czy coś mam. – Connor sięgnął do szyi i wyczuł rzemyk, na którym wisiał błękitny kamień. – To niebieskie tygrysie oko, zwane też okiem sokoła lub jastrzębia. Dał mi go mój ojciec.

– Nie mogę tego przyjąć.

– Możesz. Mój ojciec należał do twojej rodziny tak samo, jak ja. Ucieszyłyby się, wiedząc, że go nosisz. – Założył chłopcu na szyję wisiorek. – To uczciwa wymiana.

Eamon ujął kamień w palce i oglądał w blasku ognia.

– Pokażę go moim siostram. Były bardzo zdziwione i zadawały mnóstwo pytań, kiedy opowiedziałem im, jak cię spotkałem i jak razem przegoniliśmy Cabhana. I trochę mi zazdrościły. Chciałyby cię poznać.

– Ja je także. Może nadejdzie taki dzień. Czujesz jego obecność?

– Od tamtego dnia nie. Brannaugh powiedziała, że on teraz nie może nas dosięgnąć. Nie może przekroczyć własnych granic i dotrzeć do nas do Clare. Przyjedziemy z powrotem, jak dorośniemy i będziemy silniejsi. Wrócimy do domu.

– Wiem, że wrócicie, a do tego czasu będziecie bezpieczni.

– A ty go czujesz?

– Tak, ale nie dziś w nocy. Nie tutaj. Powinieneś odpocząć – powiedział Connor, widząc, jak Eamonowi opadają powieki.

– Zostaniesz ze mną?

– Tak, jak długo będę mógł.

Eamon zwinął się w kłębek i otulił krótkim płaszczem.

– Muzyka. Słyszysz? Słyszysz muzykę?

– Tak, słyszę. – Muzyka Branny. Pieśń pełna łez płynących prosto z serca.

– Jaka piękna – szepnął Eamon, odpływając w sen.

– Smutna i piękna. Kto to gra?

– Miłość.

Connor pozwolił chłopcu spać i patrzył w ogień, dopóki nie obudził się we własnym łóżku, a promienie słońca sączyły się przez okno.

Otworzył zaciśniętą dłoń i zobaczył w niej biały, gładki kamyk.

Pokazał go Brannie, kiedy zeszła do kuchni na poranną kawę. Z jej oczu natychmiast zniknęła senna mgła.

– Kamień wrócił z tobą.

– Obaj tam byliśmy, Eamon i ja, równie realni, jak my teraz tutaj, ale każdy z nas pozostał we własnym czasie. Dałem mu oko sokoła, które dostałem od taty. Pamiętasz je?

– Oczywiście. Nosileś je, jak byłeś chłopcem. Wisi na lustrze w twoim pokoju.

– Już nie. Nie miałem go przy sobie, w ogóle nic na sobie nie miałem, kiedy kładłem się wieczorem do łóżka, ale we śnie byłem ubrany i miałem wisiołek na szyi. Teraz nosi go Eamon.

– Każdy w swoim czasie. – Otworzyła drzwi Kathelowi, który wrócił z porannej przebieżki. – A mimo to siedzieliście razem, rozmawialiście z sobą. A to, co ci dał Eamon, wróciło z tobą ze snu. Musimy się dowiedzieć, jak to wykorzystać.

Branna otworzyła lodówkę i kiedy wyjęła masło, jajka i bekon, Connor wiedział, że jego opowieść oraz ukryta w niej zagadka zapewnią mu

śniadanie.

– Słyszeliśmy, jak grasz.

– Słucham?

– Tam, na polanie. Słyszeliśmy cię. Eamon był taki śpiący, że powieki same mu opadały, ale dotarła do nas twoja muzyka. Zasnął, słuchając twoich skrzypiec. Grałaś wczoraj w nocy?

– Tak, grałam. Nie mogłam spać.

– Słyszeliśmy cię. Dotarła do nas z twojego pokoju.

Dostrzegł drgnienie na twarzy siostry.

– Nie byłaś w swoim pokoju. W takim razie gdzie?

– Musiałam zaczerpnąć świeżego powietrza. Poszłam tylko na pole za domem. Czułam, że bez powietrza i muzyki nie będę mogła oddychać.

– Tak bardzo bym chciał, żebyś znalazła sposób, by wyprostować sprawy z Finem.

– Connor, przestań. Proszę.

– Kocham was oboje. Tylko tyle chciałem powiedzieć.

– Krążył po kuchni, ściskając w dłoni kamyk. – Na jawie pole byłoby za daleko od polany, żebyśmy usłyszeli, jak grasz.

Nie przestawał chodzić, a Branna kroїła chleb i wbijała jajka na patelnię.

– Jesteśmy z sobą związani. My troje, ich troje. Eamon słyszał twoją muzykę. Ja rozmawiałem z nim już dwa razy, a Iona widziała Teagan.

– A ja ani nie widziałam, ani nie rozmawiałam z żadnym z nich.

Connor nalał sobie kawy.

– Eamon wspomniał, że jego siostry też są zazdrosne.

– Nie jestem zazdrosna. No dobrze, może trochę. Ale bardziej sfrustrowana i może też lekko urażona.

– On zabrał twoją muzykę z sobą i uśmiechał się przez sen, chociaż wcześniej był smutny.

– W takim razie uznam, że to już coś. – Przełożyła na talerz bekon i jajka, podała jedzenie Connorowi.

– Ty nie jesz?

– Tylko grzankę z kawą.

– W takim razie dzięki.

– Możesz mi odpłacić przysługą. – Wyjęła z tosterka dwie grzanki, jedną położyła na talerzu brata, drugą wzięła sobie. – Noś przy sobie kamyk, który od niego dostałeś.

Connor wyjął kamyk z kieszeni.

– Noś go przy sobie, Connor, tak jakbyś nosił amulet. On ma w sobie moc.

Postawiła talerz z grzanką i kawą na stole i czekała, aż brat usiądzie obok niej.

– Nie jestem pewna, czy to kwestia intuicji czy wiedzy, ale czuję, że jest w nim moc. Dobra magia, dzięki temu, w jakich okolicznościach i od kogo go dostałeś.

– Dobrze, będę go nosił. Mam nadzieję, że oko sokoła też przyda się Eamonowi i jego siostrze.

Praca Connora nie polegała tylko na spacerach z zafascynowanymi turystami czy oprowadzaniu wycieczek szkolnych. Właściwie większość czasu zajmowały mu treningi i opieka nad ptakami. Czyścił klatki, zmieniał wodę, dbał o wagę i urozmaiconą dietę swoich skrzydlatych podopiecznych, towarzyszył sokołom, gdy werandowały pod wiatą, gdzie mogły czuć powiew i zapach świeżego powietrza. Connor był dumny z kondycji, zachowania i niezawodności swoich ptaków – tych, które pomagał

wychowywać od pisknięcia, i tych, które już jako dorosłe osobniki znalazły u nich schronienie.

Nie miał nic przeciwko sprzątanu kup czy spędzaniu długich godzin na delikatnym suszeniu mokrych ptasich piór i treningach.

Jednak najtrudniejszym elementem jego pracy zawsze była ta chwila, gdy sprzedawał innemu sokolnikowi ptaka, którego wyszkolił.

Jak zostało umówione, czekał na klienta na polu, odległym około dziesięciu kilometrów od szkółki. Rolnik, którego Connor dobrze znał, pozwalał mu tutaj przychodzić z młodymi sokołami, żeby ptaki pofruwały na otwartej przestrzeni.

Connor zawołał ładną samiczkę Sally i przywiązał do swojej rękawicy, żeby przejść się ze swoją podopieczną i chwilę porozmawiać.

– Fin spotkał się z kobietą, która chciałaby cię wziąć, i widział twój nowy dom. Oczywiście pojedziesz z nią, jeśli przypadniecie sobie do gustu. Ona przyjeżdża do nas aż z Clare. Podobno ma piękny dom i wspaniałe klatki. Też przeszła szkolenie, tak jak ty. Będiesz jej pierwszym sokołem.

Sally spojrzała na niego złotymi oczami i otarła dziób o jego pięść.

Connor popatrzył na eleganckie BMW, które zjechało z drogi i zaparkowało za jego furgonetką.

– To ona. Mam nadzieję, że będziesz grzeczna i zrobisz na niej dobre wrażenie.

Sam przybrał profesjonalny wyraz twarzy, chociaż brwi podjechały mu lekko do góry, kiedy z samochodu wysiadła smukła blondynka o urodzie gwiazdy filmowej.

– Pani Stanley?

– Megan Stanley. Connor O’Dwyer?

Kolejnym zaskoczeniem był jej amerykański akcent. O tym również Fin

nie wspomniał.

– Miło nam cię poznać.

Sally, zgodnie z poleceniem, zachowywała się grzecznie, stała cicho i obserwowała rozwój sytuacji.

– Nie wiedziałem, że jesteś Amerykanką.

– Do szpiku kości. – Uśmiechnęła się, podchodząc do Connora, który przyznał jej kilka punktów za to, że najpierw przyjrzała się Sally. – Ale mieszkam w Irlandii już prawie pięć lat i zamierzam tu zostać. Ona jest piękna.

– To prawda.

– Fin mówił, że sam ją wychowałeś i wyszkoliłeś.

– Urodziła się w szkółce zeszłej wiosny. Jest bardzo bystra, rozwijała się błyskawicznie. Od razu wskoczyła na rękawicę i spojrzała na mnie, jakby pytała: „No dobra, to co teraz?”. Mam z sobą jej dokumenty, opis stanu zdrowia, wagi, karmienia, historii szkolenia. Zajmowałeś się sokolnictwem w Ameryce?

– Nie. Przeprowadziliśmy się z mężem do Clare, na obrzeża Ennis i okazało się, że nasz sąsiad ma dwa sokoły Harrisa. Jestem fotografem, zaczęłam robić im zdjęcia i coraz bardziej się nimi interesowałam. Sąsiad mnie uczył, pomógł zaprojektować klatki, wiatę, kupić wyposażenie. Według niego nie mogłam nawet myśleć o posiadaniu ptaka bez co najmniej roku przygotowań.

– Tak jest najlepiej dla wszystkich zainteresowanych.

– Zajęło mi to dłużej niż dwa lata, ponieważ musiałam zrobić sobie przerwę, kiedy mąż wrócił do Stanów po naszym rozwodzie.

– To... musiało być ci ciężko.

– Nie tak bardzo, jak się spodziewałam. W Clare znalazłam swoje

miejsce i pasję. Sokoły. Zrobiłam dokładny wywiad, zanim skontaktowałam się z Finbarem Burke'em. Ty i twój partner macie doskonałą opinię.

– Fin jest moim szefem, ale...

– On to ujął inaczej. „Jeśli chodzi o sokoły lub inne drapieżniki, potrzeba ci oka, ucha, ręki i serca Connora O'Dwyera”. – Znowu się uśmiechnęła, a jej twarz gwiazdy filmowej zajaśniała. – To chyba dokładny cytat. Bardzo bym chciała zobaczyć, jak ona lata.

– Po to tu jesteśmy. Nazwałam ją Sally, ale jeśli się polubicie, możesz ją nazwać, jak będziesz miała ochotę.

– Nie ma dzwonek ani nadajnika?

– Tutaj ich nie potrzebuje, zna te pola. – Connor odwiązał linkę. – Ale w Clare ci się przydadzą.

Poruszył lekko ramieniem, a Sally rozłożyła skrzydła, uniosła się i poszybowała.

W oczach Megan zobaczył to, co chciał zobaczyć. Szacunek, który był też rodzajem miłości.

– Widzę, że masz przy sobie rękawicę. Włóż ją i zawołaj Sally.

– Nie wzięłam przynęty.

– Ona jej nie potrzebuje. Jeśli postanowiła dać ci szansę, przyleci.

– Teraz zaczynam się denerwować. – Słysząc to było w jej śmiechu, gdy wyjęła rękawicę z kieszeni kurtki i ją włożyła. – Od jak dawna się tym zajmujesz?

– Całe życie. – Connor obserwował ptaka, posyłając mu swoje myśli. Przyleć do niej, jeśli chcesz z nią zostać.

Sally zatoczyła koło, zanurkowała. I, śliczna jak obrazek, wylądowała na rękawicy Megan.

– Och, ty ślicznotko. Fin miał rację. Nie wracam bez niej do domu.

I, pomyślał Connor, on już nigdy jej nie zobaczy.

– Chcesz zobaczyć, jak poluje?

– Tak, oczywiście.

– Tylko po to, żeby dać jej znać, że może. Nie rozmawiasz z ptakami?

– Rozmawiam. – Teraz uśmiechnęła się z powątpiewaniem. – Na ogół się do tego nie przyznaję. No dobrze, Sally – nie będę zmieniała jej imienia – możesz polować.

Sokół wzbił się wysoko w powietrze i zaczął krążyć, a Connor ruszył z Megan po polu.

– A co przywiodło cię do Irlandii, do Clare? – zapytał.

– Próba ocalenia małżeństwa, która i tak się nie powiodła. Ale myślę, że ocalałam siebie, i z tego powodu jestem szczęśliwa. Teraz mieszkamy tylko we dwoje, Bruno i ja.

– Bruno?

– Mój pies. Słodki kundel, który pojawił się na moim progu kilka lat temu, wyliniały, kulejący i na wpół zagłodzony. Zaadoptowaliśmy siebie nawzajem. Jest przyzwyczajony do sokołów, nie zaczepia ptaków sąsiada.

– Pies jest zaletą na polowaniu. Chociaż, jak widać, ona nie potrzebuje pomocy. – Gdy mówił, Sally zapikowała, szybka jak pocisk. Mignęły szpony, a Megan syknęła cicho.

– Nigdy się do tego nie przyzwyczaję. Bóg, świat, czy w cokolwiek wierzysz, stworzył je, by polowały, ale patrząc na to, zawsze czuję się nieswojo. Minęło też trochę czasu, zanim przyzwyczaiałam się do karmienia ptaków, kiedy się pierzą, ale mam to już za sobą. Zawsze mieszkałeś w Mayo?

– Tak, zawsze.

Gawędzili niezobowiązująco – o pogodzie, sokołach, pubie w Ennis,

który Connor dobrze znał – podczas gdy Sally posilała się małym zającem.

– Już się w niej zakochałam. – Megan uniosła ramię, a sokół natychmiast do niej przyleciał. – Oczywiście jestem przejęta i podekscytowana, ale myślę, że naprawdę przypadłyśmy sobie do gustu. Pozwolisz mi ją zabrać?

– Umówiłaś się z Finem.

– Tak, ale on powiedział, że ostatnie słowo należy do ciebie.

– Megan, ona już jest twoja. – Przeniósł wzrok z sokoła na kobietę. – Inaczej nie przyleciałaby do ciebie po polowaniu. Chcesz teraz ją zabrać?

– Tak, tak. Przywiozłam wszystko z sobą, na wypadek gdyby mi się poszczęściło. Miałam wziąć też Brunona, ale pomyślałam, że przed wspólną podróżą samochodem powinni się lepiej poznać.

Popatrzyła na Sally i się roześmiała.

– Mam sokoła.

– A ona ma ciebie.

– Ona ma mnie. I chyba zawsze będzie też trochę twoja, więc czy miałbyś coś przeciwko temu, gdybym zrobiła wam kilka zdjęć?

– Oczywiście, że nie.

– Mam aparat w samochodzie. – Podała Sally Connorowi, pobiegła do auta i wróciła z okazałym nikonem.

– Imponujący sprzęt.

– Jestem w tym całkiem niezła. Wejdź na moją stronę i sam zobacz. Zrobię wam kilka ujęć, dobrze? – ciągnęła, sprawdzając ustawienia i światło.

– Zrelaksuj się, nie chcę żadnej wystudiowanej pozy. Młody irlandzki bóg z Sally, królową sokołów.

Connor się roześmiał, a Megan szybko zrobiła trzy zdjęcia.

– Idealnie. Jeszcze jedno, jak na nią patrzysz.

Posłusznie spojrział na Sally. Będziesz z nią szczęśliwa, zapewnił ptaka. Ona na ciebie czekała.

– Wspaniale. Dzięki. – Megan powiesiła aparat na szyi. – Wyślę ci najlepsze mejlem, jeśli chcesz.

– Tak, poproszę. – Connor wyjął wizytówkę, na szczęście pamiętał, żeby schować kilka do tylnej kieszeni spodni.

– A ty weź moją. Jest na niej adres mojej strony, a z tyłu napisałam mój prywatny e-mail, na wypadek gdybyś miał jakieś pytania co do... Sally.

– Doskonale. – Wsunął wizytówkę do kieszeni.

Pomógł Megan umieścić Sally w transporterze i wsiadł do furgonetki. – Doskonale? Tylko tyle masz do powiedzenia? – Ruszając, wznosił oczy do nieba. – Co się z tobą dzieje, O'Dwyer? Ta kobieta jest piękna, samotna, bystra i zakochana w sokołach. I zostawiła ci furtkę, otwartą na oścież. Ale czy ty wszedłeś? Nie. Powiedziałeś „doskonale” i zignorowałeś otwarte drzwi.

Czy była to tylko kwestia rozproszonej uwagi, świadomości, że muszą zrobić to, co do nich należy, a nie mają pojęcia kiedy? Przecież to zawsze nad nim wisiało, prawda? I nigdy nie przeszkadzało mu w manewrach miłosnych.

Czy sytuacja tak bardzo się zmieniła po przesileniu? Connor wiedział, że nigdy tak bardzo się nie bał jak wtedy, kiedy patrzył na płonące ręce Boyle'a, na Ionę, leżącą na ziemi, całą we krwi i siniakach. Kiedy wiedział, że życie ich wszystkich zależy od nich samych.

No cóż, pomyślał, może lepiej, żeby dał sobie spokój z manewrami jeszcze przez jakiś czas. Nie ma żadnego powodu, dla którego nie mógłby skorzystać z tej furtki w późniejszym terminie.

Na razie musiał zajrzeć do stadniny, dać znać Finowi, że dobił targu. Poza tym czekała na niego siostra, skoro miał dzisiaj – przynajmniej w teorii

– wolny dzień.

Zaparkował przy stajniach obok domu Fina, kamiennego budynku z jacuzzi wielkim jak staw na tylnym tarasie i pokojem na drugim piętrze, w którym gospodarz trzymał magiczną broń, książki i wszystko inne, co mogłoby się przydać czarownikowi – zwłaszcza takiemu, który zamierzał za wszelką cenę zniszczyć złego czarnoksiężnika, od którego pochodził.

Obok budynku stał garaż, nad którym mieszkał Boyle – a wkrótce miała tam zamieszkać też Iona. Dalej była stodoła dla koni, które trzymali w celach rozrodczych lub do pracy w stadninie.

Kilka ogierów skubało teraz trawę na padoku znajdującym się za torem do skoków i nauki.

Connor z zaskoczeniem zauważył Meare, prowadzącą jednego z wierzchowców.

Wysiadł z furgonetki, żeby przywitać się z Robalem, wesołym kundlem, który zadomowił się w stodole, po czym pozdrowił Meare.

– Chciałem porozmawiać z Finem, nie spodziewałem się, że spotkam tu ciebie.

– Przyszłam po Rufusa. Cezar miał dzisiaj pracować, ale Iona mówi, że naciągnął sobie tylną lewą nogę.

– Mam nadzieję, że to nic poważnego.

– Ona mówi, że nie. – Owinęła wodze Rufusa wokół słupka płotu. – Ale uznaliśmy, że damy mu wolne i będziemy go obserwować. Fin gdzieś tu się kręci. Myślałam, że masz dzisiaj wolne.

– Mam, ale byłem umówiony z klientem na polu Mulligana. Sprzedałem Sally, tę, która urodziła się zeszłej wiosny.

– I z tego powodu jesteś trochę nadąsany?

– Nie jestem.

– Odrobinę. – Meara pochyliła się i podrapała Roba– la za uszami. – Ciężko jest oddać żywe stworzenie, które wychowałeś i zdążyłeś się do niego przywiązać. Ale nie możesz ich wszystkich zatrzymać.

– Wiem o tym. – Chociaż wolałby, żeby było inaczej.

– Poza tym przypadły sobie do gustu. Ona od razu spodobała się Sally, widziałem to.

– Ona?

– Amerykanka, która przeprowadziła się tutaj kilka lat temu i zamierza zostać, chociaż jej mąż, teraz już były, wrócił do Stanów.

Meara uśmiechnęła się i uniosła brwi.

– Atrakcyjna, co?

– Tak. Dlaczego pytasz?

– Słysząc to w twoim głosie. Mieszka gdzieś blisko?

– Nie, w Clare. Nadal nie bardzo może się pogodzić z polowaniem, ale ma dobrą rękę i serce do sokołów. Chciałem dać znać Finowi, że dobiliśmy targu i jadę do domu popracować z Branną, jak jej obiecałem.

– Ja też się zbieram. – Meara odwiązała Rufusa. – Zobaczysz się z Branną prędzej niż ja, więc jej powiedz, że Iona chce jechać do Galway City, poszukać sukni ślubnej.

– Przecież ślub jest dopiero za kilka miesięcy.

– Tylko za sześć, a panna młoda najpierw musi mieć suknię, zanim zajmie się całą resztą.

– Myślisz, że zamieszkają tutaj?

Meara zdjęła nogę ze strzemięcia i spojrzała na mieszkanie Boyle'a nad garażem.

– A gdzie indziej? Nie wydaje mi się, żeby na dłuższą metę mogli się gnieździć we dwójkę w pokoju Iony.

Connor zdał sobie sprawę, że będzie za nią tęsknił – a właściwie za nimi. Będzie mu brakowało rozmów przy śniadaniu i przed snem, które prowadzili, kiedy Boyle i Iona nocowali u nich w domu.

– Mieszkanie Boyle’a jest większe od pokoju Iony, ale na pewno nie jest wystarczająco duże dla rodziny z dziećmi.

– Wybiegasz sporo naprzód – zauważyła Meara.

– Znając Boyle’a i Ionę, to raczej nie. – Odruchowo pogłaskał konia, patrząc na budynki, które Fin postawił dla siebie i pracowników. – Będą chcieli mieć własny dom, a nie tylko kilka pokoi nad garażem.

– Nie zastanawiałam się nad tym. Coś wymyślą. – Wskoczyła na Rufusa. – Na razie Iona zajmuje się sukniami ślubnymi i bukietami, tak jak powinna. A oto i Fin z Aine.

Spojrzała na piękną, młodą białą klacz, którą Fin wyprowadził ze stodoły.

– Już niedługo sama zostanie panną młodą, kiedy skojarzą ją z Alastarem.

– Nie dla niej biała suknia i bukiet.

– Ale dostanie ćwiek. Nam, dziewczynom, czasami to wystarcza.

Meara odjechała, a Connor, śmiejąc się, patrzył, jak wprowadziła Rufusa w elegancki galop, po czym podszedł do Fina.

Jego przyjaciel ukucnął, by pogłaskać Robalą, i uśmiechnął się, kiedy pies zaczął merdać ogonem i kręcić się, wydając radosne pomruki.

Connor wiedział, że Fin rozmawia z Robalem tak, jak on sam rozmawiał z sokołami, Iona z końmi, a Branna z psami. Cokolwiek płynęło we krwi przyjaciela, sprawiało, że Fin potrafił rozmawiać ze wszystkimi zwierzętami.

– Skarzy się na coś? – zapytał Connor.

– Nie, ma tylko nadzieję, że nie zapomniałem tego.

– Z kieszeni skórzanego płaszcza wyjął małe psie ciastko. Robal usiadł i wpatrywał się w Fina błagalnym wzrokiem.

– Dobry z ciebie psiak, a tu masz nagrodę.

Robal delikatnie wziął ciastko w zęby, po czym oddalił się truchtem, z wyrazem triumfu na pysku.

– Niewiele trzeba, żeby go uszczęśliwić – zauważył Connor.

– Cóż, uwielbia swoje życie i nie zamieniłby go na żadne inne. Szczęśliwy człowiek, który czuje to samo.

– A ty jesteś szczęśliwy, Fin?

– W niektóre dni. Potrzeba jednak czegoś więcej niż twardy herbatnik i posłanie w stodołę, żeby mnie zadowolić. I w sumie mam więcej – dodał, gładząc Aine po szyi.

– Ona jest bez wątpienia najpiękniejszą klaczą, jaką kiedykolwiek widziałem.

– I doskonale o tym wie. Zresztą, skromność pięknej kobiety zwykle jest fałszywa. Mam zamiar zabrać ją do Alastara, niech rzucą na siebie okiem. Jak ci się podobała Megan?

– Kolejna piękność. Przypadły sobie z Sally do gustu. Zapłaciła mi od ręki. – Podał Finowi czek.

– Przypuszczałem, że się polubią. – Fin skinął głową i nawet nie spojrział na czek, tylko od razu schował go do kieszeni. – Za miesiąc lub dwa wróci po następnego sokoła.

Connor się uśmiechnął.

– To samo pomyślałem.

– A ty? Wybierasz się z wizytą do Clare?

– Przeszło mi to przez myśl, ale chyba nie i jedyny powód, jaki przychodzi mi do głowy, jest taki, że zbyt wiele innych spraw zaprzęta mi

myśli. – Connor przeczesał palcami potargane wiatrem włosy. – Każdego ranka budzę się, myśląc o tym, co nas czeka, i o nim. Nigdy wcześniej tak nie było.

– Zraniliśmy go, ale on nas też. Mało brakowało, a nie zdążylibyśmy na czas do Iony. Żadne z nas tego nie zapomni. Daliśmy z siebie wszystko, a to i tak nie wystarczyło. On również o tym nie zapomni.

– Przy następnej rundzie będziemy mieli więcej. Jadę popracować z Branną. – Położył lekko dłoń na ramieniu Fina. – Powinieneś jechać ze mną.

– Nie dzisiaj. Nie będzie zadowolona z mojej obecności, jeśli mieliście pracować tylko we dwoje.

– Branna nie pozwoli, żeby jej uczucia przeszkodziły nam w zrobieniu tego, co do nas należy.

– Masz absolutną rację – zgodził się Fin i wskoczył na siodło. Pozwolił Aine na krótki taniec. – Musimy żyć, Connor. Bez względu na to, z powodu tego, obok tego. Musimy żyć najlepiej, jak umiemy.

– Myślisz, że on nas pokona?

– Nie, nie pokona was.

Connor złapał konia za uzdę i spojrzał w chmurne, zielone oczy przyjaciela.

– Nas. Zawsze jesteśmy i będziemy „my”.

Fin skinął głową.

– On nie wygra. Ale przed bitwą, która będzie brutalna i krwawa, musimy żyć. Być może wybrałbym inne życie, gdybym miał możliwość, lecz ponieważ nikt nie dał mi wyboru, chcę jak najlepiej korzystać z tego, które mam. Wkrótce do was przyjadę.

Popuścił Aine cugle i odjechał z tętentem kopyt.

Connor, w nieco melancholijnym nastroju, pojechał prosto do domu. Z

okien pracowni Branny sączyło się światło, odbijało się od kolorowych butelek, w których przechowywała swoje kremy i balsamy, serum i napary, stojących na półkach obok moździerzy z tłuczkami, narzędzi, świec i roślin.

Kathel leżał rozciągnięty pod blatem, przy którym siedziała Branna, zatopiona w grubej księdze, niegdyś należącej do Sorchy.

Jeszcze jedna piękność, pomyślał Connor – był nimi. otoczony – z ciemnymi, spiętymi teraz włosami, w swetrze z podwiniętymi rękawami. Jej oczy, szare jak dym unoszący się z komina, spojrzały na niego.

– Jesteś nareszcie. Spodziewałam się ciebie wieki temu. Minęło pół dnia.

– Musiałem załatwić kilka spraw, o czym wyraźnie cię uprzedziłem.

Branna uniosła brwi.

– Co cię ugryzło?

– W tej chwili gryziesz mnie ty.

Nie, jednak nie był w melancholijnym nastroju. Był po prostu zły. Podszedł do słoja, stojącego na blacie, w którym zawsze leżały ciastka, i trochę złagodniał na widok miękkich biszkoptów z cukrem i cynamonem.

– Przyjechałem najszybciej, jak mogłem. Musiałem sfinalizować sprzedaż sokoła.

– Czy to był twój ulubiony... nieważne, one wszystkie są ulubione. Musisz być realistą, Connor.

– Jestem cholernym realistą. Sprzedałem sokoła, a nabywczym była piękna, wolna i zainteresowana. Jestem takim pieprzonym realistą, że wiedziałem, że gdybym nie musiał wracać do ciebie i tego wszystkiego, miałbym niezłe bzykanie.

– Jeśli bzykanie jest takie cholerne ważne, to idź i się bzykaj – odwarknęła Branna, mrużąc oczy. – Wolę pracować sama niż z tobą, kiedy

jesteś taki wściekły i napalony.

– Problem w tym, że nie jest takie cholernie ważne i nie było takie cholernie ważne od przesilenia. I to mnie martwi. – Wepchnął jedno ciastko do ust, a drugim wymachiwał w powietrzu.

– Zrobię ci herbatę.

– Nie chcę żadnej pieprzonej herbaty. Tak, chcę.

– Opadł na wysoki stołek i pogłaskał Kathela, który oparł ogromny łeb o jego nogę. – Nie chodzi tylko o bzykanie, kobietę czy sokoła. Chodzi o wszystko. Wszystko razem wzięte i dzisiaj mnie to dopadło.

– Bywają dni, że mam ochotę wleźć na dach i zacząć wrzeszczeć. Na wszystko i wszystkich.

Uspokojony nieco Connor ugryzł drugie ciastko.

– Ale tego nie robisz.

– Jeszcze nie, chociaż nigdy nic nie wiadomo. Napijemy się herbaty, a potem do pracy.

Connor skinął głową.

– Dzięki.

Podchodząc do kuchenki, Branna przesunęła lekko palcami po jego plecach.

– Dopóki to wszystko się nie skończy, będziemy mieli dobre i złe dni, ale musimy żyć najlepiej, jak potrafimy.

Connor wpatrywał się w tył głowy siostry, gdy nastawiała wodę w czajniku, i postanowił nie mówić Brannie, że Fin powiedział dokładnie to samo.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Connor chciał pójść do pubu. Miał dosyć magii, zaklęć i mieszania naparów. Potrzebował światła, muzyki, rozmów, które nie dotyczyły czerni i bieli, końca wszystkiego, co znał.

Końca wszystkiego, co kochał.

I może, tylko może, gdyby Alice akurat była na miejscu, sprawdzilby, czy nadal ma na niego ochotę.

Przecież mężczyzna potrzebuje odskoczni, kiedy cały jego świat wisi na włosku. Trochę zabawy, ciepła. Cudownego, cudownego głosu jęczącej pod nim kobiety.

Ale przede wszystkim mężczyzna musiał uciekać, kiedy w jego domu trzy najważniejsze kobiety jego życia postanowiły urządzać sabat – oczywiście cenił swoją skórę na tyle, żeby nigdy nie użyć tego słowa w ich obecności – i planować ślub.

Jednak kiedy tylko wyszedł za próg, zdał sobie sprawę, że wcale nie ma ochoty na pub, tłum i Alice. Wyjął telefon i idąc do furgonetki, napisał SMS do Fina.

„Dom pełen bab i gadania o ślubie. Jeśli tam jesteś, jadę do ciebie”.

Zdażył przekręcić kluczyk, kiedy Fin odpisał:

„Przybywaj, biedny sukinsynu”.

Connor roześmiał się i pojechał.

Dobrze mu to zrobi, uznał, po prawie całym dniu spędzonym z siostrą przy książkach i magii. Wizyta w domu mężczyzny, czas spędzony tylko w męskim gronie. Na pewno uda im się zwabić Boyle’a, wypiją kilka piw, może pograją w snookera w pokoju zabaw Fina.

Rodzaj antidotum na długi i niezbyt satysfakcjonujący dzień.

Jechał bocznymi drogami, wijącymi się przez gęste, zielone lasy, a wokół niego zapadał miękki wieczór. Zobaczył lisa, który zniknął w zieleni, trzymając w pysku jeszcze drgającą ofiarę.

Connor dobrze wiedział, że natura jest równie piękna, jak okrutna.

Żeby lis mógł przeżyć, polna mysz musiała umrzeć. Taki był porządek rzeczy. A żeby oni mogli przetrwać, Cabhan musiał zginąć. Dlatego Connor, który nigdy nie wdawał się w bójkę, jeśli mógł jej uniknąć, i nigdy nikogo celowo nie skrzywdził, zabije tamtego bez wahania czy poczucia winy. Zabije, musiał przyznać, z jakąś potworną przyjemnością.

Jednak dziś wieczorem nie będzie myślał o Cabhanie ani o zabijaniu i przetrwaniu. Dzisiaj spędzi czas w towarzystwie kumpli, przy piwku i snookerze.

Mniej niż pół kilometra od domu Fina silnik furgonetki zakaszłał, zaciął się i zgasł.

– No jasna dupa!

Miał benzynę, ponieważ zatankował do pełna nie dalej jak wczoraj, a miesiąc temu oddał samochód na przegląd generalny.

Furgonetka powinna chodzić jak złoto.

Mruczając pod nosem, wyjął latarkę ze schowka i wysiadł, żeby zajrzeć pod maskę.

Znał się trochę na silnikach – tak jak znał się na hydraulice, stolarce, budowlance i elektryce. Gdyby nie skradły mu serca sokoły, mógłby otworzyć własną firmę jako złota rączka.

Przesunął światłem latarki po silniku, sprawdził połączenia akumulatora i gaźnik. Strzelił palcami, by przekręcić kluczyk w stacyjce, i patrzył na silnik, który próbował zaskoczyć z irytującym i dziwnym chrzęstem.

Tyle że Connor nie dostrzegł żadnych usterek.

Oczywiście mógłby rozwiązać problem kolejnym ruchem ręki i być już w drodze do kumpli, piwa i ewentualnego snookera, ale to była kwestia dumy.

Sprawdził przewody pompy paliwa, jeszcze raz obejrzał akumulator i dlatego nie zauważył mgły skradającej się po ziemi.

– To ci dopiero zagadka.

Rozpostarł palce nad silnikiem, żeby go zeskanować

– w ramach kompromisu, zanim zupełnie się podda.

I poczuł w powietrzu niemiłą woń.

Obrócił się powoli i zobaczył, że stoi po kostki we mgle, która zrobiła się lodowata. Nadciągnęły cienie, czarne zasłony kryjące drzewa, drogę, świat. Zniknęło za nimi nawet niebo.

Cabhan przyszedł jako człowiek, czerwony kamień na jego szyi lśnił w gęstej i niespodziewanej ciemności.

– Jesteś sam, młody Connorze.

– Ty też.

Czarnoksiężnik rozłożył z uśmiechem dłoń.

– Jestem ciekaw. Nie potrzebujesz takich maszyn jak ta, żeby podróżować z miejsca na miejsce, wystarczy, że...

Teraz rozłożył ramiona, uniósł je i przesunął się pół metra w przód, wyglądając przy tym, jakby wcale się nie ruszał.

– Tacy jak my za bardzo szanują nasz dar i umiejętności, żeby używać ich do błahostek. Mam nogi do chodzenia, a w razie potrzeby furgonetkę lub konia.

– A jednak stoisz tutaj sam na drodze.

– Niedaleko mam przyjaciół i rodzinę. – Chociaż kiedy spróbował ich wezwać, poczuł, że nie może ich dosięgnąć, nie może się przebić przez grubą

ścianę mgły. – A ty co masz, Cabhanie?

– Moc. – Wymówił to słowo z pełnym chciwości szacunkiem. – Moc, jakiej nie jesteś w stanie nawet pojąć.

– I norę za rzeką, gdzie się chowasz, sam, w ciemności. Wolę ciepły, jasny ogień i kwartę piwa z przyjaciółmi i rodziną.

– Jesteś z nich najsłabszy. – Litość kapała z jego słów niczym deszcz w ponury dzień. – Wiesz o tym tak samo dobrze, jak oni. Dobry do śmiechu i pracy, ale najsłabszy z trojga. Twój ojciec wiedział o tym i dlatego przekazał wszystko twojej siostrze, przedłożył dziewczynkę nad swojego jedyne syna.

– Myślisz, że to czyni mnie słabszym?

– Wiem to. Co ty masz? Błyskotkę, którą dostałeś na pocieszenie. Masz mniej, jesteś gorszy, nadworny błazen, służący tym, których nazywasz przyjaciółmi i rodziną. Twój wielki *przyjaciel* Finbar wybrał na partnera człowieka pozbawionego mocy, podczas gdy ty harujesz dla niego na każde jego skinienie. Jesteś nikiem, nic nie masz.

Mówiąc to, zbliżał się do Connora, a czerwony kamień pulsował niczym serce.

– Jestem kimś więcej, niż ci się wydaje – odparł Connor.

– A kim ty jesteś, chłopcze?

– Jestem Connor z klanu O'Dwyerów. Jestem jednym z trojga. Jestem potomkiem Czarownicy z Ciemności z Mayo. – Connor spojrzał głęboko w czarne, pełne determinacji oczy Cabhana. – Mam ogień. – Wyciągnął prawą dłoń, na której zawirowała kula z płomieni. – Mam powietrze. – Uniósł palec i zakręcił nim, wzbudzając mały cyklon. – Mam ziemię – powiedział, a ziemia zadrżała.

– Mam wodę. – Zalał ich deszcz, tak gorący, że aż skwierczał w

zetknięciu z ziemią. – I sokoła.

Roibeard zapikował z przeszywającym krzykiem i miękko jak piórko wylądował na ramieniu swojego pana.

– Salonowe sztuczki i domowe zwierzątka. – Cabhan uniósł wysoko ramiona, rozcapierzył palce. Czerwony kamień przybrał barwę krwi.

Piorun strzelił w ziemię zaledwie kilka centymetrów od stóp Connora, rozsiewając cierpki smród siarki.

– Mógłbym cię zabić jedną myślą. – Głos Cabhana niósł się ponad hukiem grzmotu.

Nie sądzę, pomyślał Connor, przechylił głowę i uśmiechnął się z dumą.

– Salonowe sztuczki i domowe zwierzątka? Wzywam powietrze, wodę, ziemię i żar, jeśli się odważysz, wypróbuj mój dar. Sokół należy do mnie po czasów spełnienie, on i ja, jedni z trzech, wypełnimy przeznaczenie. Światło to mój miecz, prawość tarczą moją i tych, co z ochotą na straży światła stoją.

Zaatakował mieczem, stworzonym z kuli ognia, przeciął dzielące ich powietrze i poczuł żar, palące ostrze, przeszywające jego lewy biceps.

Ignorując ból, zaatakował znowu, włosy uniosły mu się w cyklonie powietrza, miecz lśnił w ciemności.

A gdy uderzył, Cabhan zniknął.

Cienie zniknęły, mgła odpelzła.

– Na me wezwanie – mruknął Connor – niech tak się stanie.

Wypuścił oddech i wziął kolejny, wczuł się w noc – słodką, wilgotną i zieloną. Usłyszał długie, pytające pohukiwanie sowy i szelest jakiegoś zwierzęcia, przemykającego się wśród krzewów.

– No dobrze.

Roibeard pochylił się na chwilę tak, że zetknęli się głowami.

– To było interesujące. Założymy się, że teraz moja furgonetka odpali

bez problemu? Jadę do Fina, więc możesz polecieć przodem i spotkać się z Merlinem albo wracać do domu. Jak wolisz, *mo dearthair*.

Z tobą. Usłyszał tę odpowiedź jednocześnie w głowie i w sercu. Zawsze z tobą.

Roibeard uniósł się w powietrze i pofrunął.

Nadal czując pulsowanie mocy – ciemnej i jasnej

– Connor wrócił do samochodu. Silnik od razu zaskoczył z cichym pomrukiem i działał bez zarzutu przez całą drogę do domu Fina.

Connor wszedł bez pukania. W kominku płonął ogień, ale nikt nie leżał rozciągnięty na kanapie z piwem w dłoni.

Czując się jak u siebie w domu, ruszył do kuchni, skąd dobiegały głosy przyjaciół.

– Jeśli chcesz jeść gorące posiłki – mówił Boyle – to ożeń się z kimś, kto ci będzie gotował.

– Po co miałbym to robić, skoro mam ciebie pod ręką?

– Ja byłem całkiem szczęśliwy u siebie, z kanapkami i paczką chipsów.

– A ja mam w lodówce piękny kawałek wieprzowiny.

– Po co kupujesz piękny kawałek wieprzowiny, skoro nie masz bladego pojęcia, co z nim, do cholery, zrobić?

– A dlaczego miałbym nie kupować, powiem to jeszcze raz, skoro mam ciebie pod ręką?

Chociaż trochę bolała go głowa, zupełnie jakby psuł mu się ząb, Connor zachichotał, słysząc tę przyjacielską wymianę zdań.

To dziwne, czuł się tak, jakby już wypił to piwo. Właściwie nawet całkiem sporo piwa, ponieważ wydawało mu się, że płynie, a podłoga kołysze się lekko.

Wszedł do kuchni, zalanej tak jasnym światłem, że zaczął mrugać, a

pulsowanie w głowie przerodziło się w łomot.

– Chętnie bym zjadł piękny kawałek wieprzowiny.

– Widzisz? – Fin odwrócił się z szerokim uśmiechem, który natychmiast zniknął. – Co się stało?

– Miałem małą konfrontację. Jezu, tu jest gorąco jak w Afryce.

Z trudem zdjął kurtkę i chwiejąc się lekko, spojrzął na lewe ramię.

– Popatrzcie tylko, moja ręka dymi.

Nagle runął bezwładnie do przodu. Przyjaciele skoczyli, by go złapać.

– Co się, kurwa, dzieje? – zapytał Boyle. – On płonie.

– Strasznie tu gorąco – upierał się Connor.

– Nie, to Cabhan – warknął Fin. – Czuję jego smród.

– Zdejmuj koszulę.

– Dziewczęta zawsze o to proszą.

Zniecierpliwiony Fin przesunął dłonią nad Connorem, pozbawiając go koszuli.

Connor wpatrywał się w lewe ramię, w wielką, czarną oparzelinę, z łuszczącą się skórą, pokrytą bąblami. Czuł się dziwnie z dała od tego, jakby patrzył na ciekawy eksponat za szybą.

– No popatrzcie tylko – powiedział i zemdlał.

Fin przycisnął dłonie do oparzenia i nie puszczał, mimo przeszywającego go, palącego bólu, aż bąble przestały się rozprzestrzeniać.

– Powiedz mi, co mam robić! – zawołał Boyle.

– Daj mu wody. Mogę to zatrzymać, ale... Potrzebujemy Branny.

– Pojadę po nią.

– To za długo potrwa. Przynieś mu wody.

Fin zamknął oczy, otworzył się, sięgnął w głąb siebie.

Connor jest ranny. Przyjeżdżaj. Przyjeżdżaj szybko.

– Woda mu nie pomoże. – Mimo to Boyle uklęknął.
– Nie pomoże żadnemu z was. Płoną ci dłonie, wiem, jakie to uczucie.
– I wiesz, że można to wyleczyć. – Twarz Fina pokryła się potem, który pociekł mu cienką strużką po plecach. – Nie mam pojęcia, jak bardzo to się rozprzestrzeni, jeśli puszczę.

– Może lód? Fin, on płonie żywym ogniem. Możemy wsadzić go do wanny z lodem.

– Naturalne metody nie poskutkują. Przynieś... już nie trzeba – powiedział z ulgą, gdy do kuchni wpadły Branna, Iona i Meara, patrząca wokół nieprzytomnym wzrokiem.

Branna opadła na kolana obok Connora.

– Co się stało?

– Nie wiem. Na pewno Cabhan, ale nie wiem nic więcej. Ma gorączkę, lekkie delirium. Oparzenie pod moimi rękami jest czarne, głębokie i próbuje się rozprzestrzeniać, ale je zatrzymałem.

– Pokaż mi. Ja to zrobię.

– Zatrzymałem je, Branna. Mogę zrobić więcej, ale nie ulecę go do końca. Tylko ty możesz to zrobić. – Zacisnął zęby z bólu. – Nie puszczę, nawet dla ciebie.

– Dobrze. W porządku. Ale muszę to zobaczyć, poczuć, poznać. – Zamknęła oczy, sięgnęła po wszystko, co miała, i położyła dłonie na rękach Fina.

Otworzyła oczy, teraz pełne łez, ponieważ ból pod jej dłońmi był nie do zniesienia.

– Spójrz na mnie – szepnęła do Fina. – On nie może, więc ty patrz za niego. Bądź za niego. Czuj za niego. Ulecz go. Spójrz na mnie. – Jej oczy stały się szare i spokojne jak tafla jeziora.

– Iona, połóż ręce na moich, daj mi tyle, ile możesz.

– Dam ci wszystko, co mam.

– Chłód, czujesz chłód? – spytała Fina Branna.

– Czuję.

– Uzdrowiająca moc jest chłodna i czysta. Gasi ogień, wypłukuje czerń.

Kiedy Connor zaczął drżeć i pojękiwać, Meara uklękła obok niego i położyła sobie na kolanach jego głowę.

– Już cicho. – Najdelikatniej, jak mogła, głaskała go po włosach, po twarzy. – Cichutko. Jesteśmy tu z tobą.

Po twarzy Connora zaczął spływać pot, taki sam perlił się na czole Fina.

– Powstrzymam to – wycodził z zaciśniętymi zębami Fin.

– Nie rób tego sam. Uzdrowianie boli, taką ma cenę. Spójrz na mnie i oddaj mi ten ból. Zabierz od tego, którego oboje kochamy, powoli, spokojnie, z niego, przez ciebie i do mnie. Z niego, przez ciebie, do mnie. Z niego, przez ciebie, do mnie.

Niemal go zahipnotyzowała. Ta twarz, oczy, głos. I stopniowe cofanie się bólu, coraz chłodniejsze oparzenie.

– Z niego – powtarzała jak mantrę, kołysząc się w przód i w tył. – Przez ciebie, do mnie. I precz. Precz.

– Spójrz na mnie – polecił teraz Brannie Fin, czując, jak jej dłonie zaczynają drżeć. – Już prawie skończyliśmy. Boyle, w mojej pracowni, brązowa butelka apteczna z zielonym korkiem, górna półka za warsztatem.

Delikatnie uniósł dłonie, żeby mogli zobaczyć ranę. Oparzenie, teraz czerwone, do żywej tkanki, było nie większe niż kobieca pięść.

– Jest chłodniejszy – powiedziała Meara, nie przestając gładzić Connora. – Ma wilgotną skórę, ale chłodną i równo oddycha.

– Pod oparzeniem nie ma już czerni, nie ma trucizny.

– Iona przeniosła wzrok z Branny na Fina, szukając potwierdzenia.

– Nie ma, ale oparzenie nadał jest paskudne. Ja dokończę. – Branna przykryła ranę dłońmi i westchnęła.

– Teraz to już tylko oparzenie, szybko się goi.

– Ta? – Boyle wbiegł z butelką.

– Tak. – Fin wziął ją, otworzył i dał Brannie do powąchania.

– Tak, tak, doskonale. Idealnie. – Odwróciła ręce, żeby Fin mógł nalać w nie balsam.

– Już, już, *mo chroi*. – Odwróciła z powrotem dłonie i delikatnie, delikatnie posmarowała balsamem oparzenie, teraz różowe i wyraźnie mniejsze.

Masując je, szeptała coś cicho. Connor zatrzepotał powiekami i otworzył oczy. Spojrzał prosto w bladą twarz i pełne łez oczy Meary.

– Co się dzieje? Czemu leżę na podłodze? Jeszcze się nie upiłem. – Otarł łzę z jej policzka. – Nie płacz, skarbie.

– Spróbował wstać, ale miał za mało siły. – No proszę, wszyscy sobie siedzimy na podłodze w kuchni Fina. Jeśli mamy grać w butelkę, to ja chcę ją najpierw opróżnić.

– Pij wodę – rozkazał Boyle, wpychając mu butelkę w rękę.

Connor pił jak wielbłąd.

– Przydałoby się coś mocniejszego. Moje ramię – przypomniał sobie. – Moje ramię płonęło. Teraz wygląda normalnie.

Spojrzał na Brannę i objął ją mocno.

– Wyleczyłaś mnie.

– A ty śmiertelnie mnie przeraziłeś. – Tuliła go, dopóki nie była pewna, że udało jej się opanować łzy. – Co się stało?

– Powiem wam, ale... Dzięki. – Wziął od Boyle'a szklanekę, wypił i

skrzywił się. – Jezu, to brandy. Czy człowiek nie może dostać whisky?

– Brandy jest dobra na omdlenia – stwierdził Boyle.

– Ja nie omdlałem. – Zdegustowany i urażony Connor oddał szklanke przyjacielowi. – Straciłem przytomność z powodu odniesionych ran, a to coś zupełnie innego. Wolałbym whisky.

– Ja przyniosę. – Meara wstała, a Iona pochyliła się i pocałowała Connora w policzek.

– Wracają ci kolory. Byłeś taki blady i taki gorący. Proszę cię, nigdy więcej tego nie rób.

– Mogę ci przysiąc, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby nie powtarzać tego doświadczenia.

– A jakie to było doświadczenie? – dopytywała się Branna.

– Wszystko wam opowiem, ale jak mi życie mile, umieram z głodu. Nie chcę znowu zostać oskarżony o omdlenie, jeśli zasłabnę z głodu. Aż kręci mi się w głowie.

– Mam kawał wieprzowiny. Surowej... – zaczął Fin.

– Nie zrobiliście kolacji? – Branna wstała z podłogi.

– Myślałem, że Boyle coś ugotuje, a potem przyszedł Connor i byliśmy trochę zajęci.

– Nie możesz upiec wieprzowiny w mgnieniu oka.

Fin spróbował się uśmiechnąć.

– Ty możesz.

– Och, daj spokój z tą twoją cholerną wieprzowiną i znajdź mi półmisek.

– Naczynia są w... – Fin wskazał na przestronną jadalnię z szerokimi blatami i przeszklonymi szafkami.

Branna wmaszerowała do pokoju, otworzyła kilka szuflad i znalazła duży półmisek z porcelany Belleek.

– To bezzasadne wykorzystanie mocy, ale nie mogę pozwolić, by mój brat umarł z głodu. Poza tym upiekłam już dzisiaj kurczaka z ziemniakami i marchewką. A zatem...

Wyciągnęła palce obu rąk w stronę półmiska i powietrze wypełniło się aromatem pieczonego kurczaka i szaławii.

– Dzięki niech będą wszystkim bogom i boginiom.

– Connor rzucił się do stołu i oderwał nogę kurczaka.

– Connorze O’Dwyer!

– Umieram z głodu – powiedział z pełnymi ustami, gdy Branna oparła rękę na biodrach. – Nie żartuję. A co wy będziecie jedli?

– Na litość boską, niech ktoś nakryje do stołu. Muszę się umyć. – Odwróciła się do Fina. – Gdzie jest łazienka?

– Pokażę ci.

Fin uświadomił sobie, że Branna nigdy nie była u niego w domu. Ani razu nie zgodziła się przekroczyć jego progu, dopiero obecna sytuacja ją do tego skłoniła.

Pokazał jej łazienkę, ukrytą pod schodami.

– Pokaż mi ręce. – Stała sztywno wyprostowana. Z kuchni dobiegały głosy i serdeczny śmiech pozostałych.

Fin wyciągnął dłonie, grzbietami do góry. Branna westchnęła zniecierpliwiona, złapała go za ręce i je obróciła.

Wnętrza miał całe w bliznach, czerwone pręgi sięgały palców.

– Balsam pomoże.

– Przestań.

Położyła mu na rękach swoje dłonie, przyciskając palce do palców.

– Chcę ci podziękować, chociaż wiem, że nie chcesz ani nie potrzebujesz moich podziękowań. On jest tak samo twoim bratem, jak moim.

Bratem twojego serca i duszy. Jednak to moja krew płynie w jego żyłach, dlatego pragnę ci podziękować.

W jej oczach znowu zalśniły łzy, jak błysk w dymie, ale powstrzymała je siłą woli.

– Oparzenie było poważne, i to bardzo. Nie mam pojęcia, co by się stało, gdybyś nie zrobił dla niego tego, co zrobiłeś.

– Kocham go.

– Wiem.

Spojrzała na jego ręce, teraz już gładkie, i dała im obojgu chwilę. Po czym uniosła jego dłonie i przycisnęła je do ust.

– Wiem o tym – powtórzyła i zniknęła w łazience.

Chociaż jego miłość do Connora była szczerą i głęboką, nie umywała się nawet do tej, jaką czuł do Branny. Pogodzony z tym Fin wrócił do kuchni i patrzył, jak ich krąg przygotowuje pierwszy wspólny posiłek w jego domu.

– Dlaczego nas nie wezwałeś? – zapytała Branna, gdy usiedli do stołu, żeby zjeść kolację i wysłuchać opowieści Connora.

– Wzywałem, a w każdym razie próbowałem. Czułem się... jakbym był zamknięty w pudle, na amen, nie widziałem nawet nieba. Nie wiem, jak Roibeard mnie usłyszał ani jak wleciał do środka, chyba że już był ze mną w tym pudle. Kamień na szyi Cabhana pulsował jak serce, przyspieszył, kiedy wzywałem żywioty.

– Może dostraja się do jego pulsu? – zastanawiał się głośno Fin. – Pokazuje podniecenie, złość, strach.

– On raczej nie czuł strachu, skoro tak nisko mnie ceni.

– Bzdury. – Meara dziabnęła widelcem marchewkę.

– Specjalnie namieszał ci w głowie, żebyś stracił wiarę w siebie.

– Meara ma rację – zgodził się Boyle. – I próbował cię zezłościć,

sprowokować. Znana taktyka w bójkach.

– Raz widziałam, jak się biłeś – przypomniała sobie z uśmiechem Iona
– ale wtedy nie mówiłeś wiele.

– Ponieważ biłem się z idiotą. Ale jeśli myślisz, że twój przeciwnik coś potrafi, może nawet więcej niż ty, mieszanie w głowie, jak to ujęła Meara, jest dobrą taktyką.

– Niestety, jego zdanie na mój temat zupełnie mnie nie interesuje. – Connor z zadowoleniem pałaszował ziemniaki. – Chociaż muszę przyznać, że aż podskoczyłem od tej błyskawicy.

– Nie cisnął nią w ciebie, ponieważ nosisz amulet, który cię chroni – uznała Branna. – I ponieważ bardziej pragnie tego, co masz, niż twojej śmierci. Próbował zachwiać twoją pewnością siebie i zasiać złe emocje między tobą a mną, między tobą a Finem.

– I poniósł klęskę na każdym polu. Ach, jeszcze coś. Kiedy go zaatakowałem, jego kamień zajaśniał. Poczulem, że coś mnie parzy, lekko, nie tak jak później, i klejnot przygasł. A potem przygasł jeszcze bardziej, gdy uderzyłem po raz drugi, i wtedy Cabhan zniknął i cienie razem z nim.

– Atak na ciebie kosztował go wiele mocy. – Branna pogładziła go po ramieniu. – Odizolował cię, zranił i jeszcze urządził dla ciebie małe przedstawienie. To go sporo kosztowało.

– Gdybym tylko mógł was wezwać, gdybyśmy wszyscy tam byli...

– Sama nie wiem... – Branna się zamyśliła.

– Za to wiemy, że on nie chciał podejmować takiego ryzyka. Albo nie jest gotów, by stawić czoło nam wszystkim, albo nie ma na to wystarczających jaj. – Fin popatrzył po twarzach przyjaciół. – To nasze zwycięstwo.

– On nie był słaby, mówię wam. Czułem bijącą od niego moc. Ciemność

i głód. Nie widziałem, jak mnie zaatakował, i mógłbym przysiąc, że nawet mnie nie dotknął. A jednak poczułem, że się palę.

– Ani twoja kurtka, ani koszula nie były spalone. Twoje ramię dymiło przez ubranie. – Boyle machnął widelcem. – Masz teraz tę koszulę na sobie i nie widać na niej żadnego śladu.

– To dobrze, bo bardzo ją lubię.

– Może przyszedł jako człowiek – spekulowała Meara

– ponieważ nie chciał marnować mocy na przeistoczenie. Potrzebował wszystkiego, co miał, żeby wyrządzić Connorowi krzywdę. Gdyby Fin nie powstrzymał oparzenia do przyjazdu Branny, byłoby dużo gorzej, prawda?

– O wiele – potwierdziła Branna.

– A gdyby było gorzej, musiałybyś użyć więcej mocy, wszyscy troje musielibyście dać z siebie więcej. Obserwował was całe życie i wiedział, że Branna włoży wszystko, co ma, w uzdrowienie brata i że Iona dołoży, co tylko będzie mogła. A Connor i tak mógłby chorować przez dzień lub dwa i z trojga pozostałyby tylko dwie osoby. On tego właśnie chciał, po to ryzykował. Jednak nie wziął pod uwagę Fina – dodała Meara.

– Dopadł mnie niedaleko stąd – przypomniał im Connor. – Musiał się domyślać, dokąd jadę.

Branna niecierpliwie potrząsnęła głową.

– Cabhan obserwował ciebie, ale nie rozumie Fina. Ani trochę. Nie widzi w nim nic więcej poza krwią, która ich łączy. Przypuszczał, że zostanę wezwana i przyjadę, ale nie myślał, że Fin weźmie na siebie ból, ryzyko i zatrzyma oparzenie. On cię w ogóle nie zna – zwróciła się do Fina. – I nigdy nie pozna. Koniec końców to właśnie może przesądzić o jego klęsce.

– On nie rozumie, co znaczy być członkiem rodziny, a ponieważ tego nie rozumie, więc nie szanuje. Nie może wygrać – stwierdził Connor i nałożył

sobie więcej ziemniaków.

Kiedy posprzątali po kolacji, Connor odwiózł Brannę do domu. Meara pojechała z nimi.

– Zostaniesz na noc? – zapytał ją Connor, wyłączając silnik.

– Nie... chyba że chcesz – powiedziała do Branny.

– Planowałyśmy babski wieczór.

– Wyśpij się we własnym łóżku. Kiedy indziej urządzimy sobie babski wieczór. Connor odwiezie cię do domu.

– Przyszłam ze stadniny pieszo. – Meara pochyliła się, żeby przez Brannę spojrzeć na Connora. – Możesz mnie tam podrzucić.

– Odwiozę cię do domu. Zrobiło się późno, a noc jest niespokojna, najłagodniej mówiąc.

– Nie mogę się z tobą nie zgodzić.

Connor odczekał, aż siostra wejdzie do domu, chociaż wątpił, żeby Cabhan miał jeszcze dzisiaj choć tyle siły, by dźgnąć ich patykiem.

– Ona chce być tylko z tobą – powiedziała cicho Meara.

– Ty nigdy nam nie zawadzasz.

– Wiem, ale dzisiaj ona chce być tylko z tobą. Nigdy nie widziałam jej tak przerażonej. Byłyśmy w kuchni, Branna wyjmowała kurczaka z piekarnika, śmiałyśmy się z czegoś, już nawet nie pamiętam z czego. I nagle zrobiła się biała jak płótno. To Fin ją wezwał, chociaż nie wiem, co powiedział.

Zamilkła na chwilę, żeby się uspokoić.

– A ona szepnęła tylko: „Connor jest ranny. U Fina”, i złapała mnie za rękę, Iona za drugą. I pofrunęłam. Nie mam pojęcia, czy leciałam przez sekundę czy przez godzinę. Znam was tyle lat, ciebie i Brannę, i nigdy nie doświadczyłam czegoś takiego. Zanim się zorientowałam, stałyśmy w kuchni

Fina, a ty leżałeś na podłodze, jeszcze bledszy niż Branna. Myślałam, że nie żyjesz.

– Potrzeba czegoś więcej niż odrobina magii, żeby mnie wykończyć.

– Zatrzymaj się.

– Słucham? Och, źle się poczułaś. Przepraszam. – Zjechał na pobocze i zaparkował. – Nie powinienem żartować, kiedy...

Jego słowa, myśli ulotniły się jak kamfora, gdy Meara rzuciła się na niego, otoczyła go ramionami i wpiła się wargami w jego usta.

Gorąca, szalona, spragniona kobieta.

I odskoczyła, zanim zdążył zareagować.

– Co... Co to było? Skąd się to wzięło?

– Myślałam, że nie żyjesz – powtórzyła i znowu przycisnęła gorące, spragnione usta do jego warg.

Tym razem zareagował, schwycił ją i spróbował przysunąć bliżej, by móc ją złapać mocniej. Jej smak pulsował mu w żyłach niczym narkotyk, którego nigdy nie próbował, którego chciał więcej i więcej. Chciał wszystko.

– Meara. Pozwól mi...

Znowu się odsunęła.

– Nie. Nie. Nie będziemy tego robić. Nie możemy tego zrobić.

– Już zrobiliśmy.

– Tylko to... – Machnęła rękami w powietrzu. – I nic więcej.

– Tak naprawdę moglibyśmy zrobić dużo więcej, gdybyś tylko...

– Nie. – Położyła mu dłoń na piersi, żeby go powstrzymać. – Jedź. Jedź już, jedź, jedź.

– Jadę. – Connor wrócił na drogę, zdając sobie sprawę, że jest równie roztrzęsiony jak po spotkaniu z Cabhanem. – Powinniśmy o tym porozmawiać.

– Nie będziemy o tym rozmawiać, ponieważ nie ma o czym.

Myślałam, że nie żyjesz, a to wstrząsnęło mną bardziej, niż przypuszczałam, ponieważ nie chcę, żebyś umarł.

Connor starał się mówić spokojnie i łagodnie, by zrównoważyć chaos, który miał w głowie.

– Oczywiście cieszę się, że nie chcesz, i cieszę się, że nie jestem. Ale...

– Nie ma żadnego „ale”. Koniec tematu.

Kiedy dojechali na miejsce, wyskoczyła z samochodu, zanim Connor zdążył porządnie zaparkować.

– Wracaj do domu, do Branny – poleciła. – Ona cię potrzebuje.

Gdyby nie powiedziała tych ostatnich słów, wmaszerowałyby prosto do jej mieszkania, wepchnąłby się siłą, gdyby musiał. I zobaczyliby, co by się dalej działo.

Ponieważ jednak miała rację, poczekał, aż Meara zamknie drzwi, i pojechał do domu. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek w życiu był tak zdezorientowany z powodu kobiety. I nie pamiętał, kiedy jakaś kobieta aż tak go podnieciła.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Meara rozkazała sobie natychmiast o tym zapomnieć, zakwalifikować epizod w furgonetce jako chwilową niepoczytalność, spowodowaną ogromnym stresem. W końcu nie co dzień twoje przyjaciółki łapią cię za ręce i w mgnieniu oka przenoszą z jednego miejsca w drugie.

Gdzie widzisz mężczyznę, z którym przyjaźnisz się całe życie, a który wygląda, jakby umarł.

Wiele kobiet uciekłyby z krzykiem, myślała następnego ranka, zabierając się do sprzątania gnoju w boksie. Inne wpadłyby w histerię.

A ona tylko pocałowała tego mężczyznę, który okazał się całkiem żywy.

– Całowałam go już wcześniej, prawda? – mruknęła i przerzuciła widłami brudne siano na taczkę. – Nie można znać kogoś niemal od urodzenia, należeć do tej samej paczki, być najlepszą przyjaciółką jego siostry i go nie pocałować. Nic się nie stało. Absolutnie nic się nie wydarzyło.

Och, Boże!

Zacisnęła mocno powieki i oparła się o widły.

Oczywiście, całowała go wcześniej, a on ją.

Ale nigdy w ten sposób. Nie, nie tak. Nie tak gorąco, namiętnie, z językami, zębami, kiedy jej serce galopowało jak szalone.

Co on sobie musi teraz myśleć? O czym ona myślała?

A co więcej, co ona teraz, do ciężkiej cholery, ma zrobić, jak go spotka?

– No dobrze. – Do boksu weszła Iona i oparła się o swoje widły. – Dałam ci trzydzieści dwie minuty, ale moja cierpliwość się wyczerpała. Co się dzieje?

– Co się dzieje? – Speszona Meara pociągnęła w dół daszek czapki i

przerzuciła na taczkę kolejną stertę gnoju.

– Przerzucam końskie gówno, tak samo jak ty.

– Meara, od rana ledwo na mnie spojrziałaś, o rozmowie nawet nie wspominając. A teraz mruczysz pod nosem. Jeśli zrobiłam coś, co cię wkurzyło...

– Nie! Oczywiście, że nie.

– Tak sądziłam, ale z jakiegoś powodu mamrocześ do siebie i nie patrzysz mi w oczy.

– Może to ten czas w miesiącu.

– Może?

– Nie mogę sobie przypomnieć, czy ostatnio byłam wściekła przed okresem. Moja matka...

Iona wycelowała w nią palec, żeby jej przerwać.

– Nic z tego, jeśli chodzi o twoją matkę, zawsze wybuchasz. A teraz nic nie mówisz, tylko chowasz się po kątach.

– Wcale nie. – Urażona Meara odsunęła się trochę.

– Po prostu spędzam trochę czasu sama z własnymi myślami.

– Chodzi o wczorajszy wieczór?

Meara wyprostowała się jak struna.

– A co się stało wczoraj wieczorem?

– Connor. Poparzony czarną magią.

– Och. Cóż, tak, oczywiście. Rzecz jasna, właśnie o to chodzi.

Iona zmrużyła podejrzliwie oczy i palcem narysowała w powietrzu znak zapytania.

– I?

– I? A to nie wystarczy? Po czymś takim większość ludzi wylądowałaby w szpitalu z załamaniem nerwowym.

– Ale ty nie jesteś jak większość ludzi. – Iona podeszła bliżej, chcąc ograniczyć przyjaciółce pole manewru. – Co się stało, kiedy wyszliście od Fina?

– A dlaczego coś miałoby się stać?

– Mam cię! – Teraz Iona dźgnęła palcem powietrze.

– Spojrzałaś w ziemię. Coś się stało i ty nie chcesz mi o tym powiedzieć.

Dlaczego, och, dlaczego była taką fatalną kłamczuchą w sytuacjach, w których miało to znaczenie?

– Patrzę na końskie gówno, które powinnam sprzątać.

– Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami.

– Och, to cios poniżej pasa. – Teraz to Meara oskarżycielsko wyciągnęła palec. – Żałosne spojrzenie, lekkie drżenie w głosie.

– Masz rację – przyznała Iona, błyskając uśmiechem.

– Ale rozgryzłam cię!

Czując, że przegrała tę bitwę, Meara znowu oparła się o widły.

– Nie wiem, jak to powiedzieć ani co z tym zrobić.

– Właśnie w takich sytuacjach niezbędne są przyjaciółki. Jesteście z Branną blisko... i to nie jest cios poniżej pasa. Jeśli z nią będziesz mogła o tym porozmawiać, to chętnie cię zastąpię.

– Dzięki – westchnęła Meara. – Będę musiała z nią porozmawiać, to nie ulega wątpliwości. Tylko nie mam pojęcia jak. Może lepiej porozmawiać najpierw z kuzynką, a potem z siostrą. Stopniować sobie trudność. Chodzi o to, że...

Wyszła z boksu i rozejrzała się na boki, żeby się upewnić, czy w pobliżu nie kręci się Boyle, Mick czy inny stajenny.

– Wczoraj wieczorem byłam przerażona. Zupełnie straciłam głowę,

kiedy w mgnieniu oka zostałam w magiczny sposób przeniesiona z jednej kuchni do drugiej.

– Nigdy wcześniej nie leciałaś? Och, Boże, Meara, nic dziwnego, że straciłaś głowę. Myślałam, że Branna zabiera cię z sobą od czasu do czasu, no wiesz, tak dla zabawy.

– Branna rzeczywiście używa czasem mocy dla zabawy, ale na ogół jest w tej kwestii cholernie zasadnicza.

– Nie musisz mi mówić.

– Nagle jesteśmy tam, gdzie nas nie było, a Connor... w pierwszej chwili pomyślałam, że nie żyje.

– Och, Meara...

Iona instynktownie wyciągnęła ręce, żeby objąć przyjaciółkę.

– Ja wiedziałam, że żyje, dzięki temu, co łączy naszą trójkę, ale i tak o mało nie straciłam głowy.

– Myślałam, że ja... że my wszyscy straciliśmy go, kręciło mi się w głowie i było mi słabo. A potem Branna i Fin mu pomagali, ty też, a ja nie mogłam nic zrobić.

– To nieprawda. – Iona odsunęła się i potrząsnęła Mearą lekko. – Żeby uzdrowić Connora, potrzebni byliśmy wszyscy, cały nasz krąg, nasza rodzina.

– Czułam się taka bezużyteczna, ale nie to jest istotne. Kiedy wrócił i znowu był sobą, poczułam taką ogromną ulgę. Myślałam, że już się uspokołam, ale kiedy wiozł mnie do domu, wszystko wróciło i zanim zdążyłam pomyśleć, kazałam mu się zatrzymać.

– Źle się poczułaś? Przykro mi.

– Nie, nie, chociaż on też tak pomyślał. A ja postradałam zmysły i rzuciłam się na niego, tam, w jego furgonetce.

Iona otworzyła szeroko usta i zrobiła chwiejny krok w tył.

– Ty... uderzyłaś go?

– Nie! Nie bądź niemądra! Pocałowałam go. I to nie jak brata czy przyjaciela, czy też kogoś, kogo się wita po powrocie z zaświatów.

– Och. – Iona nie była w stanie powiedzieć nic więcej.

– Och – powtórzyła Meara, krążąc po boksie. – A potem, jakby tego było mało, wycofałam się. Myślisz, że wtedy odzyskałam rozum? O nie, ja to zrobiłam jeszcze raz. A Connor, jak to mężczyzna, nie miał nic przeciwko temu. Pewnie posunęłabym się dalej, ale na szczęście wrócił mi rozum.

– Nie powinnam być zaskoczona. I mówiąc prawdę, nie jestem. Tak myślałam, że między wami coś jest... ale kiedy przyjechałam tutaj zeszłej zimy, sądziłam, że coś jest między tobą a Boyle'em.

– Och, Jezu. – Załamana Meara ukryła twarz w dłoniach.

– Wiem, że z Boyle'em łączy cię tylko przyjaźń. Dlatego uznałam, że to, co wyczuwam między tobą a Connorem, to też przyjaźń i nic więcej.

– Bo tak jest! Oczywiście, że tak jest. Epizod w furgonetce był efektem traumy.

– Efektem traumy to może być śpiączka. Obściskiwanie się w furgonetce jest efektem czegoś zupełnie innego.

– Nie obściskiwaliśmy się, tylko się całowaliśmy.

– Z języczkiem?

– Och, do jasnej cholery! – Meara zerwała z głowy czapkę, rzuciła ją na ziemię i podeptała.

– Czy to ci pomaga? – chciała wiedzieć Iona.

– Nie. – Zdegustowana Meara podniosła czapkę i wytrzępała ją o udo. – Jak mam powiedzieć Brannie, że całowałam się z jej bratem w jego samochodzie, na poboczu, jak napalona nastolatka?

– Tak samo, jak powiedziałaś mi teraz. A co z...

– Czy wy dwie zamierzacie plotkować przez cały ranek, czy jednak wywieziecie ten gnój? – Boyle stanął w drzwiach, patrząc na nie spode łba.

– Już prawie skończyłyśmy – odparła Iona. – I mamy coś ważnego do omówienia.

– Omawiajcie później, teraz sprzątajcie.

– Idź sobie.

– To ja tu jestem szefem.

Iona tylko patrzyła na niego, dopóki nie wcisnął rąk w kieszenie i sobie nie poszedł.

– Nie martw się, nic mu nie powiem.

– Och, to bez znaczenia. – Zrezygnowana Meara wzięła się do pracy. – Connor i tak mu wszystko wypaple. Pod tym względem mężczyźni są gorsi niż kobiety.

– Co powiedziałaś Connorowi? Potem?

– Powiedziałam mu, że uważam sprawę za zamkniętą i nie zamierzam o tym rozmawiać.

– Aha. – Ionie udało się nie wybuchnąć śmiechem, ale uśmiechu już nie mogła ukryć. – To na pewno zadziała.

– Nie możemy pozwolić, żeby chwilowa utrata zmysłów popsuła nam plany. Mamy ważniejsze rzeczy na głowie.

Iona milczała przez chwilę, po czym jeszcze raz uściskała Mearę.

– Rozumiem. Jeśli chcesz, pójdę z tobą do Branny.

– Dzięki, ale lepiej, żebyś zrobiła to sama.

– Idź zaraz, wyrzuć to z siebie. Ja cię zastąpię.

– Dobrze byłoby załatwić tę sprawę raz na zawsze, prawda? – I może przestałby jej się wywracać żołądek, pomyślała, przyciskając dłoń do

brzucha. – Dokończę tutaj i pójdę. Jak już jej powiem, będę mogła zapomnieć o całej sprawie i zająć się tym, co jest naprawdę ważne.

– Załatwię to z Boyle'em.

– Powiedz mu, że mam okres albo jakąś inną kobiecą przypadłość. To zawsze zamyka mu usta.

– Wiem – powiedziała Iona ze śmiechem i wróciła do swojego boksu.

Powiedz to od razu, rozkazała sobie Meara, idąc szybko przez las. Miej to z głowy. Branna na pewno nie będzie zła, będzie się śmiała i uzna tę sytuację za świetny dowcip.

A wtedy ona też będzie mogła uznać ten epizod za doskonały żart.

No bo co to za pomysł, Meara Quinn namiętnie pragnąca Connora O'Dwyera. Ponieważ Meara musiała przyznać, że płonęło w niej pożądanie.

Rozmowa z Branną uciszy jej emocje i wszystko znowu wróci do normy.

Może i przez te wszystkie lata od czasu do czasu miewała do niego drobną słabość. Która kobieta nie miałaby słabości do mężczyzny pokroju Connora O'Dwyera?

W końcu facet wyglądał jak młody bóg, prawda? Wysoki i smukły, z tą grzywą kręconych włosów, ładną twarzą i szelmowskim uśmiechem. I do tego zawsze troszczył się o innych. Był nie tylko przystojny, ale też opiekuńczy.

Miewał humory, oczywiście, ale na pewno nie takie jak ona. Szczerze mówiąc, był o wiele łagodniejszy od niej.

I miał o wiele bardziej pozytywne podejście do życia niż większość ludzi, wliczając w to ją samą.

Bez względu na to, z czym musiał się zmagać, nie stracił pogody ducha ani nie przestał troszczyć się o innych. Jeśli dodać do tego moc, która nie

przestawała zadziwiać nawet kogoś, kto – jak Meara – wiedział o niej i widział jej przejawy przez całe życie, to takiemu pakietowi naprawdę trudno było się oprzeć.

A Connor doskonale o tym wiedział i wykorzystywał swoją wiedzę – z tego, co wiedziała Meara – bez większych skrępowań.

Oczywiście nie miała mu tego za złe, bo dlaczego nie miałby zrywać sobie kwiatków?

Ona sama, kierując się zdrowym rozsądkiem i logiką, zamierzała pozostać jego przyjaciółką, zamiast powiększyć bukiet.

Westchnęła i roztarta ramiona, gdyż robiło się coraz chłodniej. Będzie musiała z nim o tym porozmawiać i niemądrze jest wmawiać sobie, że może postąpić inaczej. Ale to potem, jak już powie Brannie i obie szczerze się uśmieją.

Wtedy będzie mogła porozmawiać z Connorem i obrócić wszystko w żart.

Zerwał się wiatr, sięgnęła więc do kieszeni po rękawiczki. I pomyśleć tylko, że zapowiadali słoneczny poranek, zadrwiła w duchu, gdy chmury zasłoniły słońce.

I usłyszała, jak wiatr szepcze jej imię.

Przystanąła, rozejrzała się i zobaczyła, że stoi przy wielkim zwalonym drzewie, zarośniętym winoroślą, za którym kryły się ruiny chaty Sorchy. Owo miejsce mogło się przemieszczać w czasie według kapryśków Cabhana.

Nigdy wcześniej jej nie wzywał, nie zwracał na nią uwagi. Dlaczego miałby to robić? Meara nie posiadała mocy, nie stanowiła żadnego zagrożenia. Jednak teraz ją wołał, a jego uwodzicielski głos wydał jej się dziwnie kuszący.

Zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa i ryzyka, pamiętała

wszystkie ostrzeżenia, a jednak stała teraz przed zasłoną z winorośli, chociaż nawet nie pamiętała, że do niej podeszła. Bezwiednie wyciągnęła rękę.

Tylko zajrzy, szybko tam zerknie i to wszystko.

Dotknęła roślin wydzielających senne ciepło i z uśmiechem zaczęła odsłaniać splątane gałęzie, przez które sączyła się mgła.

Nagle obok zapikował z krzykiem sokół. Przeciął winorośl, aż Meara cofnęła się gwałtownie. Drżała coraz bardziej, mgła sięgała jej już do kolan.

Roibeard usiadł na zwałonym drzewie i spojrzał jej prosto w oczy.

– Właśnie zamierzam tam zajrzeć. Ty też go słyszysz? Woła mnie po imieniu. Chcę tylko zerknąć.

Gdy znowu wyciągnęła rękę, ptak ostrzegawczo rozłożył skrzydła. Za jej plecami zaszczekał pies Branny.

– Chodźcie ze mną, jeśli chcecie. Dlaczego nie pójdziecie za mną?

Kathel złapał ją zębami za brzeg kurtki i pociągnął w tył.

– Przestań natychmiast! Co się z tobą dzieje? Co... Co się ze mną dzieje?
– szepnęła, chwiejąc się, czując, jak słabną jej kolana i kręci się w głowie.

– Do diabła. – Położyła drżącą dłoń na wielkim łbie Kathela. – Dobry pies, mądry i dobry. Wynośmy się stąd.

– Obejrzała się na Roibearda i cienie, które zaczęły znikać, gdy promienie słońca przeświectliły mgłę. – Wynośmy się stąd jak najszybciej.

Nie zdejmując dłoni z psiego łba, ruszyła szybko przed siebie, a sokół zataczał koła nad nimi. Wyszli z lasu i Meara jeszcze nigdy tak się nie ucieszyła na widok domu Czarownicy z Ciemności.

Zaczęła biec i zdyszana wpadła, tuż przed psem, do pracowni Branny.

Przyjaciółka przestała przelewać pachnącą biszkoptami miksturę z beczułki do butelki i podniosła wzrok. I natychmiast odstawiła naczynie.

– Co się stało? Cała drżysz. Chodź, usiądź przy ogniu.

– On mnie wzywał – wysapała Meara. – Wołał mnie po imieniu.

– Cabhan? – Branna objęła ją i pociągnęła do kominka, pomogła jej usiąść w fotelu. – W stadninie?

– Nie, nie, w lesie, kiedy tutaj szłam. Przy zwalonym drzewie obok chaty Sorchy. Branna, on mnie zawołał, a ja prawie do niego poszłam. Chciałam tam zajrzeć, chciałam do niego iść. Pragnęłam tego.

– Już dobrze. Jesteś bezpieczna. – Branna musnęła dłonią zimne policzki Meary, by je rozgrzać.

– Chciałam tego.

– On jest podstępny. Potrafi sprawić, żebyś chciała. Ale już jesteś w domu.

– Mogłoby mnie tu nie być, gdyby nie Roibeard, który pojawił się znikąd, żeby mnie powstrzymać, a potem Kathel, który złapał mnie za kurtkę i odciągnął.

– One kochają cię tak samo jak ja. – Branna pochyliła się, przytuliła policzki do łba Kathela i objęła go mocno.

– Przyniosę ci herbaty. Nie odmawiaj. Przyda ci się tak samo jak mnie. Jednak najpierw dała psu ciastko i wyszła na chwilę przed dom.

Żeby podziękować sokołowi, pomyślała Meara. Dać mu znać, że wszystko skończyło się dobrze, i okazać swoją wdzięczność. Branna zawsze potrafiła docenić lojalność.

Żeby podziękować, ale i znaleźć pocieszenie, zsunęła się z fotela i również uściskała Kathela.

– Silny, dzielny i lojalny – szepnęła. – Na całym świecie nie ma lepszego psa niż nasz Kathel.

– Ani jednego. Usiądź i złap oddech. – Branna zaczęła parzyć herbatę.

– Dlaczego on mnie wołał? Czego mógł ode mnie chcieć?

– Jesteś jedną z nas.

– Nie znam się na magii.

– To, że nie jesteś czarownicą, nie oznacza, że nie władasz magią. Masz serce i charakter. Jesteś równie silna, dzielna i lojalna, jak Kathel.

– Jeszcze nigdy nic podobnego nie czułam. Jak gdyby cały świat zniknął i pozostał tylko jego głos i moje nieodparte pragnienie, żeby za nim pójść.

– Zrobię ci amulet, który masz zawsze z sobą nosić.

Mearze wreszcie zrobiło się ciepło, więc zdjęła kurtkę.

– Już robiłaś mi amulety.

– Zrobię ci inny, silniejszy, bardziej konkretny, że tak powiem. – Przyniosła herbatę. – A teraz wszystko mi opowiedz, tak dokładnie, jak tylko potrafisz.

Meara usiadła wygodniej i spełniła prośbę przyjaciółki.

– Teraz widzę, że to nie mogło trwać dłużej niż minutę, może dwie. Wszystko wydawało się toczyć w zwolnionym tempie, jak we śnie. Dlaczego on po prostu mnie nie zaatakował?

– Straciłby piękną dziewczynę.

– Dziewicą to ja nie jestem już od dłuższego czasu.

– Meara znów zadrżała. – I och, co za okropna myśl. A jeszcze gorsza, że mogłabym oddać się mu z własnej woli.

– Działanie pod wpływem czaru to nie to samo co działanie z własnej woli. Przypuszczam, że mógłby cię wykorzystać tylko wtedy, gdybyś tam weszła. Zabrałby cię do innego czasu, wykorzystał i zrobił, co w jego mocy, żeby zwrócić cię przeciwko nam.

– To by mu się nie udało żadnym czarami. Żadnymi.

– Nie, nie udałoby mu się. Ale tak jak mówiłaś, on nie rozumie, czym jest rodzina i miłość. – Branna wzięła Mearę za rękę i przytuliła do

swojego policzka. – On by cię skrzywdził, Meara, a w ten sposób wyrządziłby krzywdę nam wszystkim. Będiesz nosiła amulet, który ci zrobię.

– Oczywiście, że będę.

– Musimy opowiedzieć pozostałym. Boyle też musi bardziej na siebie uważać. Powinnaś na razie zamieszkać tutaj, ze mną i z Connorem.

– Nie mogę.

– Wiem, że cenisz sobie własną przestrzeń, kto mógłby rozumieć cię lepiej niż ja, ale dopóki nie zdecydujemy, co dalej robić, najlepiej by było...

– Pocałowałam go.

– Co? Co? – Osłupiała Branna aż podskoczyła. – Pocałowałaś Cabhana? Przecież mówiłaś, że tam nie we- szłaś. Co...

– Connora. Pocałowałam Connora. Wczoraj wieczorem. Prawie zaczęłam go molestować na poboczu drogi. Na chwilę straciłam głowę, to wszystko. To latanie, a potem widok Connora leżącego na podłodze w kuchni Fina, ten ból na jego twarzy, kiedy go uzdrawialiście. Myślałam, że nie żyje, potem się okazało, że żyje, ale cały się trzęsie i płonie, a po chwili złapał pałkę kurczaka i wgrzył się w nią, jeszcze zanim zdążył włożyć koszulę. Od tego wszystkiego dostałam pomieszania zmysłów i dlatego rzuciłam się na niego i go pocałowałam.

– Cóż – powiedziała Branna, gdy Meara wzięła głęboki oddech.

– Ale wycofałam się, musisz to wiedzieć, po drugim pocałunku się wycofałam.

Kącik ust Branny drgnął, ale głos pozostał absolutnie spokojny.

– Po drugim?

– Ja... to... on... To była niekontrolowana reakcja na wydarzenia całego wieczoru.

– A czy on również zareagował w ten sposób na... wydarzenia wieczoru?

– Za pierwszym razem był bardzo zaskoczony i trudno się dziwić. A za drugim... w końcu jest mężczyzną.

– O tak, bez wątpienia.

– Ale do niczego więcej nie doszło, daję ci słowo. Kazałam mu się odwieźć do domu i jechać do siebie. Do niczego więcej nie doszło.

– Dlaczego?

– Dlaczego? – Meara patrzyła na nią, nie rozumiejąc.

– Odwiózł mnie do domu, jak powiedziałam.

– Dlaczego nie wszedł do ciebie?

– Do mnie? Musiał wracać tutaj, do ciebie.

– Och, co za bzdury, Meara – zirytowała się Branna.

– Nie wykorzystuj mnie jako wymówki.

– Nie to miałam na myśli, absolutnie nie. Ja... myślałam, że się zezłościś albo uśmiejesz, a przynajmniej będziesz zdziwiona. Ale ty nie jesteś.

– Nie jestem ani trochę zaskoczona. Zastanawiałam się, czemu to wam zajmuje tyle czasu.

– Co nam zajmuje?

– Czemu jeszcze nie jesteście razem.

– Razem? – Zszokowana Meara poderwała się na równe nogi. – Ja i Connor? Nie, to niemożliwe.

– A dlaczego?

– Ponieważ jesteśmy przyjaciółmi.

Branna wypiła łyk herbaty i spojrzała w ogień.

– Kiedy myślę o kochanku, który dotknąłby czegoś więcej niż tylko

mojego ciała, myślę o przyjacielu. Sam żar bez ciepła? Mógłby wystarczyć i często wystarcza, ale ledwo.

– A co się dzieje z przyjaźnią, kiedy kończy się miłość?

– Nie wiem. Widzę naszych rodziców, Connora i moich, którzy nadal są szczęśliwi. Nie bezgranicznie, nie każdego dnia, bo kto by to zniósł, ale przez większość czasu są z sobą szczęśliwi.

– A ja widzę moich.

– Wiem. – Branna wzięła ją za rękę i pociągnęła z powrotem na fotel. – Ci, którzy nas stworzyli, pokazują nam obu zupełnie inny obraz, prawda? Ja chcę, pozwalam sobie chcieć, tego szczęścia i harmonii, jakie u nich widzę, a ty nie pozwalasz sobie tego pragnąć, ponieważ widzisz zgliszcza, nieszczęście i egoizm.

– Connor zbyt wiele dla mnie znaczy, żebym podjęła takie ryzyko. Wszyscy walczymy o zbyt wysoką stawkę, co udowodniły wydarzenia wczorajszego dnia i dzisiejszego poranka, żeby mieszać w to jeszcze seks.

– Wydaje mi się, że Iona i Boyle uprawiają seks przy każdej możliwej okazji.

Meara się roześmiała.

– Są w sobie do szaleństwa zakochani, to zupełnie co innego.

– Decyzja oczywiście należy do ciebie i Connora.

– A Connor, pomyślała Branna, zapewne ma zupełnie inne zdanie na ten temat. – Ale chcę, żebyś wiedziała, że nie mam absolutnie nic przeciwko temu. Dlaczego miałabym mieć? Kocham was oboje. I moim zdaniem seks sam w sobie też jest potężną magią.

– Powinnam przespać się z Connorem dla dobra sprawy?

– Powinnaś zrobić to, co cię uszczęśliwi.

– W tej chwili nie jestem do końca pewna, co mnie uszczęśliwi, ale na

pewno muszę wracać do pracy, zanim Boyle mnie wyleje.

– Najpierw zrobię ci amulet, a Kathel i Roibeard cię odprowadzą.

Trzymaj się z daleka od chaty Sorchy, Meara.

– Uwierz mi, odtąd będę.

– Opowiedz Boyle'owi i łonie, co się stało. Boyle powie Finowi, a ja pomówię z Connorem. Cabhan poczyna sobie coraz śmielej, więc musimy zachować czujność.

Branna nie musiała nic mówić Connorowi, ponieważ Fin po południu poszedł do szkoły, odciągnął przyjaciela na bok i opowiedział mu, co zaszło.

– Nic się jej nie stało? Jesteś pewien?

– Widziałem ją na własne oczy niecałą godzinę temu. Jest cała i zdrowa.

– Byłem zajęty – powiedział Connor. – Kiedy już zauważyłem, że Roibearda nie ma, uznałem, że poleciał do stadniny. Lubi tam być, z końmi, z Mearą. Dlatego nawet się nad tym nie zastanawiałem, a on nie posłał mi żadnego sygnału.

– Ponieważ Meara nie potrzebowała nikogo więcej oprócz niego i Kathela. Branna zrobiła jej amulet, bardzo silny. Widziałem go. Jednak teraz wszyscy musimy być trochę bardziej ostrożni.

Connor chodził tam i z powrotem, a żwir chrząścił mu pod podeszwami butów.

– On by ją zgwałcił. Bez względu na to, jaka jest silna, sama by go nie powstrzymała. Widziałem, co Cabhan potrafi zrobić kobiecie.

– On nawet jej nie tknął, Connor, i nigdy nie dotknie. Wszyscy się o to postaramy.

– Martwiłem się o Branę. Cabhan pragnie mocy, a ona ma jej najwięcej. Nosi imię na cześć pierworodnej córki Sorchy i jest pierwszą z trojga, to ona dostała amulet. I...

– Jest kobietą, którą kocham, nawet jeśli mnie nie chce. Nie tylko ty się o nią martwisz.

– Meara jest dla Branny jak siostra i może dlatego wydaje się Cabhanowi łakomym kąskiem – uznał Connor.

– Uderzyć w Brannę przez Mearę. – Fin skinął głową. – To w jego stylu.

– To prawda. A po wczorajszym wieczorze...

– Po tym, co ci zrobił? A co to ma wspólnego z Me- arą?

– Absolutnie nic. W każdym razie nie bezpośrednio.

– Mężczyzna nie powinien okłamywać kumpli. Poza tym to nie była pora na dyskrecję. – Mieliliśmy mały epizod, Meara i ja, po tym jak odwoziłem Brannę do domu. Epizod czy dwa w furgonetce, na poboczu drogi.

Fin uniósł wysoko brwi.

– Dobierałeś się do Meary?

– Na odwrót. – Zamyślony Connor zakręcił palcem w powietrzu. – To ona dobierała się do mnie. Po czym przestała, powiedziała, że na tym koniec i że mam ją odwiedzić do domu. Kocham kobiety, Fin. Kocham je od stóp do głów, ich umysły, serca, ciała. Piersi. O co chodzi z kobiecymi piersiami?

– Ile mamy lat, żeby przedyskutować ten temat?

Connor się roześmiał.

– Święta racja. O samych piersiach moglibyśmy rozmawiać godzinami. Kocham kobiety, Fin, ale za żadne skarby nie potrafię ich zrozumieć.

– Na ten temat moglibyśmy dyskutować całe wieki. – Zaintrygowany Fin spojrzał przyjacielowi w oczy.

– Powiedz mi, Connor, czy ty też chciałeś na tym poprzestać?

– Jak już przestałem się dziwić, gdzie to się w nas obojgu kryło przez

całe życie, to nie. Nie chciałem.

– W takim razie, *mo dearthair* – Fin klepnął go w ramię – teraz twoja kolej, by zrobić następny krok.

– Myślałem o tym, ale zastanawiam się teraz, czy ten epizod lub dwa mógł stać się przyczyną, dla której Cabhan dzisiaj się zainteresował Mearą. Ponieważ ja się nią zainteresowałem. Co ty o tym myślisz?

– Bardzo możliwe. Zranił cię wczoraj wieczorem i może dzisiaj próbował znowu, przez Mearę. Dlatego musicie na siebie uważać, oboje.

– Będę uważał, na siebie i na nią. Aha, przyszli turyści. Para z Walii. Masz ochotę pójść z nami? Przyniosę ci rękawicę.

Fin już miał odmówić, jednak zdał sobie sprawę, że upłynęło zbyt wiele czasu, odkąd ostatnio spacerował z Connorem i sokołami.

– Bardzo chętnie, ale sam wezmę sprzęt.

Connor podniósł wzrok, zobaczył Merlina kołującego nad ich głowami.

– Weźmiesz go sam czy powierzysz go komuś innemu?

– Zabiorę go, jemu też sprawi to przyjemność.

– Jak za dawnych, dobrych czasów.

Kiedy Fin poszedł po rękawicę, Connor zerknął na zegarek. Gdy tylko będzie wolny, poszuka Meary. Mają sporo spraw do omówienia, nieważne, czy jej się to podoba, czy nie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Meara miała pełne ręce roboty, ale kiedy odebrała telefon od załamanej, szlochającej matki, natychmiast poszła szukać Boyle'a.

Siedział w swoim biurze, marszcząc czoło nad dokumentami, ponieważ zwykle marszczył czoło nad papierami.

– Boyle.

– Dlaczego wyliczenia za pierwszym razem nigdy się nie zgadzają? Dlaczego?

– Nie wiem. Boyle, przykro mi, że cię o to proszę, ale muszę wyjść. U mojej matki w domu wybuchł pożar.

– Pożar? – Zerwał się zza biurka, jakby sam zamierzał go ugasić.

– Z tego co zrozumiałam, zaczął się w kuchni. Trudno mi było czegokolwiek się dowiedzieć, bo matka była bliska hysterii, ale zrozumiałam, że nic jej się nie stało i że dom nie spalił się do cna. Jednak nie wiem, jak poważne są szkody, dlatego...

– Jedź. Jedź. – Obszedł biurko, wziął Mearę za ramię i wyprowadził z biura. – Daj mi znać, jak tylko będziesz mogła.

– Dam. Dzięki. Jutro zostanę dłużej, żeby to odrobić.

– Po prostu jedź, na litość boską.

– Jadę.

Meara wskoczyła do furgonetki.

Na pewno nic się nie stało, przekonywała samą siebie. Chyba że jednak coś się stało. Z Colleen Quinn nigdy nic nie wiadomo.

Przez telefon matka mówiła bez ładu i składu, płakała i opowiadała coś o kuchni, dymie, spaleniźnie.

Może jest poparzona.

Przed oczami Meary stanął Connor, z czarnymi, spalonymi bąblami na ramieniu.

Płonący.

Cabhan. Lęk prawie ją obezwładnił na myśl, że to on mógł mieć coś z tym wspólnego. Czy zaatakował jej matkę, bo ona sama oparła się jego wezwaniu?

Meara wcisnęła pedał gazu i brała ostro zakręty, z duszą na ramieniu mknęła drogą aż do małego domku dla lalek, stojącego wśród innych, podobnych, na obrzeżach Cong.

Dom nadal stał, nie zauważyła żadnych zniszczeń na białych ścianach, szarym dachu ani w przydomowym ogródku. Wszędzie panował idealny porządek, ponieważ te małe skrawki ziemi z przodu i z tyłu domu były jedyną prawdziwą pasją Colleen.

Otworzyła niską furtkę, którą sama pomalowała zeszłej wiosny, i popędziła ścieżką, szukając kluczy, ponieważ matka upierała się, żeby w dzień i w nocy zamykać drzwi w obawie przed złodziejami, gwałcicielami i atakiem obcych.

Jednak Colleen już biegła do córki, dłonie miała złożone jak do modlitwy.

– Och, Meara, dzięki Bogu, że przyjechałaś! Co ja zrobię? Co ja teraz zrobię?

Rzuciła jej się w ramiona – szlochający, drżący tłumoczek nieszczęścia.

– Nie jesteś ranna? Na pewno? Daj mi zobaczyć, czy nic ci się nie stało.

– Oparzyłam sobie palce. – Colleen jak dziecko uniosła rękę, żeby pokazać ranę.

Nic poważnego, pomyślała z ulgą Meara, wystarczy odrobina

leczniczego balsamu.

– Nic ci się nie stało, wszystko dobrze. – Pocałowała lekko matkę w poparzone palce, żeby złagodzić ból.

– Najważniejsze, że nic ci się nie stało.

– Ależ stało się! – upierała się Colleen. – Kuchnia jest zrujnowana. Co ja zrobię? Och, Meara, co ja teraz zrobię?

– Chodźmy zobaczyć, dobrze?

Nietrudno było obrócić Colleen i wepchnąć ją do domu. Meara odziedziczyła wzrost po nieobecnym w jej życiu ojcu, a Colleen była drobna, ładna i szczupła, zawsze idealnie zadbana, przez co Meara, idąc z matką, często czuła się jak ogromny niedźwiedź, prowadzący pudła z doskonałym rodowodem.

Żadnych zniszczeń w salonie, odnotowała z ulgą, chociaż czuła swąd spalenizny i widziała dym.

Zwykły dym, odetchnęła, żadnej mgły.

Po trzech krokach znalazła się w niedużej kuchni, połączonej z jadalnią.

Pomieszczenie nie było zrujnowane, chociaż bez wątplenia panował w nim bałagan, jednak nie taki, jaki mógłby spowodować zły czarnoksiężnik, tylko dzieło niezdarnej kobiety.

Obejmując ramieniem szlochającą matkę, Meara oceniała stan wnętrza.

Brytfanka ze spalonym mięsem, leżąca na podłodze obok mokrej ścierki, powiedziała jej wszystko.

– Spaliłaś mięso – powiedziała ostrożnie.

– Chciałam upiec jagnięcinę, bo na kolację przyjdzie Donal ze swoją dziewczyną. Nie mogę zaakceptować jego przeprowadzki do Sharon przed ślubem, ale przecież jestem jego matką.

– Piekłaś mięso – szepnęła Meara.

– Donal lubi zjeść porządny kawałek mięsa, sama wiesz. Wyszłam tylko na chwilę do ogrodu. Pojawiło się mnóstwo ślimaków i chciałam wysypać granulki.

Roztrzęsiona Colleen wskazała kuchenne drzwi, jakby Meara zapomniała, gdzie jest ogród.

– Ślimaki zaatakowały niecierpki i musiałam się tym zająć.

– Rozumiem. – Meara zaczęła otwierać okna, o czym matka najwidoczniej zapomniała.

– Nie byłam tam długo, ale uznałam, że skoro już wyszłam, to utnę kilka kwiatów do wazonu. Przy prozzonej kolacji miło mieć ładny, świeży bukiet na stole.

– Mhm – powiedziała Meara, zbierając z podłogi rozrzucone kwiaty.

– Weszłam, a w kuchni unosił się dym. – Nadal drżąc, Colleen rozejrzała się dookoła oczami pełnymi łez. – Podbiegłam do kuchenki i zobaczyłam, że mięso się pali, więc wzięłam ścierkę, żeby je wyciągnąć.

– Rozumiem. – Meara wyłączyła piekarnik, znalazła świeżą ścierkę i podniosła z podłogi brytfankę ze zwęgloną jagnięciną.

– Wtedy ścierka się zapaliła i musiałam wszystko rzucić, i złapałam garnek z wodą na ziemniaki.

Matka załamywała ręce, a Meara pozbierała ziemniaki i wrzuciła je do zlewu.

– Kuchnia jest zrujnowana, Meara, zrujnowana! Co ja zrobię? Co ja teraz zrobię?

Meara poczuła znaną płataninę uczuć: złość, rezygnację, frustrację. Pogodzona z nimi wytarła ręce o robocze spodnie.

– Przede wszystkim otwórz okna w salonie, a ja umyję tu podłogę.

– Dym na pewno pobrudził ściany i spójrz, podłoga jest przypalona od

ścierki. Nie odważę się powiedzieć o tym właścicielowi, od razu mnie wyrzuci.

– Nic takiego nie zrobi. Jeśli ściany się pobrudziły, to je pomalujemy, a podłogę odnowimy. Otwórz okna, a potem posmaruj sobie palce maścią od Branny.

Jednak Colleen nadal stała, zaciskając dłonie, a w jej ładnych, niebieskich oczach błyszczały łzy.

– Donal i jego dziewczyna przyjdą o siódmej.

– Wszystko po kolei, mamó – uspokajała ją Meara, myjąc mopem podłogę.

– Nie mogłam do niego zadzwonić po tej katastrofie, bo jest w pracy.

Ale do mnie mogłaś, pomyślała Meara, ponieważ nigdy nie rozumiałaś, że kobieta może chcieć i potrzebować pracy, tak samo jak mężczyzna.

– Okna – powiedziała tylko.

Ona nie robi tego ze złości, upominała samą siebie, szorując podłogę, która wcale nie była spalona, tylko brudna od popiołu ze ścierki. Matka nie była nawet samolubna, tylko zupełnie bezradna i zależna od innych. W sumie czy to jej wina, skoro przez całe życie ktoś o nią dbał i ją chronił? Najpierw rodzice, potem mąż, a teraz dzieci.

Nikt nigdy jej nie nauczył, jak sobie radzić, prawda? Ani, dodała w myślach Meara, patrząc spode łba na brytfankę, jak piec cholerne mięso.

Wycisnęła mop i napisała SMS do Boyle'a, żeby się nie martwił:

„Żaden pożar, tylko spalone mięso i niezły bałagan. Nic się nie stało”.

Wyniosła resztki pieczeni do śmietnika, obmyła ziemniaki – nadal surowe, ponieważ na szczęście matka zapomniała włączyć gaz pod garnkiem.

Napełniła brytfankę wodą, żeby się odmoczyła, i wstawiła czajnik, podczas gdy Colleen bez przerwy rozpaczała, że zostanie wyrzucona na bruk.

– Usiądź, mammo.

– Nie mogę. Jestem zbyt zdenerwowana.

– Usiądź. Napijesz się herbaty.

– Ale Donal... Co ja zrobię? Zrzućmy kuchnię, a oni przychodzą na kolację. I właściciel się wścieknie, to nie ulega wątpliwości.

Meara powtarzała w myślach tabliczkę mnożenia – mnożyła przez siedem, co zawsze sprawiało jej największą trudność, dzięki temu nie wrzasnęła na matkę, tylko spokojnie się do niej odwróciła.

– Po pierwsze, rozejrzyj się. Kuchnia nie jest zrujnowana, prawda?

– Ale ja... – Colleen popatrzyła dookoła, jakby widziała pomieszczenie po raz pierwszy. – Och, wszystko pięknie się odczyściło, prawda?

– Tak, prawda.

– Nadal jednak czuję dym.

– Musisz tylko trochę wywietrzyć i nic nie będzie czuć.

– Meara zrobiła herbatę, położyła kilka czekoladowych ciastek na jednym z eleganckich talerzyków i – ponieważ taka była jej matka – dodała białą, płócienną serwetkę.

– Usiądź, napij się herbaty. Zobaczmy twoje palce.

– Wyglądają dużo lepiej. – Colleen wreszcie się uśmiechnęła i uniosła rękę. – Branna ma taki talent, prawda, do robienia tych wszystkich balsamów, kremów i świeczek. Uwielbiam kupować w „Czarownicy z Ciemności”, zawsze znajdę tam coś ładnego. To taki śliczny, mały sklepik.

– To prawda.

– A ona wpada do mnie od czasu do czasu i przynosi mi próbki do przetestowania.

– Wiem. – Żeby Colleen miała te swoje ładne drobiazgi, nie wydając na nie zbyt dużo, o tym Meara również wiedziała.

– To taka kochana dziewczyna, ta Branna, i taka elegancka.

– To prawda – zgodziła się po raz kolejny Meara z pełną świadomością, że Colleen chciałaby, aby jej córka również ubierała się elegancko, zamiast chodzić w roboczych ciuchach.

Będziemy musiały żyć rozczarowane sobą nawzajem, prawda, mamgo?, pomyślała, ale nic więcej nie powiedziała.

– Kuchnia wygląda dużo lepiej, Meara, bardzo ci dziękuję. Tyle że teraz nie mam ani produktów, ani czasu, żeby zrobić kolację dla Donala i jego dziewczyny. Co sobie Sharon o mnie pomyśli?

– Pomyśli, że byłaś trochę zajęta, dlatego zadzwoniłaś do Hotelu Ryana i zarezerwowałaś stolik dla trojga.

– Och, ale...

– Ja to załatwię i każę zapisać na mój rachunek. Zjecie dobrą kolację i wrócicie tutaj na herbatę i deser, który za chwilę zamówię w Cafe Monk. Podasz go na swojej pięknej porcelanie i będziesz się świetnie bawić. I wszyscy spędzicie miły wieczór.

Policzki Colleen aż poczerwieniały z zadowolenia.

– To brzmi cudownie, po prostu cudownie.

– No dobrze, mamgo, czy pamiętasz, jak powinno się postępować w wypadku pożaru w kuchni?

– Trzeba zalać ogień wodą. Ja tak właśnie zrobiłam.

– Najlepiej zdusić płomień. W szafce z mopem masz gaśnicę. Pamiętasz? Fin ci ją przywiózł, a Donal powiesił tak, żeby była pod ręką.

– Och, nawet o niej nie pomyślałam, byłam zbyt zdenerwowana. I skąd miałabym wiedzieć, jak jej użyć?

No właśnie, zgodziła się w myślach Meara.

– Mogłaś też posypać ogień sodą do pieczenia albo rozsypać sodę

dookoła i nakryć brytfankę, żeby odciąć dopływ powietrza. A najlepiej, żebyś nie wychodziła z kuchni, kiedy gotujesz. Możesz nastawić czasomierz w kuchence, żeby wiedzieć, jak długo to będzie trwało.

– Miałam zamiar.

– Jestem pewna.

– Przepraszam, że sprawiłam ci kłopot, Meara, naprawdę.

– Nie szkodzi, wszystko już jest w porządku, prawda?

– Położyła delikatnie dłoń na rękę Colleen. – Mamo, nie byłabyś szczęśliwsza, gdybyś mieszkała bliżej wnuków?

Meara spędziła trochę czasu, roztaczając przed matką wizję świetlanej przyszłości u Maureen, po czym pojechała do kawiarni, gdzie kupiła śliczny tort z kremem, trochę wafli i ciastek. Podjechała też do restauracji i ustaliła wszystko z menedżerem, który był jej kolegą ze szkoły. Potem wróciła do matki i z bólem głowy pojechała wreszcie do domu, a stamtąd zadzwoniła do siostry.

Po godzinie kłótni, negocjacji, krzyków, śmiechu i użalania się nad wspólnym nieszczęściem wyjęła fiolkę proszków przeciwbólowych i wzięła kilka, popijając wodą z kranu.

Przyjrzała się sobie w lustrze wiszącym nad umywalką. Niedobór snu pozostawił ślad w postaci podkrążonych oczu, a ogólne zmęczenie dodało zmarszczki wokół nich i bruzdę między brwiami, którą potarła z irytacją.

Jeszcze jeden taki dzień, pomyślała, i będzie potrzebowała wszystkich kremów i balsamów Branny – nie mówiąc o czarze urody – albo zacznie wyglądać jak stara wiedźma.

Musi na jeden wieczór odsunąć to wszystko na bok, zdecydowała. Connora, Cabhana, matkę i całą resztę rodziny. Jeden spokojny wieczór, w piżamie, z grubą warstwą kremu Branny na twarzy, przed telewizorem, z pi-

wem i chipsami czy jakimkolwiek śmieciowym jedzeniem, jakie ma w domu.

Nic więcej jej nie potrzeba.

Postanowiła zacząć od piwa – nie po raz pierwszy zabierze zimne piwo pod gorący prysznic, żeby splukać trudy dnia – więc ruszyła do kuchni, kiedy ktoś zaczął się dobijać do drzwi.

– Idź sobie – mruknęła. – Kimkolwiek jesteś, idź sobie i nie wracaj.

Ktokolwiek stał u drzwi, załomotał znowu i Meara znów by go zignorowała, gdyby nie usłyszała wołania:

– Otwieraj, Meara! Wiem, że tam jesteś.

Connor. Uniosła oczy do sufitu, ale poszła otworzyć.

– Mam zamiar spędzić spokojny wieczór, więc idź sobie gdzie indziej.

– Co z tym pożarem u twojej matki?

– Nic się nie stało. Idź sobie.

Spojrzał na nią zmrużonymi oczami.

– Okropnie wyglądasz.

– Właśnie to chciałam usłyszeć na koniec takiego cholernego dnia. Idź już.

Próbowała zamknąć mu drzwi przed nosem, ale Connor naparł na nie ramieniem. Przez długą absurdalną chwilę pchali, każde po swojej stronie, ale Meara zapomniała, że on miał więcej siły, niż na to wyglądał.

– Dobrze, dobrze, w takim razie wejdź. Ten dzień już i tak jest jedną wielką katastrofą.

– Boli cię głowa, jesteś zmęczona i zła.

Zanim zdążyła się odsunąć, przyłożył dłonie do jej skroni i przesunął nimi po głowie aż do karku.

I pulsujący ból zniknął.

– Wzięłam proszek.

– To działa szybciej, – Pomasował jej lekko ramiona, aż zeszło z nich całe napięcie. – Usiądź, zdejmij buty. Przyniosę ci piwo.

– Nie zapraszałam cię na piwo i pogawędkę. – Zawstydziała się, słysząc złość w swoim głosie, po tym jak Connor uwolnił ją od napięcia i bólu. A wstyd jeszcze podsycił tę złość.

Connor przechylił głowę, pełen cierpliwości i współczucia. Meara miała ochotę przyłożyć mu w nos.

Chciała położyć głowę na jego ramieniu i tylko oddychać.

– Nic nie jadłaś, prawda?

– Dopiero co wróciłam.

– Siadaj.

Poszedł do kuchni. Dwupalnikowa kuchenka, małe lodówki, mikroskopijny zlew i blat roboczy, schludnie ukryte w kącie pokoju, w pełni zaspokajały kulinarne wymagania Meary.

Mrucząc pod nosem brzydkie słowa, usiadła, zdjęła buty i zmrużonymi oczami patrzyła, jak Connor szpera w zamrażalniku.

– Czego tam szukasz?

– Mrożonej pizzy. Zawsze ją masz, a będzie najszybciej i sam chętnie się poczęstuję, bo też jeszcze nic nie jadłem.

Wyjął pizzę z opakowania i włożył do piekarnika. W odróżnieniu od Colleen, pamiętał o nastawieniu minutnika. Wziął dwie butelki piwa, otworzył i wrócił do Meary.

Podał jej piwo, usiadł obok niej na kanapie i czując się jak u siebie, położył nogi na niskim stoliku.

– Zaczniemy od końca. U twojej matki w kuchni wybuchł pożar, tak?

– Żaden pożar. Po jej reakcji można było sądzić, że wywołała kataklizm,

który zrównał z ziemią całą wioskę, a po prostu spaliła kawałek jagnięciny.

– No cóż, twoja mama nigdy nie była najlepszą kucharką.

Meara parsknęła śmiechem i napiła się piwa.

– Jest fatalną kucharką. Nie mam pojęcia, dlaczego wbiła sobie do głowy, że musi ugotować kolację dla Donala i jego dziewczyny. Ponieważ tak wypada – natychmiast odpowiedziała sama sobie. – W jej świecie tak wypada, a ona musi robić to, co wypada. Otoczyć się porcelaną z Belleek, Royal Tarą i Waterfordem, powiesić w oknach firanki z irlandzkiej koronki. I przysięgam, ona ubiera się do pracy w ogrodzie albo na zakupy tak, jakby szła na lunch do pięciogwiazdkowej restauracji. Z jej fryzury nigdy się nie wymknie ani jeden włos, nigdy jej się nie rozmaże szminka. A matka nie umie ugotować ziemniaków, nie powodując przy tym katastrofy.

Zamilkła i wypła łyk piwa, a Connor bez słowa poklepał ją po nodze.

– Mieszka w wynajętym domku, niewiele większym od szopy w ogrodzie domu, w którym kiedyś mieszkała z ojcem, zamyka drzwi na cztery spusty w obawie przed hordami złodziei i złoczyńców, bo jej zdaniem przestępcy czają się za każdym rogiem, a nie pomyśli, żeby po prostu otworzyć okno, kiedy ma chałupę pełną dymu.

– I zadzwoniła po ciebie.

– Oczywiście, że zadzwoniła po mnie. Przecież nie mogła wezwać Donala, który był w pracy, podczas gdy ja tylko bawię się z końmi. – Westchnęła. – Ona tak nie myśli, wiem o tym. Sama nigdy nie pracowała, wyszła za mojego ojca, kiedy właściwie była jeszcze dzieckiem, a on otoczył ją kokonem, dał jej piękny dom ze służbą i obsypywał ją prezentami. Jedyne, co musiała robić, to być jego ozdobą i wychowywać dzieci – no i oczywiście prowadzić życie towarzyskie, co również wchodziło w zakres obowiązków ozdoby, podczas gdy pani Hannigan zajmowała się kuchnią, a pokojówki całą

resztą.

Znowu poczuła, jak ogarnia ją zmęczenie, i wbiła wzrok w butelkę piwa.

– A potem jej świat się zawalił. Nic dziwnego, że nie potrafi sobie poradzić z większością codziennych obowiązków.

– Twój świat również się zawalił.

– To co innego. Byłam jeszcze mała i potrafiłam się przystosować do nowej sytuacji, poza tym nie czułam takiego wstydu jak ona. Miałam Branę i ciebie, Boyle’a i Fina. Moja matka go kochała. Kochała Josepha Quinna.

– A ty nie, Meara?

– Czasem miłość umiera. – Wypiła jeszcze łyk. – Jej nie umarła. Matka nadal trzyma w swoim pokoju jego zdjęcie w srebrnej ramce. Mam ochotę wrzeszczeć za każdym razem, kiedy na nie patrzę. On nigdy do niej nie wróci, a nawet gdyby chciał, to dlaczego miałyby go przyjąć z powrotem? Ale ona by przyjęła.

– To nie twoje serce, tylko jej.

– W którym pielęgnuje iluzję. Ale masz rację. To jej serce, nie moje.

Oparła głowę, zamknęła oczy.

– Pomogłaś jej się uspokoić?

– Posprzątałam cały bałagan, bo zalała podłogę wodą z ziemniaków, i mogę tylko być zadowolona, że zapomniała włączyć pod nimi gaz, więc skończyło się na jednej katastrofie. Teraz pewnie je kolację z Donalem i jego dziewczyną w Hotelu Ryana.

Chcąc ją uspokoić, pogłaskał ją po udzie.

– Na twój rachunek.

– Pieniądze stanowią w tym wszystkim najmniejszy problem. Zadzwoiłam do Maureen i wszystko jej wygarnęłam. Teraz jej kolej, do

ciężkiej cholery. Mary Clives mieszka za daleko, ale mieszkając u Maureen, mama będzie mogła odwiedzać Mary Clives i jej dzieci i przyjeżdżać tutaj z wizytą. A mój brat... Jego żona jest cudowna, ale wydaje mi się, że mamie łatwiej będzie mieszkać z własną córką niż z synową. A Maureen ma miejsce i miłego, pogodnego męża.

– A czego pragnie twoja matka?

– Matka chce, żeby wrócił ojciec i życie, które znała, ale ponieważ to niemożliwe, będzie szczęśliwa z wnukami. Dobrze sobie z nimi radzi, kocha je i ma do nich anielską cierpliwość. Maureen w końcu się zgodziła, przynajmniej na próbę. Wierzę, naprawdę, że to rozwiązanie będzie dobre dla wszystkich. Mama pomoże Maureen przy dzieciach, które kochają babcię. Będzie szczęśliwa w pięknym, dużym domu, z dala od miejsca, gdzie wszystko przypomina jej o przeszłości.

– Myślę, że masz rację, jeśli moja opinia ma dla ciebie jakieś znaczenie.

Meara znowu westchnęła, napiła się piwa.

– Ma. Moja mama nie jest osobą, która czuje się szczęśliwa, mieszkając sama. Donal musi zacząć żyć własnym życiem, ja też muszę mieć czas na swoje. Maureen jest rozwiązaniem naszych problemów, a sama także skorzysta, kiedy matka będzie zajmowała się dziećmi pod jej nieobecność.

– Doskonały plan dla wszystkich zainteresowanych.

– Poklepał ją po ręku, po czym wstał na dźwięk minutnika. – A teraz zjemy pizzę i opowiesz mi o spotkaniu z Cabhanem.

Nie taki wieczór Meara planowała, ale czuła, że mimo wszystko się relaksuje. Pizza, zjedzona na kanapie w salonie, wypełniła pustkę w żołądku, z której nie zdawała sobie sprawy, dopóki nie ugryzła pierwszego kęsa. Drugie piwo jeszcze poprawiło jej samopoczucie.

– Jak mówiłam Brannie, wszystko toczyło się tak powoli, jak we śnie.

Teraz rozumiem, o czym mówiła Iona, kiedy jej się to przytrafiło zeszłej zimy. Czułam się trochę tak, jakbym lewitowała i patrzyła na siebie z boku. Ach, i zrobiło się zimno – dodała. – Zapomniałam o zimnie.

– Zrobiło się zimno?

– Na chwilę przedtem, nim usłyszałam jego głos. Zupełnie niespodziewanie zrobiło się zimno. Nawet wyjęłam z kieszeni rękawiczki. I zerwał się silny wiatr, światło się zmieniło. Poranek był słoneczny, tak jak zapowiadali, ale nagle zrobił się szary i mroczny. Pomyślałam, że to chmury zasłoniły słońce, ale...

Cofnęła się myślami, teraz już spokojnie, żeby wszystko sobie przypomnieć.

– Cienie. Widziałam cienie. Skąd się tam wzięły, skoro nie było słońca? Zapomniałam powiedzieć o nich Brannie. Chyba byłam zbyt przejęta.

– Nic nie szkodzi. Mówisz teraz mnie.

– Te cienie poruszały się razem ze mną i było mi w nich ciepło... chociaż nie tak naprawdę, Connor. Byłam zziębnięta na kość, ale wydawało mi się, że jest mi ciepło. Czy to ma w ogóle jakiś sens?

– Jeśli pytasz, czy rozumiem, to tak. Jego magia jest równie zimna, jak ciemna. Ciepło było tylko złudzeniem, tak jak twoje pożądanie.

– Dalej wszystko potoczyło się tak, jak mówiłam. On mnie wołał, a ja stałam z ręką na winorośli, zamierzając tam wejść. Tak bardzo chciałam tam wejść, odpowiedzieć na jego wezwanie. Wtedy zjawił się Roibeard z Kathelem i mnie uratowali.

– Kiedy będziesz szła z pracy do nas i podczas przejazdów z klientami trzymaj się tak daleko od tego miejsca, jak tylko będziesz mogła.

– Oczywiście. Chodzę tamtędy z przyzwyczajenia, a każde przyzwyczajenie można zmienić. Na wszelki wypadek Branna zrobiła mi

amulet, a drugi dała mi Iona i Fin także.

Connor wyjął z kieszeni małą saszetkę.

– I ja też.

– W tym tempie za chwilę będę miała kieszenie pełne magicznych torebek.

– I bardzo dobrze. Trzymaj jedną w mieszkaniu, przy drzwiach, jedną w furgonetce i jedną przy łóżku, bo we śnie jesteśmy najbardziej bezbronni. I jeszcze jedną w kieszeni. – Włożył Mearze saszetkę w dłoń, zamknął jej palce na amulecie. – Zawsze, Meara.

– Dobrze. Będę.

– I noś to. – Z drugiej kieszeni wyjął długi rzemyk z nanizanymi wypolerowanymi kamykami.

– Jaki ładny. Po co mam go nosić?

– Zrobiłem ten naszyjnik, kiedy miałem nie więcej niż szesnaście lat. Jest z niebieskiego chalcedonu, jaspisu i nefrytu. Chalcedon broni przed ciemną magią, nefryt przed atakiem fizycznym, którego doświadczyłaś wczoraj, a jaspis jest kamieniem ogólnie ochronnym. Dlatego noś go, dobrze?

– Dobrze. – Założyła ozdobę na szyję. – Oddam ci go, jak już będzie po wszystkim. Bardzo starannie wykonany – dodała, oglądając kamienie. – Ale w sumie zawsze miałeś zręczne dłonie.

Gdy tylko to powiedziała, skrzywiła się w duchu na dobór słów.

– No to teraz wiesz już wszystko o blaskach i cieniach mojego dnia i dziękuję za pizzę, nawet jeśli pochodziła z mojego własnego zamrażalnika.

Zacząła wstawać, by zebrać talerze, ale Connor złapał ją za ramię i pociągnął z powrotem na kanapę.

– Jeszcze nie skończyliśmy, przecież zaczęliśmy od końca. Pozostał nam wczorajszy wieczór.

– Już ci mówiłam, że to nie miało żadnego znaczenia.

– Bzdura.

Jego łagodny, niemal wesoły ton sprawił, że Meara miała ochotę wrzeszczeć.

– Mam dosyć wrażeń jak na jeden dzień, Connor.

– Dlatego możemy skończyć ten temat raz na zawsze. Meara, jesteśmy przyjaciółmi czy nie?

– Jesteśmy i właśnie o to chodzi.

– Wczoraj nie pocałowałaś mnie jak przyjaciółka. A ja, kiedy już otrząsnąłem się z pierwszego szoku, nie pocałowałem cię jak przyjaciel.

Meara wzruszyła ramionami, żeby pokazać, jak niewielkie ma to dla niej znaczenie – i pomodliła się w duchu, żeby małe skrzydełka przestały trzepotać jej w brzuchu. Myślałby kto, że połknęła stado motyli, a nie pół mrożonej pizzy.

– Gdybym wiedziała, że będziesz robił takie zamieszanie wokół jednego pocałunku, nigdy bym cię nie pocałowała.

– Mężczyzna, który nie robiłby zamieszania wokół takiego pocałunku, musiałby być martwy od co najmniej pół roku. A i tak założę się, że nie pozostałby obojętny.

– To tylko oznacza, że jestem w tym dobra.

Connor się uśmiechnął.

– Nie mogę zaprzeczyć. Chcę powiedzieć, że to nie był tylko przyjacielski pocałunek, efekt nerwowego dnia. To było coś więcej.

– No dobrze, może czułam też trochę pożądania i byłam ciekawa. Co w tym dziwnego? Jesteśmy dorośli, jesteśmy ludźmi i znajdujemy się w przedziwnej sytuacji. Mieliśmy mały gorący epizodzik, to wszystko.

Connor pokiwał głową, jakby rozważał jej słowa.

– Z tym również nie mogę się nie zgodzić, chociaż jest jedno „ale”.

– Jakie „ale”?

Podniósł się tak szybko, że Meara nie miała nawet sekundy, żeby się przygotować. Schwycił ją, przyciągnął do siebie i przywarł ustami do jej warg.

Kolejny gorący epizod, szybki, wstrząsający, zabójczy dla zmysłów. Jakiś cichy głos w głowie Meary kazał jej rąbnąć Connora w nos, żeby wszystko z powrotem stanęło na swoim miejscu, ale jej ciało było zbyt zajęte braniem tego, co jej dawał.

Pociągnął ją za warkocz tak dobrze znanym, pełnym czułości gestem, a ich usta oderwały się od siebie, choć twarze pozostały blisko, zbyt blisko. Jego oczy, które znała tak dobrze jak swoje, nabrały głębszego odcienia zieleni, błysnęły w nich złote cętki.

– To jest właśnie owo „ale”.

– To tylko... – Teraz ona go pocałowała, nie mogła się powstrzymać, kiedy czuła jego galopujące serce tuż przy swoim. – Fizyczność.

– Doprawdy?

– Doprawdy. – Zmusiła się, aby odsunąć się od niego, i wstała w nadziei, że z dala od niego będzie bezpieczna.

– Connor, musimy to przemyśleć, oboje. Jesteśmy i zawsze byliśmy przyjaciółmi, a teraz jeszcze stanowimy część kręgu. Nie możemy podjąć takiego ryzyka.

– Jakiego ryzyka?

– Jeśli pójdziemy razem do łóżka...

– Doskonały pomysł. Jestem za.

Meara pokręciła głową, jednak nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

– Ty masz ochotę na seks dwadzieścia cztery godziny na dobę, ale teraz

chodzi o ciebie i o mnie. Co się stanie, jeśli wystąpią komplikacje, napięcia, problemy, które mogą się pojawić, pojawiają się, kiedy w grę zaczyna wchodzić seks?

– Dobry seks zmniejsza napięcie.

– Tylko na chwilę. – Chociaż akurat teraz na samą myśl o seksie z Connorem Meara czuła ogromne napięcie i chętnie by się go pozbyła. – Możemy narobić kłopotów, sobie nawzajem i innym, a w obecnej sytuacji nie możemy sobie na to pozwolić. Musimy skupić się na tym, co mamy do zrobienia, i nie potrzeba nam komplikacji osobistych.

Swobodny jak zawsze Connor wziął butelkę i dopił piwo.

– To przez ten twój pracowity umysł, który zawsze myśli o tym, co będzie potem i nie pozwala reszcie ciebie cieszyć się chwilą.

– Jedna chwila przechodzi w następną.

– No właśnie, więc jeśli nie cieszysz się nią, zanim upłynie, to jaki jest sens tego wszystkiego?

– Chodzi o to, żeby trzeźwo oceniać sytuację i być gotowym na to, co nastąpi. A my musimy to przemyśleć. Nie możemy po prostu wskoczyć do łóżka, bo akurat naszła nas taka ochota. Za bardzo zależy mi na tobie i pozostałych, żeby podejmować takie ryzyko.

– Nic, co mogłabyś zrobić, absolutnie nic, nie może sprawić, że przestanę być twoim przyjacielem. Nawet jak mówisz „nie”, kiedy ja chcę, żebyś powiedziała „tak”, bardziej niż... cóż, bardziej niżbym chciał.

Connor też wstał.

– A zatem oboje to przemyślimy, damy sobie trochę czasu i zobaczymy, jak się będziemy z tym czuli.

– Tak będzie najlepiej, prawda? Chodzi o to, żebyśmy trochę ochłonęli, zaczęli trzeźwo myśleć, a nie poddali się impulsowi, którego możemy potem

żałować. Oboje jesteśmy wystarczająco mądrzy i zrównoważeni, by to rozumieć.

– W takim razie tak właśnie zrobimy.

Wyciągnął dłoń, żeby przypieczętować umowę, a Meara uścisnęła jego rękę.

I stali tak oboje naprzeciwko siebie, żadne z nich się nie cofnęło, nie zrobiło kroku naprzód ani nie puściło dłoni drugiego.

– Do diabła. Wcale nie będziemy o tym myśleć, prawda?

Connor wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nie dzisiaj.

I rzucili się na siebie.

TWLR

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Connor zwykle nie chwycił dziewcząt tak nieporadnie, ale był tak... nabuzowany, że stracił swój rytm i styl. Łapał, za co tylko mógł złapać, brał wszystko, co mógł wziąć. A Meara, wysoka i kształtna, mogła mu dać tak wiele.

Praktycznie zdarł z niej koszulę, żeby wziąć jeszcze więcej.

Żadne z nich już nie potrafiło się zatrzymać, ponieważ do głosu doszły pragnienia i potrzeby, których nie mogło zaspokoić racjonalne myślenie. Zatracili się w sobie, a następna chwila i jeszcze kolejna musiały poczekać.

Connor musiał zaspokoić ów nieoczekiwany, dojmujący głód.

Jednak nie w jej salonie, nie na stojąco, nie na podłodze.

Wziął Mearę na ręce.

– O Jezu, nie próbuj mnie nosić. Złamiesz kręgosłup.

– Mój kręgosłup jest wystarczająco mocny. – Niosąc dziewczynę do sypialni, obrócił głowę, by znaleźć usta Meary.

Zwariowali, pomyślała. Oboje kompletnie oszaleli, a jej to zupełnie nie obchodziło. Connor niósł ją na rękach i mimo że bardzo mu się spieszyło – jej zresztą też – było to nedorzecznie romantyczne.

Jeśli się potknie, cóż, dokończą tam, gdzie wylądują.

Jednak on się nie potknął. Opadł z nią na łóżko, aż stare sprężyny zaskrzypiały z zaskoczenia, a oboje wylądowali w miękkim gniazdku z materaca i pościeli.

Meara ściągała z Connora ubrania warstwa po warstwie, aż w końcu – Bogu niech będą dzięki – dotarła do skóry. Ciepłej, gładkiej, pod którą przeżyły się wyrobione codzienną pracą mięśnie.

Przeturlali się po łóżku, rozpaczliwie pragnąc usunąć każdy skrawek materiału, który ich dzielił.

– Cholerne ciuchy – mruknął Connor, mocując się z klamrą od paska, na co Meara się roześmiała.

– Przypominam ci, że oboje pracujemy na powietrzu.

– Dobrze, że warto odkrywać to, co jest pod spodem. Ach, tu jesteś – szepnął, napełniając dłonie jej piersiami.

Jędrne, miękkie i krągłe. Piękne i obfite. Mógłby napisać odę o cudownych piersiach Meary Quinn, jednak w tej chwili chciał ich dotykać, smakować je. I czuć, jak jej serce przyspiesza od truchtu do galopu, kiedy muskał jej skórę palcami, ustami, językiem.

Brakowało tylko...

Rozniecił światło, miękkie, bladozłote jak jej skóra. I uśmiechnął się, gdy Meara spojrzała mu w oczy.

– Chcę cię widzieć, piękna Mearo. Chcę patrzeć w te oczy Cyganki, podziwiać to ciało bogini.

Mówiąc, nie przestawał jej dotykać. Już nie chwycił jej tak łapczywie, odnalazł swój rytm. Dlaczego miałby się spieszyć z czymś tak rozkosznym, skoro może smakować? Przez pół życia mógłby całować jej piersi. I jeszcze te jej usta, miękkie i pełne – i równie spragnione, jak jego. Zaskakująco słodkie miejsce na szyi, tuż pod brodą, tak wrażliwe, że drżała, kiedy je całował.

Rozkoszował się jej reakcją – dreszczem, westchnieniem, gardłowym jękiem – gdy poznawał jej ciało centymetr po cudownym centymetrze.

Na dworze ktoś wydał pijacki okrzyk, rozległ się głośny śmiech, jednak tutaj, w ich gniazdku na łóżku, słychać było tylko westchnienia, szepty i ciche skrzypienie sprężyn.

Meara zdała sobie sprawę, że Connor przejął stery. Nie wiedziała, jak to

się stało, ponieważ nigdy wcześniej nikomu ich nie oddawała, jednak gdzieś między pośpiechem a cierpliwością poddała się mu bez reszty.

Jego dłonie sunęły nieśpiesznie po jej ciele, jakby miał całe wieki, żeby je gładzić, muskać i poznawać, a podczas wędrówki wzniecały ogień, aż jej ciało wydawało się jaśnieć od żaru, lśniło niczym światło, które wcześniej rozpalił.

Rozkoszowała się jego mocnymi plecami, wąskimi biodrami, twardymi dłońmi człowieka pracującego fizycznie. Pachniał lasem, ziemią i wolnością, jego usta i skóra także miały ten smak.

Dotykał jej tam, gdzie pragnęła być dotykana, całował skórę, stęsknioną za jego ustami, odnajdywał tajemne miejsca, o których nie wiedziała, a które również pragnęły uwagi. Wnętrze łokcia, tył kolana, wewnętrzna strona nadgarstka. Szeptał do niej słodkie słowa, które trafiały wprost do serca Meary, zapalając kolejny ogień.

Zdawał się wiedzieć, kiedy ten ogień przemienił się w pulsujące napięcie, a potem w tętniące pożądanie, na które odpowiedział, wiodąc Meare do góry, do szczytu, aż doprowadził ją do spełnienia. i

Oslabiona i oszołomiona uchwyciła się go, próbując złapać oddech.

– Chwilę. Daj mi chwilę.

– Teraz – szepnął. – To powinno być teraz.

I wsunął się w nią. Pocałował ją tak, jak ją brał, powoli i głęboko. To powinno być teraz, powtórzył w myślach, kiedy była taka dla niego otwarta, ciepła i wilgotna.

Jej jęk jak powitanie, jej ramiona niczym mocne powrozy, którymi przyciągnęła go do siebie.

Uniosła się ku niemu, objęła długimi nogami. Poruszała się z nim, jakby byli tak z sobą, dokładnie w ten sposób, od stu wcieleń. Obserwował ją w

blasku, który stworzył, w blasku tego, co stworzyli razem.

Dubheasa. Ciemna piękność.

Patrzył na nią, dopóki to, co razem stworzyli, nie przejęło nad nim kontroli, dopóki nie zalała go rozkosz głęboka, jak jej oczy. W ciemności i w świetle poddał się jej tak, jak ona jemu. I pozwolił, by zabrała go na szczyt.

Meara leżała i pławiła się w rozkoszy. Kiedy już pogodziła się z myślą, że uprawia seks z Connorem, spodziewała się pełnych śmiechu zapasów i pośpiechu, a teraz czuła się... zadbana i usatysfakcjonowana, a nawet uwiedziona jego delikatnym, niespiesznym dotykiem.

I absolutnie nie zamierzała narzekać.

Jej ciało było rozluźnione, miękkie i słabe w ten jedyny, cudowny sposób.

Wiedziała, że Connor będzie dobry – z całą pewnością miał dosyć praktyki – ale nie spodziewała się, że będzie aż tak cholernie fantastyczny.

Dlatego leżała teraz, spełniona, trzymając dłoń na jego bardzo zgrabnym tyłku.

Westchnęła i nagle uświadomiła sobie, że ona na pewno mu nie dorównała. Zaskoczył ją i nie wspięła się na wyżyny swoich możliwości.

Czy to dlatego Connor leżał teraz na niej jak martwy?

Poruszyła ręką, nie do końca pewna, co powinna powiedzieć lub zrobić.

Connor drgnął.

– Pewnie chciałabyś, żebym z ciebie zszedł.

– Ach... cóż.

Sturlał się z niej i rozciągnął na plecach. Gdy nadal nic nie mówił, Meara odchrząknęła.

– I co teraz?

– Myślę, że damy sobie chwilę na złapanie oddechu i zaczniemy od

początku.

- Mogę bardziej się postarać.
- Bardziej niż kiedy?
- Niż się postarałam. Byłam zaskoczona.

Przesunął leniwie palcem po jej boku.

– Jeśli postarasz się bardziej, mogę potrzebować całych tygodni na regenerację.

Niepewna, co dokładnie miał na myśli, Meara uniosła się, by zobaczyć jego twarz, a ponieważ zobaczyła usatysfakcjonowanego mężczyznę, znowu się odprężyła.

- A zatem jesteś zadowolony.

Connor uniósł powieki i spojrzał jej prosto w oczy.

– Zastanawiam się, co ci odpowiedzieć, ponieważ jeśli powiem prawdę, możesz uznać, że skoro jestem taki zadowolony, to na dzisiaj koniec. A chcę ciebie znowu, nawet jeszcze zanim odzyskam oddech.

Przyciągnął ją do siebie tak, że zetknęli się nosami.

- A ty jesteś zadowolona?

– Zastanawiam się, co ci odpowiedzieć – powtórzyła po nim, na co Connor uśmiechnął się szeroko.

- Tęskniłem za widokiem twojego nagiego ciała.

- Przecież nigdy wcześniej nie widziałeś mnie nago.

– Zapomniałaś o tej nocy, kiedy ty, ja, Branna, Boyle i Fin poszliśmy popływać w rzece?

- My nigdy... och, wtedy. – Splotła nogi z jego nogami.

- Miałam nie więcej niż dziewięć lat, ty ośle!

– Ale byłaś nago. Muszę przyznać, że od tamtego czasu bardzo ładnie się zaokrągliłaś. – Przesunął dłonią w dół po jej plecach aż do pośladków. –

Naprawdę, bardzo ładnie.

– A ty, jeśli mnie pamięć nie myli, wyglądałeś jak skarłały patyk. Też nieźle wyrosłeś. Świetnie się wtedy bawiliśmy – przypomniała sobie. – Odmroziliśmy sobie tyłki, ale zabawa była przednia. Byliśmy wszyscy tacy młodzi, nie mieliśmy absolutnie żadnych zmartwień. Ale on już nas obserwował, nawet wtedy.

– Nie. – Connor położył palec na jej ustach. – Nie sprowadzaj go tutaj, nie dziś wieczorem.

– Masz rację. – Poglądziła go po włosach. – Jak myślisz, ilu ludzi znajduje się w takiej sytuacji jak my, ludzi, którzy mają tyle wspólnie przeżytych lat i wspomnień?

– Podejrzewam, że niewielu.

– Nie możemy tego utracić, Connor. Nie możemy zniszczyć tego, kim jesteśmy dla siebie nawzajem, dla Branny i dla reszty. Musimy przysiąc. Musimy złożyć przysięgę, że nie zniszczymy przyjaźni, która nas łączy, bez względu na to, co się wydarzy.

– W takim razie przysięgam ci, a ty przysięgnij mnie.

– Wziął ją za rękę i splótł palce z palcami Meary. – Złożmy przysięgę, która nigdy nie zostanie złamana. Zawsze byliśmy przyjaciółmi i na zawsze nimi pozostaniemy.

Zobaczyła światło, przebijające przez ich splecione palce, poczuła ciepło.

– Przysięgam ci.

– A ja przysięgam tobie. – Pocałował jej palce, potem policzek i usta. – Muszę powiedzieć ci coś jeszcze.

– Co takiego?

– Odzyskałem oddech.

Meara roześmiała się, a Connor znowu się na nią wturlał.

Meara jadła z Connorem śniadania niezliczoną ilość razy, ale nigdy przy małym stoliku w jej mieszkaniu – i nigdy po wspólnym prysznicu.

Powinien uważać się za szczęściarza, pomyślała, ponieważ kiedy pojechała po deser dla matki, kupiła w kawiarni croissanty.

Zrobiła dla nich swoje codzienne danie – owsiankę

– a Connor zaparzył herbatę, ponieważ nie miała w spiżarni żadnej kawy.

– Dziś wieczorem mamy spotkanie – przypomniał jej i ugryzł croissanta. – Pyszne.

– To prawda. Staram się nie zaglądać zbyt często do kawiarni, bo zawsze kupuję tony ciastek. Przyjadę do was prosto ze stadniny – dodała. – Pomogę Brannie gotować. Dobrze, że spotykamy się regularnie, chociaż nie wydaje mi się, żeby któreś z nas nagle wpadło na genialny pomysł, co dokładnie powinniśmy zrobić i kiedy.

– Cóż, myślimy nad tym wszyscy i w końcu coś wymyślimy.

Naprawdę w to wierzył, a croissanty jeszcze pogłębiały jego optymizm.

– Może w drodze do pracy podrzucę cię do stadniny i przyjadę po ciebie, jak oboje skończymy? Oszczędzisz na benzynie, poza tym byłoby bez sensu, żebyśmy jechali dwoma samochodami.

– Wtedy będziesz musiał wieczorem odwiedzić mnie do domu.

– Taki był mój szczywany plan. – Uniósł kubek z herbatą w toaście na cześć samego siebie. – Przywiózłbym cię i został na noc, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Albo mogłabyś zanoć u nas.

Meara wypiła łyk szatańsko mocnej herbaty.

– Co pomyśli Branna?

– Wkrótce się dowiemy. Nie możemy tego przed nią ukrywać, zresztą,

nawet nie zdołalibyśmy – powiedział, niedbale wznosząc ramionami. – Ona i tak będzie wiedziała. Bo to, co stworzyliśmy razem, to... też krąg, prawda?

Spojrzał uważnie na Meare, która grzebała łyżką w misce z owsianką.

– To nie powinno cię martwić, Meara. Mamy prawo być z sobą, jeżeli oboje tego chcemy. I nikt, komu na nas zależy, nie pomyśli inaczej.

– Masz rację. Ale co do mojej drugiej rodziny, tej połączonej więzami krwi, to na razie wolałabym ich do tego nie mieszać.

– Będzie, jak zechcesz.

– Tylko nie myśl, że się ciebie wstydzę, Connor.

– Wcale tak nie myślę. – Nabrał pełną łyżkę owsianki i wsunął do ust Meary. – Wiem, że się nie wstydzisz. Dlaczego miałbym myśleć inaczej, przecież tak dobrze cię znam.

– To, że tak dobrze się znamy, bardzo ułatwia sprawy między nami, prawda? Moja matka zaraz zrobiłaby zamieszanie, zaczęła zapraszać cię na kolacje, a ja nie zniosłabym kolejnej kuchennej katastrofy. Poza tym moje finanse mogłyby nie udźwignąć większego rachunku w Hotelu Ryana. Tak czy inaczej, ona wkrótce jedzie do Maureen i – chyba że nastąpi kolejna katastrofa – zamieszka tam na stałe.

– Będziesz za nią tęsknić.

– Chciałabym mieć szansę, żeby się o tym przekonać.

– Meara westchnęła i zjadła trochę sama, żeby Connor nie zaczął jej karmić. – Może to zabrzmiało okropnie, ale taka jest prawda. Myślę, że odległość bardzo poprawi nasze wzajemne stosunki. I...

– I?

– Wczoraj, kiedy do niej jechałam i nie wiedziałam, co tam zastanę, pomyślałam, że może to Cabhan próbował się do niej dostać, tak jak

wcześniej do mnie. To było głupie, ponieważ nie miał żadnego powodu i nigdy wcześniej tego nie robił, ale pomyślałam też to samo, co ty powiedziałeś, że czujesz się lepiej, wiedząc, że twoi rodzice są z dala od tego wszystkiego. Będę spokojniejsza, kiedy moja matka też będzie daleko. Walka z Cabhanem to tylko nasze zadanie.

– I razem je wykonamy.

Connor podwiózł Mearę do stadniny, po czym pojechał do domu, żeby się przebrać.

Kiedy wszedł, Branna piła kawę, po raz kolejny wertując księgę Sorchy.

– Dzień dobry, Connorze – przywitała brata.

– Dzień dobry, Branna.

Przyjrzała mu się znad kubka.

– I jak się czuje nasza Meara w ten piękny poranek?

– Doskonale. Podwiozłem ją do stadniny, ale chciałem się jeszcze przebrać przed pracą. I zobaczyć, jak ty się miewasz.

– Jestem cała i zdrowa, ale ty wyglądasz wprost kwitnąco. Rozumiem, że jadłeś śniadanie?

– Tak, jadłem. – Wziął jedno z lśniących, zielonych jabłek, które ułożyła w misce. – Czy to ci przeszkadza, Branna? Meara i ja?

– A dlaczego miałyby mi przeszkadzać, skoro kocham was oboje i przez tyle lat patrzyłam, jak wahacie się ze zrobieniem tego, co – jak podpowiada mi mój nieprzeciętny umysł – zrobiliście wczoraj?

– Nigdy wcześniej nie myślałem o niej w ten sposób...

– Myślałeś, tylko nie dopuszczałeś tego do siebie, a to zupełnie co innego. Nie mógłbyś jej skrzywdzić.

– Oczywiście, że nie.

– A ona nigdy nie chciałaby zranić ciebie. – Co, pomyślała Branna,

również nie oznacza tego samego. – Seks jest mocą sam w sobie i moim zdaniem tylko doda siły naszemu kręgowi.

– Wygląda na to, że już dawno powinniśmy byli wskoczyć do łóżka.

Branna się roześmiała.

– Musieliście chcieć tego oboje. Uprawiać seks tylko po to, by zyskać więcej mocy? To byłoby egoistyczne i destrukcyjne.

– Daję ci słowo, że oboje tego chcieliśmy. – Ugryzł jabłko, które było tak chrupiące i cierpkie, jak na to wyglądało. – Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że zostawiłem cię samą na całą noc.

– Nie obrażaj mnie. – Branna machnęła ręką. – Dobrze wiesz, że doskonale potrafię zadbać o siebie i nasz dom.

– Tak, wiem. – Wziął dzbanek, żeby dolać jej kawy.

– A mimo to nie lubię zostawiać cię samej.

– Nauczyłam się tolerować dom pełen ludzi, nawet się tym cieszyć, ale ponieważ mnie znasz, wiesz, że najbardziej lubię być sama.

– Ponieważ ja zamieniłbym miejscami słowa „tolerować” i „lubić”, czasami naprawdę się dziwię, że mamy tych samych rodziców.

– Może zostałeś podrzucony pod drzwi i rodzice przygarnęli cię z litości. Ale się przydajesz, kiedy woda kapie z kranu albo drzwi skrzypią.

Pociągnął ją za włosy, chrupiąc jabłko.

– Wiesz, że nie możemy zapewnić ci samotności i ciszy, dopóki to wszystko się nie skończy.

– Wiem. Mam zamiar zrobić dziś dla naszej hordy wołowinę po burgundzku.

Connor uniósł brwi.

– Wymyślne.

– Mam nastrój na ugotowanie czegoś wymyślnego, a ty zadbaj, żeby

ktoś przyniósł dużo dobrego, czerwonego wina.

– Tak jest. – Wrzucił ogryzek do wiadra z kompostem i pocałował siostrę w czubek głowy. – Kocham cię, Branna.

– Wiem. Idź się przebrać, bo spóźnisz się do pracy.

Kiedy wyszedł, Branna spojrzała przez okno. Pragnęła szczęścia Connora bardziej niż własnego, a mimo to na myśl, że właśnie znalazł się na drodze do znalezienia czegoś, o czym nawet nie wiedział, że tego szuka, poczuła się boleśnie samotna.

Wyczuwając jej nastrój, Kathel wstał spod stołu i położył jej łeb na kolanach, a Branna siedziała, głaszcząc psa i wertując starą księgę z zaklęciami.

Iona weszła do siodłami, gdzie Meara kompletowała sprzęt na pierwszą wycieczkę.

– Znowu trzeba tu posprzątać – powiedziała wesoło Meara. – Zabieram czworo klientów, dwaj bracia z żonami. Przyjechali do Ashford na wesele. Ich siostrzenica bierze ślub w opactwie Ballintubber, tam, gdzie wy z Boyle'em pobieracie się na wiosnę, a potem wracają na przyjęcie do zamku.

– Uprawiałaś seks z Connorem.

Meara uniosła wzrok, zamrugała dramatycznie, po czym poklepała się po brzuchu i plecach.

– Mam to gdzieś napisane?

– Cały ranek uśmiechasz się i śpiewasz.

– Uśmiecham się i śpiewam nawet wtedy, kiedy nie uprawiam seksu.

– Nie śpiewasz przy wynoszeniu gnoju. I wyglądasz na naprawdę, naprawdę zrelaksowaną, a po takim dniu jak wczorajszy bez seksu byś tak nie wyglądała. To Connora pocałowałaś, więc z nim poszłaś do łóżka.

– Niektórzy ludzie całują się i wcale nie idą potem do łóżka. A czy ty

przypadkiem nie masz teraz lekcji na arenie?

– Mam jeszcze pięć minut i wreszcie dorwałam cię samą. Chyba że chcesz, żeby Boyle o wszystkim się dowiedział. Było cudownie, inaczej nie wyglądałabyś na taką szczęśliwą.

– Było cudownie i to nie jest żadna tajemnica. Connor i ja zgodziliśmy się, że ponieważ jesteśmy kręgiem i coś takiego może zmienić naszą sytuację, chociaż nie zmieni, wszyscy powinni wiedzieć, że jesteśmy z sobą. Chwilowo.

Wzięła uprząż, wędzidło, siodło i koc.

– Pasujecie do siebie. Jesteście szczęśliwi – dodała Iona, biorąc resztę ekwipunku, i poszła za Mearą. – Dobrze wam razem, więc dlaczego mówisz, że chwilowo?

– Ponieważ chwila jest chwilą i nikt nie wie, co przyniesie jutro. Ty i Boyle możecie patrzeć w przyszłość, to leży w waszych charakterach. – Weszła do boksu Maggie, którą wybrała dla jednej z turystek. – W tych kwestiach wyznaję zasadę, że liczy się to, co jest dziś.

– A Connor?

– Nigdy nie widziałam, żeby kierował się jakąkolwiek inną zasadą, w żadnej kwestii. Reszta sprzętu jest dla Cezara. Zostaw wszystko tutaj, ja się nim zajmę. Ty masz lekcję.

– Powiedz mi chociaż, czy było romantycznie?

– Iona, masz takie miękkie serce, ale mogę ci powiedzieć, że bardzo. Co było niespodziewane i naprawdę cudowne. – Na chwilę, tylko na chwileczkę, przytuliła policzek do miękkiej szyi Maggie. – Jak już było jasne, że do tego zmierzamy, myślałam, że się na siebie rzucimy. Ale... Connor sprawił, że pokój zajaśniał. I ja też.

– To piękne. – Iona podeszła do przyjaciółki i mocno ją uścisnęła. – Po

prostu piękne. Teraz ja też jestem szczęśliwa.

Iona poprowadziła Alastara, wielkiego, pięknego ogiera, już osiodłanego i gotowego do pracy, w kierunku areny. Uśmiechnęła się, słysząc, jak Meara znowu zaczyna śpiewać.

– Zakochała się – szepnęła do konia i pogłaskała go po silnym karku. – Tylko jeszcze o tym nie wie. – Roześmiała się, kiedy Alastar skubnął jej włosy. – Wiem, ona jeszcze trochę jaśniej. Też to widziałam.

Meara przerzuciła się ze śpiewu na nucenie, wyprowadziła konie na padok i przywiązała je do płotu. Odwróciła się, żeby pójść po ostatniego, i zobaczyła Boyle'a, który prowadził Rufusa.

– Dzięki. Iona ma lekcję na arenie, więc oprowadzę najpierw klientów wokół padoku, żeby się upewnić, że są tak doświadczonymi jeźdźcami, jak twierdzą, zanim wyruszymy gdzieś dalej.

Spojrzała w niebo.

– Piękny dzień, prawda? Dobrze, że zarezerwowali całą godzinę.

– Przed chwilą dzwoniła następna grupa i zarezerwowali wycieczkę w południe. Też goście weselni.

– Ich też mogę zabrać. – Miała dosyć energii, by jeździć, sprzątać i czyścić konie przez cały dzień i połowę nocy. – Jestem twoje dłużniczką za to, że tak wcześnie wczoraj wyszłam.

– Nie będziemy się rozliczać z godzin – powiedział Boyle – ale byłoby dobrze, gdybyś się nimi zajęła, bo Iona ma klientów o pół do jedenastej, a Mick prowadzi lekcję o jedenastej, Patty jest u dentysty, a Deborah zabiera wycieczkę o pierwszej, więc mamy pełne ręce roboty. Ale oczywiście sam mogę się nimi zająć.

– Ty nie cierpisz prowadzić wycieczek, a mnie to nie przeszkadza. – Poklepała go po policzku, na co Boyle posłał jej krzywe spojrzenie.

– Jesteś dziś radosna jak szczygiełek.

– A czym tu się martwić? – zapytała, patrząc na czworo ludzi idących do stadniny. – Wreszcie mamy słoneczny dzień, moja matka jedzie do Maureen na długą wizytę, która może zamienić się w stały pobyt, a wczoraj w nocy uprawiałam gorący, fantastyczny seks z Connorem.

– To dobrze, że twoja matka jedzie do... Co?

Boyle aż otworzył usta ze zdumienia, a Meara parsknęła śmiechem.

– Uprawiałam seks z Connorem wczoraj wieczorem i dzisiaj rano.

– Ty... – Zamilkł i wcisnął ręce do kieszeni tak boyle'owym gestem, że Meara znowu musiała poklepać go po policzku.

– Podejrzewam, że on też ma całkiem dobry humor, ale sam możesz go zapytać przy najbliższej nadarzającej się okazji. Państwo McKinnon, prawda? – zawołała, z uśmiechem witając pierwszych klientów.

Po dopełnieniu wszystkich formalności, ignorując pytające spojrzenia Boyle'a, Meara pomogła wsiąść swojej grupie na konie i poprowadziła całą czwórkę na padok.

– Widzę, że doskonale trzymacie się w siodłach – pochwaliła, gdy truchtali po padoku. Otworzyła bramę i wsiadła na Królową Pszczół.

– Trafiała się wam piękna pogoda, a nie ma lepszego widoku na okolicę niż z końskiego grzbietu. Jak wam się podoba w Ashford? – zaczęła niezobowiązującą pogawędkę, prowadząc turystów drogą.

Odpowiadała na pytania, słuchała rozmów, od czasu do czasu odwracając się w siodle i spoglądając na swoich gości, żeby wiedzieli, że poświęca im uwagę.

Jakie to cudowne, pomyślała, tak jechać konno przez las, mając błękitne niebo nad głową, gdy miękki, łagodny wietrzyk rozsiewa wokół zapachy jesieni. Zapachy, które przypominały jej Connora, więc uśmiechnęła się

jeszcze promienniej.

I wtedy go zobaczyła, jak prowadził swoich turystów na spacer z sokołami. Był ubrany w roboczą kamizelkę, ale nie miał czapki i włosy tańczyły mu wokół twarzy, rozwiewane tym miękkim, łagodnym wiatrem. Posłał jej łobuzerski uśmiech, kładąc przynętę na rękawicy klienta, którego żona stała gotowa z aparatem.

– To wasza rodzina? – zapytała Meara, gdy jej klienci z turystami Connora wymienili pozdrowienia.

– Kuzyni... naszych mężów. – Jedna z kobiet, Deirdre, zrównała się z Mearą. – Sami myśleliśmy o wybraniu się na spacer z sokołami.

– Powinniście to zrobić. Zabierzecie do domu cudowne wspomnienia.

– Czy wszyscy sokolnicy wyglądają tak, jak ten?

– Och, to Connor, prowadzi szkółkę. I jest jedyny w swoim rodzaju. – A ja kochałam się z nim przed śniadaniem, dodała w myślach i prowadząc dalej swoich podopiecznych, posłała mu szeroki uśmiech.

– Connor – powtórzyła kobieta, dołączając do pozostałych. – Jack, naprawdę powinniśmy wybrać się na spacer z sokołami.

Meara absolutnie nie mogła jej mieć tego za złe.

Prowadziła swoją grupę wzdłuż rzeki, czerpiąc radość z towarzystwa i przejażdżki. Zabrała ich głębiej w las, pełen tajemniczych cieni, a potem wyprowadziła na otwartą przestrzeń, gdzie błękitne niebo królowało nad szczytami drzew.

Kiedy zamierzała ruszyć w drogę powrotną, zobaczyła wilka.

Tylko cień pośród cieni, brodzący we mgle. Kamień na jego szyi lśnił niczym oko, chociaż sam wilk zdawał się migotać jak fatamorgana.

Klacz Meary zadrżała.

– Spokojnie – szepnęła i nie odrywając od niego oczu, pogładziła

Królową Pszczół po karku. – Idź spokojnie, a reszta pójdzie za tobą. Pamiętaj, że jesteś królową.

Napastnik szedł równolegle do nich, nie zbliżając się jednak ani o krok. Ptaki umilkły, wiewiórki przestały się ganiać po gałęziach drzew.

Meara wyjęła spod swetra amulet, który dostała od Connora, i obróciła naszyjnik tak, by w kamieniach odbiły się promienie słońca.

Za jej plecami niczego nieświadomi wycieczkowicze nadal gawędzili swobodnie.

Wilk wyszczerzył kły, a Meara położyła dłoń na nożu, który nosiła przy pasku. Jeśli Cabhan zaatakuje, ona będzie walczyć. Musi chronić ludzi, których prowadzi, konie, samą siebie.

Będzie walczyć.

Z nieba zapikował sokół, jak pocisk spadający z błękitu w zieloną gęstwinę.

Meara nie zdążyła nawet mrugnąć, a cień wilka zniknął.

– Och, tam jest sokół! – Deirdre wskazała na gałąź, na której przysiadł ptak, składając skrzydła. – Czy on się zgubił?

– Nie, wcale nie. – Meara uspokoiła oddech i odwracając się w siodle, przywołała na twarz uśmiech. – To Roibeard, należy do Connora. Pewnie chciał się trochę rozerwać przed powrotem do pracy.

Znowu dotknęła naszyjnika i nieśpiesznie wyprowadziła swoją grupę z lasu.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Gdy tylko udało mu się wyrwać, Connor pojechał do stadniny. Dookoła kręciło się zbyt wielu ludzi, żeby mógł spokojnie porozmawiać z Mearą, ale ponieważ zobaczył ją, jak rozmawiała z klientami, których przed chwilą przyprowadziła, przynajmniej wiedział, gdzie jest i co robi.

Znalazł Boyle'a w jednym z boksów, gdzie przyjaciel wyczesywał Cezara.

– Mamy mnóstwo pracy – powiedział Boyle. – Dzięki temu weselu zważyło nam się tylu klientów, że więcej nie dalibyśmy rady obsłużyć.

– U nas jest tak samo. Jeszcze teraz trwają dwa spacery.

– My też mamy jeszcze dwie grupy w terenie, ale Meara powinna zaraz wrócić.

– Już wróciła. – Connor w zamyśleniu pogłaskał wielkiego konia, którego czesał Boyle. – Możesz już ją zwolnić, czy będziesz jej potrzebował?

– Czeka nas jeszcze wieczorne karmienie, a Iona prowadzi lekcję.

– W takim razie będziesz miał na nią oko? A ja wrócę do szkółki i pozamykam ptaki na noc. Czy Fin jest z Ioną?

– Jest w domu i ma ją zawieźć do ciebie, jak oboje skończą. – Ton Connora sprawił, że Boyle odłożył zgrzebło na bok. – Martwisz się czymś. Co się stało?

– Cabhan. Szwendał się dzisiaj po lesie, prześladował Mearę, kiedy prowadziła jedną z grup. Nic się nie wydarzyło – dodał, kiedy Boyle zaklął. – I tak jakby do końca go tam nie było, nie fizycznie.

– Więc był tam czy nie?

– Był, ale raczej jako cień. To jakaś nowa sztuczka i musimy to

wieczorem przedyskutować. Mimo wszystko czułbym się lepiej, gdybym wiedział, że będziesz uważał na Meare, dopóki nie skończy.

– Nie spuszczę jej z oka. – Boyle sięgnął po telefon. – I zadzwonię do Fina, żeby pilnował Iony. A co z Branną?

– Roibeard ma oko na wszystko, Merlin też, będę jednak spokojniejszy, kiedy wszyscy razem znajdziemy się w domu.

Minęła prawie godzina, zanim przygotował ptaki na noc i skończył z dokumentami, które Kyra zostawiła mu na biurku. Poświęcił jeszcze chwilę, żeby otoczyć całość kolejną warstwą ochronną. Cabhan dostał się kiedyś do stadniny, więc teraz może spróbować dobrać się do sokołów.

Zanim wykonał wszystkie obowiązki i zamknął szkółkę na noc, zaczął zapadać zmrok. Dni są coraz krótsze, pomyślał, stając na chwilę, i otworzył się. Nie poczuł żadnego zagrożenia, nikt go nie obserwował. Zamknął oczy, by połączyć się ze swoim sokołem – i z lotu ptaka ujrzał stadninę, lasy, ich dom.

Zobaczył, jak przysadzisty Mick wsiada do furgonetki, machając do Patti, wskakującej na rower.

Patrzył na wspaniały, kamienny dom Fina, pola i padoki. Na Ionę skaczącą na Alastarze.

Odbył krótki lot na skrzydłach wiatru i zobaczył Brannę, jak zbierała zioła w ogrodzie. Wyprostowała się, podniosła wzrok i wydawało się, że patrzy mu prosto w oczy.

Uśmiechnęła się i pomachała, zanim weszła do domu.

Wszystko w porządku, uznał Connor i – jak zawsze, z odrobiną żalu – wrócił na ziemię. Zadowolony wsiadł do furgonetki.

Pojechał do stadniny i poczuł ciepły szum krwi na widok Meary idącej z Boyle'em. Była piękna, to nie ulegało wątpliwości, nawet w tej grubej kurtce,

roboczych spodniach i butach, w których zapewne pokonała setki kilometrów, pieszo i na końskim grzbiecie.

Później będzie miał przyjemność zdjąć z niej i buty, i spodnie. I rozplecie ten gruby warkocz, by móc otoczyć się falą jej brązowych włosów.

– Boyle, podwieźć cię? – zawołał przez otwarte okno.

– Nie, dzięki. Pojadę za wami.

Connor pochylił się w lewo i otworzył drzwi dla Meary.

Wskoczyła do środka, pachnąc końmi, ziarnem i mydłem do siodeł.

– Jezu Chryste, co to był za dzień. Goście McKinnonów nie dają za wygraną, zarezerwowali na jutro wycieczki aż do drugiej, chociaż podobno ślub jest o piątej.

– U nas jest tak samo.

Ponieważ nie wykonała żadnego gestu w jego stronę, Connor położył dłoń z tyłu na jej szyi, przyciągnął Meare do siebie i pocałował.

– Dobry wieczór.

– Dobry wieczór. – Uśmiechnęła się. – Zastanawiałam się, czy nie czujesz się wytrącony z równowagi po tym, jak miałeś cały dzień na przemyślenia.

– Nie miałem zbyt wiele czasu na myślenie, ale moja równowaga jest niezachwiana.

Zawrócił i ruszył w stronę domu, zostawiając Boyle'a z tyłu.

– Widziałaś wilka? – zapytał ją.

– Tak, widziałam. Boyle nie mógł mi przekazać szczegółów, bo przez cały dzień po stadninie kręciło się mnóstwo ludzi, ale zdążył wspomnieć, że ty też go widziałaś. Tyle że ja widziałam raczej cień.

Obróciła się ku niemu, marszcząc brwi.

– Chociaż właściwie to nie był tylko cień, ponieważ wyszczerzył kły,

widziałam je bardzo wyraźnie, i czerwony kamień też. To ty wysłałeś Roibearda?

– Nie musiałem, sam do ciebie poleciał. Ale wiem od niego, że wilk szedł z wami tylko przez chwilę.

– Wystarczająco długi, żeby konie go wyczuły. Prawdę mówiąc, najbardziej się bałam, że się spłoszą. I może tak by się stało, ale miałam grupę doświadczonych jeźdźców. Którzy zresztą ani nic nie widzieli, ani nie czuli.

– Zastanawiałem się nad tym. Jestem ciekaw, co mają do powiedzenia na ten temat Branna, Fin i Iona. I chciałbym cię prosić, żebyś została u nas na noc.

– Nie mam swoich rzeczy... – zaczęła.

– Masz u nas dosyć swoich rzeczy, żeby przetrwać. Możemy uznać, że teraz twoja kolej, żeby spać u mnie. Zostań dzisiaj na noc, Meara.

– Prosisz mnie o to, bo chcesz, żebym spała z tobą w twoim łóżku, czy dlatego, że nie chcesz, żebym była sama?

– Jedno i drugie, ale jeśli nie zostaniesz, będziemy razem spali u ciebie.

– Uczciwa odpowiedź – uznała. – Dobrze, zostanę dzisiaj u was na noc.

Wziął ją za rękę, wyłączył silnik. Pochylił się ku Mearze, czując ciepło pocałunku, jeszcze zanim ich usta się spotkały.

Furgonetka zakołysała się jak przy trzęsieniu ziemi, gdy na samochód skoczył wilk.

Wyszczrzył kły, błysnął czerwonymi oczami, po czym z triumfalnym wyciem zeskoczył. I zniknął.

– Święty Boże! – krzyknęła Meara na sekundę wcześniej, zanim Connor wyskoczył z furgonetki. – Poczekaj, poczekaj! On może jeszcze tam być. – Szarpnęła drzwiczki ze swojej strony, ale ani drgnęły.

– Do diabła, Connor. Do diabła, wypuść mnie!

Jednak Connor tylko na nią spojrzał, a na jego ramieniu wylądował miękko Roibeard.

W tej chwili wyglądał jak obcy człowiek, wściekły i pełen mocy. Światło wirowało wokół niego niczym wiązka prądu.

Znają się przez całe życie, pomyślała Meara, odzyskując oddech, ale jeszcze nigdy nie widziała go takiego jak teraz, kiedy wściekłość ujawniła całą moc, płynącą w jego krwi.

Z domu wypadła Branna z rozwianymi, kruczoczarnymi włosami, tuż za nią biegł Kathel. W jednej dłoni ścisnęła krótki miecz, nad drugą uformowała gorącą kulę błękitnego ognia.

Meara widziała, jak ich oczy się spotkały. W tej wymianie spojrzeń dostrzegła bliskość, do której ona nigdy nie zostanie dopuszczona, której nigdy nie pozna. Nie tylko wspólnotę mocy i magii, ale też krwi, celu i wiedzy.

Dostrzegła też inną więź, głębszą, silniejszą nawet niż miłość.

Zanim zdążyła wziąć kolejny oddech, przed dom zajechał z ogromną prędkością drogi samochód Fina, z którego wyskoczyli on i Iona. Stanęli we czworo, zjednoczeni, w kręgu, w którym rozbłysło tak intensywne światło, że Meara musiała na chwilę zamknąć oczy.

Po chwili światło zgasło i widziała jedynie swoich przyjaciół i kochankę, stojących przed ładnym domem, otoczonym kwiatami.

Teraz, kiedy napała na drzwi, zamek puścił, a ona wyskoczyła na zewnątrz.

Podeszła prosto do Connora i pchnęła go tak mocno, że aż cofnął się o krok.

– Nigdy więcej mnie nie zamykaj ani nie wykluczaj. Nie będziesz mnie chronił jak jakąś bezbronną istotkę.

- Przepraszam. Nie myślałem trzeźwo. Źle zrobiłem, przepraszam.
- Nie masz absolutnie żadnego prawa mnie od tego odcinać.
- Ani mnie – dodał wściekły Boyle, stając obok niej.
- Ciesz się, że nie złamię ci za to karku.
- Cieszę się i ciebie też przepraszam.

Meara dopiero teraz dostrzegła Alastara, który musiał przybiec ze stadniny. A zatem byli wszyscy razem: koń, sokół i pies, troje potomków Czarownicy z Ciemności i ten, w którym płynęła krew Cabhana, a którego sokół czuwał na pobliskiej gałęzi obok Roibearda.

Oraz ona i Boyle.

- Albo stanowimy krąg, albo nie – powiedziała.
 - Stanowimy. – Connor ujął jej dłonie i ścisnął mocniej, kiedy próbowała się wyrwać. – Jesteśmy kręgiem. Źle postąpiłem. Pozwoliłem, żeby zawładnęła mną wściekłość, to też był błąd. I głupota. Odizolowałem was, okazując wam brak szacunku. Jeszcze raz was przepraszam.
 - W porządku. – Boyle przesunął ręką po włosach.
 - Jasna cholera, napiłbym się piwa.
 - Idźcie do środka. – Branna popatrzyła na twarze przyjaciół. – Częstujcie się, czym chcecie. Chcę zostać na chwilę sama z Mearą. Sama z Mearą – powtórzyła, bo Connor nadal ścisnął Mearę za rękę. – Idź, napij się piwa i otwórz wino, które miał przywieźć Fin.
 - I przywiozłem.
- Fin poszedł do samochodu i wyjął trzy butelki.
- Chodź, Connor. Po takim dniu przyda nam się coś mocniejszego.
 - Święte słowa. – Connor niechętnie puścił dłonie Meary i poszedł z przyjaciółmi do domu.
 - Mam pełne prawo być zła... – zaczęła Meara. Teraz Branna wzięła ją

za rękę.

– Tak, masz prawo być zła, ale nie tylko na Connora. Muszę ci powiedzieć, że kiedy wybiegłam z domu, od razu wiedziałam, co on zrobił, i poczułam ulgę. Przykro mi z tego powodu, ale nie mogę pozwolić, żeby on wziął całą winę na siebie.

Oszołomiona i głęboko urażona Meara wpatrywała się w przyjaciółkę.

– Myślisz, że ponieważ Boyle i ja nie mamy tego, co wy, nie jesteśmy tym, kim wy jesteście, nie możemy walczyć u waszego boku?

– Wcale tak nie myślę i Connor też nie. Ani Iona, która też na pewno przeprosi Boyle'a. – Branna głośno wypuściła powietrze. – Działaliśmy pod wpływem chwili, Meara, i to my okazaliśmy słabość, nie wy. Walczyliście z nami ramię w ramię w noc przesilenia i nie chcę nawet myśleć, co mogłoby się wydarzyć, gdyby nie było z nami ciebie i Boyle'a. Jednak dzisiaj, kiedy wszystko działo się tak szybko, pomyślałam, jak to dobrze, że jesteście bezpieczni. Okazałam słabość. To się nie powtórzy.

– I tak jestem wściekła.

– Wcale cię za to nie winię. Chodź do domu, napijemy się wina i porozmawiamy o tym.

– Nie było w was ani krzty słabości – powiedziała Meara, ruszając za Branną do środka. – Wasza połączona moc mnie oślepiła. A sam Connor, zanim wybiegłaś... Widziałam go w przesilenie, ale wtedy za bardzo się bałam, żeby rejestrować szczegóły. Nigdy nie widziałam go takiego jak dzisiaj. Sam, z sokołem na ramieniu, i tak pełen tego, co wszyscy macie... promieniejący, chociaż to zbyt łagodne określenie. Pomyślałam, że gdybym go dotknęła, tobym się oparzyła.

– Sama wiesz, że nasz Connor niełatwo wpada w gniew, ale kiedy już to się stanie, to dostaje furii. Chociaż nigdy nie bywa brutalny.

Zanim Branna zamknęła drzwi, obrzuciła ostatnim długim spojrzeniem las, drogę, rabaty kwiatów, otaczające dom. Potem poszła z Mearą do kuchni, gdzie czekało już otwarte wino, a powietrze przepelniał zapach gęstego, aksamitnego sosu, na którego przygotowywaniu spędziła większość dnia.

– Jedzenie jest prawie gotowe – ogłosiła, biorąc od Fina kieliszek. – Możecie się wreszcie na coś przydać i nakryć do stołu.

– Pachnie cudownie – powiedziała Iona.

– I cudownie smakuje. Porozmawiamy przy kolacji. Connor, pod ściereczką jest chleb.

Connor położył świeży bochenek na stole i odwrócił się do Meary.

– Wybaczylesz mi?

– Jeszcze nie. Ale skłaniam się ku temu.

– W takim razie będę wdzięczny i za to.

Branna podała wołowinę po burgundzku – kawałki mięsa z ziołami i warzywami w ciemnym sosie, otoczone młodymi pieczonymi ziemniakami, posypanymi łądkami rozmarynu.

– Co za uczta – powiedziała Iona. – Musiałaś spędzić w kuchni kilka godzin.

– Spędziłam, dlatego nikomu nie wolno łykać w pośpiechu. – Branna nakładała wołowinę do płaskich misek.

– No dobrze, każdy z nas ma za sobą dzień pełen wrażeń.

– Rozłożyła serwetkę na kolanach i wzięła do ust pierwszy kęs. – Meara, ty zacznij.

– Przypuszczam, że wszyscy już wiedzą, co robiliśmy wczoraj z Connorem, ale nie mieliśmy okazji przedyskutować razem wydarzeń dzisiejszego dnia. Zabrałam dziś na przejażdżkę grupę złożoną z czterech osób i spotkaliśmy Connora, który prowadził swoich klientów.

Poprowadziłam moich najdłuższą trasą, pozwoliłam nawet na trucht, ponieważ wszyscy byli doświadczonymi jeźdźcami.

To się wydarzyło, kiedy wracaliśmy, jechaliśmy wąską drogą przez las. Między drzewami zobaczyłam wilka. Obserwował nas, szedł równolegle do nas. Ale... – Szukała słów. – Był jak cienie, które kładą się w lesie, kiedy słońce prześwieca przez liście. Jakby nie do końca uformowany. Wydawał mi się przezroczysty, chociaż niezupełnie. Konie poczuły go albo zobaczyły, ale jeźdźcy za mną już nie, dalej gawędzili, nawet się śmiali. Wszystko trwało nie dłużej niż minutę, kiedy przyleciał Roibeard. A wilk nie odbiegł, tylko zniknął.

– Projektcja – zasugerował Fin.

– Niezupełnie. – Connor, nie przerywając jedzenia, pokręcił głową. – Ja też go widziałem, a raczej jego cień. Jakby nie był w pełni obecny, nie miał ciężaru ani pełnego kształtu, ale wciąż posiadał moc.

– To coś nowego. – Fin się zamyślił. – Albo przebywa jednocześnie w dwóch miejscach, albo przemieszcza się między nimi.

– I zużywa na to moc. Ten kamień, źródło jego siły, migotał, nie lśnił pełnym blaskiem. – Meara zerknęła na Connora, szukając potwierdzenia.

– To prawda. Ale tak jak w wypadku każdej umiejętności, im więcej ćwiczysz, tym mniej wysiłku cię ona kosztuje.

– McKinnonowie, ci ludzie, których prowadziłam

– ciągnęła Meara – nic nie zauważyli.

– Dla nich on był tylko jednym z cieni – powiedział Fin. – Niczym więcej.

– Zaklęty w cień – orzekła Branna. – Czytałam o tym w księdze Sorchy.

– Przepis na wołowinę też tam znalazłaś? – zapytał Fin. – To jest

dopiero prawdziwa magia. Jadłem takie danie w znanej restauracji w Paryżu, ale nie umywało się do twojego.

– Wyszło mi całkiem nieźle.

– Wyszło wspaniale – poprawił ją Boyle.

– Masz rację – przyznała Branna ze śmiechem. – Przygotowanie sosu trwa całe wieki, dlatego nie robię go często, ale dzisiaj potrzebowałam czasu, żeby pomyśleć. Cabhan wziął na celownik Meare, tak jak kiedyś Ione. Testuje nasze flanki, że tak powiem. A wybrał Meare, ponieważ tak naprawdę chce dopaść Connora.

– Najpierw zaatakował chłopca. – Fin z namysłem napił się wina. – Uznał, że dziecko będzie łatwym celem, ale do gry wkroczył Connor i razem przepędzili Cabhana. Znowu poniósł porażkę.

– I teraz szuka zemsty – dodał Boyle. – Trochę się odegrał, kiedy poparzył Connora, ale tylko trochę, więc próbuje z Mearą.

– Po tym jak spędzili z Connorem namiętne chwile w furgonetce – przypomniała Iona. – Moc pocałunku.

– Och, na litość boską – mruknęła Meara.

– Ale to prawda. – Connor pod stołem przesunął palcami po jej udzie. – A kiedy wypadki potoczyły się tak, jak się potoczyły, znowu się pojawił. Zaklęty w cień.

– Czy on może komuś wyrządzić jakąś krzywdę w tej postaci? – zastanawiała się na głos Meara.

– Moim zdaniem tak. Z tego, co wiem, to przy tym zaklęciu trzeba być bardzo ostrożnym – dodała Branna.

– A ten, kto rzucił na siebie czar, musi mieć wystarczająco dużo mocy, by albo bardzo szybko się przemieścić, albo przybrać pełną postać.

– Jeśli on to potrafi, to dlaczego dzisiaj mnie nie zaatakował? Zabrałam

nóż i umiem się bronić, ale i tak miałby nade mną przewagę.

– Chciał cię raczej zdenerwować, niż skrzywdzić – wyjaśnił Fin. – Oczywiście krzywdzenie innych sprawia mi przyjemność, w końcu tym się karmi, ale ty jesteś dla niego więcej warta żywa i cała.

– On cię pragnie – powiedział Connor, a w jego głosie znowu zawrzała wściekłość – ponieważ ja ciebie chcę. On chce cię uwieść, rzucić na ciebie zaklęcie albo doprowadzić do takiego stanu, w którym nie będziesz już walczyć, tylko uciekać albo błagać o litość...

Oczy Meary zabłysły jak czarne słońca.

– To się nigdy nie zdarzy.

– Nie bądź zbyt pewna siebie – upomniał ją Connor.

– Cabhan chce cię dopaść, ponieważ wie, że w ten sposób skrzywdzi nas wszystkich. Rozumie, że jesteśmy związani, ale wydaje mu się, że łączy nas tylko moc, nic więcej. Zabierając ciebie, rozerwałby nasz krąg. Ciesz się, że on nie rozumie, że łączy nas też miłość i lojalność, bo polowałby na ciebie bez wytchnienia.

– Wpadłaś mu w oko – dodał Fin – ponieważ on doskonale rozumie siłę seksu, chociaż pozbawionego prawdziwej rozkoszy i bliskości. Dla niego to kolejny rodzaj mocy, a ciebie pożąda i chce cię zdobyć.

– Czyli przez ostatnie dwa dni uprawiał coś w rodzaju... tańca godowego?

– Można to tak nazwać – potwierdziła Branna. – Sorcha opisuje, jak całymi tygodniami próbował ją uwieść. Usiłował ją przekupić, groził i starał się osłabić jej umysł i ducha. Pragnął jej mocy, to nie ulega wątpliwości, ale chciał też jej ciała. I wydaje mi się, że pragnął, by urodziła mu dziecko.

– Prędzej sama poderżnę sobie gardło, niż pozwolę, żeby mnie zgwałcił.

– Nie mów tak. – Teraz Connor był naprawdę wściekły. – Nigdy więcej

tak nie mów!

– Uspokójcie się – odezwała się cicho Iona, zanim Meara zdążyła odpowiedzieć. – Connor ma rację. Nie mów tak. My cię ochronimy. Jesteśmy kręgiem i chronimy siebie nawzajem. Potrafisz bronić się sama, ale musisz pamiętać, że my też cię chronimy.

– Chciałbym coś powiedzieć. – Boyle najpierw nałożył sobie dokładkę wołowiny. – Wy czworo nie możecie w pełni zrozumieć, jak się czujemy Meara i ja. Mamy do dyspozycji pięści, umysły, ostrza, instynkt i strategię, ale w naszym arsenale brak jest magii. Nie chcę drażnić niewygodnego tematu, ale jeśli wy jedną myśl możecie zamknąć nas w samochodzie, to nasza broń naprawdę wydaje się żałosna.

– Boyle, musisz wiedzieć...

Fin przerwał Ionie, dotykając lekko jej ramienia.

– Najpierw ja bym chciał odpowiedzieć Boyle’owi, jako osoba z zewnątrz. Proszę – nalegał, kiedy Iona posłała mu urażone spojrzenie. – My nie jesteśmy wami trojgiem, ale jesteśmy z wami. Jesteśmy niezbędni do zachowania równowagi. To, co wnosimy do kręgu, jest równie istotne, jak to, co leży na drugiej szali. Być może ktoś z trojga czasami myśli inaczej, któreś z nas również, ale tak właśnie jest i wszyscy powinniśmy o tym pamiętać i to szanować.

– Jesz przy moim stole – powiedziała Branna cicho – posiłek, który sama przygotowałam. Okazuję ci szacunek.

– Owszem i jestem ci za to wdzięczny. Ale nadszedł czas, żebyś znowu otworzyła drzwi, Branna, i pozwoliła mi z sobą pracować, żebym nie musiał wpychać się przez te drzwi na siłę. A teraz mówimy o Mearze i tym, co pozwala nam zachować równowagę.

Branna na chwilę zacisnęła palce na nóżce kieliszka.

– Masz rację i przepraszam cię. Widzę, że on wstrząsnął nami bardziej, niż mi się wydawało. W ten sposób odnosi nad nami zwycięstwo, więc natychmiast skończmy z tymi kłótniami.

– Masz rację, Boyle, nie mamy pojęcia, jak to jest nie być tym, kim my jesteśmy. Pewnie Iona to wie – ciągnął Connor – ponieważ tak długo nie pozwalano jej być sobą. Ale myślę, że wy, i ty, Fin, także, nie rozumiecie, ile dla nas znaczy to, że z nami jesteście. Fin mógłby sobie Wrócić do Paryża i swojej eleganckiej restauracji, a wy, Meara i Boyle, chociaż nie posiadacie mocy, jesteście o wiele odważniejsi od nas, ponieważ Branna, Iona i ja musimy z tym żyć, a wy sami dokonaliście wyboru. My o tym nie zapominamy i nigdy nie myślcie, że jest inaczej.

– Nie chcemy wdzięczności... – zaczął Boyle.

– Ale ją macie, bez względu na to, czy chcecie, czy nie. I podziw, chociaż bywają chwile, i nadejdą kolejne, w których wam tego nie okazujemy.

Branna wstała po kolejną butelkę wina, rozlała trunek do kieliszków.

– Na litość boską, czy wy myślicie, że spędziłam całe godziny w kuchni, przygotowując ten posiłek dla siebie? Mnie wystarczyłaby kanapka z bekonem. Dlatego przestańmy uzalać się nad sobą i przepraszać i po prostu cieszymy się wspólną kolacją.

Meara bardzo powoli zjadła następny kęs.

– To jest przepyszne, Branna.

– Cholerna racja i jeżeli następnym razem chcecie dostać coś więcej niż kanapki z bekonem, odłóżmy te sprawy na bok. Jak myślicie, dlaczego Cabhan skoczył na maskę samochodu Connora?

– Chyba ryzykuję te kanapki z bekonem, zresztą bardzo smaczne – zaczął Fin – ponieważ moim zdaniem to także miało związek z tą drugą

sprawą.

– Mów. – Branna machnęła ręką w powietrzu. – Sama zdecyduję, czy następnym razem w ogóle dostaniesz coś do jedzenia.

– Chciał zobaczyć, jak zareagujemy. Był w pełnej postaci.

– Tak – potwierdziła Meara. – Mięśnie, kości i krew.

– Ale pojawił się tylko na chwilę. Skoczył bez żadnego ostrzeżenia, nie wyczuliśmy go ani Connor, ani ja, chociaż byliśmy blisko. I natychmiast zeskoczył i zniknął w swojej norze. Czego więc się dowiedział?

– Nie rozumiem – powiedział Boyle.

– Co zrobił Connor? Wskoczył z furgonetki, żeby stawić mu czoło, sam – i to celowo sam, ponieważ zamknął Mearę i ciebie w samochodach. Ochronił was. A Branna wybiegła z domu uzbrojona, ale również sama, żeby dołączyć do brata.

– A potem jeszcze Iona i ty – przypomniała mu Meara.

– On zniknął, zanim wysiadłem, zanim stworzyliśmy krąg. Obserwował nas potem? – Fin wzruszył ramionami.

– Raczej nie, nie czułem go.

– Ja też nie – odrzekł Connor, kiedy Fin posłał mu pytające spojrzenie.

– Zobaczył, że pierwszym odruchem Connora jest chronić swoją kobietę... och, nie bądź taka wrażliwa – dodał Fin, kiedy Meara zaczęła protestować. – Swoją kobietę i przyjaciela. Odsunąć od nich zagrożenie i chronić. Branna natychmiast stanęła u boku brata, tak jak on stanąłby przy niej. I też będzie chronić tamtych, ponieważ nie uwolniła Meary ani Boyle'a, żeby wzmocnić nasze szeregi.

– Ja też popełniłam błąd i już przeprosiłam Meare, a teraz przepraszam ciebie, Boyle.

– Przegadane, zapomniane.

– On nie zapomni. – Iona przesunęła wzrokiem po twarzach przyjaciół.
– I wykorzysta to, co wie, spróbuje użyć tego przeciwko nam.

– Dlatego my znajdziemy sposób, żeby wykorzystać to, co on wie, albo wydaje mu się, że wie, przeciwko niemu.

– Zadowolona ze swojego pomysłu Meara uśmiechnęła się szeroko. –
W jaki sposób zrobimy ze mnie przynętę?

– Absolutnie nie ma o tym mowy. – Connor natychmiast ostudził jej
zapał. – Próbowaliśmy już z Ioną i prawie ją straciliśmy.

– Jeśli nie wyjdzie ci za pierwszym razem...

– To pieprzysz to i próbujesz czegoś innego – dokończył Connor.

– Wybór należy do mnie, sam tak powiedziałaś. Fin, a ty jak myślisz?
Udałoby się wystawić mnie na wabia?

– Nie potrafię powiedzieć i wcale nie dlatego, że nie chcę się narazić
Connorowi czy Brannie. Po prostu potrzebujemy więcej czasu, żeby to
dokładnie przemyśleć. Ale tak samo jak Connor nie chciałbym podejmować
takiego ryzyka, jakie podjęliśmy z Ioną w czasie przesilenia.

– Rozumiem cię.

– Pomyślimy nad tym i wszyscy będą musieli wyrazić zgodę. – Spojrzał
na Connora, który skinął głową. – Będziemy nad tym pracować,
wykorzystamy całą naszą wiedzę i będziemy szlifować umiejętności.
Przecież ostatnio tak mało nam brakowało. – Popatrzył na Brannę.

– To prawda, prawie go zniszczyliśmy, tak jak Sorcha swoją trucizną. A
jednak ani jej, ani nam się nie udało. Nie mogę znaleźć tego elementu,
którego nam zabrakło.

I tak, powinniśmy pracować razem, Fin. Ty masz dobrą rękę do
naparów i zaklęć. Mamy czas do Samhainu.

– Dlaczego do Samhainu*? – chciał wiedzieć Connor.

– Początek zimy, dla Celtów ostatni dzień roku. Myślałam o tym podczas gotowania. Wtedy wybraliśmy najdłuższy dzień, kiedy światło zwycięża mrok, ale chyba popełniliśmy błąd. Może to właśnie jest ten brakujący element. Teraz zaatakujemy w Samhain, ponieważ potrzebujemy czasu, ale skoro on tak bezczelnie nas zaczepia, nie możemy czekać zbyt długo.

– Noc, w której unosi się zasłona między światem żywych i martwych – zastanawiał się na głos Connor – i w której podobno nie trzeba znać hasła, by przenosić się między wymiarami. To może być to, jeden z aspektów, który przegapiliśmy. Cabhan potrafi się przenosić w czasie równie szybko, jakby szedł przez pokój. Może tej nocy my też będziemy mogli, bez szukania po omacku, gdzie i w jaki czas mamy się udać.

– W noc, kiedy umarli wracają, by grzać się przy ogniu

– dodał Fin – i w ciepłe najbliższych.

– Umarli? To jeszcze mieszamy do tego duchy? – zapytała Meara. – Czarownice nam już nie wystarczą?

– Sorcha – powiedziała krótko Branna.

– Myślisz, że mogłaby wrócić i wspomóc nas swoją mocą? Pierwszych troje też?

– Popracujemy nad tym. Jeśli wszyscy wyrazimy na to zgodę.

– Mnie się ten pomysł podoba. A zatem wigilia Wszystkich Świętych.

– O ile uda się nam tak długo trzymać Cabhana na dystans i zdążymy się dowiedzieć, czego nam ostatnio zabrakło – zastrzegła Branna.

* Samhain – najważniejsze celtyckie święto, którego nazwa oznacza koniec lata. Związane było z zakończeniem żniw i roku według kalendarza, celtyckiego (współcześnie umownie 31 października /1 listopada).

– Uda się nam i zdążymy – powiedział stanowczo Connor. – Zawsze lubiłem Samhain i to nie tylko ze względu na słodycze. Kiedyś odbyłem w Samhain bardzo interesującą konwersację z moją prababcią.

– Która, jak przypuszczam, dawno nie żyła.

Connor puścił do Meary oko.

– Och, umarła całe lata przed moim urodzeniem. Kiedy zasłona się unosi, widzę więcej niż zwykle. A ponieważ wszyscy się zgadzamy, że Cabhan poluje głównie na mnie, to może ja powinienem zostać przynętą. Ty już o tym pomyślałeś – zwrócił się do Fina.

– Przyszło mi to do głowy. Ale jeszcze się nad tym zastanowimy, przegadamy to i przepracujemy. Będę miał dla ciebie tyle czasu, ile będziesz potrzebowała, Branna, o każdej porze dnia i nocy.

– Nie planujesz żadnej podróży? – zapytała beztrąsko.

– Nie mam w planach niczego, czego nie mógłbym przesunąć na później albo odwołać. Będę na miejscu, dopóki nie doprowadzimy sprawy do końca.

– A potem?

Spojrzał na nią i milczał przez długą chwilę.

– A potem zobaczymy.

– Widzicie, on dzisiaj dodał nam sił. – Iona wzięła Boyle’a za rękę. – Rodziny popełniają błędy, ale mogą czerpać z nich siłę. Tak jak my.

– A zatem za sprzeczki i potknięcia! – Connor uniósł kieliszek, pozostali unieśli swoje i z dźwięcznym stuknięciem wznieśli toast.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Connor wiedział, że śni. Widział samego siebie, nagiego, przytulonego do Meary, czuł powolne, spokojne bicie jej serca tuż przy swoim.

Wiedział, że śpi, bezpieczny, w ciepłym łóżku.

Jednak idąc przez las, czuł chłodne, nocne powietrze i widział głębokie cienie rzucane przez sierp księżyca, flirtujący z chmurami.

– Czego szukamy? – zapytała Meara.

– Nie wiem i nie będę wiedział, dopóki tego nie znajdziemy. Nie powinnaś tu być. – Zatrzymał się i ujął jej twarz w dłonie. – Zostań w łóżku i śpij spokojnie.

– Nie możesz mnie odesłać. – Schwyciła go mocno za nadgarstki. – Obiecałeś. Poza tym to mój sen, tak samo jak twój.

Mógł posłać ją w sny, których nie będzie pamiętała, ale to nie byłoby uczciwe.

– W takim razie trzymaj się blisko mnie. Nie znam tej okolicy.

– To nie jest nasz las.

– Nie.

Meara uniosła miecz, a na ostrzu załśniło blade światło księżyca.

– Ty mi dałeś miecz czy sama go przyniosłam?

– Nie wiem. – Connor poczuł lekkie muśnięcie na skórze, zadrżały wyostrzone zmysły. – Coś jest w powietrzu.

– Dym.

– Nie tylko. – Uniósł dłoń i uformował na niej kulę ognia, której użył jako pochodni, aby rozświetlić panujący mrok.

Na ścieżkę wyszedł jelen, z koroną srebrnych rogów i lśniąco złotym

zadem. Stał przez chwilę, nieruchomy niczym posąg, jakby pozwalał im się podziwiać, po czym odwrócił się i zaczął kroczyć dostojnie przez wilgotną mgłę.

– Idziemy za nim? – zapytała Meara.

– Tak. – Connor oświetlał im drogę. Drzewa stawały się coraz grubsze, powietrze pachniało zielenią, ziemią i dymem, gdy tak szli za jeleniem poruszającym się z niespieszną gracją.

– Czy to ci się często zdarza? Takie sny?

– Czasami, ale po raz pierwszy mam towarzystwo z moich czasów. Tam, widzisz? Światło.

– Ledwo, ledwo, ale widzę. To może być pułapka. Wyczuwasz go, Connor? Czy on tu jest?

– Powietrze jest przesycone magią. – Wokół było jej tak wiele, że dziwił się, jak Meara może tego nie czuć.

– Czarna i biała, ciemna i jasna. Ta magia pulsuje jak j serce.

– Przeszły mnie ciarki.

A jednak ją czuła.

– Nie chcesz wrócić?

– Nie, nie chcę. – Jednak trzymała się blisko niego, idąc za jeleniem ku światłu.

Connor wypuścił się naprzód, otworzył się – i rozpoznał postać, twarz, kryjącą się w półmroku.

– To Eamon.

– Ten chłopiec? Syn Sorchy? Cofnęliśmy się o całe wieki.

– Na to wygląda. Starszy niż ostatnio, ale nadal jest chłopcem. – Connor znowu się otworzył i przemówił myślą do myśli chłopca. ***To ja, Connor z O'Dwyerów. Krew z twojej krwi, twój przyjaciel.***

Poczuł, że tamten trochę się rozluźnił. *Witaj, Connorze. Nie jesteś sam. Przeprowadziłem moją przyjaciółkę, która jest również twoją przyjaciółką.*

Jeleń zniknął między drzewami, a Connor ujrzał skromny domek, niewielką wiatę dla koni i zadbany ogródek, pełen ziół i leczniczych roślin.

Dzieci Sorchy znalazły tu dom, pomyślał, i prowadziły całkiem udane życie.

– Witaj – powtórzył Eamon i odstawił kaganek, żeby uścisnąć dłoń Connora. – I ty również – zwrócił się do Meary – chociaż nie sądziłem, że znowu cię spotkam.

– Znowu?

Chłopiec przyjrzał jej się uważnie, zdawał się przeszywać ją na wskroś spojrzeniem oczu równie błękitnych, jak kamień, który nosił na szyi.

– Nie jesteś Aine?

– Ta bogini? – Meara się roześmiała. – O nie.

– Nie bogini, tylko Cyganka, nosząca imię na jej cześć. Jesteś do niej bardzo podobna, ale teraz widzę, że na pewno nią nie jesteś.

– To Meara, moja przyjaciółka, i twoja. Należy do naszego kręgu. Powiedz mi, kuzynie, ile upłynęło dla ciebie czasu od naszego ostatniego spotkania?

– Trzy lata. Ale wiedziałem, że ujrzę cię znowu. Przepowiedziała mi to Cyganka, a ja widziałem, że ma dar. Przyszła do nas pewnego wiosennego poranka i powiedziała, że magia i wróżby doprowadziły ją pod nasze drzwi. Powiedziała też, że mam bratnią duszę z innego czasu i że spotkamy się znowu, we śnie, a także i poza nim.

– We śnie i poza nim – powtórzył z namysłem Connor.

– Powiedziała, że my troje wrócimy do domu i spotkamy nasze

przeznaczenie. Ty, pani, masz jej twarz, jej postać. Pochodzisz od niej, od tej, która nazywała siebie Aine. Dlatego podziękuję ci tak samo, jak podziękowałem jej za to, że dała mi nadzieję, kiedy najbardziej jej potrzebowałem.

Spojrzał na Connora.

– To było po naszej pierwszej zimie tutaj i wydawało mi się, że nigdy nie zrobi się jasno. Tak bardzo tęskniłem za domem, tak bardzo chciałem tam wrócić.

Chłopiec urósł, zauważył Connor, i nabrał pewności siebie.

– Teraz tu jest wasz dom.

– Mieszkamy tu i uczymy się. Mamy żyzną ziemię i las dookoła, ale musimy zobaczyć znowu nasz dom, zanim zbudujemy własny.

– Ale jeszcze nie nadeszła pora, prawda? Wierzę, że będziesz wiedział, kiedy nadejdzie. Czy twoje siostry są zdrowe?

– Tak, dziękuję. Mam nadzieję, że twoja siostra również dobrze się miewa.

– Tak. Nas jest sześcioro. My troje i jeszcze trójka, i też się uczymy. On pokazał nową sztuczkę. Zakłęcie cienia, dzięki któremu potrafi balansować między światami i postaciami. Twoja matka pisała o tym zaklęciu i moja Branna pilnie studiuje jej książkę.

– Moja siostra też. Powiem jej o tym. A może wejdziecie do domu? Obudzę ją i Teagan, będą szczęśliwe, że mogą was poznać.

Eamon zaczął odwracać się do drzwi.

Dla Meary wszystko wydarzyło się jednocześnie.

Connor i Eamon skoczyli razem, jakby byli jednym ciałem. Wielki gniadosz – Meara ze zdziwieniem ujrzała Alastara takiego, jakiego znała – wybiegł pędem spod wiaty, Roibeard zapikował, a Kathel rzucił się do ataku.

Zanim zdążyła się w pełni odwrócić, Connor chwycił ją i pociągnął za siebie, na sekundy przedtem, zanim zaatakował ich wilk.

Pojawił się znikąd, cichy niczym duch, szybki jak wąż.

Zrobił unik przed lśniącymi kopytami Alastara i rzucił się do ataku. Szarżował prosto na chłopca, zdała sobie sprawę Meara i nie myśląc ani chwili, odepchnęła Eamona na bok i zamachnęła się mieczem.

Przecięła tylko powietrze, ale i tak ból przeszył jej rękę aż do ramion.

Nagle wilk skoczy! na nią całym ciężarem, aż poleciała w tył, a niewypowiedziany ból i lodowate zimno przeszły jej bok. Instynktownie zacisnęła ręce na szyi zwierzęcia, próbując utrzymać z dala od siebie kłapiące szczęki.

I znowu wszystko wydarzyło się jednocześnie.

Pies zaatakował wilka i rozbłysło światło tak jasne, że powietrze rozjarzyło się czerwienią. Zza ściany ognia dobiegały do Meary krzyki i powarkiwania, jej mięśnie drżały z wysiłku, gdy nadal walczyła z wilkiem. Usłyszała swój krzyk, ale nie czuła wstydu, ponieważ wilk też wrzeszczał.

Widziała wściekłość w jego ślepiach, morderczych szalonych. I nagle napastnik zniknął równie niespodziewanie, jak się pojawił. Rozpłynął się w powietrzu.

Usłyszała głos Connora, który bezustannie powtarzał jej imię. Nie mogła złapać tchu, nie mogła zaczerpnąć powietrza, przesyconego smrodem siarki.

Ciepłe dłonie na jej boku, ciepłe usta na jej wargach.

– Daj mi zobaczyć, daj mi zobaczyć. Och, Boże, Boże, Nie bój się, *aghra*, zaraz cię wyleczę. Leż spokojnie.

– Mogę ci pomóc.

Meara usłyszała głos i zobaczyła twarz – Branny, ale młodszą. Pamięta tę twarz ze swojej młodości, pomyślała, płynąc w oparach bólu.

– Za kilka lat będziesz wyglądała jak ona. Nasza Branna to wyjątkowa piękność.

– Nic nie mów, pani. Teagan, przynieś... ach, już przyniosłaś. Moja siostra mi pomoże. Mam dar, kuzynie. – zwróciła się do Connora. – Zaufasz mi?

– Tak. – Wziął Mearę za rękę. – No już, kochanie, już, *mo chroi*, spójrz na mnie. Popatrz na mnie, we mnie.

Meara odpłynęła w sen i zatoneła w tych zielonych oczach, pozostawiając za sobą ból, pozostawiając wszystko. A Connor szeptał jej słodkie słowa jak wtedy, gdy się kochali.

Wtedy Iona – nie, Teagan, najmłodsza – przysunęła jej do ust kubek i Meara poczuła w ustach, w gardle, cudowny smak.

Wreszcie mogła zaczerpnąć powietrza, więc wzięła głęboki oddech, który smakował równie wspaniale – zielenią, ziemią, torfowym ogniem i kwitnącymi nieopodal ziołami.

– Nic mi nie jest.

– Jeszcze chwila, jeszcze tylko chwila. Jak on się tu dostał? – zapytała Brannaugh Connora. – Tutaj jesteśmy poza jego zasięgiem.

– Ale ja nie. W jakiś sposób go do was przyprowadziłem, umożliwiłem mu przejście. Wykorzystał mnie, żeby dostać się do ciebie, Eamonie, i twoich siostr. Ja go tu przyprowadziłem, sprowadziłem na was niebezpieczeństwo.

– Nie, on wykorzystał nas obu, nasze sny.

– I nas też w to wciągnął – dodała Brannaugh. – Nie ma już w tobie ani śladu jego ciemności, pani. Czy możesz spróbować powoli usiąść?

– Nic mi nie jest. Czuję się lepiej niż przedtem. Jesteś równie dobra jak

Branna, albo ona jak ty.

– Stanęłaś w obronie mojego brata. Gdybyś nie zaryzykowała swojego zdrowia, zostałby ranny albo – co gorsza – już by nie żył, ponieważ Cabhan pragnie jego krwi.

– Twój miecz. – Teagan położyła broń na kolanach Meary.

– Jest na nim krew. Myślałam, że chybiłam.

– Trafiłaś go.

– Użył magii cienia – powiedziała Brannaugh.

– To prawda – zgodził się Connor. – I tak długo, jak ja tu jestem, może wrócić. Nie mogę dłużej was narażać.

– Czy mógłbyś to wziąć? – Teagan podała mu kwiat z cebulką. – I posadzić na grobie naszej matki? Ona tak bardzo lubiła dzwonki.

– Tak, oczywiście, zrobię to, jak tylko będę mógł. Muszę iść, muszę zabrać Mearę z powrotem.

– Przecież ja czuję się doskonale – zapewniła Meara.

– Ale ja nie. Uważajcie na siebie. – Objął ją mocno i zanurzył twarz w jej włosach.

Obudziła się w łóżku, siedząc w objęciach Connora, który kołysał ją, jakby była dzieckiem.

– Miałam sen.

– To nie był sen, a w każdym razie nie tylko. Cii, daj mi jeszcze chwilę.

Powoli, ostrożnie przycisnął usta do jej włosów, skroni i policzków.

– Pokaż mi swój bok.

– Nic mi nie jest. Naprawdę – upierała się, kiedy ją obrócił i przesunął dłońmi po jej ciele. – Właściwie czuję się, jakby ktoś mnie napoił magicznym eliksirem. Co chyba nie odbiega tak bardzo od prawdy. Jak to się stało?

– Eamon śnił o mnie, a ja o nim. Wezwał mnie, ja zabrałem cię z sobą, a

Cabhan najprawdopodobniej to wszystko zaaranżował.

Na chwilę zacisnął pięści w jej włosach.

– Wykorzystał mnie, mój sen, żeby zaatakować Eamona.

– Popchnąłeś mnie za siebie.

– Ty zrobiłaś to samo z Eamonem. To odruch. – Z westchnieniem wsparł czoło o jej czoło. – Zraniłaś Cabhana mieczem, ale ponieważ był po części cieniem, utoczyłaś mu tylko trochę krwi, lecz nie zdołałaś go powstrzymać. Taką mam teorię.

– On pojawił się znikąd, Connor. Jak mamy walczyć z czymś, co pojawia się z powietrza?

– Tak jak dzisiaj. Przepłoszyło go światło, najpierw Eamona i moje, a potem dziewcząt.

– On krzyczał – przypomniła sobie Meara – ale nie jak wilk, tylko jak człowiek.

– Zaklęty w cień balansuje między światami i postaciami. Wydaje mi się, że musimy go złapać w chwili, gdy przechodzi z jednej postaci w drugą. Już prawie świta. To okropne zadanie, ale idę obudzić Brannę. Ty zadzwoń do reszty. Wszyscy natychmiast powinni się o tym dowiedzieć.

Jednak najpierw ujął jej twarz w dłonie tak, jak zrobił to we śnie.

– A następnym razem nie bądź taka cholernie odważna, bo mogę tego nie przeżyć.

– To był mały chłopiec, Connor, a on szarżował prosto na niego. Poza tym Eamon wygląda zupełnie jak ty, albo ty jesteś jak on. Kształt twarzy – dodała – usta, nos, nawet to, jak stoi.

– Naprawdę?

– Tobie pewnie trudniej to zauważyć, ale tak właśnie jest. Zadzwonię do Iony, a ona niech obudzi Boyle'a, który obudzi Fina.

– Dobrze. – Przesunął dłońmi po jej włosach, długich, falujących, które uwolnił z warkocza poprzedniego wieczoru. – Kto pierwszy zejdzie na dół, robi kawę.

– Zgoda. – Ponieważ nadal widziała troskę malującą się w oczach Connora, pochyliła się, by go pocałować.

– Idź, przed tobą gorsze zadanie. Nie chciałabym oglądać miny Branny, obudzonej o świcie.

– Przygotuj zestaw pierwszej pomocy. – Connor wstał z łóżka i wciągnął spodnie.

Kiedy wyszedł, Meara sięgnęła po telefon i zobaczyła małą sadzonkę. Myśląc o Teagan, tak bardzo podobnej do dziewczynki, jaką musiała być Iona, wstała, przyniosła z łazienki szklanekę i włożyła cebulkę do wody.

Dla Sorchy, pomyślała, po czym zadzwoniła do Iony.

Zeszła do kuchni pierwsza, zaparzyła więc kawę. Zastanawiała się, czy nie zrobić owsianki, jedyne śniadania, jakie jej wychodziło, skoro Connor prawie zawsze przypalał jajecznicę.

Jej rozważania przerwało wejście Branny, ubranej we flanelowe spodnie w zielono–niebieskie pasy i cienką, zieloną bluzkę, na którą narzuciła niebieski sweter, dopasowany kolorem do grubych skarpet.

Z włosami rozpuszczonymi do pasa Branna pomaszerowała prosto do ekspresu,

– Nie mów do mnie, ani słowa, dopóki nie napiję się kawy. Ugotuj parę ziemniaków, a potem pokrój w talarki do smażenia.

Wypiła łyk czarnej kawy, nie dodając do niej solidnej porcji śmietanki, jak miała w zwyczaju.

– Przysięgam, jak tak dalej pójdzie, to przez miesiąc nie zbliżę się do kuchni.

– I będziesz miała rację. Nie mówię do ciebie – dodała szybko Meara, obierając ziemniaki – tylko do siebie.

– Cholerny Cabhan – mamrotała Branna, wyciągając produkty z lodówki. – Zabiję go własnymi rękami, przysięgam, za to, że przez niego muszę się zrywać skoro świt. Będzie jajecznicą i jeśli ktoś nie lubi, to może nie jeść.

Meara roztropnie nie odezwała się ani słowem, tylko wstawiła ziemniaki.

Nie przestając mamrotać, Branna wrzuciła na patelnię kielbaski i bekon, pokroiła chleb na grzanki.

I wypila drugi kubek kawy.

– Chcę obejrzeć twój bok.

Meara już miała powiedzieć, że nic jej nie jest, ale poszła po rozum do głowy i uniosła koszulę.

Branna dotknęła palcami jej skóry – wiedziała dokładnie, w którym miejscu – a Meara poczuła płynące z jej palców przyjemne ciepło.

Branna spojrzała przyjaciółce w oczy, po czym mocno ją objęła.

– Idealnie wyleczone. Cholera, Meara. Cholera.

– Nie zaczynaj, słyszałam to już od Connora. Myślałby kto, że wróciłam z zaświatów, a nie oberwałam łapą.

– A ty myślisz, że on z chęcią by cię tam nie wysłał?

– Branna cofnęła się o krok i przycisnęła dłonie do oczu. Następnie wzięła głęboki oddech i opuściła ręce. – No dobrze, zrobmy to cholerne śniadanie. Connorze Seanie Michaelu O'Dwyer! Przyholuj tu swój szanowny tyłek i zrób coś w tej kuchni poza opychaniem się moim jedzeniem.

Connor zjawił się natychmiast, więc pewnie czekał za drzwiami, aż siostra odzyska równowagę.

– Co tylko sobie życzysz. Mogę zrobić jajecznicę.

– Nie zbliżaj się nawet do jajek. Nakryj do stołu, wygląda na to, że do końca życia będę gotowała dla sześciu osób. A kiedy skończysz, możesz zrobić grzanki.

Gdy wszyscy przyjechali, na patelni dochodziły ziemniaki.

– Nic ci nie jest? – Iona podeszła prosto do Meary.

– Na pewno?

– Na pewno. Czuję się wspaniale, mam mnóstwo energii od tej mikstury, którą mnie napoili.

– Pokaż mi. – Fin odepchnął Ionę na bok.

– Czy przed każdym będę dzisiaj podnosiła koszulę? – Ale uniosła ubranie, marszcząc lekko brwi, gdy Fin położył dłoń na jej boku. – Branna już tam zaglądała.

– We mnie płynie jego krew. Jeśli zostawił choćby ślad, wyczuję to. Nic tu nie ma. – Delikatnie opuścił jej koszulę.

– Nie pozwoliłbym cię skrzywdzić, *mo deirfiur*.

– Wiem. Najadłam się trochę strachu i raczej wolałabym nie powtarzać tego doświadczenia, ale cała wycieczka była fascynująca. Ty też kiedyś poszedłeś z Ioną – zwróciła się do Boyle'a.

– Tak, więc znam to uczucie. Jakbyś śniła, ale w tym śnie chodzisz, rozmawiasz, działasz. Trochę kręci się od tego w głowie.

– Powinnaś usiąść – uznała Iona. – Siadaj, a ja pomogę Brannie przy śniadaniu.

– Nie ma mowy – zaprotestowała Branna. – Boyle, tylko ty z tego towarzystwa nie poruszasz się po kuchni jak słoń w składzie porcelany. Zrób, proszę, jajecznicę, a ja tu dokończę.

Boyle stanął obok Branny przy kuchence i wlał roztrzepane jajka na

patelnię z rozgrzanym masłem.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Branna na chwilę oparła się o niego.

– Zaraz dojdę do siebie.

Wyłączyła gaz pod ziemniakami i przełożyła usmażone talarki na papierowy ręcznik, żeby osuszyć je z tłuszczu.

– Dlaczego nic nie czułam? – zastanawiała się na głos. – Przespałam wszystko, o niczym nie wiedziałam.

– A dlaczego ja niczego nie poczułem ani Iona? – zapytał Fin, stając za nią. – To nie był nasz sen, nie było tam dla nas miejsca.

– Ale ja byłem w tym samym domu, po drugiej stronie korytarza. Powinnam była coś poczuć.

– Rozumiem, jako pepek tego świata powinnaś mieć udział we wszystkim.

Branna odwróciła się gwałtownie, ciskając z oczu błyskawice, ale Iona szybko stanęła między nimi.

– Przestańcie, natychmiast przestańcie, oboje. Każde z was bierze winę na siebie, a to idiotyczne. Żadne z was nie ponosi odpowiedzialności. Jedynym winnym jest Cabhan, więc dajcie sobie spokój. Moja krew, mój brat – dodała, zanim którekolwiek z nich zdążyło coś powiedzieć. – Bla, bla, bla. I co z tego? Wszyscy w tym siedzimy po uszy. Może dowiemy się najpierw dokładnie, co się stało, zanim zaczniemy skakać sobie do gardeł?

– Żenisz się z władczą kobietą, *mo dearthair* – powiedział Fin do Boyle'a – i rozsądną. Siadaj, Iona, i ty, Meara, też. Przyniosę wam kawę.

Iona usiadła i położyła dłonie na stole.

– To miło z twojej strony.

– Tylko gorącą – poleciała Meara i usiadła obok Iony.

Zgodnie ze wskazówkami Branny, Boyle przełożył jajecznicę na półmisek, na którym czekały już kiełbaski, bekon, ziemniaki i kaszanka.

Zaniósł jedzenie na stół, podczas gdy Fin nalewał kobietom kawy, a Connor soku.

– Opowiedz nam wszystko od początku – poprosił Fin Connora.

– Zaczęło się jak zwykle, jakbym był w pełni obudzony i czujny, chociaż tak naprawdę spałem. Byliśmy w Clare, chociaż na początku tego nie wiedziałem. W Clare w czasach Eamona.

Opowiadał wszystko ze szczegółami, podczas gdy przyjaciele nakładali sobie jedzenie z ogromnego półmiska.

– Jeleń? – przerwała mu Branna. – Stamtąd czy ty go wezwałeś?

– Mnie by to nawet nie przyszło do głowy. Gdybym potrzebował przewodnika, zawołałbym Roibearda. To był – wielki, wspaniały samiec. Królewski, sierść miał bardziej złotą niż brązową.

– I niebieskie oczy – dodała Meara.

– Masz rację. Błękitne jak niebo. W sumie, jak teraz o tym myślę, to bardzo podobne do oczu Eamona.

– Albo jego ojca – powiedziała Branna. – Sorcha pisze w swojej księdze, że jej syn miał oczy i cerę ojca.

– Sądzisz, że to był Daithi – domyślił się Connor.

– Może otrzymał taką postać, by móc być blisko swoich dzieci, chronić je, jak będzie mógł.

– Mam nadzieję, że to prawda – powiedziała cicho Iona. – Został zabity w drodze do domu, kiedy spieszył, by je chronić.

– Jeleń, który mógł być duchem Daithiego, poprowadził nas ku światłu, a tym światłem był Eamon. W jego czasie upłynęły trzy lata od naszego ostatniego spotkania. Urósł, twarz mu zeszcupiała, jak zwykle, kiedy

wyrasta się z dzieciństwa. Przystojny z niego chłopak.

Posłał Mearze szeroki uśmiech.

– Mówi tak, bo powiedziałam, że są do siebie podobni.

– Eamon myślał, że Meara to Aine, Cyganka – ciągnął Connor – która odwiedziła ich wcześniej i obiecała, że znowu zobaczą dom.

– To interesujące. Ty masz cygańskich przodków – powiedziała do Meary Iona.

– Mam.

– A Fin dał na imię Aine klaczy, którą przeznaczył dla Alastara.

– Myślałam o tym i mam nadzieję, że to nie oznacza, że przypominam konia.

– O wielkiej urodzie i odwadze – wtrącił Fin. – To imię od razu należało do tej klaczy, nigdy nie myślałem nad żadnym innym. Była Aine, odkąd tylko ją zobaczyłem. To ciekawe, te wszystkie połączenia, sploty.

– Interesujące jest też to, że kiedy rozmawialiśmy przed chatą, absolutnie nic nie czułem. Eamon też nie – zastanawiał się na głos Connor. – Rozmawialiśmy o jego rodzinie, a ja powiedziałem mu o zaklęciu cienia. To się wydarzyło, kiedy zaprosił nas do środka. W jednej chwili nie czułem żadnego zagrożenia, a już w następnej wiedziałem, że on tam jest. Na sekundę przed tym, jak znikąd pojawił się wilk. Wtedy Eamon też go poczuł.

– Skoczyliście razem, jakbyście byli jedną osobą – dodała Meara. – Wszystko działo się tak szybko. Connor pchnął mnie za siebie, ale to nie na mnie Cabhan polował, tylko na chłopca.

– Meara odepchnęła Eamona na bok, odsłaniając siebie, i zamachnęła się mieczem. Nie miałem nawet sekundy, żeby zastosować jakąkolwiek blokadę, a on zaatakował Mearę z pełną siłą i wbił pazury w jej ciało, aż krew obojga trysnęła w powietrze. Wtedy ruszył do ataku pies, Eamon i ja też, a z

chaty wybiegły dziewczęta. To one mnie zablokowały, powstrzymały przed rzuconiem się Mearze na pomoc i same zaatakowały Cabhana wszystkim, co miały. Przyłączyłem się do nich, przez te kilka sekund nie miałem czasu na nic innego. To, co mieliśmy razem, wystarczyło, by sprawić mu ból, zwłaszcza że wsparli nas Kathel, Roibeard i Alastar. Cabhan wrzeszczał jak baba.

– Hej!

Posłał Ionie szeroki uśmiech.

– Bez urazy. Nasza moc, Kathel, kopyta Alastara i szpony Roibearda przegnały go z powrotem tam, skąd wypelzł. Zniknął, zostawiając za sobą tylko smród piekieł. I zakrwawioną Mearę na ziemi. Kiedy teraz o tym myślę, widzę, że całe zdarzenie nie mogło trwać dłużej niż dwie minuty.

– Wszystkie te epizody są bardzo krótkie, prawda? Musimy to wziąć pod uwagę – powiedziała Branna. – Może on nie ma wystarczająco dużo mocy, by utrzymywać ten czar dłużej.

– Przynajmniej na razie – dodał Fin.

– „Na razie” musi nam wystarczyć. Wepchnął się do snu Connora, żeby spróbować zaatakować chłopca albo jedną z jego sióstr, gdyby do was wyszły. Nie mógł się dostać do naszego domu, ale we śnie, kiedy wyszliście poza ochronny krąg... rozumiem. On nie mógł dobrać się do nich w ich czasie, ale mógł dostać się do nich przez wasz sen.

– Wtedy chłopiec byłby bezbronny – dopowiedział Fin – w tym półświecie aktywnego snu. Cabhan czai się na obrzeżach tego świata, czeka, by zaatakować, gdy tylko obrócisz się do niego plecami.

– Cholerny tchórz – mruknął Boyle.

– Powiedziałaś, że Meara go zraniła. Gdzie jest miecz? – zapytała przyjaciółkę Branna.

– W domu. Nie przynosiłam go tu, a we śnie miałam go w ręku.

– Przyniosę go – powiedział Fin. – Gdzie go trzymasz?

– W szafie w sypialni. Dam ci klucz do mieszkania. – Odchyliła się na krześle, widząc uśmiech Fina. – Którego wcale nie potrzebujesz, prawda? To mi nigdy nie przyszło do głowy. Każde z was czworga może wejść do mojego domu, kiedy tylko zechce.

– Przyniosę miecz. To zajmie chwilę.

– Jak wiesz, nie pochwałam wybierania łatwych rozwiązań, kiedy przy odrobinie czasu i wysiłku można osiągnąć ten sam efekt, ale... – Branna westchnęła. – Na to już za późno, poza tym jeżdżąc tam i z powrotem, mógłbyś narazić się na niepotrzebne niebezpieczeństwo.

Fin skinął głową. Uniósł dłoń i w mgnieniu oka trzymał w niej miecz.

Meara podskoczyła, po czym roześmiała się cicho.

– Fantastyczne. Tak rzadko widuję, jak robicie takie rzeczy, że czasami zapominam, co potraficie.

– Fin poczyną sobie trochę swobodniej niż Branna – zauważył Boyle.

– Nasze poglądy na ten temat trochę się różnią. – Fin obrócił miecz. – Jest na nim krew, i to wystarczająco świeża.

– Nie zgadzam się na trzymanie zakrwawionych mieczy na moim stole.

– Branna wstała i wzięła od niego broń.

– Tyle nam wystarczy. Mam jeszcze trochę jego krwi z przesilenia, ale tak jak powiedziałaś, ta jest świeża. Poza tym pochodzi z rany, którą otrzymał, kiedy był zaklęty w cień.

– Wrócę, żeby z tobą popracować, kiedy tylko będę mógł – obiecał Connor.

– Ja też – dodała Iona. – Dziś rano mamy mnóstwo roboty, ale mam nadzieję, że szefowie dadzą mi wolne popołudnie.

Boyle pogłaskał narzeczoną po krótkich włosach.

– Może dadzą się przekonać. Przyjadę z Mearą, jeśli do czegoś wam się przydamy. Możemy na przykład przywieźć jedzenie.

– To będzie ogromna pomoc – Branna nie odrywała wzroku od miecza – ponieważ mojego wykwintnego francuskiego gulaszu nie wystarczy na powtórkę.

– W takim razie zajmiemy się tym z Mearą i przyjedziemy, gdy tylko uda nam się zamknąć stadninę. A Ionę zwolnię, jak tylko będę mógł.

– Ja po nią przyjadę – zgłosił się Connor. – Myślę, że nikt z nas nie powinien poruszać się teraz sam. Mogę pozmieniać grafik i wrócić o trzeciej, jeśli ci to pasuje.

– Pasuje.

– Ja zostanę teraz. – Po słowach Fina zapadła cisza.

– Jeśli to ci pasuje.

– Oczywiście. – Branna opuściła miecz. – A teraz możecie doprowadzić moją kuchnię do porządku. Będę w pracowni – powiedziała do Fina i wyszła.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Meara spędziła większość następnego wolnego dnia u matki, pomagając jej przy pakowaniu ostatnich rzeczy na wyjazd, który wszyscy nazywali długą wizytą. A ponieważ pakowanie wymagało podejmowania decyzji – co powinno się zabrać, co zostawić, co oddać, a co po prostu wyrzucić na śmietnik – Meara większość swojego wolnego dnia spędziła z pulsującym bólem głowy.

Konieczność podjęcia jakiegokolwiek decyzji, o czym Meara doskonale wiedziała, wywoływała u jej matki paniczny lęk. Colleen prawie zalała się łzami, kiedy musiała zdecydować, czy powinna zabrać czy zostawić trzy wychuchane afrykańskie fiołki.

– Oczywiście, że je zabierasz. – Meara starała się zachować delikatną równowagę między tonem radosnym a zdecydowanym.

– Jeśli je zostawię, Donal i ty będziecie musieli je podlewać, a gdybyście zapomnieli...

– Obiecuję, że nie zapomnę. – Po prostu zanieś kwiaty prosto do Branny, która umie się nimi zajmować. – Ale powinnaś zabrać je z sobą.

– Maureen może ich nie chcieć w swoim domu.

– Dlaczego Maureen miałyby ich nie chcieć? – Bliska eksplozji Meara przykleiła do twarzy pełen determinacji uśmiech i wzięła do ręki doniczkę z rośliną o fikuśnych liściach, ciężką od purpurowych kwiatów. – Są śliczne.

– Cóż, to jej dom, prawda?

– A ty jesteś jej matką i to twoje kwiaty.

Decyzja została podjęta – dzięki Bogu – i Meara wstawiła delikatnie rośliny do jednego z kartonów, które wyprosiła w sklepie.

– Och, ale...

– Są tu bezpieczne. – Siedem razy siedem – do diabła – czterdzieści dziewięć. – Sama mówiłaś, że rośliny to żywe istoty, które reagują na muzykę, głos i odwzajemniają uczucia. Będą za tobą tęskniły i pewnie uschną, bez względu na to, jak bardzo będę o nie dbała.

Obkładając doniczki kulami z papieru, zdesperowana Meara zaśpiewała: „Bądź gotowy dziś do drogi”. Przynajmniej to wywołało na twarzy Colleen cień uśmiechu.

– Masz taki piękny głos.

– Odziedziczyłam go po matce, prawda?

– Twój ojciec też ma ładny, mocny głos.

– Hm – mruknęła Meara, powtarzając w myślach tabliczkę mnożenia. – No dobrze, musisz zabrać zdjęcia, żeby je postawić w swoim pokoju, prawda?

– Och. – Colleen natychmiast splotła palce, jak zawsze, kiedy nie wiedziała, czy obrócić się w prawo, czy w lewo. – Nie jestem pewna, jak mam wybrać, które zabiorę. I...

– Ja wybiorę, wtedy przy rozpakowywaniu będziesz miała miłą niespodziankę. Chętnie napiłabym się herbaty

– Och. Już robię.

– Wspaniale. – To powinno zapewnić jej pięć minut spokoju.

Colleen poszła do kuchni, a Meara szybko złapała kilka zdjęć w ramkach – uchwycone chwile z przeszłości, z dzieciństwa jej i jej rodzeństwa i – chociaż nie była tym zachwycona – wspólne zdjęcie rodziców.

Przyjrzała się fotografii, na której stali razem, uśmiechnięci, na tle wspaniałego ogrodu, otaczającego ich wielki dom. Przystojny, pomyślała, patrząc na ojca, wysoki, postawny mężczyzna, pełen nieodpartego uroku.

I absolutnie pozbawiony kręgosłupa.

Owinęła zdjęcie w papier, żeby ochronić szkło, a potem schowała do kartonu. Jej zdaniem, matce byłoby lepiej bez takich pamiątek z przeszłości, ale to nie jej, Meary, życie.

Życie, które w chwili obecnej zmieściło się w dwóch walizkach, torbie na ramię i trzech kartonach.

Będzie tego więcej, jeśli ta długa wizyta okaże się przeprowadzką na stałe – chociaż Colleen nie była jeszcze gotowa, by usłyszeć to słowo. Wtedy trzeba będzie spakować cały jej dobytek – co oznacza podejmowanie kolejnych decyzji – ale też, tego Meara była pewna, życie jej matki stanie się o wiele bogatsze.

Uznając zadanie za wykonane, poszła do kuchni. Zastała matkę siedzącą przy małym stole i chlipiącą cicho w dłonie.

– Och, mamo.

– Przepraszam, przepraszam, nie zrobiłam herbaty. Czuję się taka zagubiona, Meara. Całe życie mieszkałam w Cong lub w okolicy. A teraz...

– Nie jedziesz daleko. – Meara usiadła i ujęła jej dłonie. – To mniej niż godzina drogi.

Colleen podniosła na nią oczy pełne łez.

– Ale nie będę widywała ciebie i Donalę tak często, jak teraz.

– Jedziesz tylko w odwiedziny, mamo.

– Może już nigdy tu nie wrócę. Tego właśnie wszyscy chcecie.

Nie mając wielkiego wyboru, Meara postanowiła grać w otwarte karty.

– Myślimy, że ty też zdecydujesz się na to, kiedy trochę tam pobędziesz. Jeśli zamieszkasz na stałe w Galway z Maureen, Seanem i dziećmiakami, będziemy cię odwiedzać. A jeśli nie będziesz tam szczęśliwa, wrócisz tutaj. Przecież mówiłam ci, że zadbam, aby dom na ciebie czekał.

– Nienawidzę tego miejsca. Wszystkiego tutaj nienawidzę.

Zdumiona Meara otworzyła usta, po czym zamknęła je, nie mając pojęcia, co powiedzieć.

– Nie, nie, to nie tak, to nieprawda. – Kołysząc się w przód i w tył, Colleen ukryła twarz w dłoniach. – Kocham ogród. Naprawdę. Uwielbiam patrzeć i na ten od frontu, i na ten z tyłu, uwielbiam w nich pracować. I jestem wdzięczna za domek, jest taki przytulny. – Wyjęła chusteczkę z kieszeni i delikatnie osuszyła oczy. – Jestem wdzięczna Finbarowi Burke’owi, że wynajmuje mi go za tak niską cenę, i tobie, że za niego płacisz. I Donalowi za to, że mieszkał ze mną tak długo. Jestem wdzięczna za to, że codziennie któreś z was do mnie dzwoni, żeby sprawdzić, jak się czuję. Że zabieracie mnie na wakacje.

Wiem, że konspirowaliście wszyscy w sprawie mojej przeprowadzki do Maureen dla mojego własnego dobra. Nie jestem aż taka głupia.

– Wcale nie jesteś głupia.

– Mam pięćdziesiąt pięć lat i nie potrafię upiec kawałka jagnięciny.

Ponieważ to stwierdzenie wywołało kolejną falę łez, Meara spróbowała innej taktyki.

– To prawda, jesteś okropną kucharką. Kiedy wracałam do domu ze szkoły i czułam zapach twojej pieczeni, pytałam Boga, co takiego zrobiłam, że zasłużyłam sobie na taką karę.

Colleen przez długą chwilę patrzyła na córkę szeroko otwartymi oczami, łzy lśniły na jej policzkach. Po czym się roześmiała. Jej śmiech był podszyty histerią, ale przynajmniej przestała płakać.

– Moja matka radzi sobie w kuchni jeszcze gorzej niż ja.

– A to w ogóle możliwe?

– A jak myślisz, dlaczego dziadek wynajął kucharkę? Inaczej umarlibyśmy z głodu. I Maureen nie jest dużo lepsza, niech Bóg ma ją w

swojej opiece.

– Dlatego wynaleziono jedzenie na wynos. – Mając nadzieję, że łyzy nie powrócą, Meara wstała, żeby zrobić herbatę. – Nie wiedziałam, że nie lubisz tego domu.

– Lubię. To, co powiedziałam, było okropne. Mam dach nad głową i ogród, z którego jestem dumna. Mam dobrych sąsiadów, a blisko ciebie i Donalę. Po prostu nienawidzę świadomości, że to wszystko, co mam – wynajęty dom, za który płaci moja córka.

– To nie jest wszystko, co masz. – Jakże była ślepa, pomyślała Meara, że nie zauważyła, jak bardzo jej matkę boli fakt, że mieszka w domu opłacanym przez własne dziecko. – To tylko mieszkanie, mamo. Cztery ściany i dach. Ty masz jeszcze dzieci i wnuki, które kochają cię na tyle, by zadbać o twoje szczęście. Masz siebie, okropną kucharkę, ale wspaniałą ogrodniczkę. Będiesz błogosławieństwem dla wnuków.

– Będę?

– Oczywiście. Będziesz cierpliwa i szczerze zainteresowana ich życiem i przemyśleniami. Rodzice to co innego, prawda? Cały czas muszą się zastanawiać, czy powinni powiedzieć tak, czy nie, teraz czy później. Muszą nie tylko kochać swoje dzieci i dbać o nie, ale też dyscyplinować i wymagać. Ty możesz tylko kochać i dzieci będą chłonać twoją miłość jak gąbki.

– Żałuję, że nie mieszkam bliżej nich, nie mogę ich tak rozpieszczać, jak bym chciała.

– Teraz będziesz miała okazję.

– A jeśli Maureen mi nie pozwoli?

– Sama przyjadę do Galway i skopię jej tyłek.

Colleen znowu się uśmiechnęła.

– Zawsze byłaś moją wojowniczką. Taka zacięta i odważna. Mam

nadzieję, że pewnego dnia też dasz mi wnuki, które będą mogła rozpieszczać.

– No cóż...

– Słyszałam, że spotykasz się z Connorem O'Dwyerem.

– Spotykam się z Connorem O'Dwyerem przez całe życie.

– Meara.

Wiedząc, że nie uniknie tego tematu, Meara postawiła na stoliku imbryk z herbata.

– Widujemy się.

– Bardzo go lubię. Jest tak dobry i przystojny. Ma złote serce i jest bardzo miły. Zagląda do mnie od czasu do czasu, tylko po to, żeby sprawdzić, jak się mam, i zapytać, czy nie trzeba czegoś naprawić.

– Nie wiedziałam, ale to w jego stylu.

– Ma w sobie tyle uroku, ale chociaż wiem, jaki jest teraz świat, nie mogę zaaprobować... no cóż, seksu przed ślubem.

Święta Mario, modliła się Meara, miej litość i oszczędź mi pogadanki o seksie.

– Zrozumiałam.

– Tak samo myślę o Donalu i Sharon, ale... W końcu mężczyzna to mężczyzna i oni pragną tych rzeczy bez sakramentu.

– Kobiety też, mam, i przykro mi, że muszę przekazać ci tę nowinę, ale jestem już dorosła.

– Może i tak – powiedziała Colleen stanowczo – ale nadal jesteś moją córką. I bez względu na to, co ma w tej kwestii do powiedzenia Kościół, mam nadzieję, że uważasz.

– O to możesz być spokojna.

– Będę spokojna, kiedy już wyjdiesz szczęśliwie za mąż i założysz własną rodzinę. Naprawdę bardzo lubię Connora, ale faktem jest, że ma

słabość do kobiet. Dlatego bądź ostrożna, Meara.

Słyszając, jak otwierają się drzwi frontowe, Meara złożyła w myślach dzięki niebiosom.

– Przyszedł Donal, żeby cię zawieźć do Galway – powiedziała wesoło.
– Przyniosę dla niego filiżankę.

Meara pomyślała, że wróci do domu i będzie się gapić w ścianę, czuła się przemęczona, winna i ogólnie nie w formie. I pojechała prosto do Branny.

Gdy tylko weszła do pracowni, zorientowała się, że popełniła błąd.

Branna i Fin stali razem przy blacie, z dłońmi rozłożonymi nad srebrną misą. Mikstura w naczyniu promieniowała silnym, pomarańczowym światłem, które unosiło się cienką smużką dymu aż pod sufit.

Branna uniosła palec, dając znać Mearze, żeby chwilę poczekała.

– Ty i twój, ja i moi, śmierć i życie razem stoi. Krew zmieszana ze łzami spłynie czerwieni strugami. Ogień i dym się zagotują i twój los przypieczętują.

Mikstura zabulgotała, jęzory pomarańczowego ognia sięgnęły blatu.

– Cholera! – Branna cofnęła się o krok, opierając pięści na biodrach. – Ciagle coś jest nie tak. To powinno być czerwone, krwistoczerwone. Morderczo czerwone i gęste. Cały czas czegoś nam brakuje.

– Na pewno nie mojej krwi – powiedział Fin. – Dałem ci już z litr.

– Wzięłam tylko kilka kropel, nie bądź taki delikatny. – Wyraźnie zirytowana Branna przesunęła ręką po włosach, upiętych na czubku głowy. – Wzięłam krew moją, Connora i Iony, prawda?

– Was trojga i moją.

– Plus to, co mieliśmy w fiołce po przesileniu i co zebraliśmy z miecza.

– Mogę dać wam swoją, jeśli uważacie, że się przyda – zaproponowała Meara. – Jeżeli nie, to nie będę wam przeszkadzać.

– Nie będziesz nam przeszkadzać. Przyda się nam dodatkowa para oczu i jeszcze jeden umysł. Ale najpierw musimy zrobić sobie przerwę i pomyśleć – zdecydowała Branna. – Napijmy się herbaty.

– Jesteś smutna – powiedział Fin do Meary, gdy Branna wycierała blat.
– Twoja matka wyjechała do Galway?

– Tak, przed chwilą, wśród szlochów i mojego zgrzytania zębami.

– Przepraszam. – Branna szybko obeszła blat i pogłaskała Meareę po ramieniu. – Tak się zajęłam własnymi problemami, że zapomniałam o twoich. To musiało być trudne.

– Pod pewnymi względami było lepiej, a pod pewnymi gorzej, niż się spodziewałam. Ale i tak jestem wyczerpana.

– Mam kilka spraw do załatwienia, jeśli chcecie porozmawiać – odezwał się Fin.

– Nie, nie wychodź przede mną. Poza tym chciałabym pomówić z tobą o domu, który wynajmujesz mamie.

– Nie masz się czy martwić. Mówiłem ci, że poczekam, aż sama podejmie decyzję. Mieszka w tym domu od prawie dziesięciu lat.

– To bardzo miłe z twojej strony, Fin. Dziękuję.

Branna bez słowa poszła zaparzyć herbatę.

– Myślę, że moja matka nie wróci, nie na stałe – powiedziała Meara. – I wydaje mi się, że ta zmiana wyjdzie jej na dobre, zwłaszcza dzięki wnukom. Z jednymi będzie mieszkała, drugie będzie miała bliżej. Prawda jest taka, że nigdy nie będzie szczęśliwa, mieszkając sama. Potrzebuje kogoś, z kim mogłaby porozmawiać, ale żeby ten ktoś potrafił nią pokierować, a Maureen doskonale się nadaje do jednego i drugiego.

– W takim razie przestań się obwiniać – poradził Fin.

– Jeszcze tylko chwilę. – Meara przycisnęła dłonie do oczu. – Płakała i

przyznała się do uczuć, o których nie miałam pojęcia. Jest ci bardzo wdzięczna, Fin, za dom i absurdalnie niski czynsz, jaki od niej brałeś przez te wszystkie lata. Nawet nie przypuszczałam, że mama wie o tym. Ale wie i jest ci bardzo wdzięczna, i ja też.

– To nic wielkiego, Meara.

– Ona uważa inaczej i ja również. Gdyby jej czynsz nie był taki niski, nie dałabym rady płacić za dwa mieszkania nawet z pomocą Donala, a wtedy na pewno bym ją zamordowała. Dzięki tobie matka żyje, a ja nie siedzę w więzieniu, więc przyjmij wyrazy wdzięczności, bo ci się należą.

– Przyjmuję. – Fin podszedł do Meary i przytulił ją, ponieważ zaczęła płakać. – Już dobrze, skarbie.

– Mama zaczęła znowu płakać, kiedy pakowaliśmy jej rzeczy do furgonetki, i wczepiła się we mnie, jakbym szła na wojnę. Na którą w sumie chyba idę, ale ona o tym nie wie. Jestem pewna, że przez te wszystkie lata usiłowała nie dostrzegać, kim są moi najbliżsi przyjaciele, a teraz nagle się martwi, że Connor i ja uprawiamy seks bez ślubu.

Fin, nie mogąc powstrzymać się od uśmiechu, pogłaskał ją po plecach.

– Wygląda na to, że miałaś dzień pełen wrażeń.

– Na koniec którego wykopałam własną matkę z jej domu.

– Nic takiego nie zrobiłaś. Pomogłaś jej zerwać łańcuch, którym była przykuta do tego miejsca, żeby mogła być szczęśliwa w otoczeniu rodziny. Założę się, że podziękuje ci jeszcze przed końcem roku. No już, *dubheasa*, otrzyj oczy.

Cofnął się, poklepał po kieszeniach i wyciągnął chustkę, mieniącą się kolorami, a Meara się roześmiała.

– Co to jest?

– Po burzy zawsze przychodzi tęcza. – Wyciągnął z jej włosów wielką,

różową stokrotkę. – A po deszczu kwitną kwiaty.

– Zbiłbyś fortunę na przyjęciach urodzinowych.

– Zawsze mogę sobie dorobić.

– A ja jestem kompletną idiotką.

– Wcale nie. – Jeszcze raz ją uścisnął. – Może tylko trochę, czasami.

Fin schwycił spojrzenie Branny, a uśmiech, który mu posłała, ugodził go prosto w serce.

Meara wypła herbatę, zjadła trzy biszkopty cytrynowe i chociaż nie miała pojęcia o pisaniu zaklęć czy mieszaniu mikstur, pomagała, jak umiała.

Ucierała w moździerz zioła – szałwię, podbiał i rozmaryn. Odmierzała pył z czarnego fluorytu, przycinała miedziane druciki i notowała wszystko dokładnie w dzienniku Branny.

Kiedy przyjechali Connor z Ioną i Boyle'em, niezbędne składniki, wyselekcjonowane przez Brannę i Fina, były gotowe.

– Dzisiaj już dwa razy nam się nie udało – powiedziała Branna – więc miejmy nadzieję, że do trzech razy sztuka. Poza tym teraz pomagała nam Meara i może przyniosła nam szczęście.

– Terminujesz na czarownicę? – Connor przyciągnął ją do siebie i pocałował.

– Raczej nie, ale potrafię ucierać i odmierzać.

– Pożegnałaś się z matką?

– Tak, i wytarłam wiadra łez, które wylała. Potem przyjechałam tutaj i Fin ocierał moje łzy.

– Powinnaś się cieszyć. – Connor pocałował ją w czoło.

– Ona będzie tam szczęśliwa.

– Coraz bardziej w to wierzę. Niecałą godzinę temu Donal przysłał mi SMS. że rodzina Maureen przyszykowała mamie królewskie powitanie, z

serpentynami, kwiatami, tortem, a nawet szampanem. Trochę mi wstyd, bo nie sądziłam, że Maureen będzie się chciało wysilać, ale przejdzie mi, jak tylko znowu mnie wkurzy. Donal napisał, że jest podekscytowana jak mała dziewczynka – mama, nie Maureen, więc chyba kryzys mamy na razie zażegnany.

– Pojedziemy tam i zaprosimy ją na kolację, jak już będziemy mogli spokojnie wyjechać.

Tak jak mówiła jej matka, Connor miał złote serce.

– Ryzykujesz, ponieważ uprawiasz seks z jej córką bez sakramentu.

– Słucham?

– Później ci wyjaśnię. Chyba Branna chce twojej krwi.

– Potrzebuję krwi nas wszystkich – poprawiła ją Branna. – Tak jak robiliśmy to przed przesileniem.

– Wtedy go nie pokonaliśmy. – Boyle spojrzał ze zmarszczonymi brwiami na misę, do której Branna dodawała kolejne składniki. – Dlaczego teraz miałyby być inaczej?

– Mamy jego krew, tę z ziemi i tę z ostrza – odpowiedział Fin. – Doda nam ciemnej mocy, którą wykorzystamy przeciwko niemu.

– Connor, rzuć na pracownię czar ochronny. – Branna dosypała soli do misy. – Iona, przynieś, proszę, świece.

Tym razem spróbujemy wszyscy razem, skoro już tu jesteśmy. Wewnątrz i na zewnątrz – zaczęła – w środku i dokoła, niech naszą moc ta sól wywoła. – Wzięła miedziany drut i wygięła go w ludzką postać. – On kryje się w cieniu, więc w cieniu czekamy, aż postać jego prawdziwą schwytamy. A wtedy niech spłonie i w proch się obróci, taka jest moc czaru, który nasz krąg rzuci.

Postawiła drucianą figurkę na srebrnej tacy obok fiolek, kryształowej

kuli i najstarszego athame.

– Stwórzmy krąg.

Meara widziała ten rytuał dziesiątki razy, ale zawsze czuła mrowienie w skórze, kiedy patrzyła, jak jeden gest dłoni wystarczał, by zapłonęły stojące w szerokim kole białe świece, kiedy powietrze wydawało się zamierać, nieruchomieć.

A potem zadrzało.

Troje i Fin stali na czterech igłach kompasu i wzywali cztery żywioły, boga i boginie, swoich przewodników.

Ogień, wzniecony przez Ione, płonął na białe kilkadziesiąt centymetrów nad podłogą, a nad nim unosiła się srebrna misa.

A w niej zioła i kryształy, woda z dłoni Branny, poruszona powietrzem, wezwanym przez Connora. Czarna ziemia, wyciśnięta z pięści Fina, zroszona łzami, ronionymi przez czarownicę.

I krew.

– Z odważnego serca, pełnego miłości. – Iona rytualnym nożem nacięła skórę na dłoni Boyle’a. – Niech krew twoja z moją zmiesza się w jedno.

Przecięła sobie skórę i przycisnęła dłoń do jego dłoni.

– Życie i światło, płoń jasno – powiedziała, gdy ich zmieszana krew spłynęła do misy.

Connor wziął Mearę za rękę, pocałował wewnątrz jej dłoni.

– Z serca lojalnego i pełnego siły. – Naciął jej skórę, a potem swoją. – Połącz się ze mną, by naprawić, co złe moce uczyniły. Życie i światło, płoń jasno.

Branna odwróciła się do Fina i chciała ująć jego dłoń, ale on cofnął rękę i zsunął koszulę z ramienia.

– Natnij tutaj.

Kiedy pokręciła głową, złapał ją za nadgarstek.

– Tnij po stygmacie.

– Skoro tego chcesz.

Przytknęła ostrze do pentagramu, jego przekleństwa i dziedzictwa.

– Krew, co płynie ze znamienia, zmieszana z moją, jasność do cienia. –

Kiedy przyłożyła rozciętą dłoń do jego ramienia, ciało do ciała, krew do krwi, płomienie świec strzeliły pod sufit, a powietrze zadrzało znowu. – Dzień i noc, siła i moc, życie i światło, płoń jasno.

Krew spłynęła cienką strużką po jej dłoni do miski. Mikstura zawrzała i zapieniła się, uleciał z niej dym.

– W imię Sorchy, wszyscy, którzy przed nią byli, wszyscy, którzy po niej przybyli, łączmy moc w jedności. Wzywamy was z cienia ku jasności.

Wrzuciła miedzianą figurkę do wrzącej mikstury, gdzie zapłonęła złotoczerwonym ogniem. Rozległ się ryk trąby powietrznej, w której dało się słyszeć tysiące głosów.

Potem zapadła cisza tak głęboka, że aż dzwoniła w uszach.

Branna zajrzała do miski i wypuściła głośno oddech.

– To jest to. To musi być to. To go unicestwi.

– Mam zgasić płomienie? – zapytała Iona.

– Niech warzy się jeszcze przez godzinę na małym ogniu i odstoi przez noc. A w Samhain to go zabije.

– A zatem skończyliśmy? – upewniła się Meara.

– Na razie tak. Teraz chciałabym zebrać myśli i napić się wina.

– W takim razie my za chwilę wrócimy. Muszę tylko...

– Meara już wyciągała Connora z pokoju. – Potrzebuję na moment Connora.

– O co chodzi? – pytał zaniepokojony, kiedy nie zwalniając żelaznego

uścisku, ciągnęła go przez tylne drzwi warsztatu do kuchni. – Przestraszyłaś się? Wiem, że ten rytuał jest intensywny, ale...

– O tak, tak, tak – prawie śpiewała, prowadząc go przez salon, po schodach.

– Chodzi o krew? Wiem, że to wydaje się trochę brutalne, ale bez niej mikstura nie miałaby mocy.

– Nie. Tak. Jezu. Wszystko razem! – Bez tchu wepchnęła go do jego pokoju, po czym pchnęła na zatraskujące się drzwi.

I przycisnęła usta do jego warg, niemal stapiając ich w jedno żarem bijącym od jej ciała.

– Och – wysapał, wreszcie rozumiejąc, o co chodzi, gdy Meara zerwała z niego sweter.

– Pozwól mi. – Ściągnęła mu termiczny podkoszulek i zacisnęła zęby na nagim ramieniu Connora. – Pozwól.

Chętnie zwolniłby tempo, chociaż trochę, ale Meara już rozpinęła mu pasek, więc cóż mógł zrobić w takiej sytuacji?

Zaczął zdejmować z niej sweter – rozbieranie kobiet to jedna z największych przyjemności w życiu mężczyzny – ale zaplątał się w jej niecierpliwie dłonie. Zastanawiał się, czy po prostu nie zedrzyć z niej ubrania, po czym...

– Ach, do diabła.

I w mgnieniu oka oboje stali nadzy.

– Tak, tak, tak. – Schwyciła go za włosy, całując usta, jęknęła z rozkoszy, gdy ujął w dłonie jej piersi.

Jednak nigdy nie była tak szalona z pożądania, nigdy nie czuła tak wszechobecnego, dotkliwego pragnienia. Może to przez coś, co unosiło się w drżącym powietrzu – pulsowanie ognia, wzbierające i przenikające się moce

i magiczny rytuał.

Wiedziała tylko, że musi go mieć albo straci zmysły.

Wciąż smakował egzotycznie magią, pełną siły, uwodzicielską, odrobinę ciemną. Czuła, że nadal przeszywają go fale mocy, które jeszcze nie ucichły.

I chciała tego, pragnęła go, pożałała tego wszystkiego.

Tym razem jego dłonie nie były cierpliwe, lecz zachłanne, zdecydowane i szybkie. Tego też pragnęła, chciała, by objął ją i wziął, jakby od tego zależało jego życie.

Ponieważ czuła się tak, jakby jej życie od tego zależało.

Obrócił ją, przyciskając plecami do drzwi. Miała sekundę, by spojrzeć mu w oczy, ogniste i dzikie, zanim się w nią wbił.

Myślała, że oszaleje, jeśli Connor jej nie weźmie, a teraz, kiedy to się stało, i tak postradała zmysły.

Jej biodra tańczyły, wyzywając go, by dotrzymał jej kroku. Paznokciami rozorała mu ciało, plecy, ramiona, smakowała zębami jego skórę. Krew pulsowała w nim niepowstrzymanym nurtem, więc wbijał się w nią mocniej, szybciej, głębiej, wiedziony brutalnym, pozbawionym tchu pożądaniem.

Krzyknęła, pełna chciwości i głodu. I jeszcze raz, tym razem jego imię. Gdy Connor schwycił ją za biodra i uniósł, oplótła go w pasie długimi nogami.

Sycił się jej smakiem, napełniając ją swym pożądaniem, aż pękły ostatnie tamy.

Connor pozwolił się ponieść i mógłby przysiąc, że powietrze roztrzaskało się wokół nich niczym szyba, kiedy Meara jeszcze mocniej oplótła go nogami, a jej ostatni krzyk przeszedł w drżące westchnienie.

Osunęli się bezwładnie na podłogę, spocona płatanina rąk i nóg.

– Boże. Mój słodki Boże. – Meara zaczerpnęła powietrza jak ktoś, kto tonął, ale udało mu się wypłynąć na powierzchnię.

Usiłując złapać oddech, Connor mruknął coś niewyraźnie, po czym opadł na plecy i leżał z zamkniętymi oczami i falującą pierśią.

– Czy to podłoga drży?

– Chyba nie. – Otworzył oczy i wbił wzrok w sufit.

– Może. Nie – uznał. – To my drżymy, a raczej wibrujemy. Podobno po trzęsieniu ziemi zwykle przychodzą wstrząsy wtórne.

Wyciągnął rękę na oślep, żeby pogłaskać Mearę, i trafił na jej pierś. Doskonałe miejsce.

– Dobrze się czujesz?

– Nie. Czuję się fantastycznie, tak jakbym znowu frunęła. To przez to, jak wyglądałeś, jakby płonął w tobie ogień. Twoje włosy unosiły się na wietrze, który sam wezwałeś, a moc pulsowała wokół ciebie niczym dźwięk plemiennych bębnów. Nie mogłam się powstrzymać. Przepraszam, ale nie potrafiłam się kontrolować.

– Wybaczam ci. Jestem bardzo wyrozumiały.

Westchnęła ze śmiechem i przykryła ręką jego dłoń.

– A teraz leżymy nadzy i wykończeni na podłodze w twoim pokoju, w którym panuje taki sam bałagan jak zawsze.

Connor obrócił głowę, żeby się rozejrzeć. Może nie bałagan, uznał, ale rzeczywiście tu i ówdzie leżały porozrzucone buty, ubrania i książki. I nigdy nie widział sensu – co było powodem sprzeczek między nim a siostrą

– w ścieleniu łóżka, skoro i tak wieczorem miał znowu się do niego położyć.

Żeby zrobić przyjemność Mearze, machnął ręką i buty, ubrania, książki

– oraz wszystkie inne przedmioty walające się po podłodze – znalazły się w schludnym stosie w kącie. Zajmie się tym później, kiedyś.

Teraz jeszcze raz machnął dłonią i z sufitu spłynął na nich deszcz różanych płatków. Meara roześmiała się, złapała garść i rozsypała mu na włosach.

– Jesteś niemądrym romantykiem, Connor.

– W romantyzmie nie ma nic niemądrego. – Przyciągnął ją do siebie i ułożył jej głowę na swoim ramieniu.

– O, tak jest lepiej.

Nie mogła się nie zgodzić, jednak...

– Powinniśmy zejść na dół. Będą się zastanawiali, co tak długo robimy.

– Och, założę się, że doskonale wiedzą, co robimy. Dlatego nie będziemy się spieszyć.

– Będziesz musiał sprowadzić z powrotem moje ubranie z miejsca, do którego je posłałeś.

– Sprowadzę. Ale jeszcze nie teraz.

Meara postanowiła rozkoszować się chwilą, kiedy mogła tak leżeć z głową na ramieniu Connora, a w powietrzu wirowały płatki róż.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Wrzesień przeszedł w październik i Branna zagoniła Connora i Ione do zbierania warzyw w ogrodzie, Ione zleciła zbieranie grubych strąków groszku, Connorowi kopanie ziemniaków, sama zaś zajęła się marchewką i rzepą.

– Jak pięknie pachnie. – Iona wyprostowała się nad grządką. – Wiosną, kiedy sialiśmy, wszystko pachniało tak świeżo, a teraz zapach jest taki dojrzały, bogaty.

Connor posłał jej złowrogie spojrzenie znad łopaty.

– Zobaczymy, co powiesz, jak moja siostra każe ci to wszystko obierać, a potem gotować, blanszować czy co tam, u diabła, z tym się jeszcze robi.

– Jakoś nie narzekasz, kiedy całą zimę opychasz się moimi przetworami. Właściwie... – odparła Branna.

Zerwała z krzaka pulchnego pomidora, powąchała go.

– Chyba zrobię dziś zupę z pomidorów i sera pleśniowego.

Wiedziała, że Connor uwielbia tę zupę, i uśmiechnęła się, gdy spojrzał spode łba.

– Czy to forma przekupstwa?

– Ależ skąd, po prostu mam ochotę ugotować zupę.

Zbieranie plonów wprawiło Brannę w doskonały nastrój. Mogła zrywać warzywa przez całe lato, ale to jesienny zbiór dawał jej prawdziwą satysfakcję.

A praca, którą musiała w to włożyć, jeszcze pogłębiała uczucie spełnienia.

– Iona, zerwij dwa dorodne ogórki. Będą mi potrzebne do kremów,

które zamierzam później robić.

– Nie mam pojęcia, jak ci się udaje to wszystko pogodzić. Prowadzisz dom, dbasz o ogród, gotujesz, robisz te wszystkie rzeczy do swojego sklepu, który sama prowadzisz. Planujesz, jak zniszczyć odwieczne zło.

– Może to magia. – Rozkoszując się ich zapachem i ciężarem, Branna włożyła do wiadra następne pomidory. – Prawda jest taka, że kocham to, co robię, więc na ogół wcale nie czuję się, jakbym pracowała.

– Powiedz to facetowi z łopata – jęknął Connor, ale został zignorowany.

– Sama masz mnóstwo zajęć – powiedziała Branna do Iony – a nie wydajesz się zmartwiona tym, że codziennie wyrzucasz koński gnój, targasz bele siana i słomy, jeździsz po lesie, zmuszając się do pogawędki z turystami, chociaż zapewne wszyscy oni zadają te same pytania. Do tego bez przerwy uczysz się i ćwiczysz. Zrobiłaś ogromne postępy od ostatniej zimy, kiedy ledwo umiałaś zapalić świecę.

– Ja też kocham to, co robię. Mam dom, swoje miejsce na ziemi i cel w życiu. Mam rodzinę i mężczyznę, który mnie kocha. – Iona uniosła twarz ku niebu i wzięła głęboki oddech. – I mam magię. Zanim tu przyjechałam, tylko przeczuwałam, że ją mam, a moją jedyną prawdziwą rodziną była babcia.

Podeszła do grządki z ogórkami i wybrała dwa.

– Tak bardzo bym chciała założyć mały ogród. Gdybym nauczyła się hodować warzywa, czułabym, że wnoszę coś do gospodarstwa, skoro to Boyle ma u nas gotować.

– U Boyle’a jest wystarczająco dużo miejsca. Planujecie tam zostać po ślubie?

– Och, na razie tak. Nam dwojgu to mieszkanie wystarczy i jesteśmy blisko was wszystkich, ale... chcemy założyć rodzinę, i to raczej wcześniej niż później.

Branna poprawiła słomkowy kapelusz, który nosiła raczej dla tradycji niż ochrony przed słońcem, wyglądającym od czasu do czasu zza puchatych chmur. Dzień przypominał raczej o lecie niż jesieni.

– W takim razie będzie wam potrzebny dom, a nie tylko mieszkanie nad garażem Fina.

– Myślmy o tym, ale ponieważ żadne z nas nie chce mieszkać z dala od was i od stadniny, na myśleniu się kończy. – Iona pochyliła się i zerwała żółtego kabaczka.

– Najpierw musimy pomyśleć o ślubie, a ja jeszcze nie wybrałam sukni ani kwiatów.

– Ale mniej więcej wiesz, czego szukasz?

– Mam pewną wizję sukni. Myślę... Connor, uczciwie uprzedzam, że ten temat zanudzi cię na śmierć.

– Ziemiaki już to zrobiły. – Connor wybierał kartofle z przekopanej ziemi i wrzucał do wiadra.

– Na pewno chcę mieć długą, białą suknię, ale chyba raczej w stylu vintage niż nowoczesnym. Żadnego trenu ani welonu, tylko prostą i piękną suknię, w jakiej mogła iść do ślubu moja babcia, tylko trochę unowocześnioną. Babcia dałaby mi swoją, ale jej suknia jest koloru kości słoniowej, a ja chcę mieć białą, poza tym babcia jest wyższa i cóż, jej suknia to nie jest dokładnie to, o czym marzę.

Zerwała pomidorka koktajlowego i wrzuciła sobie do ust.

– Boże, jaki pyszny. Oglądałam suknie w internecie, żeby wyrobić sobie jakiś pogląd, i mam nadzieję, że po Samhainie ty, Meara i ja będziemy mogli pojechać na prawdziwe łowy.

– Bardzo chętnie. A kwiaty?

– Zastanawiałam się nad tym długo i doszłam do wniosku, że...

chciałabym mieć twoje kwiaty.

– Moje?

– Chciałabym mieć bukiet, który będzie przypominał twój ogród.

Iona wyprostowała się i wskazała ręką kolorowy dywan cynii, naparstnicy, begonii i nasturcji.

– Nie konkretne gatunki czy kolory, ale tę feerię barw, żeby moje kwiaty były tak radosne i naturalne, jak twoje.

– W takim razie potrzebna ci Lola.

– Lola?

– To florystka, ma kwaciarnię w Galway. Posyłam jej tony kremu do rąk, ponieważ praca z kwiatami jest zabójcza dla jej dłoni, i czasami świece do aranżacji ślubnych. Jest artystką, jeśli chodzi o kolory. Mogę dać ci jej numer.

– Wspaniale, dzięki.

Iona zerknęła na Connora, który przykucnął, wpatrując się w ziemniaka, jakby na jego skórce wypisano odpowiedzi na wszystkie pytania świata.

– Ostrzegałam, że ten temat zanudzi cię na śmierć.

– Nie, nie o to chodzi. Zacząłem myśleć o rodzinie, ogrodach i kwiatkach i przypomniałem sobie o dzwonku, który dała mi Teagan, żeby posadził go na grobie jej matki. Nie zrobiłem tego.

– Nie możemy teraz zbliżyć się do chaty Sorchy, to zbyt wielkie ryzyko

– przypomniała mu Branna.

– Wiem. Ale to była jej jedyna prośba. Pomogła uleczyć Mearę i poprosiła tylko o posadzenie tego kwiatka.

Branna odstawiła wiadro, podeszła do brata, przykucnęła naprzeciwko niego i spojrzała mu w oczy.

– I spełnimy jej prośbę. Posadzimy ten dzwonek, całe hektary

dzwonek, jeśli będziesz chciał. Oddamy cześć jej matce, która jest również naszą. Ale żadne z nas przed Samhainem nawet nie zbliży się do grobu Sorchy. Musisz mi to obiecać.

– Nie naraziłbym siebie na takie niebezpieczeństwo, zwłaszcza że ryzykowałbym powodzenie całego przedsięwzięcia. Ale to mi ciąży, Branna. Ona była tylko małą dziewczynką. I tak bardzo przypominała ciebie; Iona. A kiedy patrzę na ciebie – zwrócił się do Branny – widzę, jak Brannaugh będzie wyglądała za dziesięć lat, tak jak widziałem ciebie w niej. W jej oczach było zbyt wiele smutku i poczucia obowiązku, tak samo jak często w twoich.

– Kiedy zrobimy to, co do nas należy, smutek zniknie, a obowiązek zostanie spełniony. – Ucisnęła jego brudną dłoń. – Oni o tym wiedzą, tak samo jak my. Jestem tego pewna.

– Dlaczego nie możemy tego zobaczyć, ty i ja, razem? Albo z Ioną, we trójkę? Dlaczego nie możemy zobaczyć, jak to się skończy?

– Znasz odpowiedź. Dopóki istnieje wybór, nikt nie wie, jak to się skończy. Moc Cabhana i wszystko, co zdarzyło się wcześniej, zaciera obraz, Connor.

– Ale my jesteśmy światłem. – Iona stała z wiadrem pełnym strąków, dzinsy na kolanach miała ubrudzone ziemią ogrodową. Na jej palcu lśnił pierścienek zaręczynowy od Boyle'a. – Z czymkolwiek on przyjdzie, w jakiegokolwiek przyjdzie postaci, będziemy walczyć. I wygramy. Wierzę w to. Wierzę w to, ponieważ ty w to wierzysz – zwróciła się do Connora. – Ponieważ wierzyłeś w to przez całe życie. Cabhan jest brutalem i sukinsynem, ukrywa się za mocą, którą wytargował od jakiegoś diabła. A my? – Położyła dłoń na sercu. – To, co mamy, pochodzi z krwi i światła. Unicestwimy go tym światłem i pošlemy do diabła. Wiem to.

– Dobrze powiedziane. Właśnie wysłuchaliśmy przemowy na dzień świętego Kryspina w wykonaniu naszej Iony*. – Branna dźgnęła Connora palcem.

– Rzeczywiście dobrze powiedziane. Po prostu mam kiepski nastrój. Nie dotrzymałem słowa.

– Jeszcze dotrzymasz – zapewniła go Branna. – Ale nie tylko niespełniona obietnica i kopanie ziemniaków wprawiły cię w taki nastrój. Pokłóciliście się z Mearą?

– Nie, absolutnie nie. Między nami wszystko w porządku. Oczywiście martwię się tym, że Cabhan tak się nią interesuje. My troje mamy tę samą broń, co on, możemy odpowiedzieć magią na magię, a ona ma tylko rozum, odwagę i może jeszcze miecz, jeśli akurat wzięła go z sobą.

– Doskonale się tym wszystkim posługuje. Poza tym nosi twój naszyjnik ochronny i amulety, które dla niej stworzyliśmy. Nic więcej nie możemy zrobić.

– Miałem jej krew na rękach. – Connor spojrział na swoje dłonie, na których zamiast ciemnej, żyznej ziemi widział czerwoną krew Meary. – Nie mogę o tym zapomnieć i mam ochotę dzwonić do niej dziesięć razy dziennie tylko po to, żeby się upewnić, że jest bezpieczna.

– Dopiero by się wkurzyła.

– Wiem.

– Ja też martwię się o Boyle'a, chociaż Cabhan specjalnie się nim nie interesował. To naturalne – dodała Iona – że martwimy się o bliskich nam ludzi, którzy nie mają takiej broni jak my. – Spojrzała na Brannę. – Ty też się o nich martwisz.

*Nawiązanie do mowy, którą wygłosił do swoich wojsk król Henryk V przed bitwą pod Azincourt 25 października 1415 r.

– Tak, to prawda. Chociaż wiem, że zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, i tak się martwię.

– Jeśli to cię trochę uspokoi, to zapewniam cię, że w pracy spędzam z Mearą tyle czasu, ile tylko mogę. A kiedy zabiera turystów na wycieczkę, wplątam zaklęcia w grzywę jej konia.

Connor się uśmiechnął.

– Naprawdę?

– Meara cierpliwie to znosi, Boyle też. Wplątam zaklęcia w grzywy wszystkich koni tak często, jak mogę. Dzięki temu czuję się spokojniejsza, kiedy zostawiamy je na noc.

– Dałam Mearze balsam z prośbą, żeby go dla mnie przetestowała i używała codziennie. – Branna się uśmiechnęła. – Zaczarowałam go.

– Ten o zapachu moreli i miodu? Jest cudowny. – Connor pocałował siostrę w policzek. – Dziękuję ci i za magię, i za romantyzm. Powinienem był wiedzieć, że wy dwie zrobicie wszystko, co w waszej mocy. Co do mnie, to albo ja, albo Roibeard ani na chwilę nie spuszczaamy jej z oczu.

– W takim razie na jakąś godzinę przekaz opiekę nad nią Merlinowi, Fin na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu, i idź na spacer ze swoim sokołem. – Branna wstała, kładąc mu rękę na ramieniu. – Zanieś ziemniaki do piwnicy i trochę się przewietrz. Podejrzewam, że wam obu się to przyda.

– A co z gotowaniem, blanszowaniem i całą resztą?

– Jesteś zwolniony.

– A zupa?

Roześmiała się i lekko stuknęła go pięścią w głowę.

– Mam pomysł. Powiedz Boyle'owi, że będę potrzebowała Meary za...

– spojrzała w słońce, obliczając czas – trzy godziny. Reszta niech przyjdzie

koło pół do siódmej. Zjemy tę twoją zupę i sałatkę z rukolą, którą za chwilę zetnie Iona, ciemny chleb i tort.

– Tort? A jaka to okazja?

– Urządzimy *ceili*. Zbyt dużo czasu minęło, odkąd ostatnio urządzaliśmy tu przyjęcie.

Connor wstał i wytarł ręce o spodnie.

– Widzę, że częściej powinienem mieć ponury nastrój.

– Drugi raz to nie zadziała. Zanieś ziemniaki, znajdź sokoła i wróć o pół do siódmej.

– Tak zrobię. Dzięki.

Branna poszła zerwać więcej pomidorów, skoro miała gotować zupę dla sześciu osób, i zerknęła na Ionę.

– On jeszcze nie wie – powiedziała tamta. – Tobie by powiedział, gdyby było inaczej. Pewnie tylko tobie. Ale on jeszcze nie wie, że ją kocha.

– Jeszcze nie wie, chociaż powoli zaczyna to do niego docierać. Kochał ją przez całe życie, więc chwilę musi potrwać, zanim zda sobie sprawę, że kocha ją inną miłością, niż mu się wydawało.

Branna spojrzała na dom, pomyślała o bracie i Mearze.

– To jedyna kobieta, z jaką kiedykolwiek chciał spędzić życie. I tylko ona może złamać mu serce.

– Nigdy by tego nie zrobiła.

– Kocha go i zawsze go kochała. Connor jest jedynym mężczyzną, z którym chciałaby być, ale Meara nie wierzy ani w miłość, ani w jej moc. Jeśli zaufa sobie i jemu, będą szczęśliwi. Ale jeżeli jej się nie uda, złamie serce i jemu, i sobie.

– Ja wierzę w miłość i w jej moc. I wierzę, że gdy Meara dostrzeże miłość Connora, przyjmie ją i w pełni odwzajemni,

– Tak bardzo bym chciała, żebyś miała rację. – Branna westchnęła. – Na razie obydwójce jeszcze nie mają pojęcia, dlaczego z nikim wcześniej nie czuli się tak, jak czują się teraz z sobą. Serce to gwałtowny i tajemniczy władca. Zabierzmy to wszystko do kuchni i weźmy się do obierania. Pokażę ci, jak się gotuje zupę, i zobaczymy, ile słoików uda nam się zrobić, zanim przyjdzie Meara.

Meara pojawiła się o czasie i w złym humorze.

Wpadła do kuchni, oparła pięści na biodrach i obrzuciła podejrzliwym spojrzeniem lśniąca słoje pełne kolorowych warzyw, stygnące na blacie, a także garnek zupy pyrkającej na wolnym ogniu na kuchence.

– O co chodzi? Jeśli wezwałyście mnie jako podkuchenną, to nic z tego. Na dzisiaj mam dosyć roboty.

– Już prawie skończyliśmy – powiedziała Branna uprzejmie.

– Napiję się piwa. – Meara podeszła do lodówki i wyjęła butelkę smithwicka.

– W stadninie wszystko w porządku?

Meara parsknęła w kierunku Iony.

– W porządku? Och, oczywiście, wprost doskonale, ponieważ w środku października mamy zupełnie letni dzień i każda żywa istota w promieniu pięćdziesięciu kilometrów uznała, że nie chce dziś robić nic innego, tylko jeździć konno. Jak nie prowadziłam wycieczki, to czyściłam konie i targałam siodła tam i z powrotem.

Pomachała nieotwartą butelką piwa.

– I oczywiście Cezar postanowił ugryźć Rufusa w dupę i to zaraz po tym, jak powiedziałam jadącej na nim Hiszpance, żeby popuściła mu trochę cugli. Za chwilę miałam w siodle rozhisteryzowaną Hiszpankę, którą ledwo mogłam zrozumieć, bo histeryzowała po hiszpańsku, machając lejcami we

wszystkie strony, co Cezar rozumiał jako zachętę do dzikiego galopu.

– O Boże! – Iona bardzo starała się wyglądać na zmartwioną, ale nie udało jej się powstrzymać śmiechu.

– Miło mi, że dobrze się bawisz.

– Sama widzisz zabawną stronę tej sytuacji, a przecież nie posadziłabyś tej kobiety na Cezarze, gdyby nie umiała jeździć.

– Pomimo całej hysterii siedziała w siodle jak cholerny konkwistador i podejrzewam, że od początku miała ochotę na galop. Na szczęście jechałam na twoim Alastarze i bez trudu ją dogoniłam. Kiedy złapałam Cezara za wędzidło, śmiała się jak szalona, chociaż próbowała udawać śmiertelnie przerażoną. I słowo wam daję – wyciągnęła oskarżycielsko palec – że konie też miały świetny ubaw.

– Wypiła duży haust piwa. – A potem miałam grupę pięciu nastolatków. Nawet nie chcę o tym mówić, zaraz sama wpadnę w hiszpańską histerię. A ty – dziabnęła palcem w kierunku Iony – masz wolny dzień i bawisz się w ogrodzie, bo sypiasz z szefem.

– Jestem taką zdzirą.

– No właśnie. – Meara znów wypila łyk smithwicka.

– I dlatego nie kiwnę palcem ani w kuchni, ani w ogrodzie, a jeśli trzeba przygotowywać jakieś czary czy zaklęcia, to przynajmniej muszę wypić jeszcze jedno piwo.

Branna zerknęła na słoiki, które wydały ciche kliknięcie oznaczające, że pokrywki się zassały.

– Wszystko już jest zrobione. Mamy wolne popołudnie.

Teraz Meara wypila mały łyk.

– Czy ją ktoś zaczarował? – zapytała Ionę. – A może piła whisky?

– Ani jedno, ani drugie, ale whisky napijemy się później. Urządzamy

ceili.

– *Ceili?*

– Zakończyłam pierwsze zbiory i wekowanie. W październiku mieliśmy letni dzień. – Branna wytarła ręce i odwiesiła ścierkę. – Dlatego szykuj nuty, Meara, i wkładaj pantofle do tańca. Mam ochotę na przyjęcie.

– Jesteś pewna, że nikt nie rzucił na ciebie czaru?

– Pracowaliśmy i ćwiczyliśmy, planowaliśmy i martwiliśmy się. Pora na wolny wieczór. Mam nadzieję, że Cabhan usłyszy naszą muzykę i że wypali mu uszy.

– Nie mogę się z tobą nie zgodzić. – Meara, już spokojniejsza, wypila kolejny łyk piwa. – Nie chcę ryzykować, że zepsuję tak rzadki u ciebie dobry nastrój, ale muszę powiedzieć, że widziałam go dzisiaj dwa razy, w postaci cienia. Raz jako człowieka, raz wilka. Tylko patrzył, nic więcej. Na pewno chciał mi zagrać na nerwach.

– Właśnie w tym celu to robi, dlatego pokażemy mu, że jego próby nie mają żadnego wpływu na nasze życie. A teraz chciałabym, żebyście obie poszły ze mną na górę.

– Jesteś dzisiaj bardzo tajemnicza – powiedziała Meara. – Czy reszta wie o przyjęciu? – zapytała, ruszając po schodach.

– Connor ich zaprosi.

Branna zaprowadziła kuzynkę i przyjaciółkę do swojego pokoju, w którym – odwrotnie niż u Connora – panował nienaganny porządek.

Miała duży pokój, wykonany ściśle według jej wskazówek, kiedy rozbudowywali z Connorem dom. Ściany pomalowała na odcień głębokiej zieleni, z wykończeniem w kolorze kory drzewa, co sprawiało, że czuła się, jakby spała w lesie. Na ścianach powiesiła obrazy przedstawiające syreny i wróżki, smoki i elfy.

Jedynym luksusem, na jaki sobie pozwoliła, było wielkie łóżko z celtyckim węzłem, wyrytym na wysokim wezgłowie i u stóp. Na grubej, białej kołdrze piętrzyły się stosy poduszek. U stóp łóżka stała skrzynia, zrobiona przez pradziadka Branny i pomalowana przez Connora, a w niej najcenniejsze narzędzia sztuki magicznej.

Branna wyjęła z szafy długi kij i włożyła hak w otwór na suficie, by ściągnąć w dół drabinę prowadzącą na strych.

– Muszę coś przynieść z góry. Zaraz wracam.

– Tutaj zawsze panuje taki spokój: – Iona podeszła do okna wychodzącego na pola i lasy, ciągnące się aż do zielonych wzgórz.

– Zawsze zazdrościłam jej własnej łazienki, z tą wielką wanną i kilometrowym blatem. Oczywiście gdybym ja miała tyle przestrzeni, zagrabiłabym ją w tydzień, a na jej blacie stoi... – Meara zajrzała do środka – ... wazon z kaliami, talerzyk z fikuśnymi mydełkami i trzy grube, białe świece w pięknych, srebrnych lichtarzach. Powiedziałabym, że to magia, ale ona po prostu jest perfekcyjnie uporządkowana.

– Tak bym chciała, żeby to było zaraźliwe – powiedziała Iona. W tej chwili Branna zeszła po drabinie, niosąc wielkie, białe pudło. – Och, pomogę ci.

– To nie jest ciężkie. – Położyła je na białej kołdrze.

– Kiedy rozmawialiśmy o ślubach, sukniach i kwiatkach, przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

Uniosła wieko, odgarnęła niezliczone warstwy bibułki i wyjęła długą białą suknię.

Iona głośno wciągnęła powietrze.

– Och, jaka piękna. Po prostu cudowna.

– Tak, jest piękna. Należała do mojej prababci i pomyślałam, że może

na ciebie pasować.

Iona cofnęła się o krok, szeroko otwierając oczy.

– Nie mogę jej przyjąć, Branna. Ta suknia powinna poczekać na ciebie. To była twoja prababcia.

– Której krew płynie również w twoich żyłach. Poza tym ta suknia nie pasuje do mnie, chociaż jest piękna, po prostu nie jest w moim stylu. I prababcia była drobna, tak jak ty.

Branna przechyliła głowę i przytrzymała suknię przed Ioną.

– Proszę, zrób mi przyjemność i przymierz. Jeśli ci się nie spodoba albo nie będzie dokładnie taka, jak sobie wymarzyłaś, nic się nie stanie.

– Przymierz, Iona. Widzę, że już nie możesz się doczekać.

– Dobrze, dobrze! Och, ale frajda. – Iona zaczęła się rozbierać, niemal tańcząc po pokoju. – Nawet nie przypuszczałam, że dzisiaj będę mierzyła suknię ślubną.

– Masz bieliznę jak na miesiąc miodowy. – Meara uniosła brwi na widok koronkowego, bladobłękitnego stanika i majteczek do kompletu.

– Wymieniłam całą bieliznę. Co okazało się doskonałą inwestycją. – Roześmiała się, gdy Branna pomagała jej włożyć suknię.

– Zapnij guziki z tyłu, dobrze, Meara? – poprosiła Branna, podczas gdy Iona ostrożnie wsuwała ręce w cienkie, koronkowe rękawy.

– Tych guzików jest chyba z tysiąc, takie maleńkie i śliczne jak perły.

– Prababcia nazywała się Siobhan O’Ryan i wyszła za mąż za Colma O’Dwyera. Była ciotką twojej babki, Iona, jeśli dobrze pamiętam. Długość powinna być dobra, bo pewnie włożysz szpilki. – Branna poprawiła warstwy obszytego koronką tiulu.

– Jakby była na ciebie szyta. – Meara nadal zapinała guziki.

– Och, jest taka piękna. – Uśmiechając się do swojego odbicia w

wysokim lustrze, Iona musnęła opuszkami palców koronkowy gorset i fałdy spódnicy.

– No dobrze! Skończyłam. – Meara zapięła ostatni guzik na karku przyjaciółki. – Wyglądasz przepięknie, Iona.

– To prawda. Wyglądam przepięknie.

– Moim zdaniem, dół jest idealny. – Branna, kiwając głową, obeszła dookoła Ione, która kołysała się lekko, by spódnica falowała. – Lejący się, romantyczny, wystarczająco ozdobny, ale nie przesadnie. Jednak chyba poprawiłabym trochę gorset. Jest stanowczo zbyt staroświecki i za skromny. Styl vintage to jedno, ale zakrywanie się po samą szyję to zupełnie co innego.

– Och, ale nie możemy jej przerobić. Trzymałaś ją przez tyle lat.

– To, co można zmienić, można też przywrócić do poprzedniej postaci.

– Obróciła kuzynkę tyłem do lustra.

– Tego się pozbędziemy. – Przesunęła dłońmi w dół rękawów, które natychmiast zniknęły i zerknęła na Mearę.

– Już wygląda lepiej. A ten tył? Co sądzisz...

Branna wydeła wargi, gdy Meara narysowała w powietrzu głęboki dekolt, po czym skinęła głową i przesunęła dłonią po tyle sukni, robiąc wycięcie aż do pasa.

– Tak, ma piękne, silne plecy i powinna je pokazać. Teraz przód.

Przekrzywiając głowę na wszystkie strony, Branna krążyła wokół Iony.

– Może tak... – Ucięła gorset równą linią tuż nad biustem i dodała cieniutkie ramiączka.

Meara splotła ramiona.

– Mnie się podoba.

– Mhm, ale to jeszcze nie to. – Branna zastanowiła się chwilę, po czym wycięła nieco gorset z przodu i dodała małe, lekko opadające rękawki.

Cofnęła się o krok, by obejrzeć wraz z Mearą swoje dzieło.

I obie pokręciły głowami.

– Czy ja mogłabym...

– Nie! – Warknęły zgodnie, kiedy Iona usiłowała obejrzeć się przez ramię.

– Pierwszy był o wiele lepszy.

– Tak, ale... – Branna zamknęła na chwilę oczy, czekając, aż obraz pojawi się w jej głowie, po czym powoli przesunęła dłońmi w dół po gorsiecie.

– Tak! – Meara położyła rękę na ramieniu przyjaciółki.

– Tak zostaw. Niech ona się teraz zobaczy.

– No dobrze. Tylko powiedz, jeśli ci się nie spodoba. Odwróć się.

Wyraz twarzy kuzynki powiedział jej wszystko. Iona już nie uśmiechała się z zadowoleniem, lecz wydała pełen zdumienia okrzyk, a cała jej twarz zajaśniała.

Białe, koronkowe, wycięte w serce gorset bez ramiączek łączył się z obszytą koronką, tiulową spódnicą, spływającą romantycznymi falami w dół.

– Chyba jej się podoba – ucieszyła się Meara.

– Tak, tak, tak! Jestem tak zachwycona, że brak mi słów. Och, Branna! – W oczach Iony błysnęły łzy, gdy spojrzała na kuzynkę w lustrze.

– Tył to mój pomysł – przypomniała jej Meara, na co Iona odwróciła głowę, by obejrzeć własne plecy.

– Och! Och, Meara, jest piękny. Cudowny. To najpiękniejsza sukienka na świecie.

Okręciła się dookoła, śmiejąc się przez łzy.

– Jestem panną młodą.

– Prawie. Pobawmy się jeszcze trochę.

– Och, proszę. – Jakby chcąc go ochronić, Iona skrzyżowała ramiona na

gorsecie. – Branna, już nic nie zmieniaj.

– Suknia jest dla ciebie idealna, ale mówiłaś, że nie chcesz welonu, i myślę, że masz rację. A co powiesz na coś takiego?

Przesunęła palcem nad słoneczną czupryną Iony, i we włosach natychmiast pojawiła się opaska z maleńkich pąków róż.

– Wydaje mi się, że pasują i do sukienki, i do ciebie. Jeszcze kolczyki. Pewnie twoja babcia ma odpowiednie, ale na razie... – Dodała małe, diamentowe gwiazdki.

– Wyglądają nieźle.

Suknia, pomyślała Branna, która pasuje do światła słońca i blasku księżyca. Suknia przeznaczona na dzień pełen miłości i obietnic, i na noc zjednoczenia.

– Brak mi słów, żeby ci podziękować. Nie tylko za samą suknię, która przerosła moje najśmielsze oczekiwania, ale i za to, że dajesz mi coś, co należało do twojej rodziny.

– Ty należysz do mojej rodziny – odpowiedziała Branna – i Boyle też.
– Objęła Mearę ramieniem. – Wszyscy jesteśmy rodziną

– My trzy też stanowimy krąg. – Meara wzięła Ionę za rękę. – To ważne, abyśmy o tym wiedziały i ceniły to, że my także jesteśmy kręgiem.

– To jest spełnienie moich wszystkich marzeń. W dniu, w którym wyjdę za Boyle'a, w najszczęśliwszym dniu mojego życia, wy obie będziecie przy mnie. Staniemy we trzy, trzy z sześciorga. Nikt nie może nam tego odebrać.

– Nie może i nie odbierze – zapewniła ją Branna.

– Teraz rozumiem, dlaczego chcesz świętować. Do diabła z hiszpańską histerią – obwieściła Meara. – Mam ochotę śpiewać i tańczyć do białego rana.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Kuchnię wypełniały zapachy potraw i torfu płonącego w kominku. Rozświetlone okna jaśniały odświeżenie w ciemności. Pies leżał rozciągnięty przed kominkiem, oparł wielki łeb na łapach i z rozbawieniem patrzył na swoją rodzinę.

Z małego, kuchennego iPod'a płynęła muzyka, pełna fletów i skrzypiec; rozmowy i przyśpiewki mieszały się i krzyżowały w powietrzu. Connor schwycił Ionę i ruszył z nią do tańca.

– Jestem jeszcze taka niezdarna!

– Wcale nie – zaprzeczył. – Potrzebujesz tylko więcej praktyki. – Obrócił ją raz i drugi, po czym przekazał Boyle'owi. – Pokaż dziewczynie, jak się tańczy. Rozgrzałem ją dla ciebie.

– A ja połamię jej palce, jeśli nadepnę jej na stopę.

– Jak chcesz, to potrafisz tańczyć lekko jak piórko.

Boyle uśmiechnął się i uniósł szklanekę z piwem.

– Za mało wypilem.

– Tym także się zajmiemy. – Connor złapał Mearę za rękę, puścił do niej oko i rozpoczął skomplikowany taniec, stukając obcasami po lśniącej, drewnianej podłodze.

Meara przechyliła głowę, bez słów akceptując jego wyzwanie. Sekundę później tupali, stepowali i machali nogami w idealnym rytmie według jakiejś pełnej energii choreografii, którą mieli w głowach.

Iona patrzyła, jak tańczą, zwróceni twarzami do siebie, wyprostowani jak struny, podczas gdy ich nogi wydawały się frunąć w powietrzu.

– Jakby urodzili się w tańcu.

– Nie wiem, jak Quinnowie – powiedział Fin – ale wszyscy O’Dwyerowie zawsze byli muzykalni. Najlepsze *ceilies* w okolicy odbywały się u O’Dwyerów.

– Magia – odrzekła z uśmiechem Iona i spojrzała na Brannę. – Pod każdym względem.

– A co z Burke’ami? Umieją tańczyć?

– Podobno. Ja osobiście radzę sobie lepiej w parze z piękną kobietą. A skoro Boyle nie zamierza się ruszyć, to ja będę musiał.

Zaskoczył Ionę, przyciągając ją do siebie, i obrócił ją szybko, wytupując stopami rytm, który szybko podchwyciła.

– Powiedziałabym, że Burke’owie całkiem nieźle radzą sobie na parkiecie.

Kiedy zakręcił nią dookoła, uniosła się na chwilę nad podłogę, na co Fin roześmiał się serdecznie.

– Kuzynka z Ameryki też nie jest najgorsza. Już nie mogę się doczekać, kiedy zatańczę z tobą na twoim weselu. Być może będę musiał zastąpić pana młodego w tej kwestii, skoro on tylko podpira ściany.

– Teraz widzę, że nie mam wyboru, inaczej Finbar Burke mnie zdystansuje.

Boyle złapał Ionę i ponieważ nie miał aż takiego talentu do tańca, uniosł ją nad podłogę i zaczął z nią wirować.

A Branna stanęła twarzą w twarz z Finem.

– Zatańczysz? – zapytał ją Fin.

– Właśnie miałam podawać kolację.

– Tylko jeden taniec – poprosił i wziął ją za rękę.

Nie tańczyli, lecz płynęli z muzyką, pomyślał Connor, poruszali się zgodnie z rytmem i z sobą, jakby byli do tego stworzeni. Kiedy na nich

patrzył, serce ścisnęło mu się z bólu, ponieważ w ich tańcu tak wyraźnie widać było miłość. Obracali się wokół kuchni, nie widząc nikogo poza sobą, zrelaksowani i szczęśliwi tak, jak byli kiedyś.

Meara też się zatrzymała i oparła głowę na ramieniu Connora.

Przez jedną cudowną chwilę wszystko było na swoim miejscu. Wszystko było tak jak kiedyś i jak jeszcze mogłoby być.

Wtedy Branna stanęła i chociaż się uśmiechała, piękna chwila przysła.

– No dobrze, mam nadzieję, że zaostrzył wam się apetyt.

Fin szepnął coś do niej po irlandzku, ale tak cicho i miękko, że Connor nie zrozumiał. Branna uśmiechnęła się smutno i odwróciła od niego.

– Posłuchamy jeszcze muzyki po jedzeniu i mamy mnóstwo wina. – Ściszyła iPoda. – Dzisiaj wieczorem nie myślmymy o pracy ani o kłopotach. Mamy świeże warzywa prosto z ogrodu, a zupę ugotował nie kto inny, tylko nasza Iona.

Po tym obwieszczeniu nastąpiła długa cisza, którą przerwał dopiero serdeczny śmiech Iony.

– Nie obawiajcie się! Nie jestem aż tak kiepską kucharką.

– Oczywiście, że nie. – Boyle, z miną kogoś, kto ma przed sobą trudne zadanie, podszedł do kuchenki i spróbował zupy prosto z garnka. Uniósł brwi i posmakował jeszcze raz. – Jest dobra. Naprawdę smaczna.

– Nie wiem, czy zakochanemu mężczyźnie można wierzyć – powiedział Connor. – Ale zjemy.

Jedli dary ziemi i gawędzili o błahych sprawach, nie wspominając o cieniach. Wino lało się strumieniem.

– Jak twoja matka radzi sobie w Galway? – zapytał Fin Mearę.

– Nie mogę jeszcze powiedzieć, że jest gotowa tam zostać, ale na pewno coraz poważniej o tym myśli. Rozmawiałam z siostrą, która jest bardzo

zaskoczona, że to rozwiązanie okazało się takie trafne, przynajmniej na razie. Matka pracuje w ogrodzie, utrzymuje go w nienagannym porządku i zaprzyjaźniła się z sąsiadką, która też jest zapaloną ogrodniczką. Gdybyś mógł jeszcze zatrzymać dla niej dom...

– Będzie czekał tak długo, jak tylko będziesz chciała – zapewnił ją Fin.
– I tak chciałem zrobić tam mały remont. Porozmawiamy o tym, Connor, jak będziesz miał chwilę.

– Na to mam zawsze czas. Brakuje mi wyzwania i radości budowania, odkąd skończyliśmy ten dom. Iona, naprawdę ty to gotowałaś? Ta zupa jest przepyszna. – Nalał sobie z wazy kolejną porcję.

– Branna obserwowała mnie jak Roibeard i prowadziła krok po kroku.
– Mam nadzieję, że zapamiętałaś te kroki, bo chciałbym, żebyś powtórzyła je w domu.

Iona uśmiechnęła się z zadowoleniem do Boyle'a.

– Musimy posadzić pomidory. Jestem całkiem niezłą ogrodniczką. Możemy spróbować w przyszłym roku, w doniczkach na tarasie.

– Może do tego czasu znajdziemy już jakiś dom z kawałkiem ziemi i będziesz miała prawdziwy ogród.

– Chyba że przyszłej wiosny będziecie zbyt zajęci ślubem i miesiącem miodowym, żeby sadzić pomidory – zauważyła Meara.

– A my mamy ich pod dostatkiem – dodała Branna.

– Nie znaleźliście jeszcze miejsca, które by się wam spodobało?

– Jeszcze nie, ale nie ma pośpiechu – powiedział Boyle, patrząc na Ionę.

– Żadnego – potwierdziła. – Dobrze jest mieszkać blisko was i stadniny i nie chcemy wyprawdzać się nigdzie daleko, dlatego dopóki nie znajdziemy w okolicy czegoś odpowiedniego, zostaniemy tam, gdzie jesteśmy.

– Najlepszy jest zawsze ten dom, który wybudujesz sobie sam. Wiem to z własnego doświadczenia. – Fin dolał wszystkim wina.

– Ty bawiłeś się swoim jak dziewczynka domkiem dla lalek – zauważył Boyle.

– To była niezła zabawa – powiedział Connor – chociaż Fin okazał się bardziej wybredny niż twoja ciotka Mary, w każdej kwestii, od kształtu dachówek po uchwyty do szafek kuchennych.

– Dlatego to takie satysfakcjonujące przedsięwzięcie, jeśli za bardzo ci się nie śpieszy. Za moim domem jest kawałek ziemi – ciągnął Fin – gdzie można by postawić domek, jeśli ktoś lubi mieszkać pod lasem. A ja mógłbym sprzedać tę parcelę jakimś miłym sąsiadom.

– Mówisz poważnie? – Iona aż zadzwoniła łyżką o miseczkę.

– Co do miłych sąsiadów, tak. Nie mam zamiaru użerać się z niemiłymi, nawet mieszkającymi w takiej odległości.

– Dom w lesie! – Iona odwróciła się do Boyle’a, oczy jej błyszczały. – My jesteśmy wspaniałymi sąsiadami. *Cudownymi* sąsiadami.

– Kiedy kupowałeś tę całą ziemię, mówiłeś, że robisz to po to, żeby ludzie nie budowali się wokół ciebie.

– Ludzie to jedno – wyjaśnił Fin Boyle’owi – a przyjaciele, rodzina i partnerzy to zupełnie co innego. Możemy kiedyś tam się przejść, jeśli będziecie zainteresowani.

– Rozumiem, że teraz nie jest odpowiednia chwila – powiedziała ze śmiechem Iona. – Ale ja nie mam zielonego pojęcia o budowaniu domów.

– W takim razie masz szczęście, że twoi kuzyni znają się całkiem niezłe na tej robocie – uznał Connor. – I znam kilku dobrych robotników z okolicy, jeśli się zdecydujecie. Dla mnie byłoby to idealne rozwiązanie – dodał – gdyby ktoś był ciekaw mojego zdania. Mógłbym nadal chodzić tam na

spacery z sokołami i wstępować na miskę gorącej zupy.

– On myśli brzuchem – powiedziała Meara – ale ma rację. To doskonale miejsce na budowę domu i blisko nas. Świetny pomysł, Fin.

– Świetny, ale musimy jeszcze porozmawiać o cenie.

Fin uśmiechnął się do Boyle'a i uniósł kieliszek.

– Porozmawiamy, jak twoja panna młoda obejrzy tę ziemię.

– Zawsze był z niego spryciarz – skomentowała Branna. – Iona zakocha się w tym miejscu bez pamięci i będzie gotowa zapłacić każdą cenę – dodała, ale z uśmiechem, bez złośliwości. – I to jest doskonały pomysł. A do tego rozwiązuje mój dylemat. Pole za tym domem należy do Connora, ale ponieważ Iona należy do rodziny, zastanawiałam się, czy... Chodziłam tam niezliczoną ilość razy, ale to miejsce nie wydawało się odpowiednie dla niej. Nigdy nie widziałam tam waszego wspólnego domu, chociaż bylibyście bardzo blisko nas, a teren też jest piękny i rozciąga się z niego wspaniały widok. Nie mogłam tego zrozumieć, lecz teraz już wiem. Wy zbudujecie swój dom w lesie. – Uniosła kieliszek. – Niech tak się stanie.

Po kolacji Branna wyjęła skrzypce i razem z Mearą śpiewały tylko wesołe, żywe melodie. Connor przyniósł ze swojego pokoju bęben i dodał do muzyki żwawy rytm. Ku zaskoczeniu i radości Iony Boyle zniknął na chwilę, po czym wrócił z małym akordeonem.

– Umiesz grać? – Spojrzała na narzeczonego szeroko otwartymi oczami. – Nie wiedziałam, że umiesz grać!

– Nie umiem, ani jednej nuty. Ale Fin potrafi.

– Nie grałem od lat – zaprotestował Fin.

– A czyja to wina? – Boyle wepchnął mu instrument w rękę.

– Zagraj, Fin – zachęciła go Meara. – Zróbmy porządną *seisiun*.

– Tylko nie narzekajcie, jak będę fałszował. – Zerknął na Brannę, która

wzruszyła ramionami, wystukała rytm stopą i zaczęła grać skoczną melodię. Connor ze śmiechem zatańczył palcami po bębnie.

Fin złapał rytm, rozpoznał piosenkę i dołączył do nich.

Muzyka płynęła, przerywana jedynie kolejnym kieliszkiem wina lub decyzją, co jeszcze zagrać. Iona wstała po notes.

– Muszę zapisać tytuły! Chciałabym, żeby niektóre z tych melodii zagrali na naszym weselu. Są takie skoczne, pełne radości. – Wyobrażając sobie, jak w swojej idealnej sukni ślubnej, z Boyle'em tańczy w rytm tych wesołych melodii, otoczona przez przyjaciół i rodzinę, uśmiechnęła się promiennie do narzeczonego. – Pełne szczęścia, jak nasze życie.

Boyle pocałował ją głośno przy akompaniamencie długiego „auu” Meary.

I tak w ciepłej, jasnej kuchni królowały śmiech i muzyka, gdy krąg przyjaciół celebrował życie, przyszłość i światło.

A na zewnątrz gęstniała ciemność, snuły się cienie, po ziemi pełzła mgła.

Pełen złości i zawiści, Cabhan robił, co w jego mocy, by zadusić ciemnością ten dom, jednak czary ochronne skutecznie mu w tym przeszkadzały, mógł więc tylko czaić się, knuć i wściekać, szukając choćby najmniejszego pęknięcia w kręgu.

Meara przerzuciła się na wodę, przyniosła też szklanek Brannie. Nagle poczuła się zmęczona i trochę pijana. Właściwie bardziej niż wody potrzebowała powietrza. Chłodnego, wilgotnego, ciemnego powietrza.

– Po Samhainie – powiedział Connor – urządzimy prawdziwe *ceilie*, zaprosimy sąsiadów, jak to robili mama i tata. Przed Gwiazdką. Jak myślisz, Branna?

– Z rozświetloną choinką w oknie i taką ilością jedzenia, że stoły będą

się ugiwały. Lubię Jul⁵, więc termin bardzo mi odpowiada.

Connor rzadko rozmawiał w myślach z siostrą, teraz jednak to zrobił.

– *On jest blisko, krąży wokół domu, naciska. Czujesz go?*

Branna, nie przestając się uśmiechać, skinęła głową.

– *Muzyka wabi go jak światło ćmę. Ale jeszcze nie jesteśmy w pełni gotowi, żeby się z nim zmierzyć.*

– *Mamy szansę spróbować, powinniśmy ją wykorzystać.*

– *W takim razie powiedz pozostałym, w ten sam sposób. Wykorzystamy tę szansę i miejmy nadzieję, że element zaskoczenia wystarczy.*

Oboje widzieli, że Fin też już czuje jego obecność, te ciemne pazury skrobiące w krąg światła. Connor dostrzegł, jak Iona drgnęła, tylko odrobinę, kiedy przesłał jej swoje myśli.

Ścisnęła dłoń Boyle'a.

Poszukał wzrokiem Meary.

Kiedy zorientował się, że jej nie ma, natychmiast poczuł, zobaczył, jak sięga ręką do klamki, by otworzyć frontowe drzwi.

Strach chwycił go za gardło niczym szpony, krew odpłynęła mu z twarzy. Krzyknął jej imię i wybiegł z kuchni.

Prawie śpiąc, płynąc na miękkich cieniach, Meara wyszła przed dom. Tego właśnie potrzebowała, tego pragnęła. Ciemności, gęstej, cichej ciemności.

Już miała wziąć głęboki oddech, kiedy Connor schwycił ją wpół i niemal wrzucił z powrotem do domu.

Wszystko zaczęło się trząść – podłoga, ziemia, powietrze. Osłupiała Meara patrzyła, jak ciemna mgła z zewnątrz wybrzusza zatrzaśnięte przez Boyle'a drzwi, jakby do środka usiłowała się dostać jakaś ogromna,

⁵ Jul – święto zimowe, kojarzone z przesileniem zimowym.

straszliwa siła. Rozległ się głuchy ryk, przypominający szalejącą burzę.

– Co się stało? Co się dzieje? – Meara wrywała się Connorowi, który zasłonił ją swoim ciałem.

– Cabhan. Nie ruszaj się – rozkazała ostro Branna i znowu otworzyła drzwi.

Dookoła domu szalała burza, cienie wirowały. A spod nich rozlegał się wysoki pisk i huk tysiąca skrzydeł.

– Nietoperze, prawda? – zapytała Branna z obrzydzeniem. – Próbuj, ile chcesz – krzyknęła, zaciskając pięści.

– Wypróbuj wszystkie swoje najgorsze sztuczki, a potem zrób to jeszcze raz, ale to mój dom i nigdy nie przekroczysz jego progu.

– Jezu – szepnęła Meara, kiedy mgła przerzedziła się na tyle, by mogła zobaczyć nietoperze, które unosiły się jak żywa, falująca ściana, pełna czerwonych lśniących oczu i łopoczących, ostrych skrzydeł.

– Zostań tu – rozkazał jej Connor, przekrzykując hałas, po czym stanął obok siostry. Iona i Fin dołączyli do nich, tworząc zwarty szereg.

– W naszym świetle znikniesz i zatoniesz – zaczął Connor.

– W naszym ogniu zapalisz się i spłoniesz – podjęła Iona.

– Moc trojga i jednego początkiem końca twojego – dodał Fin.

– Na me wezwanie niech tak się stanie – zakończyła Branna.

Meara, odciągnięta w tył przez Boyle'a, patrzyła, jak nietoperze zapalają się niczym pochodnie. Była wściekła na siebie, że skuliła się, gdy skrzeczały, gdy płonęły, a ich pokrecone, spalone ciała opadały na ziemię.

Popiół spływał niczym czarny deszcz, niesiony przez porywisty wiatr.

I nagle wszystko ucichło.

– Nie jesteś tu mile widziany – mruknęła Branna, po czym zatrzasnęła drzwi.

– Nic ci nie jest? – Connor opadł na kolana obok Meary.

– Nie, nie. Boże, czy to ja go wpuściłam? Czy to ja nas na to naraziłam?

– Nie dostał się do środka. – Connor objął ją i przycisnął usta do jej włosów. – Ty otworzyłaś tylko drzwi.

– Musiałam. Czułam, że nie mogę oddychać, i potrzebowałam... pragnęłam ciemności i ciszy. – Roztrzęsiona zacisnęła dłonie w pięści, przyłożyła je do skroni. – Znowu mnie wykorzystał, próbował użyć mnie przeciwko wam.

– I mu się nie udało – powiedziała Iona chłodno.

– Wydaje mu się, że jesteś słaba. Spójrz na mnie. – Fin ukucnął obok Meary. – Wydaje mu się, że jesteś słaba, ponieważ jesteś kobietą i nie jesteś czarownicą. Jednak myli się, w tobie nie ma ani krzty słabości.

– A mimo to mnie wykorzystał.

– Chciał, żebyś wyszła na zewnątrz, poza krąg ochronny. – Connor odgarnął jej włosy z twarzy. – Próbował cię zwabić, oddzielić od nas. Nie po to, żeby cię wykorzystać przeciwko nam, kochanie, ale żeby cię skrzywdzić, ponieważ wkurza go to, co tu robimy. Muzyka, światło, radość. Gdyby mógł, skrzywdziłby cię choćby tylko za to.

– Jesteś pewien? Za muzykę i światło? – Meara przeniosła wzrok z Connora na Branę i z powrotem. – W takim razie będziemy grać głośniej i użyjcie, czego tam możecie, żeby światła płonęły jaśniej.

Connor pocałował ją i pomógł wstać.

– Nie, nie ma w tobie ani krzty słabości.

Późno w nocy, gdy nie mieli już sił na zabawę, Connor tulił Mearę w swoim łóżku. Nie mógł wypuścić jej z ramion, cały czas miał w oczach oszołomioną minę Meary, gdy ta wychodziła ze światła w ciemność.

– On igra z naszymi umysłami, a zna tyle sztuczek, że czasami udaje mu

się prześlizgnąć przez naszą ochronę – powiedział, przesuwając palcami po naszymyżniku, który jej dał. – Musimy popracować nad czymś silniejszym.

– Boyle’a nie prześladowa w ten sposób. Czy Fin ma rację? Czy to dlatego, że jestem kobietą?

– On poluje głównie na kobiety. Zabił męża Sorchy, żeby nie mógł jej ochronić, ale też żeby zadać jej ból, złamać serce i ducha. I próbował ją uwieść przez całą jej ostatnią zimę. Podobno porywał dziewczęta z zamku i okolic.

– A jednak to chłopca, Eamona, chce teraz dopaść.

– Pewnie myśli, że jeżeli wyeliminuje chłopca, dziewczęta staną się bardziej bezbronne. On pragnie Brannaugh, tej, która była, i naszej. Czuję to za każdym razem, kiedy go wpuszczam.

Meara uniosła się zdumiona.

– Wpuszczasz go?

– Do głowy, tylko odrobinę. Czasami też udaje mi się zajrzeć na moment w jego myśli. Jest tam zimno, ciemno i tyle w nich głodu i wściekłości, że ciężko cokolwiek zrozumieć.

– Ale wpuszczanie go, nawet na chwilę, jest niebezpieczne. On może podejrzeć twoje myśli, wykorzystać je przeciwko nam, prawda? Przeciwno tobie.

– Mam na to swoje sposoby. On nie ma tego, co ja i co posiada Eamon. Dlatego chciałby pozbawić chłopca mocy i ją sobie przywłaszczyć.

Pogłaskał Mearę po rozpuszczonych włosach. Mimo wcześniejszych wydarzeń czuł się dziwnie spokojny, kiedy tak leżał z nią w ciemności, ciepłe ciało przy ciele, rozmawiając z nią cicho.

– Przed przyjazdem Iony prawie nas nie zaczepiał. Chociaż Finowi nie daje spokoju od dnia, kiedy wypalił mu znamię na ramieniu.

– Fin nigdy o tym nie mówi.

– Mnie mówił – przyznał Connor – i czasami Boyle’owi, ale bardzo rzadko o tym wspomina. Wszystko się zmieniło, odkąd przyjechała Iona. Cabhan atakował ją przez pierwsze tygodnie nie tylko dlatego, że Iona jest kobietą, ale też dlatego, że była taka niedoświadczona, dopiero poznawała to, co ma w sobie i jak może to wykorzystać. O niej też myślał, że jest słaba.

– Udowodniła mu, że się myli.

– Tak jak ty, i to nie jeden raz. – Pocałował ją w czoło, w skroń. – Ale on nie przestanie próbować. Krzywdząc cię, wyrządza krzywdę nam wszystkim. Doskonale zdaje sobie z tego sprawę, nawet jeśli tego nie rozumie, ponieważ w ciągu całej swojej egzystencji nigdy nikogo nie kochał. Jak myślisz, jak to jest, egzystować tak długo, żyć tyle razy i nigdy nie poznać miłości, nigdy jej nikomu nie dać ani od nikogo jej nie zaznać?

– Ludzie żyją bez miłości przez całe swoje życie, a nikogo nie torturują i nie zabijają.

– Nie traktuję tego jako usprawiedliwienia. – Connor oparł się na łokciu i popatrzył na Mearę z góry. – Cabhan potrafi zaczarować kobietę i wziąć jej ciało i moc, jeśli ją posiada. Pożądanie bez uczucia, bez żadnej miłości do niczego ani nikogo, musi być wyniszczające. Myślę, że ci, którzy przechodzą tak przez życie, są albo bardzo smutni, albo zepsuci do szpiku kości. To nasze serce pomaga nam przetrwać ciężkie czasy, z niego płynie radość.

– Branna mówi, że twoja moc pochodzi z twojego serca. – Meara narysowała palcami krzyż na jego piersi.

– Ma rację. Gdybym nie czuł, nie mógłbym istnieć. Cabhan też czuje. Żądzę, wściekłość i chciwość, nic innego. Zabranie nam tego, kim jesteśmy, mu nie wystarczy. Nigdy nie będzie miał dość. Chce, żebyśmy poznali taką ciemność, jaką on zna, żebyśmy cierpieli w tej ciemności.

Meara miała ochotę zadrzeć, ale zwalczyła tę słabość.

– Wyczytałeś to w jego myślach.

– Po części, a po części widzę to sam. Dzisiaj przez chwilę widziałem jego potworną radość, że odbierze ciebie nam, mnie. Tobie samej.

– Byłeś w mojej głowie. On nie zawołał mnie po imieniu, nie tym razem, ale ty tak. Usłyszałam twój głos i zatrzymałam się, tylko na moment. Czułam się tak, jakbym stała na krawędzi, wabiona przez obie strony. A potem leżałam pod tobą na podłodze, więc nie wiem, którą stronę bym wybrała.

– Ja wiem, i to nie tylko dlatego, że nie ma w tobie cienia słabości. Jeszcze dlatego. – Pochylił głowę i bardzo, bardzo delikatnie musnął wargi Meary swoimi. – Ponieważ to, co nas łączy, to coś więcej niż pożądanie.

Napięcie nerwów, łopot motyli skrzydeł w brzuchu.

– Connor...

Miękko, tak miękko i czule jego usta wabiły jej wargi, by dawały, uwodziły krok po kroku. Jeśli jego moc pochodziła z serca, wykorzystywał ją teraz, zalewając Mearę uczuciami.

Chciała powiedzieć, że nie, że ona czuje, musi czuć inaczej, ale on już ją wiodł w samą słodycz, w blask i lśnienie.

Jego dłonie, lekkie jak powietrze, przesuwały się po jej ciele, wznecając żar, nawet tak delikatnym dotknięciem.

Cicho, szeptem prosił ją, by uwierzyła w to, w co nigdy nie wierzyła. By zaufała temu, czego jednocześnie lękała się i nie dopuszczała do siebie.

W miłość, w jej prostotę i siłę. W jej trwałość.

Nie dla niej. Nie, nie dla niej, pomyślała, ale już płynęła na jedwabnych chmurach miłości.

Podda się jej na chwilę, na jedną noc. Odda się jemu.

A on brał, delikatnie, lecz jeszcze więcej dawał jej w zamian.

Już wiedział; w tamtej chwili, kiedy Meara stała na krawędzi między ciemnością Cabhana a jego światłem, w tamtym momencie poznał pełną prawdę o miłości. Zrozumiał, że jest obciążona lękiem i ryzykiem. Wiedział, że może się zgubić w jej labiryntach, że będzie przedzierał się przez cienie, wabiony jej światłem, i żył wśród wzlotów i upadków, wędrując po drogach spokojnych i niespodziewanych wybojach.

Z Mearą.

Ich przyjaźń przez całe życie nie przygotowała go na tę zmianę, na ten karkołomny skok od miłości przyjacielskiej do tego, co czuł teraz.

Zrozumiał, że Meara jest tą jedną, jedyną. I zamierzał pielęgnować w sobie to uczucie.

Nie prosił, by odpowiedziała mu tym samym, słowa przyjdą, gdy nadejdzie pora. Na razie wystarczała mu jej uległość, te chrapliwe westchnienia, drżenie, szybkie bicie jej serca.

Meara uniosła się, żeglując na fali rozkoszy tak wszechogarniającej, że wydawała się napełniać jej ciało czystym, białym światłem.

A potem to on ją wypełnił, dając jej więcej i więcej, aż łzy rozmyły jej świat. Gdy dotarła na szczyt, gdy chwytiała cudowne chwile po tej jasnej, lśniącej stronie krawędzi, znowu usłyszała w głowie jego głos.

To coś więcej, powiedział do niej. ***To miłość***.

– Dlaczego czujesz się z tym tak nieswojo?

– Słucham? – Meara spojrzała na Connora, po czym rozejrzała się dookoła. – Gdzie my jesteśmy? Czy to chata Sorchy? Śnimy?

– To coś więcej niż sen. A miłość to coś więcej niż kłamstwo, jak ty próbujesz wierzyć.

– To chata Sorchy, ale obrośnięta winoroślą. I to nie jest pora na

rozmowę o miłości i kłamstwach. Czy to Cabhan nas tu sprowadził?

Wyciągnęła miecz, wdzięczna, że sen, który nie był snem, nie zapomniał o nim.

– Miłość jest źródłem światła.

– W tej chwili źródłem światła jest księżyc i cieszymy się, że mamy pełnię, bez względu na to, gdzie i w jakich czasach jesteśmy. – Obróciła się powoli dookoła, przeszukując wzrokiem cienie. – Czy on jest blisko? Czujesz go?

– Jeżeli nie potrafisz jeszcze uwierzyć w to, że mnie kochasz, powinnaś przynajmniej uwierzyć, że ja kocham ciebie. Nigdy, przez całe życie, cię nie okłamałem.

– Connor. – Schowała miecz, ale nadal trzymała dłoń na rękojeści. – Czy ty postradałeś rozum?

– Odzyskałem go. – Uśmiechnął się szeroko. – To ty straciłaś rozum, ponieważ nie masz odwagi zmierzyć się z prawdą.

– To ja trzymam miecz, więc uważaj, co mówisz o moim rozumie.

Pocałował ją, ale Meara go odepchnęła.

– Nie masz w sobie ani krzty słabości, a twoje serce ma więcej siły, niż ci się wydaje, i będzie należało do mnie.

– Nie zamierzam tu stać i rozmawiać z tobą o bzdurach. Wracam.

– Nie tędy droga. – Gdy się odwróciła, Connor złapał ją za ramię.

– Doskonale znam drogę.

– Nie tędy droga – powtórzył. – I jeszcze nie pora, bo on już się zbliża.

Meara zacisnęła palce na rękojeści miecza.

– Cabhan.

Connor przytrzymał jej rękę, zanim Meara zdążyła dobyć miecza, i wyjął z kieszeni biały kamyczek, który rozbłysł na jego dłoni niczym mały

księżyc.

– Nie. Nadjeżdża Eamon.

Meara patrzyła, jak wjeżdżał konno na małą polanę, już nie chłopiec, tylko mężczyzna. Bardzo młody, ale wysoki i wyprostowany i tak podobny do Connora, że jej serce aż zadrżało.

Miał długie włosy, splecione w warkocz. Przyjechał bez siodła na wysokim kasztanie, który – zdaniem Meary – mógłby przegalopować pół hrabstwa i nawet nie złapałby zadyszki.

– Dobry wieczór, kuzynie! – zawołał Connor.

– I tobie również, i twojej pani. – Eamon zeskoczył zwinnie. Nie przywiązał konia, tylko położył wodze na jego karku. Kasztan stał nieruchomo, przypominając pomnik w świetle księżyca, i nie wyglądał, jakby miał zamiar oddalić się od swojego pana.

– Minęło dla ciebie trochę czasu – zauważył Connor.

– Pięć lat. Moje siostry z mężami osiadły w Ashford. Brannaugh ma dwoje dzieci, syna i córkę, i wkrótce urodzi następnego syna. A Teagan oczekuje pierwszego potomka.

Spojrzał na chatę, a potem na grób matki.

– A zatem wróciliśmy do domu.

– Żeby z nim walczyć.

– To moje największe marzenie. Jednak on przebywa w twoim czasie i tego nie można zmienić.

Wysoki i smukły Eamon, z sokolim okiem na szyi, znowu popatrzył na grób matki.

– Teagan była tu przede mną. Widziała tę, która przybędzie po niej i która patrzyła, jak Teagan stawia czoło Cabhanowi. My jesteśmy trojgiem, jesteśmy pierwsi, ale to, kim jesteśmy, co mamy, przekażemy wam. Tylko

tyle widzę.

– Nas jest sześcioro – powiedział Connor. – Nas troje i jeszcze trójka. Moja pani, przyszyły mąż mojej kuzynki i jeszcze jeden przyjaciel, pełen mocy. – Ponieważ chłopiec stał się już mężczyzną, Connor uznał, że powinien powiedzieć mu wszystko. – Nasz przyjaciel Finbar Burke. Płynie w nim krew Cabhana.

– Został naznaczony? – Tak jak wcześniej Meara, Eamon położył dłoń na rękojeści miecza.

– Nie z własnej woli.

– Krew Cabhana...

– Powierzyłbym mu własne życie. Zresztą nieraz już powierzałem. Powierzyłbym mu życie mojej pani, a kocham ją bez pamięci, chociaż ona w to nie wierzy. Jest nas sześcioro – powtórzył Connor – a on jest jednym z nas. Będziemy walczyć z Cabhanem. Unicestwimy go. Przysięgam.

Connor wziął miecz Meary i podszedł do nagrobka. Naciął skórę we wnętrzu dłoni i pozwolił, by krew kapała na ziemię.

– Przysięgam, że moja krew go unicestwi.

Sięgnął do kieszeni i wcale nie był zaskoczony, kiedy znalazł w niej cebulkę. Ostrzem miecza wykopał mały dołek i wrzucił ją do środka.

– Dotrzymałem obietnicy.

Poruszył palcem powietrze, wzbudzając mały deszcz, tak że woda i krew razem spłynęły na ziemię.

Cofnął się o krok i patrzył, jak dzwonek rośnie, a jego kwiaty mnożą się i rozkwitają.

– Odjechałem od niej. – Eamon wpatrywał się w grób matki. – Nie miałem innego wyboru i taka była jej wola. Teraz wracam do domu jako mężczyzna. Zrobię wszystko, co mogę, wykorzystam całą moc, jaka została

mi dana. Dotrzymam obietnicy. – Wyciągnął dłoń do Connora. – Nie mogę ufać temu pomiotowi Cabhana, ale ufam tobie i twoim.

– On też jest mój.

Eamon spojrzał na grób, na kwiaty i chatę.

– W takim razie jest was sześcioro. – Dotknął amuletu, identycznego z tym, jaki nosił Connor, a potem kamienia, który od niego dostał. – Otrzymaliście całą naszą moc. Mam nadzieję, że spotkamy się znowu, kiedy wszystko się dopełni.

– Kiedy się dopełni – powtórzył Connor, a Eamon wsiadł na konia i uśmiechnął się do Meary.

– Powinnaś wierzyć mojemu kuzynowi, pani, ponieważ to, co mówi, płynie z jego serca. Do zobaczenia.

Obrócił konia i odjechał równie cicho, jak się pojawił.

Meara chciała coś powiedzieć – i obudziła się w łóżku Connora.

Siedział koło niej z półuśmiechem na twarzy i patrzył na swoją zakrwawioną dłoń.

– Jezu Chryste. Człowiek nigdy nie wie, gdzie wyląduje, kiedy kładzie się do łóżka z takimi jak ty. Uważaj! Zakrwawisz pościel.

– Zaraz się zagoi. – Potarł dłonie, zatamował krew i zasklepił płytką ranę.

– Co to było? – chciała wiedzieć Meara.

– Krótka wizyta u rodziny. Kilka pytań, parę odpowiedzi.

– Jakich odpowiedzi?

– Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem. Ale posadziłem roślinkę, tak jak prosiła mnie Teagan, i na razie to mi wystarczy. Eamon dobrze wyglądał, prawda?

– Musisz tak mówić, w końcu jesteście prawie identyczni. Cabhan na

pewno wiedział, że oni wrócili.

– Oni go nie unicestwili, ale on ich też nie. Ta wiedza też mi na razie wystarczy. To my mamy go zabić, wiem to.

– Skąd?

– Czuję to. – Dotknął palcem piersi, na wysokości serca. – Ufam temu, co czuję. Odwrotnie niż ty.

Meara posiała mu zniecierpliwione spojrzenie, po czym wyskoczyła z łóżka.

– Muszę iść do pracy.

– Zdasz jeszcze coś przekąsić. Nie musisz się martwić, nie mam czasu porządnie cię przemaglować w kwestii twoich uczuć. Ale już wkrótce nadejdzie na to odpowiednia pora. Kocham cię na zabój, Meara, i chociaż bardzo mnie to zaskoczyło, jestem z tym szczęśliwy.

Schwyciła swoje ubranie.

– Dodajesz za dużo romantyzmu do całej tej sprawy i podlewasz jeszcze sosem złożonym z magii, ryzyka, krwi i seksu. Mam nadzieję, że wkrótce odzyskasz zdrowy rozsądek, ale na razie idę do łazienki, a potem szykuję się do pracy.

I wymaszerowała.

Connor patrzył za nią z szerokim uśmiechem, zadowolony, że ma taki dobry widok na jej tył, kiedy wchodziła do łazienki, którą dzielił z Ioną.

Właśnie odzyskał zdrowy rozsądek, chociaż zajęło mu to większość życia. Może poczekać jeszcze chwilę, aż Meara odzyska swój.

A na razie... Spojrzał na zagojoną dłoń. Na razie musiał trochę pomyśleć.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Kobiety zawsze były dla Connora zagadką, ale tajemnicze i niezrozumiałe zachowania stanowiły niezbędną część ich nieodpartego uroku.

Rozmyślał o kobiecie, którą kochał. Odważna i bezpośrednia w każdej sytuacji – poza tymi, kiedy chodziło o jej serce. Wtedy robiła się strachliwa jak schwytyany w klatkę ptak i równie chętnie wyfrunęłaby przez najmniejszą szparę.

A przecież jej serce było pełne siły, lojalne i szczere.

Kolejna zagadka.

Przestraszył ją swoją deklaracją uczuć, to nie ulegało wątpliwości. Kochał ją, a dla niego prawdziwa miłość zdarzała się raz w życiu i trwała na wieki.

Jednak ponieważ wolał patrzeć, jak Meara lata swobodnie – przynajmniej na razie – niż jakby miała się tłuc o pręty klatki, obudził Boyle'a.

Dzięki temu, że Boyle pójdzie z Mearą do stadniny wcześniej niż zwykle, Connor osiągnie dwa cele: Meara będzie miała u boku przyjaciela, a oni troje będą mogli porozmawiać na osobności.

Deszcz rosił drzewa i wzgórza, wiatr trząśł szybami w oknach. Connor zabrał z sobą psa i obszedł dom dookoła – tak jak zrobili to poprzedniego wieczoru – żeby sprawdzić, czy nie zostały żadne ślady po czarach Cabhana.

Kwiaty jego siostry kwitły, jaskrawe, wesołe kolory rozświećlały szary dzień, odbijając się od grubego dywanu zielonej trawy. Connor czuł w powietrzu tylko deszcz, wiatr i silną, czystą magię, którą wczoraj otoczyli to,

co należało do nich.

Przystanął przy wiacie Roibearda, a sokół powitał go, przytulając na chwilę głowę do jego policzka. To właśnie była miłość, prosta i oczywista.

– Będiesz miał na wszystko oko, prawda? – Connor przesunął palcami po klatce piersiowej ptaka. – Pewnie, że będziesz. Ale teraz możesz sobie zrobić przerwę i po– polować z Merlinem, na razie jesteśmy bezpieczni.

W odpowiedzi sokół rozłożył skrzydła i wzbił się w niebo. Zatoczył koło, po czym poszybował do lasu.

Connor jeszcze raz obszedł dom i wmaszerował do środka przez kuchenne drzwi, Kathel wsunął się za nim.

– Wróciłeś z patrolu? Ja też. – Pogłaskał psa po grzbiecie, podrapał za uszami. – Domyślam się, że pewnie nie masz ochoty pójść na górę i obudzić naszej Branny, żeby nie musiał sam robić śniadania?

Kathel posłał mu tak wyniosłe spojrzenie, na jakie tylko było go stać.

– Tak myślałem, ale zawsze warto spróbować.

Akceptując swój los, Connor nakarmił psa i zmienił wodę w misce. Zapalił ogień w kominku w kuchni, w salonie i w pracowni, po czym uznał, że dłużej już nie może zwlekać, więc zabrał się do śniadania.

Położył na patelni bekon, pokroił chleb i wymieszał w misce jajka.

Właśnie wlewał je na patelnię, kiedy do kuchni weszły Iona z Branną – Iona ubrana już do pracy, Branna nadal w piżamie i z gniewnym spojrzeniem mówiącym, że jeszcze nie wypła porannej kawy.

– Wszyscy tak wcześnie wstali. – Znając zasady, Iona poczekała, aż Branna pierwsza naleje sobie kawy.

– A Boyle i Meara już wyszli.

– Meara chciała się przebrać i obiecała Boyle’owi śniadanie za to, że ją zawiezie.

– Pilnuj jajecznicy, Connor, przypalisz ją – powiedziała Branna jak zawsze, kiedy brat szykował śniadanie.

– Nie przypalę.

– Dlaczego zawsze musisz robić taki cholernie wielki ogień, bez względu na to, co gotujesz?

– Ponieważ tak jest szybciej.

I do diabła, naprawdę prawie przypalił jajecznicę, ponieważ Branna go rozproszyła.

Przerzucił jajka na talerz, dołożył bekon, kilka grzanek i postawił wszystko na stole.

– Gdybyś wstała wcześniej, mogłabyś zrobić jajka tak, jak lubisz. Teraz zjesz moją jajecznicę i jeszcze podziękujesz.

– Wygląda wspaniale – powiedziała radośnie Iona i usiadła, przeczesując palcami krótkie, jasne włosy.

– Och, nie przymilaj się do niego tylko dlatego, że po raz pierwszy od wieków przygotował coś do zjedzenia.

– Branna usiadła obok niej i podrapała Kathela za uszami.

– Nie przymilam się, jestem głodna. – Iona napełniła sobie talerz. – Będziemy dzisiaj mieli sporo rezygnacji. – Kiwnęła głową w stronę okna, za którym padał uporczywy deszcz. – Nie dość, że pada, to jeszcze jest zimno. Zwykle by mnie to zmartwiło, ale myślę, że dzisiaj nam wszystkim przyda się trochę wolnego.

Spróbowała jajecznicy. Była bardzo... zwarta, uznała.

– Jeżeli będzie taki mały ruch, jak myślę – ciągnęła

– pewnie uda mi się wcześniej wyrwać. Mogę przyjechać i popracować z tobą, Branna, jeśli chcesz.

– Muszę dokończyć jeszcze kilka rzeczy do sklepu, których nie

zrobiłam wczoraj, a potem je zawieźć, ale powinnam wrócić kolo południa. Skończyliśmy z Finem ulepszenie tej mikstury, której użyliśmy podczas przesilenia. Jest mocniejsza, ale nad czarami trzeba jeszcze popracować. I przygotować solidny plan.

– Mamy czas.

– Coraz mniej, a on robi się coraz bardziej bezczelny. To, czego próbował wczoraj w nocy...

– Nie udało mu się, prawda? – przerwał jej Connor.

– Z jego diabelskich nietoperzy został tylko popiół, który rozwiał wiatr i zmył deszcz. A mnie przyszło do głowy kilka pomysłów.

– Kilka pomysłów, doprawdy? – Branna wzięła kubek z kawą.

– Tak i muszę wam coś opowiedzieć. Szukałem w snach Eamona, a on mnie. I w końcu się znaleźliśmy.

– Znowu go widziałeś.

Skinął głową, odpowiadając łonie.

– Tak, i zabrałem Mearę. Eamon był już mężczyzną, miał jakieś osiemnaście lat, ponieważ mówił, że od naszego ostatniego spotkania upłynęło dla niego pięć lat. Jego siostra Brannaugh ma dwoje dzieci i trzecie w drodze, a Teagan jest w ciąży.

– Teagan spodziewała się dziecka – powiedziała Iona – kiedy widziałam ją we śnie.

– Pamiętam, dlatego my musieliśmy wylądować dziś w nocy w tym samym czasie, co ty wtedy. I też przy chacie Sorchy.

– Wiesz dobrze, że nie powinieneś tam chodzić – warknęła Branna – ani na jawie, ani we śnie.

– Nie potrafię powiedzieć, czy ta wizyta to była moja sprawka, czy Cabhana, naprawdę nie mam pojęcia. Ale wiedziałem, że jesteśmy tam

bezpieczni, inaczej natychmiast bym się wycofał.

– Niech ci będzie.

– Wrócili do domu – kontynuował, smarując grzanekę dżemem – ale to był taki słodko– gorzki powrót. Wiedzieli, że będą walczyli z Cabhanem i że nie wygrają, nie uśmiercą go, ponieważ zjawił się w naszych czasach. Powiedziałem Eamonowi, że jest nas sześcioro i że w jednym z nas płynie krew Cabhana.

– I jak to przyjął? – chciała wiedzieć Branna.

– On mnie zna. – Connor położył dłoń na sercu. – I ufa mi, dlatego ufa też mojej rodzinie, a Fin do niej należy. Miał kamień, który mu dałem, i amulet identyczny z moim. A ja miałem kamyk, który dostałem od niego, a gdy go wyjąłem, zajaśniał mi w dłoni. Miałaś rację, Branna, ten kamień ma moc.

– Cóż, nie użyłabym go do procy, żeby bawić się z Cabhanem w Dawida i Goliata, ale dobrze, że nosisz go przy sobie.

– Noszę. A co więcej, znalazłem w kieszeni cebulkę.

– Kwiatek Teagan – domyśliła się Iona.

– Posadziłem go na grobie Sorchy i podlałem moją krwią i wodą, a on natychmiast rozkwitł.

– Dotrzymałeś słowa. – Iona musnęła go po ramieniu.

– To było dla nich ważne.

– Powiedziałem Eamonowi, że my unicestwimy Cabhana, ponieważ w to wierzę. I chyba wiem, czego nam zabrakło podczas przesilenia. Muzyki – powiedział – i płynącej z niej radości.

– Muzyki – powtórzyła Iona, a Branna z namysłem odchyliła się na krześle.

– Co go tu wczoraj przyciągnęło, co go tak wkurzyło? Nasze światło, to

prawda, i będziemy je mieli. Oczywiście my sami. Ale była też muzyka, a ona jest światłem sama w sobie.

– Wesole melodie – powiedziała Iona.

– Tak. Muzyka wzbudza w nim wściekłość, która go oślepia. Może potrafi go także powstrzymać?

– Muzyka. Grałyśmy też tamtego wieczoru poprzedniej wiosny, pamiętasz, Iona? Kiedy byłyśmy we trzy z Mearą. Przyniosłam skrzypce, grałyśmy i śpiewałyśmy, a on czał się przed domem, w cieniach i mgle. Ciągnęło go tu – dodała Branna. – Muzyka go przyciągała, chociaż jej nienawidzi, był wściekły, że mamy w sobie tyle radości, by grać.

– Pamiętam.

– Och, mogę nad tym popracować. – Branna zmrużyła oczy i uśmiechnęła się. – Tak, warto dodać ten składnik. Doskonała myśl, Connor.

– Fantastyczna – pochwaliła Iona.

– Muszę się z wami zgodzić. – Connor, szeroko uśmiechnięty, dokończył jajecznicę.

– Jestem pewna, że Meara była tego samego zdania.

– Może będzie, kiedy jej powiem. Wpadłem na to dopiero dziś rano – dodał – a ona strasznie się śpieszyła do pracy.

– Dlaczego? Ja muszę wyjść dopiero za pół godziny.

– Iona wstała po drugi kubek kawy. – Gdyby poczekała, moglibyśmy z Boyle'em... Och. – Spojrzała na Connora szeroko otwartymi oczami. – Pokłóciliście się?

– Nie. Tak jak się spodziewałem, zrobiła błyskawiczny odwrót, kiedy powiedziałem jej, że ją kocham. Znając Mearę, zajmie jej trochę czasu, zanim odnajdzie się w tej sytuacji.

– Wreszcie to zrozumiałeś. – Iona niemal przytańczyła z powrotem do

stołu i stanąwszy za Connorem, mocno go uściskała. – To cudownie.,

– To nie była kwestia zrozumienia... A może i tak – przyznał. – Po prostu u Meary proces zrozumienia przebiega nieco wolniej. Będzie szczęśliwsza, kiedy już do tego dojdzie, i ja też, ale na razie dużą przyjemność sprawia mi obserwowanie, jak się z tym boryka.

– Uważaj, Connor – ostrzegła Branna cicho. – To nie upór ani brak rozumu ją powstrzymują. To blizny.

– Nie może przez całe życie pozostawać głucha na głos własnego serca tylko dlatego, że jej ojciec– dupek był go pozbawiony.

– Uważaj – powtórzyła Branna. – Bez względu na to, co mówi Meara i w co wydaje jej się, że wierzy, ona go kochała. Nadal go kocha i dlatego blizny są takie świeże.

Connor poczuł, jak ogarnia go złość.

– Nie jestem jej ojcem i powinna wiedzieć, że pod żadnym względem go nie przypominam.

– Och, nie, skarbie, Meara się boi, że to ona jest taka jak jej ojciec.

– Co za bzdury.

– Oczywiście. – Branna wstała i zaczęła sprzątać ze stołu. – Ale taki właśnie dźwiga ciężar. Bardzo ją Kocham, a ona mnie, nigdy jednak nie udało mi się zdjąć go z jej ramion. To zadanie należy do ciebie.

– I uda ci się. – Iona znów wstała, żeby pomóc Brannie. – Ponieważ, jeśli się nie poddasz, twoja miłość pokona wszelkie przeszkody.

– Nie poddam się.

Iona pocałowała go w czubek głowy.

– Wiem. Jajecznicza była dobra.

– Tak daleko bym się nie posuwała – powiedziała Branna – ale możemy pozmywać, skoro ty gotowałeś... powiedzmy.

– I bardzo dobrze, ponieważ muszę zawołać Roibearda i iść do pracy. – Przy akompaniamencie brzęku naczyń zdjął z wieszaka kurtkę i czapkę. – Kocham ją – powtórzył, ponieważ te słowa tak dobrze brzmiały. – Kocham ją bez pamięci.

– Och, Connor, ty skończony cymbale, zawsze ją kochałeś.

Wyszedł na deszcz, myśląc, że jego siostra ma rację. Zawsze kochał Meareę.

Zły humor, drażliwość i warczenie na wszystkich zawiodły Meareę do sterty kompostu.

Paskudny dzień na paskudną robotę, pomyślała, wkładając najstarsze kalosze i grubą kurtkę, która wisiała w stajni. W sumie sama też czuła się paskudnie. A ponieważ nie mogła zaprzeczyć, że to ona wywołała kłótnię z Boyle'em

– po tym, jak krzyknęła na Micka, warknęła na Ionę i dała się na wszystkich przez cały poranek – nie mogła też go winić, że zesłał ją do gównianej roboty.

Ale i tak była wściekła.

Oddał jej wycieczkę Ionie – grupę hardych twardzieli ze środkowej Irlandii, którym nie przeszkadzał cholerny deszcz. Mick prowadził lekcję na arenie, więc jemu cholerny deszcz też nie przeszkadzał ani Patty, która czyściła siodła, czy Boyle'owi, zamkniętemu w swoim biurze.

I tylko ona szwendała się po tym cholernym deszczu, zesłana do przerzucenia sterty gnoju.

Zawiązała na szyi szalik, wcisnęła czapkę głęboko na uszy i wymaszerowała, ciągnąc z sobą łopatę i długi metalowy pręt, daleko za stajnię, gdzie wznosiła się sterta, nazywana przez wszystkich niezbyt delikatnie Gównianą Górą.

Stadnina pełna koni produkowała dosyć nawozu na cały łańcuch górski, a z tym produktem ubocznym – jeśli już ktoś chciał go tak wytwornie określić – coś trzeba było robić. A co robiły ekologiczne dusze? Wykorzystywały.

Meara jak najbardziej pochwalała ten pomysł. W normalne dni. Takie, w których nie była wściekła na cały świat. W dni, kiedy nie lało jak z cholernego cebra.

Nawóz, odpowiednio traktowany, zamieniał się w kompost, a kompost użyźniał ziemię, dlatego Fin i Boyle wyznaczyli miejsce na ów proces, w odpowiedniej odległości od stadniny, by w stajniach nie czuć było smrodu.

Meara dotarła do Gównianej Góry i zakłęła, kiedy zdała sobie sprawę, że zostawiła w stajni iPoda i słuchawki. Teraz nawet nie będzie mogła posłuchać muzyki podczas roboty.

Mamrocząc gniewnie, wyciągnęła z wielkiej sterty stare torby po paszy i zaczęła przerzucać gnój łopata.

Kompost potrzebował ciepła, które zadusi nasiona, i pasożytów zdolnych zamienić gnój w żyzny nawóz. Meara wykonywała tę pracę niezliczoną ilość razy, dlatego pracowała jak automat, dodając użyźniacz, przerzucając kolejne warstwy ze sterty na stertę i wbijając w nie głęboko pręt, by zapewnić wentylację.

Przynajmniej nie musiała wyciągać węża, ponieważ deszcz wyśmienicie nawadniał błotnistą górę.

Gówniane błoto, pomyślała, jeszcze bardziej przykładając się do pracy. Właśnie w to wpakował ich oboje Connor.

Dlaczego musiał mieszać do tego wszystkiego miłość? Miłość, obietnice, wspólną przyszłość i rodzinę? Żle im było? Czyż seks, zabawa i przyjaźń im nie wystarczały?

Ale wypowiedział te wszystkie słowa, większość po irlandzku. Zrobił to celowo, uznała, szuflując, przerzucając i obracając gnój. Uknuł intrygę, by zdobyć serce jej, Meary, żeby mu się poddała.

Sprawił, że czuła się słaba, tak właśnie zrobił, a ona nie umiała radzić sobie ze słabością. Słabość to wróg, i to Connor nasłał na nią owego wroga.

Ale to ona wszystko zaczęła, prawda? Nie mogła winić nikogo oprócz siebie za tę sytuację i za problemy, jakich na pewno przysporzy wszystkim dookoła.

Pierwsza go pocałowała, nie mogła temu zaprzeczyć. Zabrała go do swojego łóżka, zmieniając nieodwracalnie charakter relacji, jakie ich łączyły.

Connor zawsze był romantykiem, o tym też wiedziała, ale przecież zmieniał kobiety jak rękawiczki, więc nikt nie może jej winić za to, że nie spodziewała się deklaracji miłości.

Mieli dosyć kłopotów, prawda? Wigilia Wszystkich Świętych zbliżała się wielkimi krokami i jeśli istniał jakiś solidny, realny plan, to ona jeszcze nic na ten temat nie słyszała.

Optymizm Connora, determinacja Branny, wewnętrzna wściekłość Fina, wiara Iony. Mieli to wszystko, a do tego lojalność Boyle'a i jej, Meary.

Jednak w walce z czarną magią nic nie mogło zastąpić strategii i taktyki.

A zamiast skupić się na tej strategii i taktyce, Connor O'Dwyer zajmował się mówieniem jej, że jest biciem jego serca i miłością jego życia.

Po irlandzku. Mówił po irlandzku, jednocześnie robiąc niewyobrażalne rzeczy z jej ciałem.

Do tego rano, kiedy wrócili z dziwnego świata snu, spojrzał jej w oczy i powiedział prosto z mostu, że ją kocha.

I uśmiechnął się do niej szeroko, pomyślała, coraz bardziej wściekła. Jak gdyby wywracanie jej świata do góry nogami było doskonałym żartem.

Powinna była natychmiast wykopać go z łóżka. To właśnie powinna była zrobić, kopnąć go w tyłek.

Ale już ona to sobie z nim wyjaśni. Nie okaże słabości, ani przy nim, ani przy nikim innym. Nie będzie słaba i nie będzie się bała. Nie pozwoli ogłupić się do tego stopnia, żeby składać przysięgi tylko po to, by je później złamać.

Nie zamierza stać się równie słaba i bezbronna, jak jej matka, która jest tak bezradna, że nie potrafi zaopiekować się nawet sobą. Żyje pełna wstydu, w żałobie po mężczyźnie, którego zdrada zrujnowała jej życie.

A już na pewno Meara nie będzie tak beztroska i samolubna, jak jej ojciec. Mężczyzna, który składa obietnice, i nawet ich dotrzymuje, o ile tylko wszystko idzie gładko. Jeśli jednak na drodze pojawią się najmniejsze wyboje, bez wahania łamie dane słowo, tak jak serca ludzi, którzy go kochają.

Nie, nie zostanie żoną żadnego mężczyzny, nie będzie dla nikogo ciężarem, nie potrzebuje niczyjego serca. A już na pewno nie serca Connora O'Dwyera.

Ponieważ, niech Bóg ma ją w swojej opiece, za bardzo go kocha.

Meara poczuła w gardle duszące łyzy, które szybko przełknęła.

To tylko chwilowe, pocieszała samą siebie, rozkładając z powrotem torby na stertach kompostu. Taki ból w sercu nie może długo trwać.

Nikt by tego nie przeżył.

Wkrótce znowu poczuje się sobą, Connor też, a cała sytuacja okaże się tylko jednym z tych dziwnych snów, które nie są snami.

Uznała, że jest już spokojniejsza, praca fizyczna dobrze jej zrobiła. Wróci teraz do stadniny i wszystkich przeprosi, Micka w pierwszej kolejności.

– Odbylaś swoją pokutę – powiedziała głośno, cofnęła się o krok i odwróciła.

I zobaczyła przed sobą ojca, który się do niej uśmiechał.

– Tu jesteś, moja księżniczko.

– Słucham?

Na drzewie morwy zaśpiewał ptak, róże kwitły niczym w bajce. Meara uwielbiała ten ogród, kolory, zapachy, śpiew ptaków, pieśń fontanny, z której woda wylewała się z dzbana, trzymanego przez pełną gracji kobietę, do okrągłego basenu.

Uwielbiała te wszystkie zakamarki, cieniste altany, gdyż mogła się skryć przed rodzeństwem, kiedy chciała być sama.

– Byłaś tak zatopiona w marzeniach, że nie słyszałaś, jak cię wołam. – Ojciec roześmiał się tak serdecznie, że Meara poczuła, jak kąciki jej ust się unoszą, chociaż łzy piekły ją w oczy.

– Co ty tu robisz?

– Mężczyzna ma prawo zrobić sobie wolne i spędzić piękny dzień ze swoją księżniczką. – Nie przestając się uśmiechać, popukał się palcem wskazującym w skrzydełko nosa⁶. – Niedługo wszyscy chłopcy z hrabstwa zaczną tu przychodzić, a wtedy nie będziesz już miała czasu dla starego papy.

– Zawsze będę miała dla ciebie czas.

– Moja kochana córeczka. – Wziął ją za rękę, przełożył jej ramię przez swoje. – Moja śliczna, cygańska księżniczka.

– Masz takie zimne ręce.

– Ty je rozgrzejesz. – Ruszyli wolno po kamiennych chodnikach, wśród róż, kremowych kielichów lilii i błękitnych lobelii, a słońce spływało na nich, skrząc się niczym potłuczone wnętrze muszli.

– Przyszedłem, żeby się spotkać tylko z tobą – powiedział ojciec tym konfidencjonalnym tonem, którego zawsze używał, gdy powierzał Mearze

⁶ Gest oznaczający wspólną tajemnicę.

swoje tajemnice, i puścił do niej oko. – Wszyscy pozostali są w domu.

Zerknęła w stronę trzypiętrowego budynku z cegły, zgodnie z życzeniem matki pomalowanego na biało. Wielki taras otaczał ogród przechodzący w gładki, zielony trawnik, gdzie matka lubiła urządzać latem podwieczorki.

Zawsze podawała maleńkie kanapki i ciasto z lukrem.

A tam był mój pokój, pomyślała Meara, podnosząc wzrok. Tak, ten z małym balkonem. Balkon Julii, jak mawiał ojciec.

Ponieważ to Meara była jego księżniczką.

– Dlaczego wszyscy są w domu? Jest taka piękna pogoda. Powinniśmy urządzić piknik! Pani Hannigan mogłaby zrobić nam te swoje małe pierożki, moglibyśmy też zabrać ser i chleb, i tartę z dżemem.

Chciała się odwrócić, pobiec do domu i wszystkich zawołać, ale ojciec pociągnął ją w drugą stronę.

– To nie jest dobry dzień na piknik.

Przez chwilę wydawało jej się, że słyszy deszcz bębniący o ziemię, a gdy podniosła wzrok, chmura przysłoniła słońce.

– O co chodzi? Co się stało, tato?

– Absolutnie nic. Proszę. – Odłamał różę z krzaka i podał Mearze. Powąchała kwiat i uśmiechnęła się, gdy miękkie, białe płatki musnęły jej policzek.

– Skoro to nie jest dzień na piknik, to może napijemy się herbaty i zjemy po kawałku ciasta, urządzimy małe przyjęcie z okazji twojego powrotu do domu?

Pokręcił głową powoli, ze smutkiem.

– Obawiam się, że nie będzie żadnego przyjęcia.

– Dlaczego?

– Nikt z rodziny nie chce cię widzieć, Meara. Wszyscy wiedzą, że to twoja wina.

– Moja wina? Co jest moją winą? Co ja takiego zrobiłam?

– Zadajesz się, spiskujesz z czarownikami.

Odwrócił się i mocno złapał ją za ramiona. Po jego twarzy przesunął się cień, aż serce Meary zamarło ze strachu.

– Spiskuję? Zadaję się?

– Spiskujesz i knujesz intrygi z nasieniem diabła. Współżyłaś z jednym z nich, jak dziwka.

– Ale... – Meara poczuła się zupełnie zagubiona, zakreśliło jej się w głowie. – Nie, nie, ty nic nie rozumiesz.

– Rozumiem więcej niż ty. Oni są przeklęci, Meara, i ty razem z nimi.

– Nie. – Błagalnym gestem położyła ojcu dłonie na piersi, równie zimnej, jak jego ręce. – Nie możesz tak mówić. Tak naprawdę wcale tak nie myślisz.

– Mówię to, co myślę. Jak sądzisz, dlaczego odszedłem? Przez ciebie, Meara. Zostawiłem ciebie. Samolubną, zepsutą do szpiku kości ulicznice, która pragnie mocy, jakiej sama nie może mieć.

– To nieprawda! – Szok był tak silny, że niczym cios w żołądek odepchnął Meareę krok w tył. – Nieprawda!

– Przyniosłaś mi wstyd, dlatego nie mogłem już dłużej na ciebie patrzeć.

Teraz zaczęła szlochać, łapczywie chwytając powietrze. Nagle z ręki w jej dłoni popłynęła krew.

– Jesteś zła – powiedział ojciec, gdy rzuciła kwiat na ziemię. – Niszczysz wszystkich, którzy cię kochają. Wszyscy, którzy cię kochają, będą krwawić i uschną. Albo uciekną, tak jak ja. Zostawiłem cię, bo wstydzilem się ciebie, miałem cię dość. Słyszysz, jak płacze twoja matka? – zapytał. –

Wylewa morze łez, ponieważ jej córka woli dzieci diabła od własnej krwi. To twoja wina.

Po policzkach Meary płynęły łzy – wstydu, poczucia winy i żalu. Opuściła głowę i zobaczyła różę, tonącą w kałuży własnej krwi.

I ten deszcz, padający tak gwałtownie i intensywnie.

Deszcz.

Zachwiała się lekko, usłyszała ptaka śpiewającego na morwie i wesoły plusk fontanny.

– Tato...

Powietrze rozdarł krzyk sokoła.

Connor, pomyślała. Connor.

– Nie. To nie moja wina!

Przemoczona przez deszcz, uwolniona przez krzyk sokoła, zamachnęła się łopata. Chociaż zaatakowała z zaskoczenia, on uskoczył i szpadel tylko przeciął powietrze tuż obok jego twarzy.

Twarzy, która już nie należała do jej ojca.

– Idź do diabła! – Znowu się zamachnęła, ale ziemia zaczęła się kołysać pod jej stopami i Meara poczuła taki ból, jakby jej serce przeszło ostrze.

Krzyknęła rozdzierająco, a Cabhan wyszczerzył zęby w potwornym uśmiechu.

Meara z trudem zrobiła jeden drżący krok naprzód, potem drugi. Ziemia nadal się kołysała, niebo wirowało jej nad głową.

Z oddali, przez deszcz i mgłę, ktoś wołał jej imię.

Jeden krok, mówiła do siebie, potem następny.

Usłyszała sokoła i zobaczyła konia, szary cień pędzący przez mgłę, za którym gnał pies.

Zobaczyła Boyle'a, biegnącego do niej, jakby ścigały go wszystkie

moce piekieł.

A gdy świat nadal wirował i wirował, ujrzała ze zdumieniem Connora zeskakującego z grzbietu Alastara.

Krzyknął coś, ale ryk powietrza zagłuszył jego głos.

Cienie, pomyślała. Świat cieni.

Zamknęły się wokół niej i ją połknęły.

Płynęła przez cienie, które próbowały ją zadusić, utopić. Słyszała okrutny śmiech ojca.

To twoja wina, ty samolubna dziewczyno bez serca. Nic nie masz. Jesteś niczym. Jesteś pozbawiona uczuć.

Ja dam ci moc, obiecywał Cabhan głosem miękkim niczym pieszczota. *Jej tak naprawdę chcesz, jej pożądasz i pragniesz. Przynieś mi jego krew, a dam ci moc. Odbierz mu życie, a uczynię cię nieśmiertelną.*

Meara walczyła, chciała przedrzeć się przez cienie do światła, ale nie mogła się ruszyć. Czowała się tak, jakby została związana i obciążona ogromnym kamieniem, podczas gdy cienie gęstniały coraz bardziej, tak że wdychała je przy każdym oddechu.

A każdy oddech był zimniejszy. Każdy był ciemniejszy od poprzedniego.

Zrób to, o co on prosi, nalegał ojciec. Ten mężczyzna jest dla ciebie nikim. To tylko wasze ciała obłapiają się w ciemności. Zabij czarownika. Ocal siebie. A wtedy ja do ciebie wrócę, księżniczko.

Connor wyciągnął do niej dłoń. Jaśniał pośród cieni, jego zielone oczy błyszczały niczym szmaragdy.

Chodź ze mną. Wróć ze mną. Potrzebuję cię, aghra. Wróć do mnie. Weź mnie za rękę. Musisz tylko wziąć mnie za rękę.

Ale ona nie mogła, czy tego nie widział? Nie mogła, Za jej plecami coś

warknęło i kłapnęło zębami, ale Connor tylko się do niej uśmiechnął.

Oczywiście, że możesz. Weź mnie za rękę, kochana. Nie oglądaj się za siebie. Schwyć tylko moją dłoń. Wróć ze mną.

To bolało, tak strasznie bolało, kiedy unosiła ciężkie ramię, walczyła z niewidzialnymi więzami. Connor jednak miał w sobie światło i ciepło, a ona tak bardzo potrzebowała jednego i drugiego.

Szlochając, uniosła ramię, sięgnęła po jego dłoń. Czuła się tak, jakby ktoś wyciągał ją za koniuszki palców z gęstego błota, centymetr po centymetrze, podczas gdy jakaś siła ściągała ją w dół.

Trzymam cię, powiedział Connor, ani na chwilę nie odrywając oczu od jej twarzy. ***Już cię nie puszcze.***

Nagle Meara poczuła się tak, jakby wystrzeliła w jasność, niczym korek z butelki.

W piersi ją paliło, jak gdyby jej serce przemieniło się w rozżarzony węgiel. Spróbowała zaczerpnąć powietrza, ale pożar dosięgnął jej gardła.

– Spokojnie już, spokojnie. Oddychaj powoli. Powoli. Wróciłaś. Jesteś bezpieczna. Jesteś z nami. Cii, cii.

Ktoś szlochał rozdzierająco, rozpaczliwie. Minęło kilka minut, zanim Meara zdała sobie sprawę, że to ona tak płacze.

– Mamy cię. Jesteś z nami.

Kiedy Connor wziął ją na rękę, ukryła twarz na jego ramieniu. Jego zapach koił jej rany jak chłodna woda.

– Zabieram ją do domu.

– Mój dom jest bliżej – odezwał się Fin.

– Zamieszka u nas, dopóki to się nie skończy, ale dzięki. Teraz zabieram ją do domu. Przyjedziesz? Kiedy już będziesz mógł?

– Wiesz, że tak. Wszyscy przyjedziemy.

– Jestem tu z tobą, Meara. – Usłyszała głos Branny, poczuła jej dłoń, gładzącą ją po włosach, po policzku.

– Jestem tuż obok ciebie.

Meara chciała coś powiedzieć, ale nie mogła wydusić nic poza tym potwornym, rozdzierającym szlochem.

– Jedź z nimi – to mówił Boyle. – Jedź z nimi, Iona. Powinniście teraz z nią być, wszyscy troje. Ja się zajmę Alastarem. Weź furgonetkę i jedź z nimi.

– Niedługo wrócę.

Meara odwróciła głowę na tyle, by zobaczyć, jak Iona biegnie do samochodu Boyle'a i siada za kierownicą. Connor niósł ją w ramionach przez deszcz i mgłę, a świat kołysał się w przód i w tył, w przód i w tył jak pokład statku podczas sztormu.

Jej klatkę piersiową, gardło, każdą część jej ciała rozrywał ból palący niczym piekielne ognie.

Zastanawiała się, czy nie umarła. Czy nie umarła przeklęta, tak jak powiedział ojciec, który nie był jej ojcem.

– Cii – powtórzył Connor. – Żyjesz i jesteś bezpieczna, jesteś z nami. Odpoczywaj teraz, kochana. Tylko odpoczywaj.

Wysłuchana w jego słowa Meara zapadła w sen.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Słyszała szepty, miękkie, kojące głosy, czuła delikatny dotyk rąk. Miała wrażenie, że unosi się na ciepłym, powietrznym posłaniu, otoczona zapachem lawendy i świec. Skąpiana w świetle, pełna spokoju.

Mruczenie zamieniło się w słowa, zniekształcone i niewyraźne, jakby ktoś mówił przez zasłonę z wody.

– Ona teraz potrzebuje odpoczynku. Odpoczynku i ciszy. Pozwólmy uzdrawiającym mocom działać. – Usłyszała głos Branny, bezgranicznie zmęczony.

– Wróciły jej trochę rumieńce, prawda? – zabrzmiał głos Connora, zaniepokojony i drżący.

– To prawda i znów ma równy puls.

– Ona jest silna, Connor. – Głos Iony był nieco ochryply, jakby od snu lub łez. – I my też.

Meara znów odpłynęła i żeglowała w kojącej ciszy.

Przebudzenie przypominało sen.

Zobaczyła Connora, siedzącego obok jej łóżka. Oczy miał zamknięte, jego twarz rozjaśniał blask świec rozstawionych po całym pokoju. Wyglądał jak obraz namalowany bladym, migoczącym złotem.

Jej pierwsza przytomna myśl brzmiała, że to niedorzeczne, aby mężczyzna był aż tak przystojny.

Już miała wypowiedzieć jego imię, lecz zanim zdążyła się odezwać, Connor uniósł powieki i spojrzał jej prosto w oczy. Po intensywnym odcieniu zieleni poznała, że rozświetlało go coś więcej niż tylko światło świec.

– Jesteś. – Kiedy się uśmiechnął, intensywna zieleń zniknęła i siedział

przed nią ten sam co zawsze Connor.

– Leż cicho i spokojnie, jeszcze przez chwilę.

Uniósł dłonie nad jej twarzą, znowu zamknął oczy i przesunął ręce w dół, do jej serca i z powrotem.

– Dobrze. Tak jest lepiej.

Zdjął z jej czoła i obojczyków coś, co pozostawiło po sobie lekkie mrowienie.

– Co to było? – Czy to jej głos? Ten skrzek żaby?

– Kamienie lecznicze.

– Byłam chora?

– Tak, ale już wszystko w porządku.

Uniósł ją lekko, wyjął kamienie spod jej pleców i dłoni i schował do saszetki, którą szczelnie zamknął.

– Jak długo spałam?

– Och, prawie sześć godzin... w sumie niedługo.

– Sześć godzin? Ale ja byłam... byłam...

– Nie myśl o tym jeszcze. – Ton miał tak dziarski i radosny, że Meara zmarszczyła brwi. – Możesz czuć się trochę oszołomiona, roztrzęsiona i słaba, ale to minie, zapewniam. Branna zostawiła dla ciebie napój, masz go wypić zaraz po przebudzeniu.

– Co to jest?

– Lekarstwo.

Uniósł ją na poduszkach i wyjął korek ze smukłej butelki, napełnionej czerwonym płynem.

– Mam to wszystko wypić?

– Do ostatniej kropli. – Włożył butelkę w dłonie Meary i przytrzymał je swoimi, by pomóc jej trafić do ust.

– Powoli, ale do dna.

Meara przygotowała się na smak lekarstwa, ale napój był chłodny i pyszny.

– Smakuje jak jabłka i kwiaty.

– Między innymi. Musisz wypić wszystko, kochana. Potrzebujesz każdej kropli.

Tak, odzyskiwała rumieńce, dostrzegł Connor. Powieki miała ciężkie, ale oczy przytomne, nie tak niewidzące jak wtedy, gdy pod wpływem czarów Cabhana straciła świadomość i leżała bez życia na mokrej trawie.

Tamten obraz znowu stanął mu przed oczami i jego dłonie zaczęły drżeć. Odepchnął straszliwe wspomnienie na bok i spojrzał na Mearę.

– Teraz coś zjesz. – Utrzymanie pogodnego, nawet radosnego tonu wymagało od Connora całej siły woli.

– Branna ugotowała rosół. Powinnaś poczuć się lepiej, kiedy zjesz go trochę i napijesz się herbaty.

– Wydaje mi się, że umieram z głodu, ale nie jestem do końca pewna. Czuję się, jakbym tak do końca nie była tu obecna. Ale już mi lepiej, ten napój jest pyszny.

Oddała mu butelkę, którą Connor odstawił tak ostrożnie, jakby zawierała bombę.

– Teraz jedzenie. – Zdobył się na uśmiech i przycisnął usta do jej czoła. A potem już nie mógł ich oderwać.

Meara poczuła, jak cały drżał, i wzięła go za rękę. Ścisnął jej palce tak mocno, że omal nie krzyknęła.

– Było aż tak źle?

– Już jest dobrze. Już wszystko dobrze. O Boże. Uniósł ją i mocno przytulił. Gdyby mógł, wchłonałby ją w siebie.

– Już wszystko dobrze, wszystko w porządku – powtarzał, uspokajając w równej mierze Mearę, jak i siebie. – Nie wiem, jakim cudem pokonał czary ochronne. Musiały być za słabe. Pewnie użyłem zbyt słabego zaklęcia. Zabrał ci naszyjnik, a ja nigdy nie sądziłem, że mógłby to zrobić. Zabrał go i ukradł ci oddech. Powinienem był lepiej cię chronić. Będę cię chronił lepiej.

– Cabhan. – Meara prawie nic nie pamiętała. – Ja... przerzucałam gnój. Kompost. A potem... już nie przerzucałam. Mam straszne luki w pamięci.

– Nie martw się tym. – Gładził ją po włosach i policzkach. – Wszystko wróci, kiedy odzyskasz siły. Zrobię ci nowy naszyjnik, rzucę na niego silniejszy czar. Poproszę wszystkich o pomoc, skoro to, co stworzyłem sam, nie wystarczyło.

– Naszyjnik. – Meara sięgnęła do szyi i wtedy to do niej doszło. – Jest w mojej kurtce. Zdjęłam go, prawda? – Próbowała sobie przypomnieć.

Connor odsunął się od niej powoli.

– Zdjęłaś go?

– Tak, byłam wściekła. Zdjęłam naszyjnik i wcisnęłam go do kieszeni kurtki. Nawarczałam na biednego Micka i na wszystkich dookoła, dlatego Boyle... Tak, Boyle wysłał mnie do przerzucania kompostu. Wzięłam starą kurtkę, która wisiała w stajni, a swoją zostawiłam.

– W ogóle go przy sobie nie miałaś? A saszetki, które dla ciebie zrobiłem?

– Wszystko zostało w kieszeniach mojej kurtki. Nie pomyślałam o tym, ponieważ... Connor...

Wstał gwałtownie, na jego twarzy malowała się lodowata furia.

– Zdjęłaś i zostawiłaś w kieszeni naszyjnik, ponieważ to ja ci go dałem.

– Nie. Tak. – Wpadła po uszy w bagno. – Nie myślałam jasno, nie rozumiesz? Byłam taka wściekła.

– Tak byłaś na mnie wściekła tylko za to, że cię Kocham, że wyszłaś ze stajni bez żadnej ochrony.

– Nie myślałam o tym w ten sposób. W ogóle nie myślałam. Byłam głupia. Bezdennie głupia. Connor...

– Cóż, stało się, a ty jesteś już bezpieczna. Przyślę do ciebie Brannę z rosółem.

– Connor, nie odchodź. Proszę, pozwól mi...

– Potrzebujesz ciszy i spokoju, a ja nie potrafię być teraz spokojny, dlatego nie mogę z tobą zostać.

Wyszedł, zamykając cicho drzwi.

Meara spróbowała wstać, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. I oto ona, kobieta dumna ze swojej siły i zdrowia, musiała wczołgać się z powrotem do łóżka jak inwalidka.

Położyła się na plecach, łapczywie chwytając powietrze. Czowała na skórze zimny pot i kręciło jej się w głowie na myśl o konsekwencjach jednego nierozsądnego kroku, podyktowanego przez złość.

Kiedy weszła Branna z tacą, Meara miała ochotę szlochać z bezsilności.

– Dokąd on poszedł?

– Connor? Zaczepnąć świeżego powietrza. Siedział tu z tobą kilka godzin.

Branna ustawiła na łóżku tacę – taką dla inwalidów i chorych, którą przynoszono pacjentom w szpitalach i na którą Meara spojrzała z głęboką nienawiścią.

– Po rosole i herbacie poczujesz się lepiej. To naturalne, że jesteś jeszcze trochę roztrzęsiona i słaba.

– Czuję się, jakbym chorowała przez pół życia. – Meara podniosła wzrok i opanowała się na tyle, by móc dostrzec w oczach przyjaciółki

wyczerpanie i niepokój. – Nie wychodzi mi to zbyt dobrze, prawda? Dzięki tobie nigdy nie chorowałam dłużej niż kilka godzin. Tak bardzo mi przykro, Branna. Przepraszam za to wszystko.

– Nie bądź niemądra. – Branna miała zmęczone oczy i niedbale upięte włosy. Usiadła na brzegu łóżka. – A teraz zjedz trochę rosołu. To następny krok.

– Do czego?

– Żebyś poczuła się znowu sobą.

Ponieważ Meara bardzo tego chciała – przecież nie mogła wyjaśnić spraw z Connorem, skoro ledwo miała siłę unieść łyżkę – więc zaczęła jeść. Pierwszy łyk był jak ambrozja.

– Myślałam, że umieram z głodu, chociaż tak naprawdę nic nie czułam. Cudownie jest znowu poczuć głód, a ten rosół jest przepyszny. Nie potrafię tego wszystkiego poskładać w całość. Pamiętam prawie wszystko do chwili, kiedy zaczęłam przerzucać gnój, potem już nic.

– Przypomnisz sobie, gdy znowu poczujesz się sobą. Amnezja to ochronna reakcja organizmu.

– O Boże. – Meara zacisnęła powieki.

– Boli cię? Kochana...

– Nie, nie. Branna, zrobiłam coś głupiego. Byłam wściekła, miałam fatalny nastrój i nie myślałam logicznie. Connor... powiedział, że mnie kocha. Taką miłością, która prowadzi do małżeństwa, dzieci i domku na wzgórzu, co mnie doprowadziło do pasji. Nie nadaję się do takich rzeczy, wszyscy o tym wiedzą.

– Nikt tak nie uważa, ale nie mogę zaprzeczyć, że ty tak sądzisz. Powinnaś mieć teraz spokój. – Branna pogładziła ją po nodze. – Odpoczywaj, żebyś szybko wróciła do pełni sił.

– Nie mogę być spokojna i odpoczywać, kiedy Connor wyszedł stąd wściekły na mnie tak, jak nigdy w życiu. Albo i bardziej.

– Dlaczego miałby być na ciebie wściekły?

– Ja go zdjęłam, Branna. – Meara musnęła palcami miejsce na szyi, gdzie powinna mieć naszyjnik. – Nie myślałam jasno, przysięgam. Zaślepiła mnie złość. Zdjęłam naszyjnik, który dostałam od Connora, i schowałam do kieszeni.

Gładząca ją dłoń znieruchomiała.

– Ten naszyjnik z niebieskim chalcedonem, nefrytem i jaspisem? – zapytała cicho Branna.

– Tak, właśnie ten. Wepchnęłam go do kieszeni, tam gdzie były te saszetki. I kłóciłam się ze wszystkimi, którzy znaleźli się w zasięgu mojego wzroku, aż Boyle miał mnie w końcu dosyć. Wysłał mnie do przerzucania kompostu, a to brudna robota i lało jak z cebra, dlatego zmieniłam swoją kurtkę na jedną z tych, które wiszą w stajni. Nie pomyślałam, nawet nie pamiętałam, że zdjęłam naszyjnik. Nie wyszłabym bez niego. Przysięgam, chociaż byłam taka wściekła, nie zrobiłabym tego celowo.

– Zdjęłaś to, co Connor dał ci z miłości, żeby cię chronić, chronić osobę, którą kocha. Zadałaś mu cios w samo serce.

– Och, Branna, proszę. – Meara się rozplakała, a Branna podniosła się, podeszła do okna i wbiła wzrok w ciemność. – Proszę, nie odwracaj się ode mnie.

Branna obróciła się gwałtownie, jej oczy płonęły.

– To, co mówisz, jest okrutne i niesprawiedliwe:

Z twarzy Meary znowu odpłynęła krew.

– Nie. Nie. Ja...

– Okrutne, niesprawiedliwe i egoistyczne. Jesteś moją przyjaciółką,

siostrą krwi, odkąd tylko pamiętam. Jak możesz myśleć, że mogłabym się od ciebie odwrócić?

– Nie myślę tak. Już sama nie wiem. Wszystko jest takie skomplikowane, czuję się kompletnie zagubiona.

– Łzy dobrze ci zrobią – powiedziała sucho Branna, kiwając głową. – Rzadko płaczesz, a teraz płacz będzie ci potrzebny jako forma oczyszczenia. W tym domu jest pięcioro ludzi... nie, to nieprawda, ponieważ kiedy się obudziłaś, Iona i Boyle pojechali spakować twoje rzeczy.

– Spakować moje...

– Cicho. Jeszcze nie skończyłam. Pięcioro ludzi, którzy cię kochają, i nikt z nas nie zasługuje na to, żebyś myślała, że przestaniemy cię kochać tylko dlatego, że zraniłaś jedno z nas.

– Przepraszam. Tak strasznie mi przykro.

– Wiem. Ale ja stoję, Meara, między tobą a Connorem i kocham was oboje. Widzisz, on obwinał siebie za to, że nie zapewnił ci silniejszej ochrony.

– Wiem. – Głos Meary rwał się i trzął przy każdym słowie. – Mówił mi, a wtedy przypominałam sobie. Powiedziałam mu i on mnie zostawił.

– Wyszedł z pokoju, głuptasie. To Connor O'Dwyer, najlepszy i najbardziej lojalny mężczyzna na świecie. Nie jest twoim cholernym ojcem ani w niczym go nie przypomina.

– Nie miałam tego na myśli... – Nagle wszystko wróciło z taką siłą, że Meara nie mogła złapać tchu.

– Spokojnie. Zachowaj spokój. – Branna podbiegła do łóżka i złapała przyjaciółkę za ręce, całą siłą woli powstrzymując rosnącą panikę. – Zachowasz spokój i będziesz oddychała miarowo. Spójrz mi w oczy. Patrz w moje oczy, znajdziesz w nich powietrze i spokój.

– Przypomniałam sobie.

– Najpierw musisz się uspokoić. Do tego pokoju nie ma dostępu żadna ciemność. Zaczarowaliśmy świece, rozłożyliśmy magiczne kamienie i rozsypaliśmy zioła. Tu jest sanktuarium. Tu panuje spokój.

– Przypomniałam sobie – powtórzyła Meara nieco uspokojona. – On tam był.

– Daj sobie trochę czasu. Bardzo chcę się wszystkiego dowiedzieć, ale opowiesz nam, jak będziemy tu wszyscy razem. Nie będziesz musiała powtarzać.

A Connor, pomyślała Branna, zasługiwał, by to usłyszeć.

– Co on mi zrobił? Możesz mi powiedzieć? Jak źle ze mną było?

– Najpierw zjedz rosół.

Zniecierpliwiona i już silniejsza Meara uniosła miskę i wypła całą zawartość duszkiem, aż Branna uśmiechnęła się lekko.

– Grzeczna dziewczynka.

– Teraz mi powiedz... Och!

Meara poczuła się, jakby złapał ją prąd, jakby miała krótki orgazm albo trafił ją piorun. Energia strzeliła w nią z taką siłą, że aż odchyliła się na poduszki.

– Co to było?

– Coś, co powinnaś wypić powoli, ale nic nie szkodzi.

– Czuję się tak, jakbym mogła pobiec sprintem do Dublina i z powrotem. Dziękuję.

– Proszę bardzo. Herbatkę zostawimy na później. – Branna odsunęła kubek poza zasięg rąk przyjaciółki.

– Mogłabym zjeść konia z kopytami i jeszcze miałabym miejsce na deser. – Wzięła Brannę za rękę. – Bardzo żałuję. Naprawdę.

– Wiem. Naprawdę.

– Powiedz mi, co on mi zrobił? Czy to była trucizna, jak u Connora?

– Nie. Byłaś rozkojarzona i bezbronna i on musiał o tym wiedzieć.

Wykorzystał cienie, w których cię zamknął, na szczęście jednak nie potrafił trzymać tego pudła, jak to nazywa Connor, zamkniętego przez dłuższy czas. Zbliżaliśmy się, o czym Cabhan również musiał wiedzieć, dlatego działał szybko i z dużym okrucieństwem. Czar, którym cię potraktował, przypominał ten rzucony na Śpiącą Królownę, ale nie był taki niewinny jak w bajce. To był rodzaj śmierci.

– Ja... On mnie zabił.

– Nie, to nie takie proste. Odebrał ci oddech i zatrzymał serce. Sprowadził na ciebie ciężki paraliż, który każdy, kto nie ma pojęcia o czarach, wziąłby za śmierć. Bez interwencji ten stan mógłby trwać przez kilka dni albo tygodni. A nawet lat. A potem byś się obudziła.

– Jako co, zombi?

– Obudziłabyś się szalona. Wyszłabyś z obłądu, torując sobie drogę zębami i paznokciami, albo umarłabyś pogrążona w szaleństwie. Albo... on przyszedłby po ciebie w wybranym przez siebie momencie i przemienił cię w podległą sobie istotę.

– A wtedy naprawdę bym umarła – dokończyła Meara. – Zabrałby mi wszystko, kim jestem. Nie mógłby tego zrobić, gdybym miała przy sobie naszyjnik, który dał mi Connor.

– To prawda. Mógłby cię zranić, mógłby próbować cię zwabić, ale nie mógłby rzucić na ciebie takiego czaru.

– Branna przerwała na chwilę. – To Connor przywrócił ci życie. On pierwszy się do ciebie dostał, przywrócił ci oddech i bicie serca. Kiedy my się zjawiliśmy, wydobywał cię z naprawdę głębokiego snu, w który zapadłaś,

Meara, chociaż upłynęło tylko kilka minut. Płakałaś, szlochałaś i trzęsłaś się, więc Connor znowu musiał cię uśpić, wprowadzić w uzdrawiający sen, żebyś była spokojna, kiedy cię leczył.

– Świece, kamienie, zioła. Słowa. Słyszałam was, ciebie, Connora i Ionę.

– I przez chwilę Fina.

Pięcioro ludzi, którzy ją kochali, powiedziała sobie Meara, chora z lęku na myśl o tym, jaka była głupia.

– On mógł nas pokonać, tylko dlatego, że zachowałam się jak rozkapryszony bachor.

– To prawda.

– Tak strasznie mi wstyd, Branna, i tak strasznie mi przykro i muszę to wszystkim powiedzieć. Ale gdybym najpierw mogła porozmawiać z Connorem...

– Oczywiście, powinnaś.

– Pomożesz mi się umyć? – Meara zdobyła się na drżący uśmiech. – Byłam trochę martwa i pewnie to po mnie widać.

Ponieważ nadal padało, Connor siedział w pracowni Branny i pijąc drugie piwo, wpatrywał się posepnie w ogień.

Kiedy wszedł Fin, Connor posłał mu wrogie spojrzenie.

– Idź sobie. Nie mam ochoty na towarzystwo.

– To twój problem. – Przyjaciel z piwem w ręku opadł na fotel. – Powiedziałaś, że Meara się obudziła i czuje się lepiej, ale niewiele więcej. Branna jeszcze nie zeszła, rozpakowuje z Ioną i Boyle'em jej rzeczy, a ja chciałbym, do diabła, wiedzieć, co oznacza to „lepiej”.

– Obudziła się, jest świadoma. Wypiła napój i miała rumieńce na policzkach, kiedy wychodziłam.

– To dobrze. – Fin wypił łyk piwa, czekając na ciąg dalszy, który jednak nie nastąpił. Już miał zacząć zadawać pytania, gdy do pracowni wszedł Boyle.

– Targałem ciuchy, buty i Bóg wie co jeszcze. Tych klamotów wystarczyłoby na miesiąc, ale Iona orzekła, że są niezbędne. Potem zostałem odprawiony i bardzo dobrze.

Tak jak przed chwilą Fin, opadł z piwem w dłoni na krzesło.

– Branna powiedziała, że Meara szybko wraca do formy i teraz bierze prysznic. Cholernie mnie to wszystko wystraszyło. Cholernie. – Boyle wypił solidny łyk. – To ja ją tam wysłałem. Warczała na wszystkich i miałem jej dość, dlatego posłałem ją do przerzucania gnoju. Powinienem był zatrzymać ją w stajni, kazać posprzątać siodlarnię. Nie powinienem był...

– To nie twoja wina. – Connor wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem.

– Nie obwiniaj siebie, w niczym nie zawiniłeś. Meara go zdjęła. Powiedziałem jej, że ją kocham. I pomyśleć tylko, jaki byłem rozbawiony, kiedy wypadła potem z pokoju, mówiąc, że musi natychmiast jechać do pracy.

– To dlatego dzisiaj rano zostałem pozbawiony pełnej godziny snu. I – dodał Boyle – to ją gryzło w tyłek jak skorpion.

– Co zdjęła? – chciał wiedzieć Fin.

– Naszyjnik, ten z niebieskim chalcedonem, jaspisem i nefrytem, który dałem jej dla ochrony. Zdjęła go i wyszła bez niego, ponieważ powiedziałem jej, że ją kocham.

– O Boże! – Fin wzniosł oczy ku niebu. – Kobiety. Kobiety doprowadzają mężczyzn do szaleństwa i czy ktoś ma jakieś wątpliwości dlaczego? Pytanie powinno brzmieć, dlaczego chcemy z nimi być, skoro krzywdzą nas na każdym kroku?

– Mów o swoich kobietach – zaprotestował Boyle. – Ja jestem z mojej

bardziej niż zadowolony.

– Do czasu – odrzekł ponuro Fin.

– Och, odczep się. Meara była wściekła – dodał Boyle, patrząc na Connora. – Postąpiła głupio i lekkomyślnie, ale sam łatwo wpadam w złość i doskonale wiem, że w takim stanie można zrobić coś głupiego i lekkomyślnego.

– Mogliśmy ją stracić.

– To się nigdy nie stanie – powiedział Fin.

– Odeszła tylko na chwilę, ale wydawało mi się, że upłynęły lata. – Na samą myśl Connor poczuł przejmujące zimno. – Ty też to widziałeś, Boyle, przybiegłeś kilka sekund po mnie.

– Kiedy ją zobaczyłem, poczułem się tak, jakby z mojego ciała odpłynęła cała krew. Chciałem ją reanimować, ale jednym ruchem dłoni odepchnąłeś mnie w tył.

– Przepraszam.

– Nie ma za co. Wiedziałeś, co trzeba zrobić, a ja ci przeszkadzałem. Wdychałeś w nią światło. Nigdy niczego takiego nie widziałem.

Boyle znowu zobaczył tę scenę i sam zaczerpnął głęboko powietrza.

– Siedziałeś okrakiem na Mearze, leżącej na ziemi, i wzywałeś bogów i boginie, a twoje oczy, przysięgam, były prawie czarne. Wiatr szalał dookoła, wszyscy do nas biegli, a ty uniosłeś ramiona jak rozbitek chwytający linę ratunkową i wydobyłeś z deszczu światło, przyjąłeś je w siebie i zapłonąłeś jak pochodnia. A potem tchnąłeś je w nią. Zrobiłeś tak trzy razy i za każdym razem płonąłeś jaśniej, aż myślałem, że staniesz w płomieniach.

– Trzeba to zrobić trzy razy – wyjaśnił Fin. – Z ogniem i światłem.

– Wtedy zobaczyłem, że Meara łapie oddech. A jej dłoń leciutko drgnęła w mojej. – Boyle wypił łyk. – Chryste.

– Jestem waszą dłużniczką – powiedziała Meara, stając w drzwiach. Miała zaciśnięte dłonie, w jej oczach błyszczały łzy. – Chciałabym porozmawiać sam na sam z Connorem. Tylko chwilę, jeśli nie macie nic przeciwko.

– Oczywiście, że nie. – Boyle szybko wstał, podszedł do niej i mocno ją uściskał. – Dobrze wyglądasz. – Odsunął się, poklepał ją serdecznie po plecach i wyszedł.

Fin wstał wolniej, patrząc na łzy, nad którymi próbowała zapanować. Nie powiedział nic, tylko zanim wyszedł, pocałował ją lekko w policzek.

Connor stał bez ruchu.

– Czy Branna pozwoliła ci wstać z łóżka?

– Tak. Connor...

– Najlepiej, żebyś opowiedziała, co się stało, kiedy będziemy wszyscy razem.

– Opowiem. Proszę, Connor, wybac mi. Musisz mi wybaczyć. Nie przeżyję, jeśli mi nie wybaczysz, nie zniosę świadomości, że wszystko zniszczyłam. Myliłam się, myliłam się pod każdym względem i zrobię wszystko, co zechcesz, o co mnie poprosisz, żeby ci to wynagrodzić.

– W takim razie odpowiedz mi szczerze na jedno pytanie.

– Odpowiem, bez względu na to, ile ta prawda będzie mnie kosztowała. Nigdy cię nie okłamałam.

– Czy zdjęłaś to, co ci dałem, ponieważ sądziłaś, że wykorzystałem naszyjnik, żeby zatrzymać cię przy sobie, żeby wzbudzić w tobie uczucie do mnie?

Meara była tak zaskoczona, że aż cofnęła się chwiejnie o krok.

– O nie, Boże, nie. Ty nigdy nie zrobiłbyś czegoś takiego. A ja nigdy bym cię o to nie podejrzewała, nie ciebie. Nigdy, Connor, przysięgam na

swoje życie.

– W porządku. – Przynajmniej ta świadomość mogła choć trochę złagodzić jego żal. – Nie denerwuj się, potrzebny ci teraz spokój.

– Zrobiłam to ze złości – powiedziała Meara. – Ze złości i ze... strachu. Mów prawdę, szczerze – rozkazała głośno samej sobie. – Chyba przede wszystkim ze strachu i ten strach wzbudził we mnie wściekłość, a wszystko razem sprawiło, że stałam się ślepa i głucha na wszelki głos rozsądku. Przysięgam ci, przysięgam, że nie miałam zamiaru wychodzić bez naszyjnika. Zapomniałam o nim. Byłam taka wściekła i nabuzowana, że kiedy Boyle mnie wyrzucił, zmieniłam kurtkę, w ogóle nie myśląc o ochronie ani o czymkolwiek innym. – Przerwała i przycisnęła palce do oczu. – Czytaj we mnie. Wejdz tu... – Przesunęła palce na skronie. – Czytaj w moich myślach, zobaczysz w nich prawdę.

– Wierzę ci. Wiem, kiedy ktoś mówi prawdę.

– Ale czy mi wybaczysz?

Czy jej było równie trudno poprosić, zastanawiał się Connor, jak jemu wybaczyć? Może tak. Jednak muszą wszystko do końca wyjaśnić, zanim jej odpowie.

– Dałem ci coś, co było dla mnie ważne, ponieważ ty jesteś dla mnie ważna.

– A ja to zlekceważyłam, tak samo jak i ciebie. Zachowałam się bezmyślnie, co mogło nas wszystkich drogo kosztować. – Zrobiła krok w jego stronę. – Wybacz mi.

– Daję ci miłość, Meara, miłość, jakiej nigdy nikomu nie dałem. Ale ty jej nie chcesz.

– Nie wiem, co z nią zrobić, a to zupełnie co innego. I boję się. – Przycisnęła ręce do serca. – Boję się, ponieważ nie potrafię powstrzymać

tego, co się dzieje tutaj. Myślę, że jeśli mi nie wybaczysz, jeśli nie możesz mi wybaczyć, coś we mnie umrze z żalu.

– Wybaczam ci, oczywiście, że ci wybaczam.

– Nie zasługuję na ciebie.

– Och, Meara – westchnął. – Miłość nie jest nagrodą przyznawaną za zasługi ani medalem, który można odebrać, kiedy ktoś popełni błąd. Miłość to dar, zarówno dla tego, kto daje, jak i dla tego, kto ją otrzymuje. Kiedy ją przyjmiesz, otworzysz się na nią, przestaniesz się bać. – Potrząsnął głową, zanim Meara zdążyła się odezwać.

– Na razie wystarczy. Jesteś bardziej zmęczona, niż ci się wydaje, a jeszcze musisz nam wszystko opowiedzieć.

Powinnaś usiąść i odpocząć. Zobaczymy, co Branna ugotowała na obiad, bo już strasznie dużo czasu upłynęło od śniadania.

Kiedy do niej podszedł, Meara wzięła go za rękę.

– Dziękuję. Za światło, za oddech, za życie. I dziękuję, Connor, za twój dar.

– No cóż, to już jest jakiś początek – uznał i zaprowadził ją do kuchni.

Meara opowiadała swoją historię z przerwami na wielkie kęsy ulubionego dania – spaghetti z klopsikami. Wydawało jej się, że nigdy nie zaspokoi głodu ani pragnienia, chociaż już po kilku łykach wina zakręciło jej się w głowie.

– Lepiej zostań dziś przy wodzie – poradziła Branna.

– Wydaje mi się, że gdzieś w głębi duszy wiedziałam, że to nie jest prawdziwe, ale wszystko wyglądało i pachniało tak realistycznie. Ogród, fontanna, ścieżki, dokładnie takie, jak je zapamiętałam. Dom, garnitur mojego ojca, nawet ten gest, kiedy postukał się palcem w nos.

– To dlatego, że Cabhan stworzył swój czar, opierając się na twoich

myślach i wyobrażeniach. – Fin dołał jej wody.

– Ojciec często nazywał mnie księżniczką. – Meara skinęła mu w podziękowaniu głową. – A ja czułam się jak księżniczka, kiedy poświęcał mi całą uwagę. On był... – Mówienie o tym sprawiało jej ból. – Widzicie, on wnosił radość do naszego domu, wszędzie było słycać jego gromki śmiech. Dawał mnie i mojemu rodzeństwu dodatkowe kieszonkowe albo czekoladę, i robił to tak, jakby to był nasz sekret. Uwielbiałam go i wszystkie te uczucia wróciły, kiedy spacerowaliśmy po ogrodzie, a na morwie śpiewał ptak.

Musiała przerwać na chwilę, żeby się uspokoić.

– Uwielbiałam go – powtórzyła – a on nas opuścił, zostawił mnie, nawet nie oglądając się za siebie. Wymknął się jak złodziej, którym w rzeczywistości był, ponieważ zabrał z sobą wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Jednak tam, w ogrodzie, wszystko było jak przedtem. Świeciło słońce, kwitły kwiaty, a ja czułam się taka szczęśliwa. I nagle ojciec zwrócił się przeciwko mnie. Powiedział, że odszedł z mojej winy, ponieważ przyjaźnię się z wami. Przynoszę mu wstyd, zadając się i knując – to jego słowa – z czarownikami. I zostanę za to przeklęta.

– Kolejna sztuczka, znowu wykorzystał twoje myśli – wyjaśniła Branna – a potem je przekreślił.

– Moje myśli? Nigdy nie sądziłam, że odszedł z powodu mojej przyjaźni z wami.

– Ale nie raz podejrzewałaś, że odszedł z twojej winy. Nie muszę czytać w twoich myślach, żeby to wiedzieć – dodał Connor.

– Wiem, że to nieprawda. To znaczy wiem, że on nie odszedł z mojego powodu.

– A mimo to nadal czasami w to wątpisz. – Iona spojrzała na przyjaciółkę ze zrozumieniem. – Kiedy masz gorszy nastrój, zastanawiasz

się, co jest z tobą nie tak, że nie można cię kochać. Znam to uczucie i wiem, jak trudno pogodzić się z faktem, że ktoś, kto powinien bezgranicznie nas kochać, nie kocha. Albo nie kocha wystarczająco. Jednak to nie była moja wina i nie jest twoja. To im czegoś brakuje.

– Wiem, ale masz rację, czasami... Zresztą to teraz nieistotne. Róża, którą mi dał, zaczęła krwawić, a on nazwał mnie dziwką sypiającą z czarownikami, chociaż przecież przed odejściem ojca z nikim nie sypiałam. Poza tym, szczerze mówiąc, jest zbyt wielkim tchórzem, żeby powiedzieć komukolwiek w twarz coś takiego.

Zamilkła i wbiła wzrok w talerz.

– On, mój ojciec, jest taki słaby. Trudno się przyznać, że tak bardzo kochało się kogoś takiego.

– Nie wybieramy sobie rodziców – powiedział Boyle – tak samo jak oni nie wybierają nas. Możemy tylko radzić sobie z tym, co nam się dostało, najlepiej, jak potrafimy.

– A miłość... – Connor poczekał, aż Meara spojrzy mu w oczy. – Miłości nigdy nie należy się wstydić.

– To, co kochałam, było taką samą iluzją jak to, co widziałam dzisiaj. Ale przez chwilę wierzyłam i w jedną, i w drugą. Dzisiaj, kiedy mówił do mnie te straszne słowa, poczułam, jak coś się zmienia, ponieważ bez względu na nieskończoną liczbę wad mojego ojca, on nigdy by czegoś takiego nie powiedział. Nagle zaczął padać ulewny deszcz i usłyszałam krzyk Roibearda, a wtedy już wiedziałam, że to wszystko jest kłamstwem. Trzymałam w ręku łopatę, której nie miałam wcześniej, kiedy z nim spacerowałam, i zamachnęłam się nią, celując w jego głowę, ale był szybszy. Zamachnęłam się jeszcze raz i wtedy świat zaczął wirować, a ty, Connor, przygalopowałeś jak demon na Alastarze, Boyle z Kathelem biegli od strony stajni i... Cabhan

uśmiechnął się do mnie, i już w niczym nie przypominał mojego ojca.

Przed oczami stanęła jej przystojna, okrutna twarz ich wroga. – Nagle poczułam, jakby coś lodowatego i ostrego przeszło mi serce, a on się uśmiechnął i zabrał mgłę.

– Czarny piorun – powiedział Boyle. – Widziałem czarny piorun, który wystrzelił z kamienia na jego szyi prosto w twoje serce.

– Ja tego nie widziałam. – Meara opróżniła kolejną szklankę wody. – Próbowałam iść, ale czułam się, jakbym płynęła przez błoto. Było mi niedobrze, kręciło mi się w głowie, cienie zamknęły się wokół mnie tak szczelnie, że nie przenikał przez nie nawet deszcz. Nie mogłam się z nich wydostać, nie mogłam się poruszyć ani zawołać. I nagle usłyszałam głosy, mojego ojca i Cabhana. Groźby, obietnice... Cabhan powiedział, że da mi moc i uczyni mnie nieśmiertelną, jeśli odbiorę życie Connorowi.

Schwyciła Connora za rękę.

– Nie mogłam się stamtąd wydostać, a wokół mnie robiło się coraz ciemniej. Nie mogłam mówić ani się poruszyć, jakbym była związana i czułam, że jest mi strasznie zimno. A potem usłyszałam ciebie, Connor i zobaczyłam światło. Ty byłeś tym światłem. Powiedziałeś mi, żebym wzięła cię za rękę. Nie wiedziałam, jak to zrobić, ale kazałeś mi schwycić twoją dłoń.

– I schwyciłaś.

– Nie sądziłam, że mogę, to tak potwornie bolało. Ale ty powtarzałeś, że dam radę. Prosiłeś, żebym wzięła cię za rękę i poszła z tobą.

Splotła mocno palce z jego palcami.

– Kiedy to zrobiłam, poczułam się tak, jakbyś wyciągał mnie z otchłani, podczas gdy jakaś siła próbowała wciągnąć mnie z powrotem, ale ty ciągnąłeś dalej, a bijące od ciebie światło mnie oślepiało. Wtedy znowu poczułam deszcz. Wszystko mnie bolało, wszystko naraz, całe ciało, serce, głowa.

Cienie były straszne, ale chciałam do nich wrócić, żeby nie czuć bólu.

– To z powodu szoku – wyjaśniła Branna. – I tego, czego użył Cabhan, żeby cię zabrać, oraz gwałtownego powrotu. Dlatego Connor znowu cię uśpił.

– Jestem waszą dłużniczką.

– Stanowimy krąg – powiedział Boyle. – Nikt nie jest nikomu nic winien.

– Nie, ja jestem. Jestem wam winna wdzięczność za to, że po mnie przyszliście, i przeprosiny za to, że byłam taka głupia i dałam mu szansę, a przez to naraziłam nas wszystkich na niebezpieczeństwo.

– Było, minęło. – Boyle poklepał ją po ramieniu.

– Otóż to – zgodziła się Branna. – Teraz napijesz się herbaty i położysz do łóżka.

– Wcale nie chce mi się spać.

– Mam na ten temat odmienne zdanie, ale w takim razie możesz zabrać herbatę i usiąść przy kominku, dopóki nie będziesz miała ochoty pójść na górę.

– Ja cię zaniosę.

Meara posłała Finowi groźne spojrzenie.

– Mogę sama przenieść swój tyłek do sąsiedniego pokoju.

– Chyba nie masz zamiaru się kłócić po takich pięknych przeprosinach, prawda? – Fin, ucinając dyskusję, obszedł stół i wziął Mearę na rękę. – Krzepka z ciebie dziewczyna, Mearo Quinn.

– Och, doprawdy?

Uśmiechnął się szeroko do Connora i zaniósł ją na kanapę. Skinieniem palca podsycał ogień w kominku, po czym otulił Mearę kocem. Patrzyła na niego spode łba.

– Nienawidzę, kiedy ktoś się mną opiekuje.

- Ja też, dlatego to robię. Zaslugujesz na mały prztyczek.
- Proszę bardzo, wpędź mnie w jeszcze większe poczucie winy.
- Nie ma takiej potrzeby. – Usiadł obok niej i wyjął z kieszeni naszyjnik. – Pomyślałem, że chciałabyś go odzyskać.
- Och. Jakim cudem...
- Szybka wycieczka do stajni po twoją kurtkę. – Powiesił sobie naszyjnik na palcu. – Chcesz go czy nie?
- Chcę, bardzo chcę.

Fin zapiął go na jej szyi.

- Obchodź się z nim ostrożniej, z Connorem też.
- Będę. – Spojrzała mu w oczy. – Przysięgam. Dziękuję. Dziękuję, Fin.
- Proszę bardzo. Może pójde sprawdzic, czy są jakieś ciastka do herbaty?

Idąc do drzwi, obejrzał się przez ramię. Meara trzymała naszyjnik w dłoni i delikatnie głaskała palcem kamienie.

Miłość, pomyślał, może zrobić z ciebie głupca albo bohatera. Albo jednego i drugiego naraz.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Meara obudziła się w łóżku Connora. Na nocnym stoliku płonęły trzy białe świece. Pewnie jakaś uzdrawiająca sztuczka magiczna, uznała, tak jak wszechobecny zapach lawendy, której łożyczki znalazła pod poduszką razem z kilkoma kryształami. Wszystko to prawdopodobnie miało jej zapewnić głęboki i regenerujący sen.

Ostatnie, co pamiętała, to, że wyciągnęła się na kanapie, na którą zaniósł ją Fin, i czekała, aż pozostali przyjdą z herbata.

Była ciekawa, czy przyszli.

Irytowało ją, że zasnęła w salonie jak chore dziecko. A jeszcze bardziej, że obudziła się w łóżku sama.

Wstała i poczuła, że nogi lekko jej drżą, co również nie poprawiło jej humoru. Po wypiciu rosołu czuła się taka silna, a teraz się okazało, że jednak jeszcze nie w pełni wróciła do sił.

Jakby tego było mało, ktoś przebrał ją w piżamę.

Ruszyła nieco chwiejnym krokiem do łazienki i spojrzała w lustro wiszące nad umywalką. Cóż, Bóg świadkiem, że bywały chwile, w których wyglądała lepiej, ale bywały też takie, kiedy wyglądała znacznie gorzej.

Zmarszczyła brwi na widok swojej szczoteczki do zębów, kremów i innych kosmetyków, ułożonych schludnie w koszyku stojącym na wąskim blacie.

Przyjaciele przeprowadzili ją tu, gdy spała. Spakowali jej rzeczy, nie pytając o zdanie.

Wtedy przypomniała sobie dlaczego i westchnęła.

Zasłużyła na to i nie miała prawa protestować. Naraziła na ryzyko siebie

i cały krąg, przysporzyła wszystkim mnóstwa kłopotów. Nie, nie zamierzała kwestionować ich decyzji ani się sprzeczać.

Ale na pewno, do cholery, zamierzała znaleźć Connora.

Uchyliła drzwi prowadzące do pokoju Iony. Jeżeli Boyle z Ioną pojechali na noc do niego, jak to często robili, Connor zapewne śpi w łóżku kuzynki. Chociaż powinien spać we własnym, razem z nią.

Padał deszcz i nie było śladu księżyca, Meara odczekała więc chwilę, aż jej oczy przyzwyczają się do ciemności, zanim weszła na palcach do środka. Usłyszała oddech, podeszła bliżej łóżka. Mogłaby po prostu położyć się obok Connora i ciekawe, co on miałby na ten temat do powiedzenia.

Pochyliła się nad łóżkiem i zobaczyła wyraźnie Ionę, przytuloną do Boyle'a, z głową na jego ramieniu.

Słodki obrazek, pomyślała, i bardzo intymny. Jednak zanim zdążyła się cofnąć, Iona szepnęła:

– Źle się czujesz?

– Och, nie, nie, przepraszam – wyszeptała Meara. – Bardzo cię przepraszam. Obudziłam się i zaczęłam szukać Connora. Nie chciałam cię obudzić.

– Nic się nie stało. Connor śpi na kanapie na dole. Potrzebujesz czegoś? Mogę przygotować napar, który pomoże ci znowu zasnąć.

– Czuję się, jakbym spała przez tydzień.

– A niektórzy z nas nie mogą przespać jednej cholernej nocy – mruknął Boyle. – Idź sobie, Meara.

– Już idę. Przepraszam.

Wyszła na korytarz i zanim zamknęła drzwi, usłyszała tubalny śmiech Boyle'a i nieco cichszy Iony.

Im to dobrze, pomyślała, leżą sobie w ciepłe, przytuleni do siebie,

podczas gdy ona skrada się po nocy w poszukiwaniu swojego mężczyzny.

Sens tych słów dotarł do niej w połowie schodów

Swojego mężczyzny? Od kiedy zaczęła myśleć o Connorze jako o „swoim mężczyźnie”? Nadal była oszołomiona, to wszystko, zamroczona magią, białą i czarną. Nie myślała jasno, więc prawdopodobnie powinna wrócić prosto do łóżka.

Przespać to wszystko.

Jednak potrzebowała Connora i kropka. Chciała oprzeć głowę na jego ramieniu – tak jak Iona położyła głowę na ramieniu Boyle’a.

Zeszła po cichu na dół.

Connor owinał się w koc i zasnął na kanapie, która była dla niego za krótka, położył więc nogi na jednym podłokietniku, a twarz ukrył w poduszce wciśniętej pod drugi.

Żeby ktoś mógł spać w takiej pozycji, musiał najpierw upić się do nieprzytomności. Meara pokręciła głową i opierając ręce na biodrach, zastanawiała się, jak on mógł wyglądać tak czarująco w tym stanie.

Tak czy inaczej, miała mu kilka słów do powiedzenia i zamierzała zrobić to teraz.

Ruszyła do przodu, nie spuszczając oczu z jego twarzy, i potknęła się o buty, które rozrzucił po podłodze.

Wyładowała z impetem na Connorze, który wbił jej łokieć w brzuch, dlatego pierwsze słowo, które powiedziała, brzmiało „uch”.

W odpowiedzi usłyszała stłumione „o kurwa”. Connor uniósł się i złapał ją za ramiona, jakby chciał cisnąć nią przez pokój. Po czym zapytał: „Meara?”, i odgarnął jej włosy z twarzy.

– Potknęłam się o twoje ogromne buty i nadziałam na twój kościsty łokieć.

– Chyba zmiażdżyłaś mi płuco. Poczekaj. – Podniósł ją i usiadł, a Meara na wpół leżała na jego kolanach.

Sytuacja była daleka od tego, co sobie wyobrażała.

– Źle się czujesz?

Uniósł dłoń, żeby sprawdzić, czy Meara nie ma temperatury, ale odepchnęła jego rękę na bok.

– Dlaczego wszyscy myślą, że źle się czuję? Nie jestem chora. Obudziłam się, to wszystko. Obudziłam się, ponieważ przespałam większość dnia i pół nocy.

– Sen był ci potrzebny – powiedział dosyć rozsądnie. – Chcesz się napić herbaty?

– Jeśli będę miała ochotę na cholerną herbatę, to sama ją sobie zrobię.

– Ktoś tu chyba wstał lewą nogą.

Meara nie mogła pozwolić, by popłynęły z jej oczu łzy, które torowały sobie drogę przez złość.

– Powiedziałeś, że mi wybaczyłeś.

– Wybaczyłem. Poczekaj, zimno ci.

Odepchnęła go znowu, kiedy chciał owinać ją kocem.

– Przestań. Przestań się nade mną trząść. – Te uparte łzy nadal chciały płynąć. – Zostaw mnie.

Próbowała odsunąć się od niego i wstać, ale Connor otoczył ją ramionami i mocno przytulił.

– Uspokój się, Mearo Quinn. Nie ruszaj się przez chwilę. I przez chwilę nic nie mów.

Walka z Connorem wyczerpała ją, pozbawiła tchu i prawie wywołała te piekielne łzy.

– Dobrze, już jestem spokojna.

– Jeszcze nie, ale za chwilę będziesz. Weź głęboki oddech. – Kołysząc ją lekko, spojrział na kominek i rozniecił ogień.

– Nie opiekuj się mną tak, bo zaraz się rozplacę.

– Płacz na zdrowie. To naturalna reakcja po tym, co on ci zrobił i co my musieliśmy zrobić, żeby cię wyleczyć.

– Kiedy to się skończy?

– Już jest ci lepiej, prawda? A rano, kiedy będziesz spokojna i wypoczęta, poczujesz się jeszcze silniejsza. Musisz być cierpliwa.

– Nienawidzę być cierpliwa.

Roześmiał się i musnął ustami jej włosy.

– Wiem, ale potrafisz. Sam widziałem.

Jednak zawsze kosztowało ją to wiele wysiłku, pomyślała. Connor miał w sobie wrodzoną cierpliwość, ta cecha była u niego równie naturalna, jak kolor oczu czy barwa głosu.

– Twojej cierpliwości nie nienawidzę – warknęła.

– To dobrze, bo ciężko byłoby mi się jej pozbyć tylko po to, żeby sprawić ci przyjemność. Powiedz, sama się obudziłaś czy coś wyrwało cię ze snu?

– Obudziłam się, a ciebie nie było obok mnie. – Słyszała rozdrażnienie w swoim głosie i miała nadzieję, że jest to również naturalna reakcja, bo inaczej wkrótce zacznie nienawidzić samej siebie. – Wybacz, że pytam, ale dlaczego śpisz tutaj, z nogami wystającymi poza kanapę?

– Potrzebowałam spokoju i odpoczynku. – Ponieważ uznał, że Meara wystarczająco już się uspokoiła, przesunął ją tak, że teraz siedzieli oboje w kącie kanapy, twarzami do ognia. – Spałaś, kiedy przyszliśmy z herbatą, i nawet nie drgnęłaś, jak niosłem cię na górę, a Branna wkładała ci piżamę. Sen to zdrowie, kochana, twój umysł, ciało, a nawet dusza czerpią z niego

wszystko, czego im potrzeba.

– Pomyślałam, że nie chcesz ze mną być, i szukałam cię, żeby się z tobą pokłócić.

– W takim razie cieszę się, że potknęłaś się o moje buty, ponieważ to milsze niż kłótnia.

– Przepraszam.

– Nie musisz cały czas przeproszać. – Przesunął palcem po naszyjniku.

– Fin przyniósł mi go ze stajni.

– Wiem.

– Już nigdy go nie zdejmę.

– Wiem.

Zaufanie, cierpliwość, wybaczenie. Nie, stanowczo na niego nie zasługiwała, pomyślała, wtulając twarz w jego szyję.

– Zraniłam cię.

– Tak, to prawda.

– Jak ty potrafisz tak łatwo kochać, Connor? Tak swobodnie i beztrudnie.

I nie mam na myśli uczucia, jakie zawsze nas łączyło, czy twojej miłości do Branny.

– Cóż, dla mnie to też nowość, więc nie jestem do końca pewien, ale chyba czuję się tak, jakbym miał coś tak długo, że stało się praktycznie częścią mnie, a potem to coś obróciłem. Wiesz, trzymasz w ręku kawałek szkła i wystarczy, że nim poruszyś, tylko odrobinę, a wtedy szkiełko łapie promień słońca i odbija światło. W ten sposób można wzniecić ogień, tylko obracając kawałkiem szkła. I ja poruszyłem tym, co miałem, a to coś odbiło światło.

– Możesz przechylić to z powrotem i zgasić promień.

– Dlaczego miałbym to robić, skoro światło jest takie piękne? Widzisz

ten ogień?

– Tak, oczywiście.

– Wymaga tylko trochę uwagi, powietrza i drewna, a będzie płonął dzień i noc, noc i dzień, dając ci światło i ciepło.

– Możesz zapomnieć dołożyć do ognia albo może skończyć ci się drewno.

Connor ze śmiechem trącił ją nosem w kark.

– To by dowodziło, że jesteś lekkomyślna, i przyniosłoby ci wstyd. Chcę powiedzieć, że miłość wymaga pielęgnacji. Trzeba włożyć trochę wysiłku, by utrzymać światło i ciepło, ale dlaczego miałabyś siedzieć w zimnie i ciemności?

– Nikt by nie wolał, ale czasem tak łatwo zapomnieć dołożyć do ognia.

– Przypuszczam, że czasami obie strony o tym pamiętają, a czasem tylko jedna, ponieważ druga zapomina, a potem na odwrót.

Wszystko to kwestia równowagi i wysiłku, pomyślała Meara.

– To, co proste, nie zawsze jest właściwe i chyba każdemu trzeba czasem o tym przypomnieć. Ale w sumie,

Meara, nigdy nie widziałem, żebyś wybierała łatwą drogę. Nigdy nie bałaś się pracy.

– Takiej, którą mogę sama wykonać, to znaczy dźwigania, kopania czy czyszczenia – nigdy. Ale praca z uczuciami to zupełnie inna sprawa.

– Nigdy też nie widziałem, żebyś się od niej wymigiwała. Nie doceniasz samej siebie. Przyjaźń również wymaga pracy, prawda? Więc jakim cudem udaje ci się być tak doskonałą przyjaciółką nie tylko moją, ale i Branny, Boyle'a, Fina, a teraz i Iony? No i masz jeszcze rodzinę – dodał, zanim zdążyła coś powiedzieć. – A rodzina wymaga dużo uwagi. Ty zrobiłaś dla swojej dużo więcej niż większość ludzi.

– Tak, ale...

– I fakt, że przy tym narzekasz, wcale się nie liczy – przerwał jej, spodziewając się, co powie. – Koniec końców liczą się czyny. – Pocałował ją w nos. – Zaufaj samej sobie.

– To najtrudniejsze.

– W takim razie ćwicz. Nie nauczyłaś się jeździć konno, stojąc i zastanawiając się, czy nie spadniesz.

– Nigdy w życiu nie spadłam z konia.

– No widzisz, zatem doskonale rozumiesz, o co mi chodzi.

Meara nie mogła się nie uśmiechnąć.

– Ależ z ciebie spryciarz.

– W takim razie jesteś szczęściarą, że zakochał się w tobie taki sprytny facet, który ma dosyć cierpliwości, by pozwolić ci ćwiczyć, dopóki go nie dogonisz.

– Serce mi łomocze, kiedy tak mówisz – przyznała.

– Gdy tak do mnie mówisz, ogarnia mnie taki lęk, że aż wali mi serce.

– Powiesz mi, kiedy przestanie łomotać i zrobi się gorące, dobrze? A teraz spróbuj zasnąć.

– Tutaj?

– Już tu jesteśmy i całkiem nam przytulnie, prawda? Tak miło siedzi się przy ogniu. Widzisz opowieści w płomieniach?

– Widzę ogień.

– W żarze, w płomieniach, dzieją się historie. Opowiem ci jedną.

I opowiadał jej o zamku na wzgórzu i dzielnym księciu na białym koniu. O wojowniczej księżniczce, strzelającej z łuku i walczącej mieczem, która mknęła przez niebo na złotym smoku.

Wszystko było takie niezwykle i piękne, że niemal widziała obraz, który

malował dla niej słowami.

A potem znowu zapadła w sen, z uśmiechem na twarzy, trzymając głowę na ramieniu Connor a.

Dopiero po trzech dniach Meara mogła dłużej ustać na nogach, niż leżeć, pogrążona we śnie. Cały pierwszy dzień spędziła w łóżku i na kanapie, wykonując drobne zajęcia, jakie zlecała jej Branna. Drugiego dnia poczuła się na tyle silna, że pojechała do stadniny, by pomóc przy czyszczeniu i karmieniu koni.

I przeprosić kolegów.

Jednak dopiero trzeciego znowu poczuła się sobą.

Było to tak wspaniałe uczucie, że śpiewała, sprząając gnój.

– Posłuchaj tylko siebie, Adele powinna zacząć się bać.

– Ta kobieta ma głos jak dzwon. – Meara przerwała i uśmiechnęła się do Iony, opartej o drzwi boksu. – Nigdy nie myślałam, że dobre zdrowie to dar, który należy cenić. Nigdy w życiu nie chorowałam, bo mam silny organizm, a moja najlepsza przyjaciółka jest obdarzona mocą uzdrawiania i dopiero teraz, po tym, co się stało, uczę się cieszyć z własnej siły.

– Wyglądasz wspaniale.

– A czuję się jeszcze lepiej.

Meara wyprowadziła taczkę z boksu, do którego weszła Iona, by pozamiatać, i rozejrzała się na prawo i lewo, żeby upewnić się, że są same.

– Skoro lepiej się czuję, powiesz mi, jak źle ze mną było?

– Nie pamiętasz? Opowiadaliśmy ci wszystko ze szczegółami, gdy tylko się przebudziłaś.

– Pamiętam. Ale chciałabym wiedzieć, jak bardzo było ze mną źle, Iona. Czy naprawdę tak niewiele brakowało, żeby on mnie zniszczył? Nie chciałam wcześniej pytać o to Branny ani Connora – dodała, kiedy Iona się zawahała.

– Jednak teraz czuję się dobrze i pytam ciebie. Myślę, że ta wiedza jest mi niezbędna do pełnego powrotu do zdrowia.

– Było bardzo źle. Nigdy wcześniej nie spotkałam się z niczym takim. Wydaje mi się, że pozostali też nie, chociaż oni więcej wiedzieli na ten temat. Z tego, co mówiła Branna, pierwsze chwile były krytyczne. Im głębiej się zapadałaś, tym ciężiej było cię wyciągnąć i tym bardziej prawdopodobne stawało się... uszkodzenie mózgu.

– Szaleństwo.

– Chyba tak, pewnego rodzaju. I utrata pamięci, psychoza. Branna powiedziała, że nie wiadomo, jak by to się skończyło, gdyby Connor nie znalazł się przy tobie tak szybko.

– Uratował mi nie tylko życie, ale i rozum.

– Tak. Potem nastąpiły jeszcze krytyczne dwie godziny. Branna albo dokładnie wiedziała, co robić, albo doskonale udawała, kiedy wydawała polecenia mnie i Connorowi. Dopóki nie skończyliśmy, nie zdawałam sobie sprawy, jaka jestem przerażona, po prostu musiałam działać. Potem przyszedł Fin i też nam pomógł. I Boyle. Przez cały rytuał trzymał cię za rękę. To trwało ponad godzinę, a ty byłaś biała jak płótno i leżałaś zupełnie nieruchomo. Aż w końcu zaczęły ci wracać kolory, ale bardzo powoli.

– Doprowadziłam cię do łez. Nie chcę, żebyś przeze mnie płakała.

– Nie, nic nie szkodzi. – Iona otarła oczy i razem rozciąły belę świeżego siana. – Zaczęłaś powoli odzyskiwać rumieńce, a Boyle powiedział, że twoje palce drgnęły w jego dłoni. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, jak bardzo się bałam, kiedy Branna powiedziała, że najgorsze już za nami.

– Cabhan rozłożył mnie na łopatki – powiedziała Meara, wbijając widły w siano. – Punkt dla niego.

– Może na chwilę, ale my cię podnieśliśmy i teraz rozrzucasz świeże

siano w boksie Pyry. Dwa punkty dla nas.

Jasne strony, pomyślała Meara. Iona zawsze potrafiła je znaleźć. Może nadszedł czas, żeby ona też zaczęła ich szukać.

– I zamierzam pozostać w pionie. Muszę poćwiczyć walkę mieczem, potrzebuję większej praktyki.

Potrzebowała praktyki, pomyślała, idąc do następnego boksu, w wielu sprawach.

Pod koniec dnia Connor również zabrał się do porządków. Regularnie karmili ptaki i sprząтали woliery, ale zgodnie z jego kalendarzem należało wyczyścić i odkazić ptasią wannę.

Praca była mu potrzebna. Potrzebował ciężkiej, fizycznej pracy, niewymagającej myślenia po tych kilku dniach napięcia, kiedy Meara źle się czuła i musiał włożyć wiele wysiłku, żeby zachować spokój i dobry humor, by podnosić ją na duchu, gdy była słaba, zmęczona i tak bardzo niepodobna do siebie.

Niektórym kobietom trzeba przynosić kwiaty i czekoladki, Meara jednak – chociaż pewnie jakiś bukiet czy pudełeczko słodczy byłyby również mile widziane – wolała świeże plotecki z wioski, opowieści o pracy i o ludziach przychodzących do szkółki i stadniny.

Connor robił, co mógł, by dostarczyć jej rozrywki, siadał z wyciągniętymi nogami i kuflem piwa w dłoni i zabawiał ją historyjkami, z których jedne ubarwiał, a inne wymyślał od początku do końca.

Jednak w głębi duszy pragnął tylko wytropić Cabhana i sprowokować sukinsyna, żeby się ujawnił. Chciał wezwać wiatr tak gwałtowny, że rozłupałby tamtemu kości i zamroził krew.

Pragnienie zemsty sprawiało, że nie mógł sobie znaleźć miejsca.

Wiedział jednak, że musi zachować rozsądek. Jezu, wiedział, że musi

być rozsądny, myślał, szorując wannę pod czujnym okiem sokołów, ale wiedza i uczucia nie zawsze podpowiadały to samo. Dlatego miał nadzieję, że praca nieco ugasi to pragnienie.

Nagle ujrzał Mearę, idącą po zwirowym podejździe. Rzucił wszystko i wybiegł jej na spotkanie.

– Co ty robisz? Dlaczego chodzisz sama? – naskoczył na nią w ramach powitania.

– Mogłabym zapytać cię o to samo, ale ponieważ znam twoją odpowiedź, nie zapytam i w ten sposób unikniemy kłótni. Podrzuć mi Iona z Boyle'em, kiedy jechali do Cong na kolację i piwo, więc nie byłam ani przez chwilę sama i teraz też nie jestem.

Rozejrzała się dookoła.

– Siedzisz po godzinach? Gdzie są wszyscy?

– Po ostatnim spacerze posłałem ich do domów. Brian musi się uczyć do kursu, na który zapisał się w internecie, a Kyra umówiła się na gorącą randkę i pomyślałem, że reszcie też się przyda trochę wolnego.

– Poza tym chciałeś spędzić trochę czasu sam na sam ze swoimi przyjaciółmi – dodała Meara, wskazując głową ptaki.

– To też. Muszę tu skończyć, skoro już zacząłem.

– Zostanę z tobą, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Potem będziesz mógł mnie odwiedzić do domu.

Weszli razem do woliery. Ptaki poruszyły się niespokojnie na widok gościa, obrzuciły Mearę podejrzliwym spojrzeniem.

– Ostatnio nie bywałam tu zbyt często – zauważyła.

– Młode prawie wcale mnie nie znają.

– Oswoją się. – Connor wrócił do czyszczenia wanny.

– Jak ci minął dzień?

– Dokładnie tak, jak powinien. Prowadziłam dwie wycieczki. – Widząc jego ostre spojrzenie, przechyliła głowę i wyjęła naszyjnik spod szalika. – Iona uparła się, żebym wzięła Alastara, i sama wplotła w jego grzywę nowe czary. Nie widziałam niczego ani w lesie, ani na drodze. Nie zachowam się już jak idiotka, Connor. Dla własnego dobra i dlatego, że nigdy w życiu nie chciałabym, żebyście jeszcze raz musieli przechodzić przez to, na co już raz was naraziłam. – Zamilkła na chwilę. – Potrzebuję pracy i koni tak samo, jak ty potrzebujesz swojej szkółki i sokołów.

– Rozumiem. Mam nadzieję, że Cabhan cię wyczuł. Że wie, jaka jesteś silna i samodzielna pomimo jego wysiłków.

Zaczął napełniać wannę i obserwował lejącą się wodę.

– Myślisz, że ja nie wiem, jaki jesteś zły? – zapytała cicho Meara. – Doskonale wiem. Ja też jestem wściekła. Zawsze chciałam go wykończyć ze względu na ciebie, Brannę i Fina, ale teraz nie tylko chcę go unicestwić, chcę też zadać mu ból i cierpienie, chcę patrzeć, jak się męczy. Nie przyznam się Brannie, ponieważ ona by tego nie pochwałała. Jej chodzi tylko o dobro i zło, światło i ciemność, rodzinę i krew. Wiem, że to ona ma rację, ale ja pragnę jego bólu.

Connor spojrział na nią poważnie.

– Dałbym ci to wszystko i jeszcze więcej. Dałbym ci jego agonię.

– Ale nie możemy tego zrobić. – Przykucnęła obok niego i delikatnie dotknęła jego ramienia. – Ponieważ Branna ma rację i ponieważ to by zmieniło ciebie. Szukać jedynie zemsty? Zadać mu ból i cierpienie, żeby odplacić za to, co zrobił mnie? To by cię zmieniło, Connor. Myślę, że mnie nie, ale to moja wada.

– To żadna wada.

– Tak już jestem skonstruowana i musimy z tym żyć, ale ty jesteś

światłem. Unicestwij go, to musi się stać, zrób to jednak tak, jak trzeba. I jeśli on będzie cierpiał ból, to dlatego, że tak zostało mu przeznaczone, a nie dlatego, że ty tego chciałeś.

– Dużo o tym myślałaś.

Connor wsypał do wanny odmierzoną porcję odżywek, po czym – jak zawsze – zmacił wodę rękami, dodając to światło, o którym mówiła Meara, dla zdrowia i dobrego samopoczucia swoich ptaków.

– Boże, tak, aż za dużo. Dzięki temu zrozumiałam, że muszę ci powiedzieć, że ja czuję to samo, co ty, ale nie tego oczekuję od ciebie czy od siebie samej. Chcę, żebyśmy my, cała nasza szóstka, pozostali sobą. A kiedy go zniszczymy, gdy to wszystko się skończy, chcę, żebyśmy mogli powiedzieć, że postąpiliśmy w zgodzie z sobą, żeby nie wisiały nad nami, nad tobą żadne cienie. To będzie dla mnie wystarczająca zemsta.

– Kocham cię, Mearo. Tak bardzo się cieszę, że to rozumiesz, że sama do tego doszłaś i przyszłaś mi o tym powiedzieć, ponieważ przez ostatnie dni byłem tak rozdarty, jak nigdy w życiu.

– Już o tym nie myśl. Wiedz, że wszystko, co mówię, płynie prosto z serca. Chcę, żebyśmy pozostali wierni sobie.

– I pozostaniemy.

Meara pokiwała głową z satysfakcją i ulgą.

– Pora, byśmy znowu wszyscy o tym porozmawiali. Wiem, że omijaliście ten temat przez ostatnich kilka dni.

– Nie czułaś się na siłach, żeby o tym rozmawiać.

– Ale teraz jestem silna jak tur. – Wstała i napięła bicepsy, żeby go rozbawić. – Dlatego musimy się spotkać, cała nasza szóstka.

– Dzisiaj wieczorem?

– Dzisiaj i jutro też, jeśli będzie trzeba. Zobaczymy, co powiedzą

pozostali.

– Tylko tu dokończę. – Spojrzał na nią z uśmiechem.

Niektórym kobietom sprawiały przyjemność kwiaty, pomyślał, albo czekoladki. A Mearze?

– Rozłóż ramiona.

– Słucham? Dlaczego?

– Ponieważ ja cię o to proszę. Zrób to.

Meara przewróciła oczami, ale zrobiła to, o co prosił. Connor wyciągnął rękę do młodych ptaków i posłał im swoje myśli.

Uniósł dłonie, a młode sokoły z miękkim trzepotem skrzydeł poderwały się z gałęzi i zaczęły krążyć nad Mearą, która zaczęła się śmiać.

– Nie ruszaj się i nie martw o kurtkę ani o włosy, bo wziąłem to pod uwagę.

– Co... Och!

Ptaki wylądowały miękko i z gracją na jej wyciągniętych rękach.

– Dobrze je wyszkoliliśmy, chociaż akurat tej sztuczki nie mają w programie. Teraz już cię znają, Meara.

– Są piękne. Są takie piękne. Kiedy patrzysz im w oczy, wydaje ci się, że wiedzą więcej od nas. O wiele więcej.

Roześmiała się, a jej śmiech wreszcie ugasił to straszliwe pragnienie, które męczyło Connora od wielu dni.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Siedzieli w salonie, pili herbatę i whisky, a Branna postawiła na stole talerz ciasteczek imbirowych.

– Od czego zaczniemy? – zapytała. – Czy nadal zgadzamy się co do Samhainu?

– Mielibyśmy jeszcze trzy miesiące – powiedział Boyle – i z tego, co widzę, przyda nam się każdy dzień. Ale...

– Ale. – Fin nalał sobie do szklanki whisky na dwa palce. – Ostatnio ostro nas zaatakował. A my nie byliśmy na to przygotowani.

– To była moja wina – odezwała się Meara.

– To nie jest kwestia czyjejs winy – odparł Fin. – Cabhan czai się i wyczekuje dogodnego momentu. Może zaatakować każdego z nas, wystarczy chwila słabości czy nieuwagi. Próbował skrzywdzić Ionę, teraz ciebie. Wszystko wskazuje na to, że zaatakuje Brannę, jeśli w porę go nie powstrzymamy.

– Niech spróbuje. – Branna spokojnie wypła łyk herbaty.

– Taka postawa nie wyjdzie ci na zdrowie – warknął Fin. – Nie wolno lekceważyć przeciwnika. Arogancja nie jest ani mocą, ani bronią.

– Co nigdy tobie nie przeszkadzało się nią posługiwać.

– Przestańcie. – Connor wyprostował nogi i potrząsnął głową. – Oboje. Zostawcie sobie te docinki na później, teraz nie mamy czasu. Równie dobrze może znowu zaatakować Mearę, ale ona nie będzie już taka lekkomyślna.

– Daję wam słowo.

– Może też próbować dopaść Boyle'a, Fina czy mnie, jeśli dostrzeże jakąkolwiek szansę powodzenia. – Ryzykując, że Fin zarzuci mu arogancję,

Connor wzruszył ramionami. – I chociaż Fin ma rację, że jeśli Cabhan zmęczył się ganiem Meary, może zaatakować Branę, to ta wiedza w żaden sposób nie przybliży nas do odpowiedzi na pytanie, co mamy zrobić, kiedy i jak, aby posłać go do diabła na wieki wieków.

– Connor dobrze mówi. Musimy chronić siebie, to oczywiste – orzekła Iona – ale przede wszystkim musimy wzmocnić atak.

– Oglądała ze mną piłkę nożną. – Boyle posłał jej szeroki uśmiech. – Ostatnio już byliśmy blisko, Cabhan krwawił i wył, ale czegoś nam zabrakło. Czego?

– Teraz mikstura jest silniejsza, co stanowi pewne ryzyko. Ale musimy je podjąć. – Fin zerknął na Branę, która skinęła głową.

– Wtedy myśleliśmy, że zaatakujemy go z zaskoczenia – przypomniał Connor – a to on nas zaskoczył. Jednak mimo wszystko, jak powiedział Boyle, byliśmy blisko. Jeśli znowu zaatakujemy go przy chacie Sorchy, on znów będzie mógł przenieść nas w czasie i nie wiadomo, gdzie wylądujemy, albo czy, tak jak wtedy, nie uda mu się nas rozdzielić i nie będziemy musieli marnować mocy, żeby zewrzeć szeregi.

– Jeśli nie tam – zapytała Meara – to gdzie?

– To miejsce mocy, zarówno dla nas, jak i dla niego, dlatego myślę, że musimy zaatakować go przy chacie Sorchy – oświadczyła Branna. – Ale masz rację, Connor – dodała. – Nie możemy się rozdzielić. Proponuję, żebyśmy tym razem podzielili się na dwie drużyny, nas troje i Fin, Boyle oraz Meara. Dzięki temu łatwiej nam będzie trzymać się razem.

– Czy możemy uniemożliwić mu podróż w czasie? – zastanawiała się Iona.

– Myślę, że tak, gdybyśmy wiedzieli, jak on to robi. Żeby pokonać taki czar, musielibyśmy znać jego składniki. Dlatego teraz pracujemy na oślep –

powiedziała Branna z frustracją.

– My przeniesiemy się w czasie pierwsi. – Connor pochylił się i wziął ciasteczko. – Nie tylko ty umiesz czytać i knuć plany. – Machnął w kierunku Branny ciastkiem, zanim je ugryzł. – Ale tylko ty potrafisz piec takie pyszne pierniki. Weźmiemy sprawy w swoje ręce i pierwsi przeniesiemy się w czasie.

– Jeśli rzeczywiście nam się to uda, chociaż taka podróż będzie wymagała ogromnego wysiłku, to jakim cudem, geniuszu strategii, ściągniemy go tam, gdzie wylądujemy?

– Przecież umiemy to robić – odpowiedział siostrze.

– Iona sama go zwabiła, kiedy dopiero raczkowała jako czarownica.

– Naprawdę? – Iona zawahała się przez chwilę, po czym uniosła rękę w geście zwycięstwa. – Brawo dla mnie!

– Ja też to zrobiłem – dodał Connor. – Sam i z Mearą, kiedy poznałem naszych kuzynów.

– Podróż we śnie? – Branna odstawiła filiżankę. – Och, Connor, to absurdalne.

– Jesteśmy w absurdalnej sytuacji i musimy sobie z nią radzić.

– Cholernie genialne – orzekł Fin, na co Connor wyszczerzył zęby w uśmiechu, a Branna posłała przyjacielowi wściekle spojrzenie.

– On mówi o podróży we śnie sześciorga ludzi naraz.

– Wiem. I to właśnie jest cholernie genialne. Żeby nas zaatakować, Cabhan będzie musiał znaleźć się w czasie i miejscu, które sami wybierzemy.

– Nie będzie mógł nas powstrzymać – dodał Connor – ponieważ nie będzie znał składników naszego czaru, tak jak my nie znamy jego. To on będzie musiał przyjść do nas, co będzie go kosztowało trochę mocy.

– Dajcie mi chwilę. – Boyle uniosł rękę i podrapał się po głowie. –

Chcecie powiedzieć, że będziemy walczyli z Cabhanem we śnie?

– Czar snu to coś innego niż zwykły sen. Nie leżysz sobie w łóżku i nie chrapiasz. Przecież sam też tego doświadczyłeś – przypomniał sobie Connor.

– Iona wciągnęła cię w swój sen. I, o ile dobrze pamiętam, dałeś przy okazji sukinsynowi niezły wycisk.

– Tak, obudziłem się z jego krwią na rękach. Ale bitwa we śnie? Zawsze akceptowałem wszystko, do czego jesteście zdolni, ponieważ znam was przez całe życie, ale to wydaje mi się przekroczeniem pewnych granic.

– On na pewno się tego nie spodziewa – myślała na głos Meara. – Naprawdę można to zrobić?

– Cała szóstka naraz, bez nikogo przy sterach, że tak powiem. – Branna przeczesła palcami włosy, rozważając w myślach wady i zalety pomysłu brata. – Nigdy tego nie robiłam. Łatwiej byłoby spróbować tylko z naszą trójką. My zaatakowalibyśmy go tam, a wy zostalibyście tutaj, z Finem na posterunku, żeby mógł ściągnąć nas z powrotem, gdybyśmy się pogubili.

– Albo idzie cała szóstka – powiedziała stanowczo Meara – albo nikt.

– Meara, nie mówię tego, żeby was urazić, ale rzucenie czaru snu na sześć osób, w tym dwie pozbawione mocy...

– Już nie jesteś taka pewna siebie? – zapytał Fin zaczepnym tonem.

– Och, odczep się – warknęła Branna.

– I nawzajem, moja droga, za sugerowanie, że Meara, ja czy Boyle będziemy tu czekać jak posłuszne szczeniaki, podczas gdy wy ruszycie do bitwy.

– Nie to chciałam powiedzieć.

– Ale tak to zabrzmiało. – Meara obróciła się do Connora. – A ty co myślisz?

– Cała szóstka – powiedział bez wahania – albo nikt.

– Albo nikt – zgodził się Boyle.

– Słusznie. – Iona kiwnęła głową i wzięła za rękę narzeczonego. – Jeśli ktokolwiek może wykombinować, jak to zrobić, to tylko ty, Branna.

– Och, Jezu, jasna cholera, dajcie mi pomyśleć.

– Branna odepchnęła filiżankę i naląła sobie jeszcze większą porcję whisky niż Fin.

Wypiła jednym haustem.

– Zawsze podziwiałem twoją mocną głowę – powiedział Fin, gdy wstała i zaczęła krążyć po salonie.

– Cicho bądź. Cała szóstka naraz – powtórzyła Branna, krążąc po pokoju. – Na Morrigan, to czyste szaleństwo.

Dwoje uzbrojonych tylko w rozum, miecz i pięści i jeden ze stygmatem Cabhana. Milcz – warknęła na Fina, który nawet nie otworzył ust. – Takie są fakty.

– Są uzbrojeni nie tylko w rozum, miecz czy pięści i mają coś więcej niż niezasłużony stygmat – powiedział cicho Connor. – Mają serca.

– Myślisz, że o tym nie wiem? Że tego nie doceniam?

– Branna przystanęła, zamknęła na chwilę oczy i westchnęła. – Przewróciłeś cały mój plan do góry nogami, Connor. Muszę się z tym oswoić. To nie to samo, co wtedy, gdy jedno z nas zapada w magiczny sen i wciąga w niego osobę leżącą obok w łóżku, a coś takiego też niesie z sobą ryzyko, o czym doskonale wiedzą Iona i Boyle.

– Nie, to nie to samo. Teraz sami, celowo, stworzylibyśmy czar. – Connor rozłożył ręce. – Dodalibyśmy do niego tyle elementów ochronnych, ile tylko byśmy zdołali. Oczywiście, to będzie ryzykowne, ale ryzyka nie unikniemy, a wieczór Samhain, kiedy zasłona lekko się unosi, będzie do tego idealny.

Wstał i wziął siostrę za rękę.

– Wiem, że zostawiłabyś ich tutaj, gdybyś mogła. Ja też. Ze względu na miłość i przyjaźń, a także dlatego, że ten ciężar i obowiązek spoczywa na naszych barkach, twoich, moich i Iony. Nie na ich. – Pocałował ją lekko w palce. – Jednak nie byłoby to niewłaściwe z wielu powodów. Jesteśmy kręgiem, troje i troje, a zniszczenie Cabhana zawsze było przeznaczeniem całej naszej szóstki, Branna. Wierzę w to.

– Wiem. Ja też w to wierzę.

– Boisz się, że ich zawiedziesz, ale tak się nie stanie. Nikogo nie zawiedziesz i nie dźwigasz tego ciężaru sama.

– Nigdy wcześniej czegoś takiego nie robiliśmy.

– Zanim tu przyjechałam, nie potrafiłam unieść nawet piórka – przypomniawszy jej Iona. – A teraz?

Rozłożyła ręce, a kanapa, na której siedzieli razem z Boyle'em, uniosła się bezgłośnie nad podłogą, zatoczyła niewielkie koło, po czym wróciła na miejsce.

– Nie kłamiesz – powiedział rozbawiony Fin.

– Ty mnie tego nauczyłaś, ty i Connor. Otworzyliście mnie na to, co mam, kim jestem. Wszyscy razem pomyślimy, jak to zrobić, i zrobimy.

– Dobrze. Dobrze. Nie wygram z całą piątką. I to jest cholernie genialny pomysł. Nierozsądny, przerażający, ale genialny. Znam recepturę na pewien napar, którą mogłabym poprawić, i gdybyśmy stworzyli czar... będę potrzebowała każdej godziny z tych trzech miesięcy.

– My ci pomożemy – przypomniał siostrze Connor.

– Was też będę potrzebowała. Jednak naprawdę byłoby lepiej, gdybyśmy mieli jakąś kontrolę nad tym, co będzie się działo poza snem.

– Czy taki sternik musiałby być tutaj, z nami? – zapytała Meara.

– W sensie fizycznym? – Connor spojrział na nią z namysłem. – Nie widzę powodu.

– W takim razie może wasz ojciec? I babcia Iony. Łączą was więzy rodzinne i miłość.

– Kolejna naprawdę genialna myśl! – Connor ze śmiechem porwał ją z fotela i zakręcił nią dookoła. – To by się mogło udać, co, Branna?

– Mogłoby i uda się. A gdybym miała choć chwilę spokoju, sama bym na to wpadła. Babcia Iony, nasz tata i... – odwróciła się do Fina – twoja kuzynka Selena.

Zechciałaby nam pomóc? Troje to lepsza liczba niż dwoje, zapewni moc krwi każdemu z nas i równowagę, gdyby znowu trzeba było wyciągać nas z oparów.

– Na pewno nam pomoże. Jest w Hiszpanii, ale skontaktuję się z nią.

– W takim razie to ustalone. Muszę poczytać na ten temat.

– Ja już czytałem – powiedział Connor. – Najpierw stworzymy rytualny krąg i wypijemy napar, najlepiej byłoby to zrobić na świeżym powietrzu. Weźmiemy też naszych przewodników, konia, psa i sokoła.

Branna chciała coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie.

– Widzę, że rzeczywiście odrobiłeś lekcje.

– Tak. Fin, twój koń i sokół... pewnie nie uda ci się zdobyć psa? Żebyście mieli trzech przewodników, tak jak my?

– Mam psa. Robala.

– Małego Robala? – zapytała Iona, myśląc o malutkim kundelku w wielkiej stadninie.

– Mały, ale zادیorny, tak jak ty. Troje na troje – powiedział Fin, kiwając głową. – Koń dla Boyle'a, sokół dla Meary i ogar, taki, jaki jest, dla mnie. Dobrze pomyślane, Connor.

– Ty będziesz musiał połączyć ich z sobą, ponieważ to od ciebie pochodzą.

– Połączę.

– A zatem w rytualnym kręgu staniemy my i nasi przewodnicy – kontynuował Connor. – Wszyscy sześcioro weźmiemy się za ręce i wypowiemy zaklęcie, rzucimy czar. Nasze umysły również będą połączone, ja się tym zajmę. W wigilię Wszystkich Świętych złączymy umysły, serca i dłonie, razem wejdziemy w sen i wylądujemy w Samhain tego roku, w którym dzieci Sorchy, Brannaugh, Eamon i Teagan, wróciły do Mayo.

– Ich obecność doda nam mocy. – Branna sięgnęła po ciastko. – W noc, kiedy unosi się zasłona. Może uda nam się też wykorzystać moc Sorchy. Nie, Cabhan na pewno się tego nie spodziewa. Mamy dosyć czasu, żeby udoskonalić miksturę i zaklęcie. A potem go tam zwabić. To zadanie dla Meary.

– Dla mnie?

Branna posłała bratu gniewne spojrzenie.

– Nie rozmawiałeś z nią o tym.

– Tyle się działo, że nie zdążyłem. On próbuje ciebie skusić – zwrócił się do Meary – dlatego to ty skusisz jego. Zwabisz go tam śpiewem.

– Śpiewem?

– Muzyką, światłem i radością. On leci do tego jak ćma do ognia – wyjaśnił Connor. – Kiedy już się pojawi, będziemy musieli działać błyskawicznie, żeby nam się nie wymknął.

– Zrobimy wszystko prawie tak samo jak w przesilenie... – zaczęła Branna.

– O nie. – Teraz Fin wstał. – Wtedy nam się nie udało, prawda?

– Mamy nową strategię i lepszą broń.

– A jeśli jemu znowu uda się rozdzielić was troje, choćby na chwilę?

Jeżeli macie przeprowadzić rytuał od początku do końca, to trzeba czymś zająć Cabhana, kiedy wy będziecie czarować. My odwrócimy jego uwagę, Boyle, Meara i ja. Już wcześniej go zraniliśmy, ale teraz potraktujemy go znacznie gorzej.

– Chcesz go unicestwić, Fin, czy pragniesz jego krwi?

– Chcę jednego i drugiego, tak jak ty, Branna. Ale ty nie możesz przelać jego krwi z zemsty czy dla zabawy.

– Ty też nie.

– I nie zrobię tego. Żadne z nas tego nie robi, ale zadamy mu ból w obronie was trojga. W obronie światła. A jeśli sprawi nam to radość? Cóż, czarownicy też są ludźmi.

– Zgadzam się z Finem – powiedział Boyle. – Iona jest moja, a wy jesteście moją rodziną. Będę walczył za nią, za was. Nie zamierzam stać z boku i się przyglądać.

– Myślę dokładnie tak samo. – Meara wzruszyła ramionami. – Ustalone. – Położyła ręce na kolanach.

– A zatem, jeśli dobrze rozumiem, za trzy miesiące my wszyscy, w towarzystwie koni, psów i sokołów, udamy się we śnie w podróż kilka wieków wstecz. Ja zacznę śpiewać i jak szcurołap wabiący fletem szczury sprowadzę do nas Cabhana. My troje będziemy z nim walczyć, a wy rzucicie czar, który go zniszczy. Po skończonej robocie ukłonimy się nisko i wrócimy tutaj, gdzie również rozdamy kilka ukłonów, bo przecież właśnie unicestwiliśmy odwieczne zło. A potem pójdziemy do pubu na piwo.

– W skrócie, tak – zgodził się Connor.

– W porządku. Myślę, że ktoś powinien polać hojnie tę whisky, ponieważ wszyscy jesteśmy skończonymi wariatami. – Wypuściła głośno oddech i ugryzła ciasteczko.

– Ale przynajmniej jedno z nas piecze doskonale pierniki.

Rozbawiony Connor nalał whisky do szklanek, uniósł swoją i stuknął się z Mearą.

– Bez względu na to, czy zwyciężymy, czy nie, nie chciałbym wyprawiać się w tę podróż z nikim innym niż z wami. Na zgubę Cabhanowi!
Slainte.

I wypili.

Wszyscy mieli mnóstwo pracy. Branna prawie nie wychodziła z pracowni. Jeśli nie siedziała z nosem w którejś z ksiąg z zaklęciami – Sorchy, prababci albo własnej – pracowała nad ulepszeniem mikstury albo sama tworzyła nowe zaklęcia.

Gdy tylko zajęcia im pozwalały, pomagali jej Connor, Iona lub Fin, a Meara na zmianę z Boyle'em podawała, dźwigała i gotowała.

I gdy tylko mogła, wyciągała kogoś na trening z mieczem.

Wszyscy obserwowali lasy, pola i drogi, wypatrując jakiegokolwiek znaku.

– Ostatnio jest zbyt spokojnie. – Meara bez trudu odparowała cios Connora, którego wreszcie zdołała oderwać od pracy i czarów.

– Obserwuje nas i czeka.

– No właśnie, czeka. Od wielu dni nie widziałam nawet jego cienia. Trzyma się na dystans i czeka na nasz ruch, ponieważ wie, że w końcu go wykonamy.

Zaatakowała, zamarkowała cios i gwałtownie natarła, prawie wytrącając Connorowi miecz z ręki.

– W ogóle nie jesteś skupiony – wytknęła mu. – Gdyby te ostrza nie były zaczarowane, odciąłabym ci ucho.

– Szkoda by było, bo wtedy słyszałbym tylko połowę twoich słów.

- Powinniśmy go zaatakować, Connor.
 - Mamy plan, Meara. Cierpliwości.
 - Tu nie chodzi o cierpliwość, tylko o strategię.
 - Strategię, tak? – Connor zakreślił wolną dłonią, wywołując mały cyklon w powietrzu. Gdy Meara spojrzała w tamtym kierunku, przycisnęła miecz do jej gardła. – Co powiesz na to?
 - Cóż, jeśli zamierzasz oszukiwać...
 - A Cabhan oczywiście będzie grał czysto.
 - Zrozumiałam. – Cofnęła się o krok. – Uważam, że powinniśmy zamarkować atak. – Pchnęła, uskoczyła, pchnęła znowu. – Podłóżmy mu się, niech myśli, że nas pokonał. Uzna, że wykonaliśmy już swój ruch, i nie będzie się spodziewał następnego.
 - Hm. To... interesujące. Masz coś konkretnego na myśli?
 - To wy jesteście czarownikami.
- Opuściła miecz, rozważając pomysł, który jeszcze nie do końca ukształtował się w jej głowie.
- Musielibyśmy zrobić to tutaj, blisko domu, żebyśmy mogli do niego uciec, ponieważ ucieczka jest nieodłączną częścią planu. On musi myśleć, że nas pokonał – układała plan.
 - To może być dla nas gorzka pigułka do przełknięcia, ale rozumiem, do czego zmierzasz. Chodź. – Connor złapał Mearę za rękę i pociągnął do warsztatu, gdzie Branna przelewała do smukłej butelki jakiś bladoniebieski płyn, a Iona ucierała w moździerz zioła.
 - Meara ma pomysł.
- Branna ze zmarszczonymi brwiami obserwowała płyn spływający do butelki.
- Jeżeli nie zauważyłeś, nadal pracuję nad naszym ostatnim pomysłem.

– Napar jest idealny, Branna – orzekła Iona, gdy Branna zatkała buteleczkę kryształowym korkiem.

– Ile czarów snu dla sześciu osób i ich przewodników rzuciłaś w życiu?

– Ani jednego – przyznała z uśmiechem Iona. – Ale ten napar zadziała. Szkoda, że nie widzieliście gwiazdek

– zwróciła się do Connora i Meary. – Unosiły się nad kociołkiem, kiedy Branna rzucała czar.

– Myślę, że to powinno wystarczyć. – Branna pomasowała sobie dół pleców. – Zgodnie z twoją sugestią, Connor, dodałam ametyst i myślę, że to zadziała. Teraz mikstura musi stać w ciemności przez co najmniej trzy dni.

Zaniosła ostrożnie buteleczkę do szafki.

– Zrobię ci herbaty... – zaczęła Iona, ale Branna pokręciła głową.

– Nie, dziękuję. Przez ostatnie dni wypiałam tyle herbaty, że wystarczy mi na pół roku. Mam ochotę na wino.

– W takim razie napijesz się wina i posłuchasz, co wymyśliła Meara. A może masz ochotę coś ugotować?

– Connor wypróbował swój najlepszy uśmiech. – Nie tęsknisz za swoją kuchnią, skarbie? Dobrych pomysłów najlepiej słucha się przy talerzu zupy i w kręgu przyjaciół.

Meara dała mu kuksańca.

– Chyba rzeczywiście wszyscy powinni być przy tym obecni, ale mogę ugotować zupę, a ty sobie usiądziesz i napijesz się wina.

– Ja ugotuję, ponieważ chociaż mój brat myśli brzuchem, rzeczywiście tęsknię za swoją kuchnią. W ogrodzie nadal rosną warzywa. – Wycelowała palec w Connora.

– Idź i przynieś.

– Co sobie życzysz?

– Wszystko, co znajdziesz. A skoro wpadłaś na taki doskonały pomysł, Meara, możesz mi o nim opowiedzieć przy kieliszku wina. Nie widzę powodu, dla którego miałabym czekać na pozostałych. Zostaw to, Iona, później dokończymy. Chodźmy do kuchni.

Meara opowiedziała o swoim pomysle przyjaciółkom, dzięki czemu mogła go jeszcze dopracować, zanim został przedstawiony pozostałym.

– A zatem – zakończyła – jeśli zaatakujemy go teraz, gdy tak naprawdę stawką nie będzie zwycięstwo, Cabhan uzna, że wykonaliśmy nasz ruch i ponieśliśmy klęskę. Będziemy musieli uciec do domu, gdzie jesteśmy chronieni, udając strasznie sfrustrowanych i złych. On nie będzie nawet podejrzewał, że po tym, jak skopał nam tyłki, znowu go zaatakujemy, i to w ciągu kilku dni.

– Cabhan może wyrzucić nam prawdziwą krzywdę, jeśli będziemy walczyć na pół gwizdka – zauważył Boyle.

– Może od razu pójdźmy na całość?

– Nadal potrzebujemy czasu na dopracowanie planu, a ja przygotowuję czar dokładnie na noc, którą wybraliśmy, i nie jestem pewna, czy w inną zadziała – odrzekła Branna. – To musi być Samhain.

– Pomysł Meary polega na tym, że przegrywając teraz, mamy większą szansę na wygraną. – Connor poklepał Boyle’a po ramieniu. – I wiem, że ciężko przełknąć porażkę, nawet udawaną.

– To będzie musiała być spektakularna klęska. Cabhan nie da się oszukać marną podróbką. – Fin się uśmiechnął.

– A my możemy mu zaserwować prawdziwe fajerwerki. Ogień, burzę, trzęsienie ziemi i powódź. Wypuścimy na niego żywioły.

– Wezwiemy żywioły. – Teraz Branna również się uśmiechnęła. – Och, naprawdę możemy mu pokazać fajerwerki, a nawet trochę nim potrząsnąć.

Tylko będziemy musieli się kryć ze względu na sąsiadów. Zrobimy to na polu, na wzniesieniu za ogrodem.

– To dalej, niż myślałam – powiedziała Meara. – Kiedy zaczniemy się cofać, od domu będzie nas dzieliła spora odległość.

– Ale my nie będziemy się cofać – odrzekł Connor.

– W każdym razie nie na nogach. Przylecimy tutaj.

– Przylecimy? – Meara wypuściła oddech. – Chyba potrzebuję więcej wina.

– Tak nawet będzie lepiej. – Iona naląła wszystkim wina. – Zostaliśmy pokonani i musimy uciekać do bezpiecznej kryjówki najszybciej, jak możemy. Kiedy to zrobimy?

– Księżycyca ubywa. – Connor zerknął przez okno.

– Możemy to wykorzystać. Chętnie zaatakowałbym go dzisiaj, ale myślę, że lepiej to zrobić bliżej prawdziwego ataku. Za dwie noce? To da nam potem czas na opatrzenie ewentualnych skaleczeń.

– Za dwie noce – potwierdziła Branna i zamieszała zupę.

Nawet pozorny atak wymagał opracowania planu.

Troje obdarzonych mocą otoczyło dom dodatkową warstwą czarów ochronnych. Jeśli Cabhan uwierzy, że ich osłabił, może próbować wejść do środka, by zadać im ostateczny cios. Nie mogli sobie pozwolić na żadne zaniedbania.

Meara myślała o całym przedsięwzięciu jak o przedstawieniu. Większość scenariusza została napisana, a ona niezliczoną ilość razy powtarzała sobie w głowie swoją rolę, ale pozostałe sceny będą musiały zostać zaimprovizowane na miejscu.

– Denerwuję się – wyznała Connorowi. – Bardziej niż przed przesileniem.

– Dasz sobie radę. Wszyscy damy radę. Pamiętaj, że obrona jest naszym głównym celem, atak to tylko miły dodatek.

– Już prawie czas. – Roztarła dłonie, jakby chciała je ogrzać. – On może wcale nie przyjść.

– Myślę, że przyjdzie. Pomyśli, że jesteś słaba, a nasz krąg się rozsypał. Dostrzeże w tym swoją szansę i będzie chciał ją wykorzystać. Cabhan nie rozumie, czym jest rodzina i więzy przyjaźni, ale zrozumie to, czym chcemy go zwabić.

Wziął ją za rękę i zaprowadził do pracowni, gdzie czekali pozostali.

Rytuał musiał zostać zachowany nawet przy sfingowanym ataku, pomyślała Meara.

Dlatego zapalili rytualne świece i patrzyli na błękitny dym, unoszący się z kotła.

Branna postawiła w środku kręgu rytualny kubek i zaczęła wypowiadać znane im już słowa.

– Z tego kielicha wszyscy pijemy, z ręki do ręki go podajemy, by nasza szóstka scalała się w wierze i winem poparła zawarte przymierze. Sześć serc, sześć umysłów w jedno, by pomóc dziś odnieść zwycięstwo jasności. Niech każdy umoczy usta w kielichu i moc do walki wzywa po cichu.

Kubek obiegił krąg trzykrotnie, podawany z ręki do ręki.

– Jesteśmy kręgiem, z dwóch kół złożonym, w troje i troje połączonym. Dzisiaj prosimy o siłę i moc, byśmy przetrwali tę ciemną noc. Na pomoc cztery żywioły wezwiemy, koniec Cabhana przypieczętuujemy. Ziemię, powietrze i ogień gorący wnet zamienimy w żywioł szalejący. Na me wezwanie niech tak się stanie.

Troje zamknęło krąg.

– Jesteśmy gotowi. Krąg został zamknięty, czar rzucony. Jeśli uda nam

się zamknąć krąg na wzgórzu, to jeszcze lepiej. – Branna spojrzała na Meare.
– Wiesz, kiedy zacząć.

Meara miała taką nadzieję.

Poszli na wzniesienie, niosąc świece, kociołek, broń i różdżki, osłonięci przed wzrokiem wszystkich, oprócz Cabhana. Connor wyjaśnił Mearze, że zostawili dla niego uchylone okno.

Gdy byli już prawie na miejscu, wziął ją za rękę. A wtedy Meara wyrwała mu się gwałtownie.

Przedstawienie się zaczęło.

TTLR

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

– Powiedziałam ci, żebyś trzymał się ode mnie z daleka.

– Och, Meara, ja tylko wypilem w pubie kufelek lub dwa.

– W tej dziurze plotki rozchodzą się lotem błyskawicy i dokładnie wiem, co robiłeś w pubie. – Spojrzała na niego z obrzydzeniem. – I to wtedy, kiedy ja ledwo mogłam ustać na nogach po tym, co mnie spotkało. A spotkało mnie przez ciebie.

– Jezu, Meara, to był tylko niewinny flirt. Trochę rozmowy, trochę zabawy.

– Baw się i rozmawiaj, ile chcesz, ale nie licz na to, że potem przyjdiesz do mnie i będziesz się łąsił. – Celowo przyspieszyła kroku. – Już ja znam te twoje sztuczki. Nikt nie zna ich lepiej.

– O co ci chodzi? – Connor pochylił się, wchodząc na łagodne wzniesienie. – Potrzebowałem oddechu, to wszystko, po tym jak przez tyle dni siedziałem uwięziony w domu albo w robocie. A ty nie robiłaś nic, tylko spałaś.

– A dlaczego? – Meara stanęła, odwróciła się do niego. – Przez ciebie i tę twoją magię, prawda?

Connor rozstawił szeroko nogi i rzucił jej wściekłe spojrzenie.

– To ja i moja magia ocaliliśmy ci życie!

– A kiedy ja walczę o to życie, ty spędzasz czas, rozmawiając w pubie z Alice Keenan.

– Dosyć, dosyć, dosyć! – krzyknęła na oboje Branna.

– Nie mamy na to czasu. Przecież wam mówiłam, że z mojej obserwacji gwiazd wynika, że dzisiaj jest najlepsza noc. Nie zrobimy tego, co mamy

zrobić, jeśli będziecie na siebie warczeć.

– Jestem tu, prawda? – Meara wysunęła brodę. – Przyszłam tu z wami i znowu ryzykuję własne życie, ponieważ obiecałam. Ja dotrzymuję słowa. Nie tak, jak niektórzy.

– Facet tylko stawia dziewczynie piwo i nagle jest kłamcą, tak?

– Roznieś świece, Connor. – Branna wepchnęła bratu świece do rąk. – I skup się. Na bogów, nie mogłeś poczekać, aż z tym skończymy, i dopiero potem obwąchiwać się z Alice Keenan?

Meara syknęła wściekle i cisnęła swój pakunek na ziemię.

– Och, a zatem to w porządku, że on się obściskuje z dziewczynami za moimi plecami po tym, jak mnie wykorzystał?

– Nie to miałam na myśli – powiedziała Branna ostrym, pełnym wyższości tonem. – Nie zachowuj się jak idiotka.

– Teraz jestem idiotką? Zawsze będziesz trzymała jego stronę, nawet kiedy zadaje się z tą zdzirą.

– Przestańcie, natychmiast wszyscy się uspokójcie.

– Iona zakryła rękami uszy.

– Lepiej się nie wtrącaj – poradził jej Boyle.

– Nie mogę. To moja rodzina i już nie mogę znieść tych kłótni i wyzwisk. Daj mi to. – Wyrwała Connorowi świece i zaczęła je ustawiać w kręgu na szczycie wzgórza. – Jak możemy razem pracować, dokonać tego, co przysięgaliśmy, jeśli się kłócimy?

– Łatwo ci mówić. – Meara położyła dłoń na rękojeści miecza. – Twój Boyle biega za tobą jak piesek na każde twoje skinienie.

– Nie jestem niczym pieskiem, Meara, licz się ze słowami.

– Czy wam nie mówiłem, że dzisiaj nie jest dobra pora? – Fin wyjął athame z pochwy i obejrzał nóż w świetle nienaturalnie bladego księżyca.

– Zawsze kiedy ja mówię „czarne”, ty mówisz „białe” – odparowała Branna. – Z czystej złości.

– A czy to nie ty wcześniej wybrałaś noc przesilenia? I oto znowu tu jesteśmy, kilka miesięcy później, znów na twoje polecenie.

– A ja nadal się zastanawiam, jak bardzo się oszczędzałeś tamtej nocy. Gdyby moje polecenia zostały wykonane, nie byłoby cię tutaj, nie byłoby cię z nami.

– Branna, przesadziłaś. – Connor położył jej rękę na ramieniu. Nadchodzi, przekazał siostrze i pozostałym. Szybko.

– Przesadziłam czy nie, to już nie ma żadnego znaczenia. Jesteśmy tutaj i koniec.

Branna wyciągnęła rękę, zapaliła świece i ustawiła miskę w najbardziej wysuniętym na północ punkcie kręgu.

Za nią Connor lekko dotknął palcami palców Meary, która wzięła głęboki oddech, przygotowując się do walki.

Mgła opadła na nich niczym gruba zasłona, przynosząc z sobą przejmujące zimno. Usłyszeli dobiegający z niej ryk, od którego zadrżała wysoka trawą.

Meara wyciągnęła miecz, ale Connor odepchnął ją na bok.

Poczuła, jak coś przelatuje obok niej; coś drasnęło ją w ramię, pozostawiając po sobie lodowaty ból. Nie musiała udawać strachu i dezorientowania, ponieważ jedno i drugie zalało ją jak powódź.

Wtedy usłyszała w głowie głos Connora. ***Jestem z tobą. Kocham cię.***

Określiła się wokół własnej osi i stanęła plecami do plecy z Boyle'em, przygotowana do ataku lub obrony.

Ziemia zatrzęsała się pod jej stopami, gdy Fin wezwał pierwszy z żywiołów.

– Danu⁷, bogini i matko, niech z twego polecenia trzęsie się i faluje pod stopami ziemia.

Nawet chroniona rytuałem Meara prawie się przewróciła, kiedy wzgórze zafalowało pod jej nogami.

– Acionno, Manannan mac Lir^{**}, na mój zew niech na głowę Cabhana spadnie wasz gniew.

Z nieba zaczęły spływać strugi deszczu, jakby jakieś bóstwo odwróciło bieg rozszalałej rzeki.

Przez mgłę i ulewę Meara dostrzegła lśniąca promienie czerni, świszczące jak strzały. Ku jej przerażeniu, mgła zasyczała i owinęła się wokół jej nogi niczym wąż. Instynktownie zamachnęła się mieczem, a wtedy z oparów trysnęła czarna krew.

Na wezwanie Iony pojawiły się kule ognia, paląc czarne strzały na proch.

– W imię Brigid, niech ognia moc światłem i płomieniem rozpali tę noc. Poczula, że Boyle się uchyla, obróciła się, by go bronić, i zobaczyła, jak przyjaciel rąbie kolczastą winorośl z mgły, zbliżającą się do Fina.

Zanurkowała pod nią, tnąc i kłując, ale musiała przytrzymać się trawy, gdy ziemia znowu się przechyliła.

– Sidhe⁸, spełń swego sługi i syna pragnienie i ześlij na złego wieczne potępienie.

Spojrzała na Connora, płomień wśród płomieni, który uniósł wysoko ramiona. Próbując stanąć na nogi, patrzyła, jak otworzyło się nad nimi wrzące niebo, a powietrze zawirowało.

Z ciemności wystrzeliła błyskawica i uderzyła w falującą ziemię, nawet

⁷ Danu – w mitologii celtyckiej bogini-matka.

^{**} Acionna Manannan mac Lir – w mitologii celtyckiej bogini wody; bóg morza i pogody.

⁸ Sidhe – w mitologii irlandzkiej rasa istot nadprzyrodzonych.

deszcz zapłonął ogniem. Meara widziała, jak Iona upada, a Boyle biegnie, by wziąć na ręce narzeczoną, z dłoni przyjaciółki strzelały płomienie, w wilka, w człowieka, w pokręcone, pełzające gałęzie mgły.

Meara walczyła, by się przez nie przedrzeć i wrócić do kręgu, gdzie nadal płonęły świece. Do Connora, który złapał za rękę najpierw Brannę, a potem Ione, aż wszyscy troje sami zajaśnili ogniem.

Wilk zawył.

Człowiek zaczął się śmiać.

Płomienie, te ze świec i te ludzkie, zasyczały i zaczęły przygasać.

– Przerwijcie! – krzyknęła Branna. – Przegraliśmy! Ponieśliśmy klęskę! Nie mamy już mocy. Uciekajmy, póki możemy.

Connor objął Mearę w pasie – poczuła jego silne dłonie, zobaczyła gniewną twarz, spływającą potem i krwią.

– Ocalę ci życie po raz drugi, a potem będę się trzymał z daleka od ciebie.

Unieśli się w powietrze, w deszczu gwiazd, wśród języków ognia. W światło tak jaskrawe, że Meara musiała mocno zacisnąć powieki i odwrócić twarz.

I nagle opadli szybko, tak szybko, że zabrakło jej powietrza w płucach.

Ocknęła się w kuchni, leżąc na Connorze, którego serce galopowało pod nią jak stado koni.

Nad ich głowami przetoczył się potworny ryk, aż zadzwoniły szyby w oknach. Ogromne pięści waliły w drzwi, w ściany, aż cały dom się trząsł. Przez chwilę Meara myślała, że dach spadnie im na głowy.

A potem zapadła cisza.

Wszyscy sześcioro leżeli na podłodze jak ludzie ocaleni ze strasznej katastrofy. Kathel przeskoczył przez nią i przypadł do Branny, polizał swoją

panią po twarzy i zapiszczał.

– Nic mi nie jest. Już dobrze, nic nam nie jest.

– To go powinno było przekonać. Mnie przekonało na pewno. – Connor pogładził Mearę po włosach i pomógł jej usiąść. – Jesteś ranna?

– Nie wiem. Chyba nie, ale ty krwawisz.

Przesunął palcami po rozcięciu na skroni.

– Nie uchyliłem się w porę.

– Daj mi zobaczyć. – Branna przysunęła się do brata. – Iona...

– Wiem, co mam przynieść. – Popędziła do pracowni, a Meara podwinęła nogawkę spodni i zobaczyła ogromnego siniaka, rozlewającego się tuż nad kostką.

– Poczekaj, ja się tym zajmę. – Chociaż Branna jeszcze nie skończyła leczyć jego rany, Connor wyciągnął rękę i położył dłoń na nodze Meary.

– Mgła... zamieniła się w węże. I kolce. Wyrosły z niej kolce.

– Nie kolce, tylko zęby. – Fin, z twarzą lśniąca od potu, siedział na kuchennej podłodze oparty o szafkę.

– Ty też jesteś ranny. Nałóż trochę balsamu Connorowi na czoło – poleciła Branna Ionie, a sama podeszła do Fina. – Sprawdź, czy rana jest czysta. Zostałeś ugryziony?

– Jestem tylko wykończony.

Przycisnęła dłonie do jego piersi.

– Nie tylko. Daj mi zobaczyć.

– Sam się sobą zajmę, jak odzyskam oddech.

– Och, bzdury. – Jednym machnięciem ręki rozebrała go do pasa.

– Jeśli chcesz mnie rozbierać, to może znajdziemy jakieś bardziej ustronne miejsce.

– Bądź cicho. – Obejrzała się przez ramię. – Iona, balsam, szybko!

– Sam się tym zajmę – upierał się Fin.

– Pozbawię cię przytomności, jeśli nie będziesz siedział spokojnie i cicho. Wiesz, że mnie na to stać. Connor, jesteś mi potrzebny.

– Jak źle to wygląda?

Sam zobaczył, gdy podczołgał się do przyjaciela.

Fin na obu bokach miał czarne rany, jakby zamknęły się na nim gigantyczne szczęki.

– Rany nie są głębokie – powiedziała Branna spokojnym, cichym głosem. – I dzięki bogom. A trucizna...

– Spojrzała ostro na Fina. – Co zrobiłeś, żeby się nie rozprzestrzeniała?

– Płynie we mnie jego krew. – Oddychał z trudem, mówił powoli, zbyt precyzyjnie artykułując słowa. – Jego trucizny działają w niej dużo słabiej.

– Czujesz ból – stwierdził Connor.

– Nic nowego. – Jednak syknął, gdy Branna głębiej wsunęła palce. – Jezu Chryste, kobieto, twoje leczenie jest gorsze niż te rany.

– Musiałam wyciągnąć truciznę, osłabioną czy nie.

– Spójrz na mnie, Fin – polecił Connor.

– Sam udźwignę swój własny ból, dziękuję.

Connor wziął go pod brodę i obrócił jego głowę ku sobie.

On przyjmuje ból Fina, pomyślała Meara. Bierze na siebie ból przyjaciela, żeby rany szybciej się zagoiły. I żeby Branna nie musiała przyjmować cierpienia na siebie.

Boyle wyciągnął butelkę whisky, więc wstała po szklanki, po czym znowu usiadła na podłodze i podała je wszystkim. Branna wyprostowała się i skinęła głową.

– To wystarczy.

– Fajerwerki trochę przerosły nasze oczekiwania. – Podobnie jak Fin,

Connor oparł się plecami o szafkę. Teraz jego twarz również lśniła od potu, z wysiłku i bólu. – Ale po raz kolejny utarliśmy mu nosa i jesteśmy cali i zdrowi.

– Myśli, że nas wystraszył – powiedziała Branna. – Że teraz się kłócimy, lizemy rany i zastanawiamy się, czy jeszcze kiedykolwiek powinniśmy podjąć kolejną próbę.

– A kiedy naprawdę zaatakujemy go, spalimy go na proch, zanim w ogóle zdąży się zorientować, co się dzieje. Świetne przedstawienie, moi drodzy. – Connor uniósł szklanke. – Meara, moja kochana, to był doskonały pomysł, który może na dobre przeważyc szalę zwycięstwa na naszą korzyść. Nic dziwnego, że cię kocham.

Wszyscy wypili, tylko Meara trzymała w rękach szklanke i bez słowa wpatrywała się w Connora.

– Nie masz ochoty na whisky? – zapytał.

– Czekam, aż serce mi zacznie łomotać ze strachu. Może jestem w lekkim szoku. Czy możesz to powtórzyć? Zobaczymy, co będzie.

Connor przysunął się do niej na czworakach.

– Kocham cię, Meara, i zawsze będę cię kochał. Wypiła whisky jednym haustem, odstawiła szklanke i uklękła, żeby spojrzeć mu w twarz.

– Moje serce już nie drży ani nie łomocze. Jak słabe i głupie musiałyby być to serce, by drzeć ze strachu przed miłością? A twoje? – Położyła dłoń na jego piersi.

– Zobaczymy, czy twoje teraz zadrży. Kocham cię, Connor, i zawsze będę cię kochała.

– Chyba zatrzymało się na chwilę. – Zamknął dłoń na jej dłoni. – Ale nie ma w nim lęku, nie ma wątpliwości. Czujesz to? Moje serce tańczy z radości.

Meara się roześmiała.

- Connor O’Dwyer ma tańczące serce. Jesteś mój.
- Objęła go mocno i przycisnęła usta do jego warg.
- Może chcecie, żebyśmy poszli? – zapytał Boyle.
- Żebyście mogli mieć swoje ustronne miejsce na kuchennej podłodze?
- Dam wam znać – mruknął Connor, po czym znów zaczął całować

Mearę.

Nagle wstał, wziął ukochaną na ręce i podrzucił lekko, a ona znowu się roześmiała.

- Chyba jednak to my sobie pójdziemy.

Wyniósł ją z kuchni, odprowadzany śmiechem przyjaciół.

- Tego zawsze pragnęłaś – powiedział Fin do Branny.
- Wiedziałam, że to się może zdarzyć, że powinno się wydarzyć i tak, tego właśnie pragnęłam. – Westchnęła.

- Wstawię wodę na herbatę.

Później, gdy już leżeli przytuleni w jego łóżku, kiedy w domu zapadła cisza, a przez okno sączył się blask księżyca, Connor zadał Mearze pytanie:

- Czy to z powodu bitwy? Czy to walka na śmierć i życie uspokoiła twoje serce?

- Wziąłeś na siebie jego ból.

- Słucham? Czyj?

– Tam, w kuchni. Chociaż Fin tego nie chciał, nie pozwoliłeś mu cierpieć i przyjąłeś jego ból. Wtedy pomyślałam, że taki właśnie jesteś. Jesteś człowiekiem, który bierze na siebie ból przyjaciela. Mężczyzną pełnym mocy i dobra, wesołym i lojalnym. I taki mężczyzna mnie kocha. – Położyła dłoń na jego policzku. – Kochałam cię, odkąd tylko sięgam pamięcią, ale nie pozwalałam sobie na to uczucie, na przyjęcie daru, o którym mówiłeś, ani na

dawanie go. Ze strachu. Lecz kiedy patrzyłam na ciebie dziś wieczorem, w ogniu walki i w jasnej kuchni, pytałam samą siebie, jak mogę bać się tego, co kocham. Dlaczego cały czas próbuję siebie przekonać, że mogę zachować się jak mój ojciec, dlaczego to, co on zrobił, ma rzutować na całe moje życie? Cabhan oddał mi przysługę.

– Cabhan?

– Chciał mnie zranić i zawstydzić, pokazując mi obraz ojca. I nawet przez chwilę mu się udało. Ale widząc wyraźnie, co w sobie noszę, mogłam wreszcie dostrzec prawdę. Ojciec nie zostawił mnie, mojego rodzeństwa, mojej matki. On zostawił swój własny wstyd, swoje porażki i błędy, ponieważ nie mógł już spojrzeć sobie w twarz w lustrze.

– Ty zawsze możesz spojrzeć sobie w oczy.

– Staram się, ale dotąd nie patrzyłam pod odpowiednim kątem. Nie pozwoliłam sobie przechylić szkiełka. To moja matka została z tym wstydem i porażkami, które jej zostawił. Została z tym dla mnie i dla mojego rodzeństwa, nawet jak już dorośliśmy. Teraz jest szczęśliwa, uwolniła się od swojego ciężaru, i nieważne, czy jest tego w pełni świadoma czy nie. Dlatego Cabhan oddał mi przysługę. Ale to mnie nie powstrzyma przed zrobieniem wszystkiego, co w mojej mocy, żeby go posłać do diabła.

– W takim razie mnie również oddał przysługę. I pošlemy go do diabła razem.

Przez następne dwa dni Connorowi trudno było ukrywać radość. Musiał pracować i unikać kontaktu z Mearą, dopóki nie znaleźli się w bezpiecznym zaciszu domowym.

Czuł, jak Cabhan raz czy dwa ich podglądał, ale robił to bardzo ostrożnie. Był nieźle posiniaczony, o tak, zostawili mu kilka zadrapań w podzięce za jego trud.

Tym razem przyszedł słabszy niż poprzednio, a przecież ich krąg wcześniej wyrządził mu niemałą krzywdę, gdy był w pełni sił.

A jednak...

Zostało im tylko kilka godzin, więc Connor przyszedł, by pomóc Brannie, jeśli było coś, co mógłby jeszcze zrobić.

– Masz wątpliwości – powiedział, patrząc w jej myśli.

– Mamy dobry plan.

– Ale...

Wzięła buteleczkę z naparem na sen i pieczołowicie schowała do srebrnej szkatułki, obok flakonu z krwistoczerwonym płynem mającym unicestwić Cabhana.

– Byłam taka pewna siebie podczas przesilenia, że teraz, przy kolejnej próbie, mam wątpliwości, czy znowu czegoś nie pominęłam, czegoś nie zaniedbałam.

– Ten ciężar spoczywa nie tylko na twoich barkach, Branna.

– Wiem. Bez względu na to, co myśli Fin, doskonale zdaję sobie z tego sprawę. – Pozbierała narzędzia, które wcześniej oczyściła i zaczarowała, a potem owinęła białym aksamitem. Otworzyła szufladę i wyjęła małe, srebrne puzderko. – Mam coś dla ciebie, bez względu na to, co przyniesie noc.

Zaciekawiony Connor uchylił wieczko i zobaczył pierścionek; załśnił rubin, oprawiony w złoto.

– Dostałaś go po naszej prababci.

– A teraz daję tobie, żebyś mógł wręczyć go Mearze. Ona jest moją siostrą i nasze więzi jeszcze się wzmocnią, kiedy dasz jej ten pierścionek. Powinien należeć do niej. Ale tylko jeśli ty tego chcesz.

Connor obszedł blat i mocno przytulił siostrę.

– Dam go jej, gdy ta noc dobiegnie końca. Dziękuję.

– Teraz jeszcze bardziej chcę, żeby już było po wszystkim. Chcę patrzeć, jak zaczynacie z Mearą wspólne życie.

– Unicestwimy Cabhana. To jest nam przeznaczone.

– Tak mówi twoje serce.

– Tak, a gdyby twój umysł nie krzyczał tak głośno, sama usłyszałabyś, co mówi twoje. – Odsunął ją na odległość ramienia. – Jeśli nie ufasz własnemu sercu, zaufaj swojej krwi. I mojej.

– Ufam.

Connor pozbiierał swoje narzędzia i przygotował się na wydarzenia tej nocy.

Spotkali się w stadninie. Na prośbę Fina Connor osiodłał Aine, białą klacz, którą przyjaciel sprowadził dla Alastara.

– Myślałem, że Fin będzie jechał na Baru.

Connor obejrzał się na Mearę. Miała na sobie toporne buty i grube spodnie z szerokim pasem, do którego przypięła miecz. Wiedział, że Iona wplotła zaklęcia w jej włosy.

A na flanelowej koszuli błyszczał jego naszyjnik.

– Będzie. My mamy wziąć Aine, a Iona z Boyle'em Alastara. Trzeci koń ułatwi nam podróż.

– A zatem jedziemy do chaty Sorchy.

– W pewnym sensie. Jesteś gotowa?

– Bardziej nie będę.

Sięgnął ponad siodłem i wziął ją za rękę.

– Przejdziemy przez to.

– Wierzę w to.

Razem podprowadzili konia do całej grupy, zebranej w bladym świetle księżyca.

– Kiedy już tam się znajdziemy, musimy działać szybko, nie możemy sobie pozwolić na ani jeden błędny krok. Mój ojciec, babcia Iony i kuzynka Fina będą mieli wszystko pod kontrolą i jeśli coś pójdzie nie tak, sprowadzą nas z powrotem.

– Ty mnie sprowadzisz – powiedziała Meara.

Gdy Connor wsiadł na konia, wskoczyła na siodło za nim. Connor spojrzał na Boyle'a i Ionę, czekających na zniecierpliwionym Alastarze.

Koń chciał już iść, działać.

Patrzył, jak Fin bierze na ręce małego kundelka, wsiada na swojego czarnego konia i wyciąga rękę do Branny.

– To dla niej trudne – mruknął – być tak blisko niego.

– Dla Fina też.

Branna wsiadła na konia i dała znak Kathelowi, który popędził przodem. Nad ich głowami rozległ się krzyk Roibearda, Merlin mu odpowiedział.

– Trzymaj się mnie – polecił Connor Mearze i konie ruszyły galopem.

A potem uniosły się w powietrze.

– Słodki Jezu! – zawołała Meara, śmiejąc się głośno.

– To cudowne! Dlaczego wcześniej tego nie robiliśmy?

Owiewał ich chłodny, wilgotny wiatr, białe chmury przemykały po księżycu. Powietrze wypełniło się zapachami roślin i ziemi, natury szykującej się do spoczynku.

Przemknęli ponad drogą, w głąb lasu, aż pokonali winorośl i znaleźli się przed chatą Sorchy.

– Szybko – ponaglił Mearę Connor.

Musiał ją zostawić, żeby razem z Branną i Ioną stworzyć krąg z setki świec, ustawić kociołek i miski.

Branna otworzyła srebrną szkatułkę i wyjęła napar na sen.

– Tej nocy, zaludnionej duchami, łączymy się z nimi naszymi światłami. W tym miejscu, tej nocy wzywamy siły białej mocy. Jest nas trzech i trzy. Razem przejdziemy przez drzwi do snu, by tam znaleźć przeznaczenie nasze, dlatego my czworo opróżniamy czasę.

Przeląła napar do srebrnego kubka, który uniosła wysoko, po czym opuściła i wypła łyk.

– Ciało i umysł, serce i krew, w sen niech zawiedzie nas nocy zew.

Podąła kubek Finowi, który wypił, powtórzył jej słowa i podał łonie, a ona Connorowi.

Napar smakował gwiazdami, pomyślał Connor, gdy nadeszła jego kolej.

Wziął za rękę siostrę i Meare, razem z jej kręgiem powtórzył zaklęcie.

– W imię dobra, przez naszą moc ze światłem przeszukamy noc. We śnie o wieki się cofniemy, gdzie zło Cabhana ukarzymy. Do czasu, gdy Sorchy troje wróciło w progi swoje. Na nasze wezwanie niech tak się stanie.

Teraz już nie frunęli, jak wcześniej, lecz raczej płynęli przez mgły i kolory, wśród głosów, szepczących za nimi, przed nimi i obrazów, migoczących tuż na skraju widzenia.

Gdy mgła się przerzedziła, nadal stali w kręgu, a Connor zaciskał dłoń na dłoni Meary.

– Cofnęliśmy się? – spytała Meara.

– Popatrz tam – powiedział.

Winorośl obrastała teraz nie ruiny, lecz chatę. A przy kamieniu nagrobnym kwitły dzwonki.

Konie stały pod drzewem, sokoły przysiadły na gałęzi. Kathel siedział spokojny niczym król obok Branny, a Robal drżał lekko, skulony między nogami Fina.

– Jesteśmy wszyscy, tak jak powinniśmy. Teraz go wezwij, Meara.

– Już?

– Zaczynaj – poleciła Branna i wyjęła buteleczkę z krwistym płynem. –

Zwab go tu.

Płyn we flakonie pulsował i wirował. Płynne światło, magiczny ogień.

– Stań w środku kręgu. – Connor chwycił Mearę za ramiona i pocałował. – I śpiewaj, bez względu na to, co się będzie działo.

Meara musiała się uspokoić, uciszyć serce, aby je otworzyć.

Wybrała balladę po irlandzku, chociaż nie rozumiała wszystkich słów. Jednak te, które znała, były aż do bólu wzruszające i równie piękne, jak jej głos, który uniósł się nad polaną i popłynął w noc, przez wieki i sny.

Później poprosi, żeby zaśpiewała tę pieśń tylko dla niego, obiecał sobie Connor. Kiedy już skończą z czarnymi mocami, kiedy zostaną sami, Meara znów to zaśpiewa, tylko dla niego.

– On słyszy – szepnął Fin.

– To noc, w której biel miesza się z czernią, światło i ciemność.

Przyjdzie.

Branna wystąpiła z kręgu, a za nią Connor i Iona.

– Cokolwiek będzie się działo – powtórzył Connor

– śpiewaj. On nadchodzi.

Dobył miecza, którego ostrze zapłonęło.

Cabhan przyszedł we mgle, cień, który przeistoczył się w wilka. Minał ich, po czym obrócił się gwałtownie i chciał skoczyć w krąg.

Boyle zasłonił Marę własnym ciałem, ale wilk odskoczył na widok kuli ognia, ciśniętej przez Ionem.

Zaczął chodzić tam i z powrotem po polanie, patrząc na konie, aż Alastar uderzył w ziemię kopytem. Wtedy zwierz przemienił się w człowieka.

– Znowu chcecie się ze mną zmierzyć? Myślicie, że zniszczycie mnie piosenką i tą waszą żalną białą magią?

– Machnął ręką i ogień, którym płonął miecz Fina, zgasł.

Fin tylko uniósł broń i ostrze zapłonęło ponownie.

– Spróbuj się ze mną – powiedział i stanął przed pozostałą trójką.

– Mój synu, krew z mojej krwi, ty nie jesteś moim wrogiem.

– Jestem twoją śmiercią. – Fin skoczył do przodu, uderzył mieczem, ale przeszył tylko mgłę.

Wrzącą powodzią nadciągnęły szczury z czerwonymi, morderczymi oczami. Te, które wpadły do kręgu, wrzeszczały, stając w ogniu. Meara zobaczyła, że jedna ze świec zgasła.

Nie przestając śpiewać, wyciągnęła miecz.

Anie stanęła dęba, błyskając kopytami, oczy ze strachu uciekły jej w tył głowy. Fin złapał cugle, machnął mieczem i otoczył klacz kołem ognia. Oba ogiery tratowały szczury, sokoły atakowały gryzonie z powietrza.

Wtedy z nieba spadł deszcz nietoperzy.

Connor zobaczył, jak gaśnie druga świeca.

– On atakuje krąg, żeby dostać się do Meary. Musimy to zrobić teraz, Branna.

– Musimy zwabić go bliżej.

Connor odrzucił głowę w tył i wezwał wiatr. Potężny podmuch przedarł się przez cienkie skrzydła, aż powietrze wypełniło się dymem i wrzaskiem.

Głos Meary zadrżał, gdy ciało nietoperza spadło na brzeg kręgu, a trzecia świeca zgasła.

– Spokojnie, dziewczyno – mruknął Boyle.

– Jestem spokojna. – Zaczerpnęła tchu i podniosła głos, by przekrzyczeć wrzaski płonących stworzeń.

– Rozpłatom ci gardło i wyrwę serce!

Cabhan, z oczami równie czerwonymi, jak jego kamień, cisnął w krąg czarną błyskawicę.

Boyle uchylił się, zamachnął mieczem i utoczył wrogowi pierwsze krople krwi, jednak podmuch wiatru odrzucił go w tył. Krew z czubka miecza spłynęła na ziemię i zawrzała, czarna jak smoła.

– To musi być teraz! – krzyknął Connor i zaczął recytować zaklęcie.

Moc wzniosła się pod niebo czystym żarem. Connor usłyszał głosy, nie tylko Meary i Iony, ale też inne, odległe, szepczące przez unoszącą się zasłonę. Ponad nimi dźwięczał śpiew Meary, napełniając jego serce jeszcze większą mocą.

Fin zatoczył mieczem koło i świece znów zapłonęły prostym i równym płomieniem.

Szczury rzuciły się do ucieczki, a Cabhan opadł na czworaki. Wilk zaatakował Kathela.

Connor poczuł strach Branny i odwrócił się razem z nią i Ioną, by wystrzelić moc w wilka, jednak Fin machnął dłonią i pod Cabhanem uniosła się ziemia. Kathel kłapnął zębami tuż obok wilczego barku, z nieba zapikował Roibeard.

Wilk zawył i próbował umknąć w stronę drzew otaczających polanę.

– Odetnijcie mu drogę! – krzyknął Connor. – Zawróćcie go! – Ale serce mu stanęło, gdy Boyle i Meara wybiegli z kręgu i stanęli obok Fina.

Wilk uskoczył w prawo, odwrócił się i ruszył do desperackiego ataku, a miecz Meary zapłonął i drasnął bok drapieznika, zmuszając go do odwrotu.

Connor zarejestrował kątem oka jakiś ruch. Spojrzał w tamtym kierunku i ujrzał przed chatą trzy postacie. Migotały niewyraźnie, a ich głosy usiłowały się przedrzeć przez zasłonę.

Potem widział już tylko siostrę i Ione, tylko swój krąg w gorącym wirze mocy.

Branna zawiesiła w powietrzu przed nimi buteleczkę z krwistym płynem, i wszyscy troje, połączywszy dłonie, umysły i moc, cisnęli nią w wilka.

Światło eksplodowało niczym tysiąc słońc. Strzeliło w niego, przez niego.

– Oto przez moc trojga jesteś unicestwiony. Nasza magia rozsuwa śmiertelne zasłony, nasza krew wypali cię do kości, nasze światło pokona twoje ciemności. Nie ma życia ni duszy, ni magii dla ciebie, nadszedł twój kres, na ziemi i w niebie. Na me wezwanie niech tak się stanie.

Znowu błysnęło światło, jeszcze jaśniejsze. Rozkwitło w oczach Connora, zawrzało w jego krwi, a przez nie znów ujrzał trzy postacie, z których jedna wyciągnęła do niego dłoń.

Nagle postacie zniknęły, światło też. Zapadła ciemność, rozświetlana jedynie blaskiem księżyca i płonących w kręgu świec. Connor przerwał krąg trojga i podbiegł do Meary.

– Jesteś ranna? Coś ci się stało?

– Absolutnie nic.

– Miałaś nie przestawać śpiewać i nie wychodzić z kręgu.

– Zaszło mi w gardle. – Uśmiechnęła się, z twarzą umazaną sadzą, i zarzuciła mu ramiona na szyję. – Wykończyliśmy go? Udało się nam?

– Daj mi chwilę. – Ziemia była zasłana popiołem, tu i ówdzie płonęły jeszcze małe kałuże poczerńiałej krwi.

– Na bogów, to, co z niego zostało, powinno gdzieś tu leżeć. Daj mi chwilę.

– On żyje. Czuję go. – Fin otarł krew z twarzy. – Czuję jego i jego

zapach. Mogę go znaleźć. Mogę go zniszczyć.

– Nie możesz opuścić polany. – Branna schwyciła Fina za ramię. – Nie wolno ci, inaczej możesz nigdy nie wrócić.

Fin wyrwał rękę.

– A co to za różnica, jeśli go unicestwię, skoro wreszcie to zakończę?

– To nie jest twój czas.

– A ten wybór nie należy do ciebie.

– Ani do ciebie – odparła Branna i pchnęła go z powrotem w krąg. – Connor!

– Jasna cholera.

Z wyraźną niechęcią Connor podbiegł do Fina i przygwoździł przyjaciela do ziemi. W podziękowaniu otrzymał cios pięścią w twarz, zanim Boyle przybiegł z pomocą.

– Szybko. – Branna położyła dłoń na ramieniu brata, wzięła Mearę za rękę i skinęła głową łonie, podczas gdy dwaj mężczyźni mocowali się na ziemi.

Zamknęła oczy i przerwała czar.

Znowu przepłynęli na koniach przez światło i ciemność, przez kolory i mgły, na polanę, gdzie stały ruiny chaty i pohukiwała sowa.

– Nie ty powinnaś mnie powstrzymywać.

– Nie tylko ona – zgodził się Connor i pomasaował szczękę, patrząc spode łba na Fina. – My wszyscy. Nie poradzimy sobie sami bez ciebie.

– Jesteście pewni? – zapytała Meara. – Jesteście pewni, że go nie wykończyliśmy?

Fin bez słowa zdjął kurtkę i ściągnął sweter przez głowę. Znak na ramieniu, zaogniony i czerwony, pulsował niczym serce.

– Co to jest? – zapytała Branna. – Ty czujesz jego ból?

– Twoja krew o to zadbała. On jest ranny, ale nie wiem, czy śmiertelnie. Mogłem go dobić.

– Gdybyś opuścił polanę, byłbyś stracony – odparł Connor. – Jesteś z nami, Fin. Twoje miejsce i czas jest tu i teraz. Nie unicestwiliśmy go. Ja też go czułem, kiedy Branna przerywała czar. Widać to nie miało się dziś dopełnić. I tym razem mamy tylko kilka siniaków, nic więcej, jeśli nie liczyć twojej pięści na mojej twarzy, a Cabhan jest mocno poturbowany, krwawi i ledwo się trzyma na nogach. Do tego jest na pół ślepy, tyle udało mi się zobaczyć. Może nie przetrwać nocy.

– Zaraz złagodzę twój ból – powiedziała Branna.

Fin popatrzył na nią ponuro.

– Nie, dziękuję.

– Fin. – Iona postąpiła krok do przodu i stanęła na palcach, żeby ująć jego twarz w dłonie. – *Mo dearthair*. Potrzebujemy cię.

Po chwili wewnętrznej walki opuścił głowę i wsparł czoło o czoło Iony.

– Och, dobrze.

– Powinniśmy wracać. – Meara oddała Finowi Robalę, który zaczął się kręcić w jego ramionach, liżąc pana po twarzy. – Może go nie zniszczyliśmy, ale i tak odwaliliśmy kawał dobrej roboty. A mnie od tego śpiewania zaschło w gardle.

– To jeszcze nie koniec. – Branna podeszła do nagrobka Sorchy i przesunęła palcem po wyrytych na nim literach. – Jeszcze nie teraz, ale przysięgam, że go unicestwimy.

Wyczerpani i brudni, wsiedli na konie. Connor ociągał się chwilę, spoglądając przez ramię na polanę, dopóki nie przedostali się przez winorośl.

– Widziałem ich. Muszę powiedzieć o tym reszcie.

– Kogo?

– Tamtych troje. Dzieci Sorchy, a właściwie ich cienie. Eamon miał miecz, Brannaugh łuk, a Teagan różdżkę. Ich cienie tam były, wniknęły do naszego snu. Próbowali się do nas dostać.

– Przydaliby się nam, ale nie jako cienie.

– Święta prawda. – Connor zwrócił Aine w stronę domu. – Przez chwilę, a nawet dłużej, myślałem, że nam się udało.

– Ja też. Chciałeś pójść z Finem. Chciałeś z nim pójść i dobić Cabhana bez względu na cenę.

– Chciałem, ale nie mogłem.

– Ponieważ to nie było ci przeznaczone.

– Nie tylko. Nie mogłem cię zostawić. – Zatrzymał konia, by móc odwrócić się do Meary, dotknąć jej. – Nie mogłem i nigdy cię nie zostawię, Meara, nawet dla takiej sprawy. Mam coś dla ciebie. – Sięgnął do kieszeni i wyjął srebrne puzderko. Uniósł wieczko, a rubin zamigotał w świetle księżyca.

– Och, Connor...

– To piękny pierścionek, a ja zadbam, żeby pasował. Tak jak ty pasujesz do mnie, a ja do ciebie. Był w naszej rodzinie przez pokolenia, a teraz Branna dała mi go, abym mógł wręczyć go tobie.

– Oświadczasz mi się na końskim grzbiecie, kiedy oboje śmierdzimy siarką?

– Myślę, że to romantyczne i oryginalne. Spójrz. – Wsunął pierścionek na jej palec, popukał w oczko. – Widzisz, idealnie pasuje, tak jak mówiłem. Teraz będziesz musiała za mnie wyjść.

Meara popatrzyła na pierścionek, a potem znów spojrzała na Connora.

– W takim razie chyba za ciebie wyjdę.

Pocałował ją słodko, choć koński grzbiet nie był najwygodniejszym

miejszem, by się na nim całować.

– A teraz się trzymaj.

I pofrunęli.

Szukając schronienia, Cabhan pęzał po ziemi, bardziej cień niż wilk, bardziej wilk niż człowiek. Jego czarna krew wypalała za nim ślad.

Czuł tylko ból, nienawiść i potworne pragnienie.

Pragnienie zemsty.

TWLR